

Роден
Plain

Благославиеństwa



Plain Belva

Błogosławieństwa

Z angielskiego przełożyła *Urszula Grabowska*

Kiedy się spotkali, nie byli już nastolatkami. Jennie, samotna trzydziestoparoletnia dobrze zapowiadająca się prawniczka, i Jay, wspólnik w jednej z najbardziej znanych nowojorskich firm prawniczych, samodzielnie wychowujący trójkę swoich dzieci.

Jennie rozkwitła w tym związku, a Jay powoli odzyskiwał utraconą po śmierci żony radość życia. Zdawałoby się, że nic i nikt nie może zagrozić szczęściu tych dwojga. Kim więc jest Jill, piękna młoda dziewczyna, z którą Jennie spotyka się w tajemnicy przed Jayem? Przychodzi dzień, kiedy Jenny musi ujawnić całą prawdę o swoim życiu, a Jay musi wybrać.



*Serce ludzkie ma swe skarby ukryte
Trzymane w sekrecie, pieczętowane milczeniem*
Charlotte Brontë

1

Dzień, w którym nad głową Jenny niebo rozwarło się z trzaskiem, rozpoczął się równie miło, jak wszystkie inne dni tego cudownego roku. Był to, jak dotąd, najlepszy rok w jej życiu.

W południe stała sobie z Jayem na zboczu wzgórza, skąd roztaczał się widok na dzikie tereny, zwane w miasteczku, do którego należały, Zielonymi Moczarami. Był to jeden z tych okresów babiego lata, kiedy po dwóch tygodniach deszczu i przedwczesnych szarych chłódów wszystko nagle znowu się rozjarza; niebo w oddali ma odcień intensywnego błękitu, okoliczne dęby zdają się płonąć czerwienią; wierzby i jałowce lśnią, obmyte nocnym deszczem. Przelatują sznury dzikich gęsi, z głośnym krzykiem wędrujących na południe, a kaczki hałaśliwie pluskają się w stawie.

- Widzisz, nie wszędzie tu jest bagno - wyjaśnił Jay. - Z drugiej strony jest łąka i las. Prawie pięćset hektarów zupełnie dzikiej przyrody, nietkniętej przez człowieka od Bóg wie ilu tysięcy lat. Usiłujemy sprawić, żeby państwo przejęło nad tym opiekę i zrobiło tu rezerwat. Wtedy nic by już naszym bagnetom nie groziło. Musimy się jednak śpieszyć, zanim firmy budowlane z Nowego Jorku położą na nich rękę.

- Myślisz, że by im się to udało?

- Boże, mam nadzieję, że nie. Wyobraź sobie tylko, że zniszczyliby to wszystko!

Stali przez chwilę, wsłuchując się w ciszę. Czuli się ze sobą zupełnie swobodnie, przyzwyczajeni do wspólnego, spokojnego

spędzania czasu; nie potrzebowali bezustannie podtrzymywać rozmowy.

Nagle lekki powiew wiatru obsypał ich suchymi liśćmi, a u stóp wzgórza ukazały się rozbawione dzieci Jaya. Biegły, popychane wiatrem, wywracały się na ziemię, potem dwie dziewczynki tarzały swego małego braciszka w liściach. Dzieci krzyczały, pies szczekał, a wiatr przynosił ich głosy na wzgórze, zakłócając spokój niedzielnego południa.

- Kochanie - zaczął Jay

Jennie odwróciła się do niego, świadoma, że obserwował, jak przyglądała się jego dzieciom.

- Jestem szczęśliwsza, niż się godzi - wymamrotała. Wpatrywał się w jej twarz tak badawczo i z taką miłością, że

Jenny poczuła bolesne dławienie w gardle.

- Ach, Jennie, nie potrafię tego wyrazić... Ty sprawiasz... Wyciągnął ręce, jakby jednym serdecznym gestem chciał ogarnąć cały ten radosny obraz. - Nigdy nie przypuszczałem... - Nie kończąc zdania, objął ją i przytulił.

Wtulona w jego ramię miała poczucie, że jest w sposób absolutny i niezmacony szczęśliwa. Wróciła pamięcią do początków owego cudu.

Poznali się półtora roku temu; Jay był już wtedy od dwóch lat wdowcem, gdyż jego młoda żona zmarła na raka. Pozostał sam z dwiema małymi córeczkami i synkiem w wieku niemowlęcym. Miał dość eleganckie mieszkanie w centrum dzielnicy wschodniej i był współnikiem w jednej z najbardziej znanych nowojorskich firm prawniczych. Jego pozycja zawodowa nie przypadła mu w spadku, jak często bywa, lecz stanowiła owoc ciężkiej pracy. Pierwszym, co zauważyła Jenny, obserwując Jaya, był wyraz napięcia w jego twarzy. Mogło to oznaczać niepokój, przepracowanie, samotność, a może wszystkie te rzeczy naraz. Gdyby problemem była tylko samotność, to w wielkim mieście znalazłoby się wystarczająco dużo atrakcyjnych młodych kobiet, gotowych wypełnić mężczyźnie wolny czas. Szczególnie że chodziło o mężczyznę młodego, wysokiego, o żywym spojrzeniu i uroczo rozdwojonej brodzie. Kiedy go lepiej poznała, zrozumiała, że był bardzo ostrożny w zawieraniu bliższych znajomości ze względu na dzieci. Niektórzy z jego

przyjaciół pytali Jennie, czy takie poświęcenie się dzieciom nie nudzi jej i nie przeszkadza. Było jednak wręcz przeciwnie -napełniało ją to podziwem, cieszyło; nie traktowałyby go tak poważnie, gdyby nie wyczuwała w nim tej głębokiej i serdecznej odpowiedzialności za dzieci.

Teraz podniosła wzrok, żeby mu się przyjrzeć. Tak, wyraz napięcia niewątpliwie znikł z jego twarzy, skończyło się też nerwowe szarpanie kosmyków włosów na skroniach, nadmierne palenie i zarywanie nocy. Właściwie w zeszłym miesiącu zupełnie już przestał palić. Coraz częściej się teraz uśmiechał i z pewnością nie wyglądał na trzydzieści osiem lat.

- W co się tak wpatrujemy, moja pani?

- Podobasz mi się w kraciastych koszulach i w džinsach.

- Bardziej niż w kamizelce od Braci Brooks?

- Jeśli chcesz wiedzieć, to najbardziej podobasz mi się bez niczego.

- Ty mnie też. Wiesz, właśnie sobie myślałem, czy chciałabyś, żebyśmy mieli gdzieś tutaj letni domek? Moglibyśmy zbudować sobie coś na terenie posiadłości moich rodziców, z dala od ich domu, zupełnie gdzie indziej albo wcale. To zależy od ciebie.

- Nie mam pojęcia. Nigdy w życiu nie miałam tyle możliwości do wyboru! I

- No to najwyższy czas, żebyś miała.

Nigdy nie zależało jej na dokonywaniu wyborów. Zastanawiała się za to nad istotą rzeczy, a w tej chwili istotą rzeczy było dla niej najczystsze pragnienie, aby być z Jayem już na zawsze. Wobec tego pragnienia wszystko inne - plany, domy, rzeczy -wydawały się nieważne.

- Zdecydowałaś się już, gdzie urządzimy wesele? Rodzice cieszyliby się, gdyby odbyło się u nich w domu. Matka mówiła, że już ci to proponowała.

Zgodnie z tradycją wesele powinno się odbyć w mieszkaniu panny młodej. Cóż jednak, kiedy mieszkanie to składało się z dwóch ciasnych pokoików w starej, czynszowej kamienicy. Tu każda, najskromniejsza nawet uroczystość przedstawiała problem. Najwyraźniej matka Jaya zdawała sobie z tego sprawę, chociaż bardzo taktownie nic na ten temat nie wspominała.

- Tak, to była bardzo miła propozycja. - Jennie pomyślała jednak, że w mieszkaniu Jaya czułaby się dużo lepiej. - Wolałabym u ciebie, nie masz nic przeciwko temu? Przecież tam będziemy po ślubie mieszkać, prawda?

- Znakomicie, kochanie. Miałem nadzieję, że tak właśnie postanowisz. No to ustaliliśmy. Jeszcze jedna rzecz i wszystko już będzie jasne. Co z twoim biurem? Zostaniesz tam, gdzie jesteś, czy chcesz się przenieść do budynku mojej firmy? Na piętnastym piętrze ma być wolny lokal.

- Zostanę u siebie, Jay. Moje klientki byłyby onieśmiałe i śmiertelnie przerażone, gdyby musiały przychodzić do mnie na Madison Avenue. Te wszystkie nieszczęsne, załamane i nędznie ubrane kobiety ze swymi problemami...To byłoby okrutne. Poza tym i tak nie byłoby mnie stać na taką przeprowadzkę.

- Niezależna paniusia, co? - Jay uśmiechnął się i zmierzwił jej włosy.

- Jeśli chodzi o sprawy mojej praktyki prawniczej, to tak - odpowiedziała poważnie.

Wydawało jej się, że miał do swej praktyki taki sam stosunek jak ona do swojej. W przeciwnym razie po co wybierałby sobie ten zawód i po co by się tym zajmował? Nie wyobrażała sobie jednak, aby w sprawy pieniędzy - testamenty, powiernictwa i spory finansowe - można było angażować się równie głęboko, co w sprawy ludzi - pobitych żon, maltretowanych dzieci, wywłaszczanych rodzin i wszystkich innych żalonych istot, które zgłaszały się do niej z prośbą o pomoc. Ona sama z pewnością nie byłaby do tego zdolna. Jay jednak był wzorem uprzejmości i troskliwości. No a poza tym, przecież to pieniądź oliwi tryby świata, prawda? Oczywiście jest więc, że ktoś musi się tym zajmować.

U stóp wzgórza widać było ogon setera, powiewający ponad gęstwą uschłego zielska. Dzieci właśnie się nad czymś pochylały.

- Co one u licha robią? - zapytał Jay.

- Zbierają liście. Kupiłam dla Sue i Emily specjalne bruliony, żeby miały na lekcje przyrody.

- O wszystkim pamiętasz! One cię będą uwielbiać, Jennie. Już teraz cię kochają. - Spojrzał na zegarek. - Ej, może byśmy

je zawołali. Moja matka podaje dziś lunch wcześniej, żebyśmy zdążyli wrócić do miasta, zanim dzieci trzeba będzie kłaść spać.

Jadąc dwupasmową asfaltową szosą, mijali mleczne farmy i płaskie, rozległe posiadłości producentów jabłek; stare domki z obdrapanymi bujanymi ławeczkami na gankach od frontu i stojące przy nich wielkie czerwone stodoły. Konie o zmierzwionej zimowej sierści zwieszały głowy ponad ogrodzeniami z drutu. Gdzieniedzie widać było dom z białymi ścianami, do którego prowadziła aleja wysadzana azaliami i rododendronami. Można się było domyślać, że jest to własność jakiegoś miejscowego bankiera lub, co bardziej prawdopodobne, jakiejś rodziny z miasta, która spędza tu dwa czy trzy letnie miesiące, rozkoszując się wiejskim spokojem.

- Nie chce mi się wierzyć, że moje ciasne i pełne hałasu nowojorskie pokoiki są zaledwie o kilka godzin jazdy stąd - zauważyła Jennie.

Brunatne zimowe pola pozostały za nimi i wjechali w główną ulicę miasteczka. Oznakami współczesności były tu sklepy rozmaitych firm, stacje benzynowe, kręglarnia, pizzeria, szkoła okręgowa z czerwonej cegły, salon Forda, obskurne kino i trzy czy cztery niskie, nowoczesne budynki biurowe; podczas gdy warsztat rymarski, ochotnicza straż pożarna i sklep z paszą - założony - jak głosił napis nad wejściem - w 1868 roku, mówiły o życiu, które się tu dawniej toczyło, a teraz ulegało zmianom.

- Przypominam sobie, że kiedy tata kupił tu posiadłość, miasto było o połowę mniejsze niż dzisiaj - powiedział Jay.

- Czy uważasz, że twój prawdziwy dom jest właśnie tutaj?

- Na razie jeszcze nie. Może kiedyś, gdy będę w wieku moich rodziców. Wiesz, wcale bym się nie zdziwił, gdyby zrezygnowali z nowojorskiego mieszkania i zamieszkali tu na stałe, skoro tata sprzedaje fabrykę i przechodzi na emeryturę.

Kiedy podjechali, pani Wolfe rozsypywała właśnie kompost na klombie z różami koło domu. Wyprostowała się, zdjęła ogrodowe rękawice i wyciągnęła ręce do chłopczyka, który rzucił jej się w objęcia.

- Dobrze wam się jechało, Donny? Widziałeś konie?

- Byliśmy w stadninie, ale Donny nie chciał wsiąść na kucy-

ka - zawołały dziewczynki. - Tata obiecał nam po czekoladzie, ale wszystkie sklepy były zamknięte.

- To nawet dobrze, bo nie zjedlibyście już nic na lunch. A na deser mamy wspaniałe ciasto z czekoladą.

- Mam nadzieję, że nie wymęczyliśmy cię zanadto przez ten weekend.
- Babcia uśmiechnęła się do Jennie.

- Nie, pani Wolfe, spacerując po tych wzgórzach, mogłabym przejść nawet kilkanaście kilometrów w ciągu dnia.

- No, jestem pewna, że Jay zabierze cię kiedyś na taką wyprawę. Wejdźmy do domu, dobrze?

Jennie usunęła się na bok, przepuszczając starszą panią przed sobą. Trzeba bardzo uważać i pamiętać o każdej, najdrobniejszej uprzejmości...

Przecież było chyba rzeczą zupełnie naturalną, że w obecności rodziców swego przyszłego męża odczuwała pewne skrępowanie? Szczególnie że była to pierwsza wizyta, a przedtem widziała ich tylko dwa razy i to na gruncie neutralnym, w restauracji. Enid Wolfe, przy całym swym serdecznym sposobie bycia, odznaczała się wytwornością, która łatwo mogła ludzi zniechęcać. Nie musiała robić w tym celu żadnego wysiłku, jej wytworność odczuwało się nawet teraz, chociaż miała na sobie grubą koszulę w kratkę i dżinsową spódnicę. Podobna wytworność cechowała też dom. Jego prostota świadczyła niedwuznacznie iż właściciele nie dbają o to, aby komukolwiek imponować. Przez białe drzwi wchodziło się do nisko sklepionego holu; dwieście lat temu, kiedy dom powstał, ludzie byli niżsi - jak wyjaśnił Jay. Teraz drewniane podłogi wyłożone były zniszczonymi, wschodnimi dywanami. W powietrzu unosiła się zmieszana woń sosnowych bali, wosku do mebli i kwiatów. W salonie na stoliku do kawy leżała sterta krwistoczerwonych róż - podobno ostatnich w tym roku. Dwie sofy pokryte perkalem stały naprzeciw siebie przed kominkiem. Sekretarzyki robiły wrażenie antyków, a w samym końcu długiego pokoju znajdował się mały, elegancki fortepian. Na gzymsie nad kominkiem stały dwa obrazki - pejzaże przedstawiające rzekę i zamglone niebo. Przypominały obrazy Turnera, które Jennie widziała w muzeum, ale ponieważ tak mało wiedziała o sztuce i nie chciała popełnić jakiegóż kompromitującej pomyłki, nie powiedziała tego na głos. Doprawdy, w tych spr-

wach musiała się jeszcze dużo nauczyć, bo Jay interesował się sztuką i miało to dla niego znaczenie.

Podejrzała, że gospodarze mają znakomity gust, co niewątpliwie oznacza także - bardzo kosztowny. Pomimo to cały dom zdawał się mówić: Niczego nie udaję, jestem taki, jaki jestem. Tu i tam leżały wypchane, szydełkowane poduszki. Stosy książek piętrzyły się na stolikach i na podłodze. Inny, duży, okrągły stół cały zasypany był fotografiami. Było tam zdjęcie panny młodej z lat dwudziestych, w krótkiej spódniczce i z długim trenem; zdjęcie z uroczystości wręczenia dyplomów, fotografie dzieci i psa mopsa. Rakiety do gry w tenisa stały w kącie, oparte o ścianę. Czarno-brązowy kot spał na fotelu zwinięty w kłębek pod wełnianym szalem, a seter wbiegł właśnie do pokoju i klapnął na podłogę przed kominkiem.

Ojciec Jaya podniósł się z krzesła, na którym siedział z drinkiem w ręku. Miał zakrzywiony, arystokratyczny nos i wyniosłą posturę, był jeszcze wyższy niż jego wysoka żona. Kiedyś Jay stanie się do niego podobny.

- Wchodźcie, wchodźcie. Daisy zaraz nakryje do stołu. No i gdzieżeście byli przez tyle czasu? - zapytał, kiedy weszli do jadalni.

- A, niedaleko - odparł Jay. - Chciałem pokazać Jennie okolicę. Zakończyliśmy na Zielonych Moczarach. Zmieniło się coś w tej sprawie od czasu, jak o tym rozmawialiśmy?

Arthur Wolfe walnął w stół, aż drgnęli.

- Przyjechali z Nowego Jorku i kręcą się po mieście już od paru tygodni, taka sitwa. Przedstawili poważną ofertę, na cztery i pół miliona. - Zaciął surowo usta. - To zniszczy miasto, zanim jeszcze cała rzecz się zakończy, jestem o tym przekonany.

- A co na to władze? I jak z rozmowami o utworzeniu parku?

- Ach, politycy! Biurokracja! Kto wie, kiedy podejmą jakieś kroki prawne? A póki co, przedsiębiorcy prą do przodu i to szybko. Jestem tym oburzony

- No i co z tym robicie? - Jay zmarszczył brwi.

- Cóż, założyliśmy komitet, Horace Ferguson i ja. Większość pracy spada na niego. Ja jestem za stary, żeby wiele zdziałać...

- Arthurze Wolfe, wcale nie jesteś stary! - zaprotestowała jego żona.
- Okay, powiedzmy, że robię wystarczająco dużo. Rozmawiam z ludźmi, co do których nie ma wątpliwości, że zajmą słuszne stanowisko, szczególnie w komisji planowania.

Starszy pan podniósł do ust łyżkę z zupą, po czym odłożył ją i zahuczał znowu.

- Dobry Boże, cały kraj wybrukują zanim się obejrzymy, całą zielen zniszczą i nic nie zostanie!

- No tak - dodał Jay. - To bagno stanowi obszar zasobny w wodę. Jeśli zaczną w nim grzebać, to zniszczą lustro wody. To będzie miało skutki dla wszystkich miasteczek w okolicy i dla wszystkich farm. Czy oni o tym nie wiedzą?

- Kto nie wie? Przedsiębiorcy? A co ich to obchodzi? Przyjadą z wielkiego miasta, zanieczyszczą teren, nabiją kiesę i wrócą, skąd przyszli.

- Arturze, jedz obiad - upomniała go łagodnie żona. - Zupa stygnie. W tej rodzinie wszyscy bardzo jesteśmy przejęci sprawą zachowania środowiska naturalnego - wyjaśniła, zwracając się do Jennie. - Ale pewnie sama już to zauważyłaś.

- Całkowicie się z wami zgadzam - odpowiedziała Jennie. - Najwyższy czas, abyśmy zajęli się czystością wody, powietrza i problemem kopalni odkrywkowych, wszystkim. W przeciwnym razie dla dzieci w wieku Emily, Sue i Donny'ego nie zostanie już nic.

- Jennie jest dzieckiem natury - oznajmił Jay. - Zeszłego lata w Maine odbyliśmy prawie czterdziestokilometrową wyprawę kajakiem, lecz były długie odcinki drogi, kiedy targaliśmy wszystko na plecach i Jennie trzymała się równie dobrze jak ja. Może nawet lepiej?

Zainteresowało to starszego pana.

- Gdzie się wychowałaś Jennie? Nigdy nam o tym nie mówiłaś.

- Nie tam, gdzie mógłby pan przypuszczać. W wielkim mieście, w samym sercu Baltimore. Może w jakimś innym wcieleniu byłam córką farmera.

Posiłek trwał i nie można było bez przeszkód kontynuować rozmowy. Donny'emu trzeba było pokroić mięso, Sue skarżyła się na swoją nauczycielkę muzyki, Emily wylała sobie mleko na

spódnicę, którą trzeba było wysuszyć. Enid Wolfe dopytywała się o bilety na nową sztukę. Dopiero przy deserze Arthur powrócił do sprawy Zielonych Moczarów, starając się przede wszystkim wytłumaczyć to Jennie.

- To prawie pięćset sześćdziesiąt hektarów, razem z jeziorem. Cały teren należy do miasta. Został zapisany miastu... jakieś osiemdziesiąt lat temu. Niech no sobie przypomnę; spędzamy tu wakacje od czasu, gdy urodził się nasz pierwszy syn, a on ma już pięćdziesiąty rok. Najpierw coś wynajmowaliśmy, a potem odziedziczyłem trochę pieniędzy po babci i kupiliśmy tę posiadłość za pół darmo. A więc te tereny należą do miasta i zrozumiałe jest samo przez się, że powinny pozostać w stanie nienaruszonym. To ostoja przyrody, rozumiesz, żyją tam bobry i lisy. No i oczywiście jest to raj dla ptaków. Niektóre dęby mają po dwieście lat. Wszystkie miejscowe dzieciaki kąpią się w jeziorze; można też łowić ryby, a dla szkół są specjalne szlaki wycieczkowe. I tak dalej. To miejsce to skarb, nasz wspólny skarb i nie możemy go stracić. Nie dopuścimy do tego. - Zmiał serwetkę i rzucił ją na stół. - Nasza grupa, sądzę, że można by ją nazwać grupą zaangażowanych obywateli, tworzy wspólny fundusz, aby wynająć prawnika i ostro w tej sprawie zawalczyć.

- Naprawdę spodziewacie się ostrej walki? - zapytał Jay.

- Mówiłem ci, że tak. Nienawidzę być cyniczny - przyzwoity liberał nie powinien być cyniczny - ale pieniądze są w stanie przemówić do wielu ludzi, tu w okolicy. Wcale nie będą myśleć o pięknie natury ani o lustrze wody, biedni głupcy. Będzie im się obiecywać pracę, ożywienie w interesach, normalne, krótkowzroczne argumenty. Lepiej więc, jeśli się na to przygotowujemy. - Rozumiem. - Jay zamyślił się na chwilę. - Mówiłeś, że chcecie wynająć adwokata. Chodzi o kogoś stąd?

- Nie, tutejsi prawnicy nie są po naszej stronie. Wszyscy oni mają nadzieję, że przedsiębiorcy ich zaangażują.

- A masz kogoś innego na myśli? - zapytał Jay.

- No cóż, twoja firma zajmuje się różnymi sprawami, prawda? Może ktoś mógłby się tego podjąć? Oczywiście za niezbyt wysokie honorarium. Będzie ono zależało od tego, ile Horace i ja zdołamy uzbierać. - Wahanie Jaya wywołało błysk w bystrych starych oczach. - No dobrze, przecież znam wasze ceny. Chciałem się tylko z tobą podroczyć.

- Nie o to chodzi! Wiesz, że sam bym się tego podjął i to bez żadnego honorarium, gdybyś mnie o to poprosił. Rzecz w tym, że myślałem o Jennie.

- O mnie! - wykrzyknęła.

- A czemu nie? Znakomicie dałabyś sobie z tym radę. -Zwrócił się do rodziców: - Nie mówiłem wam, że kiedy się poznaliśmy, Jenny właśnie wygrała sprawę dotyczącą środowiska. Tak się złożyło, że tego samego ranka przeczytałem o tym w „Timesie”, więc kiedy na tym przyjęciu ktoś mi ją wskazał, poprosiłem, żeby mnie przedstawił.

- Jak ci się to udało, Jennie? - zapytał Arthur Wolfe. - Przecież nie tym się zajmujesz, prawda?

- Och nie, przeważnie podejmuję się spraw, które dotyczą kobiet i problemów rodzinnych. Kiedyś zdarzyło mi się bronić kobiety z czworgiem dzieci przeciw właścicielowi domu, w sprawie o eksmisję. Wygrałyśmy sprawę, więc była mi bardzo wdzięczna i potem poprosiła, żeby pomóc jej przyjaciółom z Long Island, którzy mieli kłopoty związane z użytkowaniem ziemi. Nigdy przedtem nie miałam z czymś takim do czynienia, ale poruszył mnie ten przypadek, to znaczy, chodziło mi o sprawiedliwość, więc zdecydowałam się zaważać. - Przerwała. -No i tyle, nie chciałabym zanudzać państwa szczegółami.

- Wcale nas nie zanudzasz, ciekaw jestem szczegółów.

- No więc... - Uświadomiwszy sobie nagle, że zbyt często mówi „więc”, przerwała i zaczęła jeszcze raz. - To było w dość biednej dzielnicy, zamieszkannej przez robotników, bez wpływów i koneksji. Na końcu uliczki, przecinającej większą arterię, był pusty obszar przeznaczony pod zabudowę. Został zakupiony przez kogoś, kto zamierzał zbudować tam niewielki zakład chemiczny. Wiązałoby się to ze szkodliwymi wyziewami i najprawdopodobniej emisją popiołów węglowych. Zanieczyściłoby to powietrze w całej okolicy. Walczyliśmy ostro, ponieważ w grę wchodziły tu także powiązania polityczne - normalna sprawa.

- Ale wygrałaś - powiedział Jay z dumą. - Czy sądzisz, że interesowałaby cię nasza sprawa?

- Musiałabym coś więcej na ten temat wiedzieć. Co oni chcą zrobić z tym terenem?

- Chcą tu zbudować coś, co określają jako obszar rekreacyj-

ny. Letnie domki, ośrodki wypoczynkowe, gęsto zabudowane działki, jedna tuż przy drugiej. Bo widzisz, nowa autostrada zapewnia tu łatwy dojazd, o pół godziny drogi stąd są dobre tereny narciarskie, a kiedy pogłębią jezioro, powiększy się ono dwukrotnie i... - Przerwał.

- I przy okazji, jeśli trafi się mokry sezon, zaleje wszystkie pola na południe od miasta - wtrąciła Enid. - Ach, na samą myśl o tym jestem chora! To jedna z najpiękniejszych okolic w całym stanie - może nawet na całym wschodzie. Uważam to za swego rodzaju symbol. Jeśli te tereny padną ofiarą ludzkiej zachłanności, może się tak stać wszędzie. Czy rozumiesz, co chcę powiedzieć, Jennie?

- Tak, zachłanność ludzka - odparła Jennie. - Co dzień mam z nią do czynienia. To straszna plaga, bez względu na to, czy chodzi o lokale mieszkalne opanowane przez szczury, zanieczyszczone oceany, czy też kładzioną pokotem dżunglę... -Przerwała znowu, nieco skrepowana tym, że ją obserwują. Uświadomiła sobie też, że ponosi ją entuzjazm i mówi coraz głośniejsze i gestykuje, chociaż ćwiczyła się już w opanowywaniu takich odruchów. - I właśnie ona nas wreszcie zniszczy -dokończyła już spokojniej.

Jay uśmiechnął się, pochwalał jej entuzjazm.

- Nie dojdzie do tego, jeśli do walki staną tacy ludzie jak ty - powiedział.

- Uważam więc, że przyjąłś propozycję - odezwał się Arthur Wolfe.

A więc mam bronić tego kawałka ziemi i walczyć o jego przetrwanie, pomyślała Jennie. Co za dziwna odmiana dla kogoś z miasta, kto nigdy nie miał nawet pół metra kwadratowego na własność. A jednak zawsze, odkąd była dzieckiem i zdarzały jej się czasami niedzielne wypadki na wieś, odczuwała silny związek z ziemią, jakby drzewa przemawiały wprost do niej. Później, kiedy czytała książkę Rachel Carson czy raport Klubu Rzymskiego, albo gdy oglądała w telewizji programy „National Geografie”, odczuwała to przyciąganie jeszcze silniej i z głębszym zrozumieniem.

- Tak, zajmę się tą sprawą - odparła i poczuła, jak obmywa ją fala miłego podniecenia.

- Wspaniale! Jeśli Jay mówi, że jesteś dobrym prawnikiem,

to na pewno tak jest. - Arthur podniósł się zza stołu i stanął nad Jennie. - Na posiedzeniu rady miejskiej odbyło się już pierwsze czytanie projektu i teraz sprawa została przekazana komisji planowania. Będą ją rozpatrywać za dwa czy trzy tygodnie, a więc bardzo niedługo pojawisz się tutaj znowu. Jay powie ci co trzeba na temat władz miasta. Ja nie będę ci już teraz zabierał czasu, ale wszystko jest normalnie, rada ma dziewięciu wybieranych członków i jeden z nich jest burmistrzem. - Mocno uściśnął dłoń Jennie. - Jak będziecie stąd wyjeżdżać, dostaniesz ode mnie cały wielki stos papierów do przeczytania; opinie inżynierów i ekspertów, wyniki ankiety, pismo do władz ustawodawczych i oczywiście parszywy projekt tych przedsiębiorców. - Jeszcze raz uściśnął jej rękę. - No to myślę, że zrobiliśmy już krok naprzód.

- To jest wyzwanie - odparła Jennie. - Zrobię co w mojej mocy.

Jay spojrział na zegarek.

- Na nas już czas. Zbieramy się, Jennie, i jedziemy.

Jenny zabierała właśnie z pokoju gościnnego płaszcz i torbę podróżną, gdy zapukała pani Wolfe.

- Czy mogę wejść? Chciałabym porozmawiać z tobą chwilkę na osobności. - Trzymała w ręku brunatne, skórzane pudełeczko. - Chcę ci coś dać. Tu, na górze, cichutko, bez świadków. Otwórz to, Jennie.

Na aksamitnej poduszeczce, ułożony w podwójne koło, leżał długi sznur pereł, wielkich, regularnych i bledziutko, nieśmiało różowych. Przez moment Jennie stała jak oniemiała. Zupełnie nie знаła się na perłach i miała tylko jeden, krótki naszyjnik, który kupiła kiedyś w stoisku z dodatkami do garderoby, żeby nie wyglądać zbyt surowo na sali rozpraw. Poczowała się zmieszana.

- Należały do mojej teściowej. Przechowywałam je dla następnej panny młodej, która wejdzie do naszej rodziny - powiedziała Enid Wolfe, i po sekundzie dokończyła z wahaniem: - Naszyjnik z pereł, należący do mojej matki, już oddałam.

Jenny oderwała wzrok od pereł i spojrzała jej w twarz. Malował się na niej wyraz pewnej czci. Zrozumiała, że dar ten miał głębokie znaczenie.

- Ach... prześliczne - wyjąkała.

- Prawda? Proszę, przymierz je. - I kiedy Jenny pochyliła się nieco do przodu, założyła jej perły na szyję. - A teraz popatrz, jak wyglądasz.

Z lustra nad komodą spoglądała na nią młoda, okrągła twarz, zupełnie nie wyglądająca na trzydzieści sześć lat, i para niezwykle bystrych, zielonych oczu. Kocie oczy - droczył się z nią Jay. W tej chwili przepełniało je zdumienie. Jej policzki, z natury dość rumiane, by nie musiała używać różu, teraz płonęły rumieńcem aż po wydatne kości policzkowe.

- Perły zawsze zmieniają kobietę, prawda? - odezwała się Enid Wolfe.
- Nawet kiedy ma na sobie tylko spódnicę i sweter.

- Ach, prześliczne - powtórzyła Jennie.

- Tak, teraz rzadko już się takie spotyka.

- Ja... odebrało mi mowę, pani Wolfe. Coś takiego nigdy mi się nie zdarza.

- A może będziesz mnie nazywać Enid? Pani Wolfe brzmi zbyt oficjalnie w ustach kogoś, kto wkrótce będzie członkiem rodziny. - Surowa twarz Enid nagle się rozjaśniła. - Wierz mi, że tego, co ci teraz powiem, nie mówię ot tak sobie. Kiedy nasz syn powierza siebie i swe ukochane dzieci innej kobiecie, trudno się temu przyglądać, nie rozważając wszystkich za i przeciw. Ale ty jesteś taka dobra dla Jaya. Dostrzegamy to i chcemy, żebyś wiedziała... - Położyła dłoń na ramieniu Jennie. - Chcę, żebyś wiedziała, że oboje z Arturem bardzo się tobą cieszymy. Podziwiamy cię, Jennie.

- Czasami zdaje mi się, że śnię - powiedziała cicho Jennie, gładząc perły. - Jay i ja, i dzieci... no a teraz państwo. Wszyscy jesteście dla mnie tacy cudowni.

- A dlaczegożby nie? A co do Jaya, to chyba nie muszę cię przekonywać, jak bardzo cię kocha. Będzie ci z nim dobrze. - Enid uśmiechnęła się z macierzyńską pobłażliwością. - Cóż, ma on oczywiście swoje wady, nie znosi na nikogo czekać, lubi, żeby gorące jedzenie było naprawdę gorące, a zimne, żeby było lodowate, takie rzeczy. - Siedziała teraz na brzegu łóżka i przybrawszy zażyły ton, zwierzała się. - Ale to naprawdę dobry człowiek. Słowo dobry ma wiele znaczeń, prawda? Po pierwsze, oznacza bezwzględną uczciwość. Jay mówi to, co myśli, i myśli to, co mówi, jest otwarty, łatwo go przejrzeć. I to samo dostrzegam w tobie. Jay oczywiście tak wiele nam o tobie opo-

wiadał, że jeszcze nim cię pierwszy raz zobaczyliśmy, mieliśmy wrażenie, że cię znamy. - Wstała. - O Boże, ja tu gadam i gadam, a przecież oni tam na ciebie czekają. Chodź, macie przed sobą dobre trzy godziny jazdy.

- Jeszcze nie widziałem, żeby ojciec tak się w coś zaangażował - zauważył Jay w drodze do domu. - Od czasu kiedy walczył o mieszkania komunalne i o lepsze szkoły dla ubogich.

Rozmawiali półgłosem, podczas gdy dzieci drzemały na tylnym siedzeniu.

- Mam nadzieję, że poradzę sobie z tą sprawą. I podejrzewam, że dopóki z tym nie skończę, nie będę w stanie myśleć o niczym innym.

- Już tak się tym denerwujesz? Nie chcę, żebyś brała tę sprawę, jeśli tak to ma wyglądać. Chcę, żeby moja narzeczona była spokojna i odprężona, a nie żeby dostawała zmarszczek z wysiłku i ze zmartwienia.

- Muszę się tym zająć. Już powiedziałam, że się podejmuję.

- Daj spokój. Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, nie bierz tej sprawy, nie czuj się przez ojca zmuszona. Poproszę kogoś z młodszych kolegów od nas z biura, żeby wziął tę sprawę i koniec.

- Co? - odpowiedziała z udawanym oburzeniem. - Przekazać sprawę mężczyźnie, tak jakby kobieta nie potrafiła dać sobie z tym rady? Nie, tu chodzi o twojego ojca, o twoją rodzinę. Tak bym chciała, żeby mieli o mnie dobre zdanie.

- Na litość boską, przecież już mają i dobrze o tym wiesz. Czy potrzebujesz na to jeszcze lepszych argumentów niż to, że trzymasz na kolanach paczuszkę z perłami mojej babki? Moja matka wolałaby stracić własne zęby, niż oddać te perły w niewłaściwe ręce. Naprawdę, taka przedsiębiorcza dama jak ty nie ma powodu tracić pewności siebie na widok mojej rodziny.

- A jest tak? Czy takie właśnie sprawiam wrażenie?

- Trochę. Ale nic się tym nie martw. - Jay wyciągnął dłoń i uściśnął jej rękę. - A mówiąc poważnie, to pilnuj raczej tego pudełka, póki go jutro nie ubezpieczę na twoje nazwisko.

Było już ciemno, kiedy zatrzymali się przed eleganckim budynkiem. Dwie gustowne, mosiężne lampy świeciły przy wejściu osłoniętym zielonym daszkiem. Dolna Park Avenue, po-

dwójny rząd latarni po obu stronach ulicy oświetlał front pięknych, masywnych domów z białego wapienia, cegły i granitu, ciągnących się przez całą długość ulicy, aż po niską fasadę terminalu Grand Central i wznoszący się za nim gmach PanAm u jej wylotu. Był to jeden z najbardziej znanych widoków na świecie, równie charakterystyczny dla tego miasta, jak dla Londynu Trafalgar Square czy Place de la Concorde dla Paryża. Jennie stała przez chwilę, chłonąc ten widok, podczas gdy Jay pomagał dzieciom wygramolić się z samochodu. Rzadko zdarzało jej się bywać w tej części miasta i dopóki nie poznała Jaya, nigdy nie była w żadnym z takich domów. Teraz zapytała:

- Czy niania już jest?

- Nie, przychodzi w poniedziałek rano, tak żeby wyprawić dzieci do szkoły.

- W takim razie wejdę na górę i pomogę ci położyć je spać.

- Nie ma potrzeby, dam sobie radę. Mówiłaś, że masz jutro ciężki dzień.

- Ty też masz ciężki dzień. A poza tym chcę.

Kiedy weszli do mieszkania, Jay rozebrał synka i wpakował go do łóżka, pełnego najrozmaitszych pluszowych zwierzków i misiów panda. Jennie tymczasem nadzorowała dziewczynki.

- Jest późno, a rano braliście prysznic, więc myślę, że możecie już darować sobie kąpiel dziś wieczorem.

- A bajka? Opowiesz nam bajkę? - domagała się Sue. Jennie spojrzała na zegarek na stoliku stojącym pomiędzy dwoma łóżkami w kolorze kości słoniowej.

- Już za późno na bajki, zamiast tego przeczytam wam parę wierszyków. - Przyzwyczała się już do dzieci, a że i one ją zaakceptowały, czuła się na siłach, aby im matkować. - Może A.A. Milne? Dobrze? No to idę z wami do łazienki.

Dziewczynki umyły buzie, ręce i zęby. Pobrudzone ubranie wrzuciły do kosza na brudną bieliznę i założyły różowe, bawełniane nocne koszulki. Na koniec Jennie rozplotła im warkocze i wyszczotkowała długie, proste ciemnoblonde włosy. Jay i jego rodzina mieli włosy ciemne. Widocznie dziewczynki były podobne do matki.

Emily dotknęła włosów Jennie.

- Chciałabym mieć takie czarne loki jak twoje.

- A ja chętnie zamieniłabym się z tobą. Moje włosy na deszczu robią się jak wełna barana, to tylko kłopot.

- Ale są takie piękne - rzekła Sue. - Tatuś też tak uważa, mówił mi.

Jennie uściskała ją. Te dzieci były takie słodkie, lubiła ich zapach i całusy, którymi ją szczerze obdarzały! Ach, oczywiście i one potrafiły być przykre, kiedy akurat miały zły humor - kilkakrotnie była już tego świadkiem - ale to było przecież normalne. Teraz poczuła, że ogarnia ją uczucie nadzwyczaj zbliżone do miłości - jakże łatwo nadużywa się dziś słowa miłość! A może to było właśnie to? Kiedy wróciły do sypialni, wyjęła ulubioną książkę i zaczęła czytać o Krzysiu Rudziku

„Przed Pałacem Buckingham zmiana warty; Wybrał się tam z Alicją Krzyś”.

A potem o liliach wodnych.

„Jak lilie wodne Tu i tam,

Kołyszą się na zmarszczkach wód...”.

- No, a teraz pora spać. - Jennie zamknęła książkę i zaciągnęła haftowane zasłony, odgradzając pokój od nocy na zewnątrz.

W pokoju dziewczynek, różowym w świetle lampy, panowały porządek i czystość. Ten spokój bardzo na nią działał. Na co dzień widywała rzeczywistość od innej strony, stykała się z krzywdą, bólem i złem, jakich jedni ludzie przysparzali drugim! Spoglądając po raz ostatni na obie dziewczynki, poczuła przyływ wdzięczności, że im przynajmniej zostało to oszczędzone.

- Dobranoc, dziewczynki. - Zgasiła światło. - Miłych snów. Moja matka zawsze mi tak mówiła. Miłych snów.

Jay stał w drzwiach swojej sypialni.

- Wiem, mówiłaś, że nie zechcesz w tym mieszkaniu nic zmieniać.

- Bo byłoby to okropne marnotrawstwo, skoro wszystko jest w znakomitym stanie.

Myśl o urządzaniu na nowo wszystkich tych pokoi sprawiała jej przykrość. Nie miała dostatecznej wiedzy, aby się tym zająć,

a zresztą wcale jej na tym nie zależało. Teraz poprzez korytarz spojrzała w głąb długiego salonu, gdzie na morzu zielonej jak mech wykładziny wznosiły się wyspy mahoniowych mebli pokrytych perkalem, wszystko to utrzymane w przyjemnym, spokojnym guście. Zajrzała też naprzeciwko, do jadalni, gdzie z zaskoczeniem rozpoznała, że stół to Duncan Phyfe, a krzeselka o siedzeniach obitych jedwabiem w purpurowe kwiaty to chippendale.

- No, ale przynajmniej sypialnię - powiedział Jay. - Sypialnię na pewno zmienimy.

Tak, tu musiała się z nim zgodzić. Nie chciała mieć łoża z baldachimem, w którym Jay sypiał z inną kobietą. Wymieniłaby też szafę i komody, w których Phyllis trzymała swoje rzeczy. W przyszłym tygodniu poświęci trochę czasu, żeby się tym zająć.

Na wysokiej komodzie, należącej, jak przypuszczała, do Jay a, stała fotografia w srebrnej ramce, przedstawiająca młodą kobietę w powłóczystej balowej sukni i perłach. W jej dużych oczach widać było wyraz rozbawienia, twarz miała okrągłą o wydatnych kościach policzkowych. Ojej, pomyślała Jennie, gdyby nie proste jasne włosy, wyglądałaby zupełnie jak ja! Ciekawe, czy Jay zdawał sobie sprawę z tego podobieństwa. Możliwe że nie. Podobno ludzie zupełnie nieświadomie dokonują w życiu wciąż tych samych wyborów. Stała w milczeniu, przyglądając się fotografii.

- Tego tu oczywiście nie będzie - odezwał się Jay z pewnym niepokojem. - Powinienem był zabrać gdzieś to zdjęcie.

- Dlaczego miałoby tu nie stać? Cóż za człowiek byłby z ciebie, gdybyś o niej zapomniał?

Biedaczka, zmarła na raka w wieku trzydziestu dwóch lat, zostawiając wszystko, opuszczając swych najbliższych!

- Nie ma drugiej takiej jak ty, Jennie - powiedział Jay głosem zachrypniętym ze wzruszenia. - Ze świecą by szukać kobiety, która powiedziałaby coś takiego, rzeczywiście to mając na myśli, a wiem, że ty mówisz szczerze.

I naprawdę tak było. Dziwne, ale będąc sama z Jayem, nie czuła żadnego zagrożenia, najmniejszego strachu, że mógłby niezyczliwie porównywać ją z kimkolwiek. Będąc z nim sama, była absolutnie pewna własnej wartości. To tylko jego środowi-

ska, rodzina, rodzice wzbudzali w niej niepewność i strach, że nie będzie tam pasować, mimo iż tak ją mile przyjęli. Ale to minie...

Objął ją, a głowa Jennie spoczęła na jego ramieniu.

- Już się nie mogę doczekać, żeby to całe zamieszanie ze ślubem było za nami. U moich rodziców nie mogliśmy spać razem, teraz też nie ze względu na dzieci i nianię. Piekielna męka.

- No to u mnie, może być każdy wieczór w tym tygodniu -mruknęła i podniosła głowę, aby spojrzeć mu w twarz. Przejechała mu palcem po nosie.

- Czy mówiłam ci już, że przypominasz mi Lincolna? Gdybyś miał brodę, byłbyś jego sobowtórem.

Jay wybuchnął śmiechem.

- O każdym mężczyźnie, który jest wysoki, szczupły i ma pociągłą twarz oraz długi nos, można powiedzieć, że jest podobny do Lincolna. Jak na trzeźwo myślącą młodą prawniczkę jesteś naprawdę romantyczna.

- Jestem trzeźwo myśląca, ale i uczuciowa.

- Kochanie, doskonale o tym wiem. Słuchaj, teraz musisz się przespać. Wsadzę cię do taksówki. I zadzwoń do mnie, jak wrócisz do domu.

- Mogę sama wsiąść do taksówki, Jay. Nikt nigdy się ze mną tak nie cackał! Nie obawiasz się chyba, że taksówkarz mnie porwie, prawda?

- Nie, ale jednak proszę cię, zadzwoń, jak już będziesz w domu.

* * *

Mieszkanie w odnowionej kamienicy w pobliżu East River stanowiło zupełnie inny świat. Mieszkali tutaj ci, którzy nie mieli rodziny, nieformalne pary, młodzi ludzie związani z teatrem, sztuką czy biznesem. Albo wspinali się już po szczeblach kariery, albo mieli nadzieję, że niedługo zaczną. Wystrój ich mieszkań przedstawiał dużą skalę możliwości, od prawie pustych wnętrz, gdzie był tylko materac na podłodze i stojąca lampa, poprzez na wpół umeblowane, w surowym drewnie śmiało pomalowanym na czarno lub purpurowo, z wiktoriańskimi bujanymi fotelami z wikliny, pochodzącymi ze sklepów ze starzyzną, aż do kompletnie umeblowanych, z dywanami,

książkami, płytami i kwiatkami w doniczkach. Mieszkanie Jennie było umeblowane.

W chwili gdy przekręcała klucz w zamku, otworzyły się drzwi po drugiej stronie korytarza.

- Cześć! No i jak było? - Shirley Weinberg, w szlafroku frote i z głową okręconą ręcznikiem, nie mogła powstrzymać ciekawości. - Właśnie suszyłam włosy, kiedy usłyszałam, że wracasz. Jak było? - powtórzyła. - Mogę wejść na chwilę?

- Oczywiście, chodź.

Były sąsiadkami już od pięciu lat i właściwie prócz tego, że ze sobą sąsiadowały, niewiele więcej je łączyło; może jeszcze wzajemna życzliwość. Shirley była sekretarką producenta teatralnego i obracała się w kręgu Broadwayu, a jej pojęcie o uroku życia na pewno nie miało nic wspólnego z maltretowanymi żonami i obskurnymi salami rozpraw. Zasiadła teraz u Jennie na sofie.

- Wspaniale tam było?

Shirley najwyraźniej wyobrażała sobie marmurowe podłogi i pozłacane meble.

- Raczej nie. To jest wiejski dom, może mieć sto pięćdziesiąt lat albo i więcej. Mnie się tam podobało, ale to nie w twoim guście.

- Ale są potwornie bogaci, prawda?

Tego typu pytania były dość obraźliwe, ale należało na nie odpowiadać w tym samym duchu, w jakim je zadawano. Shirley była serdeczna i bezpośrednia. Tylko dlaczego tak wiele osób zadawało takie pytania? Obudziło to w niej jakieś mgliste wspomnienie, głos pytający: Kto? Kiedy?

- Nie przypuszczam, żeby byli „potwornie bogaci”. Ale nie są też biedni - odparła cierpliwie. - Jakoś nie myśli się o nich w ten sposób.

- Może ty tak nie myślisz. Ale ty w ogóle jesteś śmieszne stworzenie - rzekła czule Shirley. - Co jest w tym pudełku?

- Naszyjnik. Zaraz ci pokażę.

- Boże wielki, tylko na to spójrz!

- Przeraziłaś mnie. O co ten wrzask?

- O to, ty wariatko. Masz tutaj perły warte dziesięć tysięcy dolarów, nie wiedziałaś o tym? Nie, co ja mówię? Warte są więcej. Perły znowu poszły w górę.

- To niemożliwe - odezwała się Jennie.
- Mówię ci to, co wiem. Pracowałam przecież u jubilera na Madison Avenue, prawda? To dziewięćmilimetrowe perły, wiesz, co to znaczy? Oczywiście, że nie wiesz. Załóż je.
- Teraz boję się ich nawet dotknąć, boję się, żeby nie pękły.
- Nie pękną, załóż je.
- Głupio mi, jeżeli rzeczywiście są tyle warte. Dokąd miałabym w nich chodzić?
- W wiele różnych miejsc. Są cudowne, tylko popatrz.
- Nigdy nie znałam się na tym - powiedziała ze zdziwieniem Jennie. - Po co właściwie wiesz o sobie tyle pieniędzy na szyi?
- Naprawdę śmieszne z ciebie stworzenie - powtórzyła Shirley. - To naprawdę nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?
- No, w pewnym sensie ma. Oczywiście, że te perły są piękne, ale dla mnie liczy się przede wszystkim to, co mogą wyrażać; że jestem w rodzinie Jaya mile widziana. I z tego się bardzo, bardzo cieszę. A takich rzeczy po prostu nigdy nie pragnęłam. I bardzo dobrze, że nie, bo i tak nigdy nie było mnie na to stać.
- No cóż, wygląda na to, że teraz już będzie cię stać. Szalejesz za nim, prawda?
- Jennie podniosła wzrok i spojrzała Shirley w twarz, na której malował się wyraz czułości, zmieszanej z ciekawością.
- Tak - odparła po prostu. - Szaleję za nim. Naprawdę.
- Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak na ciebie działał.
- To dlatego, że jeszcze z nikim coś takiego mi się nie zdarzyło.
- Masz szczęście. Czy ty wiesz, jakie masz cholerne szczęście?
- Tak, wiem.
- Kochać mężczyznę, który pragnie stałego związku. Boże, jak ja już mam dość facetów, którzy nie chcą ci obiecać nic poza tym, że nie będą ograniczać twojej wolności. Chętnie zrezygnowałabym z tej wolności, oczywiście nie całkowicie, częściowo, żeby mieć dom i dziecko. Dwoje dzieci. Wszyscy mężczyźni, których się teraz spotyka, sami są jak dzieci - dokończyła Shirley gderliwie.
- Jennie powiesiła płaszcz, nic na to nie odpowiadając. Pamię-

tała, że zaledwie rok temu Shirley, podobnie jak większość jej rówieśników, w tym również Jennie, z entuzjazmem głosiła hasła całkowitej niezależności, pozwalającej kobietom na przygody, jakie dawniej były wyłącznie udziałem mężczyzn. Wtedy jednak głośnym tikaniem dał o sobie znać zegar biologiczny. Teraz powiedziała więc:

- Zegar biologiczny.

- Taak. Cóż, w każdym razie-cieszę się, że jesteś szczęśliwa. - Shirley wstała i pocałowała Jennie w policzek. - Trudno byłoby o lepszą dziewczynę od ciebie. Słuchaj, koniecznie musisz mieć kawałek flaneli i przecierać je za każdym razem, kiedy je założysz. I co dwa lata trzeba je na nowo nawlekać. Na twoim miejscu poszłabym z tym do Tiffany'ego.

Kiedy wyszła, Jennie stała przez chwilę bez ruchu, ze sznurem pereł okręconym wokół ręki. Myśli tłoczyły jej się do głowy. Rozejrzała się po pokoiku. Z pewnością trudno byłoby go uznać za elegancki, był jednak ładny i wygodny, zdobiły go wiszące na ścianach reprodukcje: gołębki Picassa i jaskrawe, geometryczne kompozycje Mondriana. Czasami przychodziło jej do głowy, jak świetnie by było, gdyby Jay po prostu mógł się wprowadzić do niej, a nie na odwrót. Sama malowała tu ściany na żółto, kupiła patchworkową kołdrę, ręcznie robioną w górach Tennessee i wyhodowała tę wysoką palmę, stojącą w mosiężnej donicy na oknie. Książki, na które nie żałowała pieniędzy i najwyższej jakości sprzęt stereo były owocem jej pracy, co wprawiało ją w zadowolenie.

Rzeczywiście zaszła daleko. Teraz, zmierzyszy się już ze światem i udowodniwszy, że potrafi sama sobie dać w nim radę - gotowa była z radością wyrzec się części niezależności na rzecz Jaya.

Poznali się na jednym z tych wielkich, ekstrawaganckich przyjęć dla rozmaitych, nie znających się nawzajem ludzi. Miejsce też było ekstrawaganckie - zmodernizowany strych, pełen abstrakcyjnych rzeźb i stalowych mobili; sushi, białe wino i gwar rozmów. Ktoś wspomniał o prowadzonej przez Jennie sprawie dotyczącej środowiska na Long Island, ktoś inny zaraz skwapliwie przedstawił jej Jaya. I prawie natychmiast odłączyli się od towarzystwa.

- Pan także jest prawnikiem? - zapytała go wtedy.

- Tak. W firmie De Puyster, Fillmore, Johnston, Brown, Rosenbaum i Levy.

- To zupełnie inaczej niż ja.

- Rzeczywiście inaczej. - Uśmiechnął się. W oczach zamigotały mu iskielki rozbawienia. - Pewnie uważa mnie pani za niegodziwego obrońcę niedobrych spółek?

- Nie jestem aż tak głupia, żeby wszystkie spółki uważać za złe.

- To dobrze, bo chciałbym, żeby mnie pani polubiła.

- Po prostu nie wyobrażam sobie, abym mogła się tym zajmować.

- Rozumiem. Ale i mnie także zdarza się pracować dla idei.

- Bardzo się cieszę. - Jennie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Pani nie czuje się tu dobrze - zauważył. - Ta cała tania socjologiczno-psychologiczna gadanina. Wie pani, do czego to prowadzi? Po całym wieczorze pozostanie pani tylko ból głowy. Chodźmy stąd.

Przesiedzieli pół nocy w spokojnym barze, gdzieś w centrum, opowiadając o sobie: o swych poglądach i rodzinach, o tym, jakiej muzyki słuchają i co lubią jeść, o książkach i o filmach, o tym, że interesują się tenisem. Stwierdzili, że oboje lubią Zubina Mehtę, Woody Allena, Updike'a i Dickensa. Nie znosili za to golfa, tłustych sosów, zoo i rejsów statkiem. Coś między nimi zaiskrzyło. Potem oboje przyznawali, że od razu to poczuli, już wtedy, pierwszego wieczoru.

Następnego dnia przysłał jej kwiaty. Wzruszył ją ten staroświecki gest, była przejęta i pełna oczekiwaniami, jak nigdy dotąd. Nagle stało się dla niej jasne, że nie zna wcale możliwości, jakie otwiera w człowieku miłość, nie miała pojęcia o tym, co stanowi rdzeń życia. Tylko jej się zdawało, że to wie.

No i tak się zaczęło.

Zdażyła się już bardzo oddalić od skromnego domu w Baltimore i od sklepu spożywczego swojego taty. Przeszła długą drogę od Uniwersytetu Pensylwanii i studiów, które tak boleśnie jej się skomplikowały. Mniej więcej w czasie, kiedy akurat kończyła studia, jej ojciec zachorował na zwyrodnieniową chorobę nerek. Kiedy umarł, miała dwadzieścia pięć lat. Jej matka sprzedała sklep i za skromną sumę uzyskaną ze sprzedaży plus niewielkie ubezpieczenie taty wyprowadziła się do siostry na

Florydę, gdzie klimat był łagodny, a koszty utrzymania niższe. Wtedy Jennie, odłożywszy dość pieniędzy na studia prawnicze, wróciła do Filadelfii i ponownie zapisała się na uniwersytet.

Nie miała czasu do stracenia, straciła już cztery lata. Skoncentrowała się na tym, co było jej celem, pracując ciężko i rzadko pozwalając sobie na rozrywki. W wieku dwudziestu dziewięciu lat zrobiła dyplom z tak świetnym wynikiem, że mogło jej to zapewnić znakomitą, doskonale płatną pracę biurową na następny rok. Taka praca, gdyby tylko chciała, mogła jej w konsekwencji zapewnić posadę w renomowanej filadelfijskiej firmie prawniczej. Jednakże w ciągu minionych trudnych lat wykształciła w sobie własną, świadomą postawę i określony światopogląd. Przyszła pora, aby zająć tym, czym chciała, a najważniejszym po temu miejscem był jej zdaniem Nowy Jork.

W skromnej okolicy w centrum, w pobliżu Drugiej Alei, otworzyła biuro, dwa pokoiki podnajęte w lokalu należącym do spółki trzech młodych prawników, którzy sami ledwo co skończyli studia i bardzo im zależało, by zdobyć sobie miejsce w dziedzinie prawa karnego. Jako że nie interesowały ich sprawy rodzinne, a zwłaszcza problemy kobiet, chętnie przekazywali wszystkie takie sprawy Jennie. Zaczęła więc praktykę i stopniowo dopracowała się opinii oddanej i troskliwej, a przy tym stanowczej obrończyni praw kobiet, szczególnie ubogich.

I tak mijały lata, w zgodzie z duchem czasu i miejsca. Jenny chodziła na spotkania grup poszerzania świadomości, uczyła się od nich, po czym zostawiała je i szła dalej. Podobnie jak Shirley, miewała do czynienia z mężczyznami, którzy byli atrakcyjni i błyskotliwi, ale nie chcieli się wiązać. Przez krótki czas była zakochana - przynajmniej tak jej się zdawało - w sympatycznym młodym człowieku, który, w końcu wyznał jej ze łzami w oczach, że naprawdę bardzo się starał, ale jednak woli miłych młodych chłopców. Zalecało się do niej paru przyzwoitych mężczyzn, którzy nawet by się z nią ożenili i za których mogłaby wyjść, gdyby tylko ich kochała. Poznała też czarującego mężczyznę, który ją uwielbiał, nie miał jednak zamiaru rozwodzić się z żoną. Jakoś nic się nie układało. Cieszyła się więc, że ma pracę i te wszystkie możliwości, jakie oferuje wielkie miasto:

balet i operę w Centrum Lincolna, najlepsze filmy zagraniczne, niedzielny jogging w parku, księgarnie przy Piątej Alei, włoskie knajpki w Greenwich Village i kursy w Nowej Szkole.

Było to życie aktywne i pożyteczne, ale nie prowadziło jej w żadnym określonym kierunku, i kiedy już wszystko było powiedziane i zrobione, pojawiał się w nim chłód. Dopóki w jej życiu nie zjawił się Jay. Minęły już prawie dwa lata, odkąd się poznali, i oto, co z tego wynikło.

Jennie ocknęła się ze swych rozmyślań i zgodnie z radą Shirley przetarła perły, po czym ułożyła je ostrożnie w pudełku na aksamitnej poduszeczce i schowała w szafie pod bielizną. Rozebrała się i obejrzała się uważnie w dużym lustrze na drzwiach łazienki. Nie najgorzej. Nigdy nie musiała specjalnie dbać o linię, co było dla niej błogosławieństwem, ponieważ uwielbiała jeść i przepadała za smakowitym spaghetti i pieczywem. A dzięki bieganiu i grze w tenisa ciało miała jędrne i zdrowe. Nucąc sobie pod nosem, okręciła się przed lustrem i wykonała parę tanecznych figur. Była szczęśliwa, szczęśliwa...

Zadzwoił telefon.

- Czy to Janinę Rakowsky?

Janinę. Nikt już, oprócz matki, tak jej nie nazywał.

- Tak - odpowiedziała ostrożnie.

- Nazywam się James Riley. - Głos brzmiał nadzwyczaj uprzejmie. -
Wiem, że będzie pani zaskoczona tym, co powiem, ale...

Mama. Jakiś wypadek na Florydzie, coś jej się stało. Ułamek sekundy, pisk hamulców. Deszcz połyskujący na autostradzie. Słychać syreny, pojawia się policja, z dużą szybkością zajeżdża karetka. Migają czerwone światła.

- O co chodzi? Co się stało?

- Nic, nic - odpowiada prędko mężczyzna, - Nic złego. Przepraszam, że panią przestraszyłem. Sprawa jest następująca: reprezentuję organizację pomocy adoptowanym. Nazywamy się „W Poszukiwaniu Rodziny”, pewnie słyszała pani o nas?

- Nie wydaje mi się - była zdumiona. - Czy potrzebujecie adwokata?

- Ach, nie, nie. To nie jest kwestia prawna. Chodzi o to... Zdawało jej się, że widzi, jak mężczyzna zasiada wygodnie,

szykując się do dłuższych wyjaśnień, przerwała mu więc spokojnie:

- Jestem adwokatem, skoro więc nie jest to kwestia prawna, naprawdę nie mam czasu na dalszą rozmowę. Bardzo mi przykro...

Teraz jednak on przerwał jej z równym spokojem.

- Jeśli da mi pani jeszcze chwilę, zaraz wszystko wyjaśnię. Z pewnością wie pani, jak wielu adoptowanych poszukuje teraz swoich prawdziwych rodziców. Powstało wiele organizacji, aby im w tym pomagać, nasza jest tylko jedną z wielu i my...

Przeciągłe westchnienie wstrząsnęło piersią Jenny.

- Daję na dobroczynność tyle, na ile mnie stać. Jeśli przyślecie mi broszurę na temat tego, co robicie, na pewno ją przeczytam.

Mężczyzna nie dawał się zbyć.

- Nie dzwonię z prośbą o wsparcie, panno Rakowsky. -Zamilkł na dłuższą chwilę. Kiedy odezwał się ponownie, mówił nieomal szeptem.

- Dziewiętnaście lat temu urodziła pani dziewczynkę.

Mijały sekundy. Wskazówka stojącego na biurku zegarka drgnęła i przesunęła się z cyknięciem. W słuchawce dały się słyszeć jakieś skrzypnięcia, ale może to tylko krew tętniła Jennie w żyłach.

- Ona prowadzi poszukiwania już od ponad roku. Chce panią zobaczyć.

Słabo mi, pomyślała Jennie. Zaraz zemdleję. Usiadła.

- Wolałem zadzwonić do pani do domu niż do biura, bo to bardzo osobista sprawa.

Nie mogła wydobyć głosu.

- Jest pani przy telefonie? Panno Rakowsky?

- Nie! - Okropny krzyk wydarł się z jej gardła, jak gdyby cięli ją bez znieczulenia. - Nie! To niemożliwe! Nie mogę!

- Tak, rozumiem. Oczywiście, że jest to dla pani szok. Dlatego właśnie pani córka chciała, żebyśmy... żeby ja... najpierw zadzwonił.

- Przerwał. - Nazywa się Victoria Miller, mówią na nią Jill. Mieszka w Nowym Jorku, jest studentką drugiego roku w Barnard College.

Jennie poczuła, jakby ktoś lodowatymi palcami przejechał

jej po kręgosłupie. Jej rozszalałe serce zaczęło walić jeszcze szybciej.

- To niemożliwe... Na litość boską, czy pan nie rozumie, że to niemożliwe? Przecież wcale się nie znamy.

- I właśnie o to chodzi, prawda? Że powinniście się znać.

- Nie, wcale nie chodzi o to! Oddałam ją w dobre ręce. Myśli pan, że zgodziłabym się oddać ją byle komu? Tak?

W tym momencie głos Jennie załamał się i załkała.

- Nie, na pewno tak nie myślę, ale...

- Więc co? Coś jest z nią nie w porządku? Coś jej się stało?

- Nic podobnego. Jest szczęśliwa i świetnie sobie radzi.

- A widzi pan! Mówiłam panu! A więc ma rodzinę, która się nią opiekuje. Czego ona chce ode mnie? Nie widziałam nawet nigdy jej twarzy. Ja... - Nogi się pod nią ugięły, osunęła się na podłogę i wsparła o biurko.

- Tak, ma rodzinę, i to bardzo dobrą. Chce jednak panią poznać. Czy to nie naturalne, że chce się dowiedzieć, kim pani jest? - Głos męczyzny brzmiał spokojnie i rozsądnie.

- Nie! Nie! To już stara, zamknięta historia. Wszystko zostało załatwione. Kiedy sprawa jest załatwiona, nie należy jej odgrzebywać. Nie mogłam się nią wtedy zająć! Pan nie wie, jak to było! Musiałam ją oddać. Ja...

- Nikt nie robi pani o to żadnych wyrzutów, panno Rakow-sky, to zupełnie zrozumiałe. Wszyscy tu jesteśmy profesjonalistami, psychologami albo pracownikami socjalnymi, więc rozumiemy. Rozumiem, co pani czuje. Naprawdę, proszę mi wierzyć.

Jennie poczuła, że oblewa ją pot i że dłonie ma zupełnie mokre. Ten pot, serce bijące jak oszalałe i słabość w nogach same w sobie były przerażające. Musiała wziąć się w garść, nie mogła zemdleć czy dostać ataku serca, przecież była sama...

- Jill jest czarującą, bardzo inteligentną młodą osobą - przymiłał się głos. - Byłaby pani...

- Nie, powiedziała! To nie ma sensu! Nie możemy tak po prostu... po dziewiętnastu latach zacząć od początku. Och, proszę! - Teraz już płakała. - Proszę jej powtórzyć, że to niemożliwe. Proszę jej powiedzieć, żeby była szczęśliwa i zostawiła mnie w spokoju. Niech o tym zapomni. Będzie dla niej lepiej,

jeśli zostanie tak, jak jest. Wiem, że tak będzie lepiej. Proszę. Na miłość boską, idźcie i dajcie mi spokój! Och, proszę!

- Panno Rakowsky, nie będę pani teraz już dłużej męczył. Przez kilka dni niech się pani zastanowi. Wierzę, że przy odrobinie dobrej woli zrozumie pani, że nie jest to nic strasznego, żadna tragedia. Jeszcze się z panią skontaktuję.

- Nie! Nie chcę z panem więcej rozmawiać. Ja... Połączenie się urwało.

Oparła głowę o biurko, trzymając na kolanach milczący telefon. Serce stukało jej tak mocno, że wyraźnie to słyszała.

- O mój Boże! - powiedziała na głos. - O mój Boże! - Zamknęła oczy i opuściła głowę między kolana.

Zaraz zwymiotuje, zaraz zemdleję...

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że wzór na obiciu fotela wiruje. Brązowe, białe i czarne koła, kwadraty, kropki i gwiazdki migały i zlewały się ze sobą. Znowu zamknęła oczy, mocno zaciskając powieki.

Minęło tyle lat. Nie chciałam o niej pamiętać. Przecież musiałam zapomnieć, prawda? I czasami nawet mi się to udawało. A kiedy indziej? Wolę nie myśleć o tym, co było kiedy indziej...

- Nie rozumiesz? - krzyknęła głośno w głąb pustego pokoju, do nikogo, do wszystkich, do świata i do losu. - Nie rozumiesz? O mój Boże...

Łkała. Kołysząc się, zakryła twarz dłonią i zaniósła się płaczem.

Po dłuższej chwili jej umysł zaczął pracować. Przywołała na ratunek zdrowy rozsądek, bo tylko to mogło teraz zapobiec jej zupełnej rozsypce.

Pomyśl, Jennie. Nie możesz poddać się panice. Przecież wszystko można załatwić w sposób inteligentny, prawda? Zawsze tak ludziom mówisz. Teraz powiedz to sobie. Pomyśl.

Telefon zadzwonił znowu. Ukryty w fałdach jej szlafroka, zadźwięczał jakby z daleka.

- Miałaś do mnie zadzwonić - powiedział Jay.

- Zadzwonić? - Jennie poczuła pustkę w głowie.

- Twój numer był zajęty.

- Tak, rozmawiałam z klientem.

- Muszą ci zawracać głowę nawet w niedzielę?

- Cóż, czasem się to zdarza. - Zaczynała bełkotać. - Właści-

ciel domu napastował kobietę, okropna historia. A poza tym była u mnie Shirley, więc i tak nie mogłabym zadzwonić. W tej chwili wyszła, ledwo się jej pozbyłam.

- No, ona na pewno będzie za tobą tęskniła. - Jay się roześmiał. - Prawda, że piękny mieliśmy dzień? Właśnie siedzę i tak sobie o tym myślę.

- Tak, wspaniały weekend, rzeczywiście.

- Wciąż nie kupiliśmy jeszcze dla ciebie pierścionka. Będę cię mógł porwać któregoś popołudnia w tym tygodniu?

Czy to możliwe, żeby teraz nagle oświadczyła, że ma dziecko? Gdyby powiedziała mu od razu, jak się poznali...

- Pójdziemy do Cartiera, to nie zajmie dużo czasu - odezwał się znowu, przerywając jej myśli.

- Nie potrzebuję takiego drogiego pierścionka, Jay. Naprawdę.

- Jennie, nie nudź już, dobrze? I nie sprzeczasz się ze mną. A teraz kładź się spać. Ja też już prawie śpię. Dobranoc, kochanie.

Jennie odwiesiła słuchawkę i krzyknęła na cały pokój:

- Mój Boże, i co ja teraz zrobię?

Mam wejść do rodziny razem z dziewiętnastoletnią córką, która pojawiła się nagle nie wiadomo skąd?... A dzieci Jaya?... No i ślub już za dwa miesiące... a państwo Wolfe, taka szacowna, ufna i poważana para. Są tolerancyjni i przyzwoici, ale nie ma się co łudzić, pod tą miłą przykrywką kryje się sztywny zbiór zasad. A Jay... okłamałam go... Ukrywanie czegoś takiego, przez tyle czasu, to kłamstwo, po prostu. Tak... tak.

Ten człowiek powiedział, że to inteligentna dziewczyna. Nazywają ją Jill. Czego może ode mnie chcieć? To ja ją oddałam. Biedne, oddane dziecko. Ciało z mojego ciała. Słyszałam jej krzyk protestu, jaki wydała zaraz po urodzeniu, i nic więcej, tylko ten jeden żalony, bezsilny krzyk. A potem ją wynieśli, mały tłumoczek zabrali z pokoju i z mojego życia. Czy jest do mnie chociaż trochę podobna? Czy zdawałoby mi się, że ją poznaję, gdybyśmy się gdzieś spotkały, nic o sobie nie wiedząc? Ale postąpiłam słusznie. Jennie, przecież wiesz, że postąpiłaś słusznie. A teraz ona nie może znowu wkroczyć w twoje życie. Nie może, nic by z tego nie wyszło. No mówię ci, pomyśl. Ale

ja nie jestem w stanie myśleć. Nie mam siły, jestem w środku pusta.

Po chwili wstała z podłogi, pogasiła światła i wciąż opatulona w szlafrok położyła się do łóżka. Zaczęła się trząść. Przez dłuższy czas leżała z kołdrą naciągniętą na głowę. Zupełnie sama...

Sama, tak jak wtedy, gdy autobusem wracała z Nebraski na wschód. Czowała się wtedy tak samo. Wróciło tamto wyczerpanie i przerażenie, że zwymiotuje, kiedy autobus kołysał i zarzucał, pędząc przez nudne małe miasteczka, mijając supermarkety, promenady, parkingi pełne starych samochodów. Wracała, aby podjąć życie na nowo. Wracała....

2

Historia zaczyna się w kuchni jednego ze skromnych, przylegających do siebie domów w Baltimore, przy filiżance herbaty, kiedy już posprzątano i pozmywano po kolacji. Czasami, z rzadka, raczej w szabat, herbatę pije się w zagraconym saloniku od frontu, ozdobionym papierowymi kwiatami, w których gromadzi się kurz. Na sofie i fotelach leżą plastikowe pokrowce, zdejmuje się je tylko, gdy przychodzą goście. W pokoju jest mroczno, zasłony są zaciągnięte w obawie przed słabym, północnym światłem, od którego mógłby wypłowieć dywan.

- Niebieski to najmniej trwałe kolor - twierdzi mama.

Właściwie rzecz zaczyna się jeszcze wcześniej, sięga głębiej wstecz niż czasy Baltimore, bo czyż każdy z nas nie jest jedynie ostatnim ogniwem w długim łańcuchu pokoleń i związanych ze sobą wydarzeń?

Zaczyna się więc na Litwie, w miasteczku, którego nazwy nie da się wymówić, w okolicy Wilna, miasta wielkich uczonych. Rodzice mamy, którzy nie byli uczonymi, zarabiali na życie, sprzedając po domach chrzan. Jest to prosta historia, lecz opowiadając ją za każdym razem mama dodaje jakąś anegdotkę, czasem komiczną, czasem smutną. Fragment opowieści, kiedy rodzina wyjeżdża do Francji, brzmi dramatycznie, niesie w sobie wzniosły nastrój wyjazdu i przygody w zetknięciu z nieznanym. Pojawia się nowa sceneria, inny język, a mała

dziewczynka Masza otrzymuje nowe imię: Marlenę. Chodzi teraz do szkoły w fartuszkach jak każda inna francuska dziewczynka. Nie mija wiele czasu i zaczyna czuć się Francuzką, wspomnienia zacierają się, w pamięci pozostaje jej tylko mglisty, szarzejący obraz błotnistej drogi do Wilna. Potem wkraczają Niemcy i dziewczynka dowiadyuje się, że mimo wszystko nie jest jednak Francuzką. Jej rodzice zostają zabrani z powrotem na wschód, gdzie pochłoną ich płomienie. Ona zaś jakimś cudownym sposobem dostaje się do grupy uciekających z Francji emigrantów i przybywa do Ameryki.

- Przeszliśmy przez Pireneje. Nie uwierzyłabyś, Janine, sama nie mogę w to uwierzyć, jak nam się to udało.

Janine, imię to nadała córce na cześć swego ojca Jacoba; była to ostatnia tęskna i dumna pamiątka czasów jej krótkotrwałej francuskiej tożsamości.

- Niemcy patrolowali góry, a nad nami latały samoloty zwiadowcze. Musieliśmy chować się między drzewami, wspinać ponad linię drzew, w okropnym zimnie wdrapywać się po skałach. Jeden mężczyzna dostał ataku serca i zmarł po drodze... No, w każdym razie, dotarłam do Ameryki. Miałam szesnaście lat. Byłam bez pieniędzy, a moje wykształcenie nie wystarczało, by znaleźć jakąś lepszą pracę. Ale wtedy szczęście się do mnie uśmiechnęło - spotkałam Sama.

Sam też ma wiele do opowiedzenia. On jednak, w odróżnieniu od swej żony, odmawia rozmowy na ten temat. To od matki Jennie dowiadyuje się, jak ojciec zdołał przeżyć obóz koncentracyjny: był świetnym krawcem i zatrudniono go przy szyciu mundurów dla Niemców. Ma wspomnienia, do których nie chce wracać, i od tamtej pory nie bierze igły do ręki. Czasami tylko zdarzy mu się skopiować z „Vogue” kostium albo płaszcz dla żony czy córki. Kiedy przygotowuje w swoim sklepiku kanapki i sałatki, robi wrażenie zupełnie wesołego. Mama tymczasem przyjmuje pieniądze.

Jennie jest jedynaczką. Rodzice pracują wyłącznie dla niej. To dla niej przeznaczone są wszystkie ich oszczędności, ze względu na nią odmawiają wielu rzeczy i wakacji. Nigdy tego nie mówią, ale ona wie. Ma świadomość, że ofiarowują jej „prawdziwe wartości”, jak praca, rodzina, godność i wykształcenie. Ich córka musi zdobyć wykształcenie, którego oni

nie mają. Żadne zło tego świata nie ma prawa jej dotknąć, zapewniają jej bezpieczeństwo.

Z nich dwojga tata jest bardziej pobożny. Jako ortodoksyjny Żyd zamyka sklep w sobotę, choć mógłby mieć wtedy najlepszy utarg w tygodniu. Jennie nie słyszała nigdy, żeby kłął. Wydaje jej się, że zawsze najlepiej go będzie pamiętać przy szabasowym stole w piątkowe wieczory, myjącego ręce przed odmawianiem błogosławieństw, podczas gdy matka trzyma mu miską z wodą i podaje biały ręcznik, a w mosiężnych świecznikach migotliwie palą się świece.

Jennie nie podziela w pełni ich wiary, szanuje ją jednak i szanuje swych rodziców. Są łagodni, zapracowani, wdzięczni za to, co mają rozczarowani tym, co ich ominało, i czasem jakby zagubieni. Jennie rozumie, że to ich dawne przeżycia znów dają o sobie znać. I nawet kiedy była jeszcze w średniej szkole, zdawała sobie sprawę, że chociaż ich kiedyś opuści, to w duchu na zawsze zostanie nieodłączną częścią ich świata.

- Więc on mieszka w Atlancie? - pyta mama. Włosy ma nakręcone na wałki i nawet w luźnej podomce widać, że jest pulchna. Teraz marszczy lekko brwi, usiłując odcyfrować list napisany eleganckim, pochyłym charakterem pisma. To list od kobiety, na grubym szarym papierze. Koperta jest w linie, a papier zdobi granatowy, wytłaczany ornament. Mama przesuwając palcem po wysmukłych literach.

- To ładnie, że jego matka pisze, żeby cię zaprosić.
- Mamo, tak się robi. Napisała, bo tak wypadało.
- Atlanta, to daleko stąd?
- Samolotem tylko dwie godziny. - Jennie odczuwa radosne podniecenie. - Mieszkają na przedmieściu. Przyjadą po nas na lotnisko.
- Przypuszczam, że to bogaci ludzie.

Teraz z jakiegoś powodu Jennie zaczyna być zakłopotana i zniecierpliwiona.

- Nigdy o to nie pytałam, mamo.
- Nikt nie mówi, że miałaś o to pytać. Oczywiście że nie. Ale to widać.
- Nie dbam o to, wcale mnie to nie interesuje.
- Nie interesuje cię, mówisz! - Mama opiera się na łokciach, trzymając oburącz filiżankę z herbatą. W jej zielonobłękitnych

oczach, błyszczących nad krawędzią filiżanki, widać zamyślenie i rozbawienie. - Co ty o tym wiesz? Nigdy, Bogu dzięki, nie brakło ci pieniędzy. Czy zdajesz sobie sprawę, jak to jest obudzić się w nocy, spojrzeć na zegar i uświadomić sobie, że za parę godzin trzeba będzie stawić czoło właścicielowi domu i rzeźnikowi, żądającym pieniędzy, które jesteś im winna, ale ich nie masz? Nic o tym nie wiesz i dlatego cię to nie interesuje. A powiedz mi, w co się ubierzesz na ten wyjazd? - I nie czekając na odpowiedź, mówi: - Posłuchaj, ojciec uszyje ci wiosenny kostium, odpowiedni na podróż.

- Nie zwracaj ojcu głowy, jest zmęczony. W coś się zawsze ubiorę.

- Nic mu się nie stanie, jak uszyje jeden kostium. Kilka wieczorów i będzie gotowy. Jaki kolor byś chciała? Powiem ci, powinien być szary. Szary pasuje do wszystkiego. Przyzwoity kostium, żeby od razu, jak wysiądziecie z samolotu, było widać, że jesteś kimś. Miły chłopak, ten Peter. Dlaczego nazywają go Konus?

- Bo ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

- To miły chłopak.

I mama ze swym zwykłym, ciepłym uśmiechem nalewa następną filiżankę herbaty.

Zaczął się nawet jeszcze wcześniej, wkrótce potem jak Jennie rozpoczęła studia w college'u. Nie poszła tego dnia na lunch, ponieważ uczyła się do testu, więc po południu wstąpiła do małego baru przy kampusie, żeby coś przegryźć.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli się przysiadę? Podniosła wzrok i ujrzała najwyższego i najbardziej rudego chłopaka, jakiego dotąd zdarzyło jej się widzieć.

- Nie, oczywiście że nie.

W nowej szkole i w obcym mieście trzeba było poznawać nowych ludzi. Odsunęła więc książki na bok.

- Chciałem z tobą porozmawiać. W zeszłym tygodniu obserwowałem cię tu codziennie, jak jadłaś lunch.

Szybko nawiązuje rozmowę. Taki z niego spryciarz?

- Dlaczego więc nie podszedłeś? - zapytała, nie pokazując po sobie ani zaskoczenia, ani zadowolenia.

- Byłaś zawsze w większej grupie. Nie było okazji, żeby zacząć rozmowę.

Czekała. Nie miała zamiaru niczego mu ułatwiać. Dobrze mu patrzyło z oczu, ale wystartował zbyt szybko i dlatego wołała zachować ostrożność.

- Podobasz mi się. Zwróciłem też uwagę na twój głos. Nie masz takiego piskliwego sopranu.

- Twój głos też zwraca uwagę. Jesteś z Południa? Mówił z akcentem obfitującym w miękkie samogłoski.

- Z Atlanty. Nazywam się Peter Mendes.

- Jennie Rakowsky. Z Baltimore.

Wyciągnął do niej rękę. Nikt z kampusu tego nie robił, może był to zwyczaj z Południa. Południowcy znani byli jako ludzie o lepszych manierach, bardziej dbający o formy.

- Chciałbym cię lepiej poznać, Jenny.

Już to przedtem słyszała. Parę drinków, a potem do łóżka, co traktuje się jako rzecz naturalną, nawet po dwugodzinnej zaledwie znajomości. No, jeśli na to liczy, to będzie miał niespodziankę.

- Zjesz ze mną kolację dziś wieczorem? Lubisz włoską kuchnię?

- Każdy lubi włoską kuchnię.

- To świetnie. Znam doskonałe miejsce. Nie jest ekskluzywne, ale mają tam domowe jedzenie. O której mam po ciebie przyjść i dokąd?

- Jeszcze nie powiedziałam, że pójde. Powiedziałam tylko, że lubię włoską kuchnię.

- Och.

Zauważyła, że policzki oblewa mu rumieniec prawie tak ognisty jak włosy i momentalnie poczuła się winna. Wcale nie był spryciarzem, był prosty i bezpośredni.

- Przepraszam - dotknęła jego ręki - tylko się z tobą droczyłam. Oczywiście, że pójde, dziękuję. Mieszkam w nowym akademiku, może o szóstej, jeśli ci to odpowiada.

Usta rozciągnęły mu się w szerokim uśmiechu, w twarzy było teraz coś delikatnego, i Jennie poczuła, że go lubi. Wracając do biblioteki, przez całą drogę nuciła sobie pod nosem.

O czym rozmawiali przy świecy, nad wszechobecnym obrusem w kratkę, upstrzonym płamami z sosu pomidorowego?

W 1969 roku, na kampusach uniwersyteckich, nie sposób było porozmawiać z kimś nawet dziesięć minut, nie poruszając kwestii wojny w Wietnamie. Jennie powiedziała, że bardzo chciała pojechać rok temu na wiec do Chicago, ale była wtedy jeszcze w szkole średniej, a rodzice okazali się nieugięci. Peter miał podobne doświadczenia.

- To nie chodzi o to, że według nich w Wietnamie nie dzieją się straszne rzeczy - powiedziała Jennie. - Uważają tylko, że dzieci nie powinny wychodzić na ulicę i że to do niczego nie prowadzi. Sądzą, że w Chicago była zupełna dzicz. Wiesz, jak to jest.

Peter skinął głową.

- Wszystko jest jednym wielkim bałaganem. Czasami myślę, że cały świat zawali się i rozpadnie. A czasem złość daje mi tyle energii, że myślę, iż naprawdę zdołam coś zmienić, kiedy już wypłynę na szersze wody. - Mówił to, z powagą ściągając brwi, a potem nagle wybuchnął śmiechem. - To śmieszne, teraz rozprawiam tu o naprawie świata w przyszłości, a czy ty wiesz, co ja mam zamiar studiować? Archeologię! Wariactwo, nie sądzisz?

- Nie, jeśli to jest to, co lubisz? Dlaczego tak uważasz?

- Zaczęło się pewnego lata w Nowym Meksyku, kiedy zobaczyłem rezerwy Indian i czytałem o ich przodkach Anasazi. Mają wspaniałą filozofię, mówiącą o ich miejscu w przyrodzie, o tym, jak wszystko jest ze sobą połączone - drzewa, ludzie i zwierzęta, i że powinniśmy żyć w harmonii.

Ach, podobała jej się jego twarz, szlachetne myśli, ładne, czyste dłonie, piegowata szyja i ręce, biała koszula! Podobało jej się nawet, że ma na drugie imię Algernon i że potrafił się z tego śmiać.

- Oni mówią - moja matka ziemia, mój ojciec niebo. Słyszałaś kiedyś to powiedzenie?

- Nie, ale to piękne - przyznała, ale przede wszystkim widziała teraz jego gęste rude włosy i oczy jak opale: szare, w świetliste, lawendowe cętki.

- No i stąd mi się to wzięło. A jak jest z tobą?

- Chcę iść na studia prawnicze, jeśli tylko będzie mnie na to stać. Tutaj mam stypendium, które pokrywa część kosztów nauki, więc muszę dbać o to, żeby mieć dobre stopnie.

Potem w rozmowie przeskakiwali z tematu na temat. Mówili o muzyce, dyskotecie, tenisie. Peter był wytrawnym tenisistą. Powiedział, że mają u siebie kort tenisowy, więc mógł trenować, ile tylko chciał. Jenny nie знаła dotąd nikogo, kto miałby własny kort.

Zapytał ją, czy była kiedykolwiek w okolicach zamieszkanym przez Amiszów. Nie, nie była, chociaż o nich czytała. To tak jak on, od niedawna przebywa na Północy i jednym z miejsc, które chciałby zobaczyć, jest kraina Amiszów. Czy Jennie nie wybrałaby się tam z nim którejś niedzieli? Mogą wynająć samochód i prowadzić na zmianę, jeśli ma ochotę.

- Nie mam prawa jazdy. Mam dopiero siedemnaście lat.
- Ja mam osiemnaście. A ty jesteś chyba za młoda, żeby tu być.
- Przeskoczyłam jedną klasę w szkole podstawowej.
- Jestem pod wrażeniem.

Teraz Jennie zaczęła go kokietować; spuszczała oczy, patrzyła na boki i do góry w sposób, który już parę lat temu wyćwiczyła przed lustrem. Dzięki temu dobrze było widać jej gęste czarne rzęsy i czarny lok opadający na skroń. Sądziła, że tak wygląda szczególnie atrakcyjnie.

- Wcale nie musisz. Nie jestem wcale aż taka zdolna. Po prostu dużo się uczę z przyczyn, o których już ci mówiłam.

- Masz nadzwyczajne rzęsy.
- Naprawdę? Nawet o tym nie wiedziałam.
- Naprawdę są niezwykle. Jej, ale się cieszę, że cię dzisiaj spotkałem. Bałem się, że wśród tych wszystkich ludzi tutaj mogę cię już więcej nie spotkać, albo dopiero za parę miesięcy

- Ja też się z tego cieszę.
- Na początku myślałem, że ci się nie podobam.
- Wolałam być ostrożna.
- No więc, co sądzisz o tym, co ci proponowałem, żeby wynająć samochód w najbliższą niedzielę?

- Byłoby cudownie.

Wracali razem przez kampus; było już ciemno i prawie całkiem pusto, panował chłód wczesnej jesieni. Peter odprowadził ją do drzwi.

- Było wspaniale, Jennie. Wyjedźmy w niedzielę wcześnie, będziemy wtedy mieli cały dzień. Dobranoc.

- Dobranoc.

Nawet nie spróbował jej pocałować. Normalnie odczułaby to jako zniewagę, odrzucenie, nawet gdyby to był ktoś, z kim wcale nie miała ochoty się całować. Teraz czuła tylko, że to ciche „dobranoc” kryje w sobie coś poważnego. Pomyślała, że to dziwne i trudne do wytłumaczenia, nawet samej sobie.

Wybrali się więc do hrabstwa Lancaster, była to pierwsza z wielu ich wspólnych wycieczek. W zajeździe po drodze zjedli zapiekankę z warzywami, kruche ciasto z syropem i popili jabłecznikiem. Mijali bogate farmy, położone na pagórkach, pola oziminy i stada mlecznych krow o gęstej, zimowej sierści.

- Nie używają elektryczności ani maszyn, doją ręcznie - powiedział Peter.

- To znaczy, że można doić krowy za pomocą jakiegoś urządzenia?

- Oczywiście, tak się to teraz robi.

- Skąd wiesz tak dużo o zwierzętach i o farmach?

- Och, mamy dom na wsi. Spędzam tam masę czasu.

- Myślałam, że mieszkacie w mieście.

- Tak, ale mamy też drugi dom.

Kiedy minęła jesień i przyszła zima, zaczęli się spotykać codziennie, kiedy tylko mieli wolny czas. Chodzili do zoo, na lotnisko, nad morze. Siadywali na ławce przy Rittenhouse Square i rozmawiali godzinami. Pojechali pociągiem do Nowego Jorku i obejrzelili francuski film w Greenwich Village. Tam Peter kupił jej srebrną bransoletę.

- Jest za droga - protestowała Jennie. - Za dużo wydajesz, Peter.

- Wiesz co? - Roześmiał się. - Wróćmy jeszcze do tego sklepu.

- Poco?

- Po naszyjnik, który by pasował do tej bransoletki. Nie rób takiej przerażonej miny. Wszystko w porządku, mówiłem ci.

Popatrzyła mu w twarz w chwili, gdy zapinał jej na szyi srebrny łańcuszek. Jego uśmiech wyrażał uszcześliwienie.

Lubiła jego wesołe usposobienie. Wesołość była zaraźliwa, podobnie jak pesymizm jej matki, która ciągle się czymś martwiła. W domu odczuwała ciągle jakiś niesprecyzowany niepokój, nawet kiedy rozmowa obracała się wokół całkiem przyjem-

nych spraw. Żywiła wówczas niejasną obawę, że coś może się rozpaść, że nie ma żadnego oparcia. Tylko czego dotyczył ten lęk? Dobrze się czuła w towarzystwie osoby szczęśliwej. Szczęście czyni człowieka silnym.

Gdzieś w połowie drugiego miesiąca znajomości Peter pierwszy raz ją pocałował. Później przypominała sobie, że pierwszą myślą, jaka jej wtedy przyszła do głowy, było, że ten pocałunek, w odróżnieniu od wszystkich innych, rzeczywiście coś oznacza. Było późne, deszczowe popołudnie i na ulicy, prócz nich, nie było prawie nikogo. Trzymała parasolkę; kiedy Peter ją objął, upuściła ją na ziemię i zarzuciła mu rękę na szyję. Stali tak objęci przez dłuższy czas, nie zważając na deszcz.

W ciągu kolejnych kilku tygodni nastąpiły dalsze płomienne, niewinne uściski. Jednak stawali się coraz niespokojniejsi; gdy się przytulali, byli tak rozpaleni, że czuli nawzajem gorąco swych ciał nawet przez wiele warstw ubrania, które ich rozdzielało. Kiedy się rozstawali, Jennie miała wrażenie, że jej nerwy żyją własnym życiem, a kiedy już wdrapała się na górę do swego pokoju, czuła się jakby rozerwana i niekompletna. To nie wystarczy, myślała. To za mało.

- Dłużej tak być nie może - powiedział któregoś dnia Peter. - Musimy coś postanowić.

A kiedy Jennie nie odpowiadała, rzekł:

- Potrzebujemy siebie nawzajem, Jennie. Naprawdę. Czy ty to rozumiesz?

- Wiem. Rozumiem.

- A więc pozwolisz mi wszystko zaplanować?

- Tak, mam do ciebie zaufanie. I zawsze będę miała.

- Och Jennie, moja najdroższa.

Przez cały tydzień poprzedzający wielką przemianę, która miała nadejść, Jennie nie była w stanie myśleć o niczym innym. Do tej pory zawsze sypiała w pizamie, ale teraz poszła do sklepu i kupiła sobie różową nocną koszulę obszytą koronką. Nastroje miała zmienne. Chwilami była tak podniecona, aż dławiło ją w gardle. Kiedy indziej czytała wiersze albo łapała w radio jakąś wspaniałą muzykę, w której dźwięczały nuty triumfu, na przykład *IX Symfonię* Beethovena. Chciało jej się płakać, a za chwilę znowu śmiać. Weekend się zbliżał, do jej serca zakradł

się cień lęku. Bała się, że ten lęk jej nie opuści i uniemożliwi pełną radość.

Peter jednak był bardzo delikatny i Jennie nie miała się czego obawiać. Kiedy znaleźli się w motelu i zniknęli za sobą drzwi pokoju, Peter odwrócił się do niej z wyrazem takiej czułości i opiekuńczości, że cały dotychczasowy strach natychmiast gdzieś się ulotnił. Taktownie zgasił ostre górne światło, pozostawiając tylko małą lampkę w rogu pokoju. Rozebrał ją bez pośpiechu i bez śladu szorstkości, które Jennie znała z lektury i z opowieści innych.

- Nigdy nie sprawię ci bólu. Nigdy i w żaden sposób - wyszeptał.

A ona wiedziała, że to prawda. Nigdy świadomie nie skrzywdziłby nikogo. W twardej męskiej piersi biło czułe, wrażliwe serce. Oddała mu się radośnie i ochoczo.

Swej eleganckiej koszuli nocnej nie miała nawet okazji założyć. Rano wspólnie się z tego śmiali. Jeszcze raz rozejrzeli się po obcym, nieciekawym pokoju i to też przywiodło ich do śmiechu. Było tu przynajmniej ciepło i czysto, i to im wystarczało. Wiedzieli, że jeszcze tu wrócą.

Jaki wspaniały wydawał się teraz świat! Ślady łapek wróbla na śniegu, przypominające małe strzałki; piramidy czerwonych, lśniących jak jedwab jabłek; uśmiech nieznanego mężczyzny, który przepuścił ją w drzwiach - wszystko ją zachwycało.

Tylko czasami - trzeba przyznać, że rzadko - zastanawiała się, czy to możliwe, aby te cudowne odczucia mogły trwać jeszcze przez cztery lata. Takie myśli opanowywały ją zwykle przed zaśnięciem lub gdy popadała w rozmarzenie nad książkami. Cztery lata! Oznaczało to dla niej wieczność. I wtedy przenikał ją chłód.

- Nie opuszczaj mnie, Peter - powiedziała kiedyś głośno w ciemność.

A on któregoś dnia oświadczył poważnie:

- To już na zawsze, wiesz?

- Jesteśmy jeszcze za młodzi, żeby być pewni swoich decyzji - odpowiedziała, chcąc go wypróbować i oczekując, że zaprzeczy.

I zaprzeczył:

- Nie dalej niż dwa pokolenia wstecz zakładało się rodzinę,

mając szesnaście lat. W niektórych miejscach nadal tak jest. My to po prostu trochę odłożymy i tyle. Dojdziemy do tego odrobinę później, kiedy skończymy studia.

- To prawda.

Najlepiej zbyt dużo o tym nie myśleć. Szczęśliwe wydarzenia następują wtedy, kiedy nie myśli się o nich za wiele.

- W najbliższy weekend mam odwiedzić kogoś w Owings Mills - powiedział któregoś dnia. - To gdzieś w twoich okolicach, prawda?

- Niedaleko. Nigdy tam nie chodzimy.

- To starzy przyjaciele moich rodziców. Pan Frank studiował razem z moim tatą na Uniwersytecie Pensylwanii; ostatnio choruje, miał jakąś okropną operację szyi. Zaprosili mnie, i tata chce, żebym ich odwiedził.

- W takim razie, skoro wyjeżdżasz, to ja też wybiorę się na weekend do domu. Mama już jest zła, że tak długo u nich nie byłam. Chcesz zjeść z nami obiad przed wizytą u tych znajomych?

- Jasne. Pojadę pociągiem do Baltimore.

- Żeby do nas dojechać, będziesz musiał wziąć taksówkę. Mój ojciec nie jeździ samochodem w soboty.

- W porządku.

Jennie chciała dopilnować, żeby wszystko było rzeczywiście jak trzeba. Czasem, kiedy mama przez cały dzień pracowała w sklepie, nie miała już czasu ani siły na zajmowanie się domem. Ale dzisiaj była sobota i mama nakrywała do stołu w jadalni.

- Ach, mam dla ciebie małą robótkę, kochanie. Proszę, wyjmij z szuflady srebrne nakrycia i dobrze je wyczyść, a ja przez ten czas skończę robić faszerowaną kapustę. Mam nadzieję, że będzie mu to smakowało.

- On nie jest wybredny, jeśli idzie o jedzenie. Nie musisz się tak przejmować.

- Najwyraźniej traktujesz go poważnie, Janinę. Jeszcze nigdy nie zapraszałaś chłopca do domu na kolację.

Wolałaby, żeby matka przestała mówić o nim „chłopiec”. Peter był mężczyzną. Odpowiedziała jednak cicho:

- Mamo, proszę cię, nie wyciągaj wniosków zbyt szybko. Będę się czuła niezręcznie.

Może to był błąd, że go zaprosiła. Ale byłoby jeszcze niezręcznie, gdyby go nie zaprosiła, skoro i tak miał być w tej okolicy.

- Nie bój się, ja to rozumiem. Bądź na luzie, tak się teraz mówi, prawda? No idź już, umyj te srebra, dobrze? - Matka wzięła widelec i zważyła go w dłoni. - To dobre srebro, najlepszej próby. Równie trwałe jak funt szterling. Połóż w zlewie ręcznik, żeby nic się nie porysowało.

Przez okno nad zlewem można było zajrzeć prosto do kuchni państwa Daniela, ponad betonowym murkiem, który oddzielał oba podwórka. Latem, kiedy było za gorąco, żeby jeść w mieszkaniu, wszyscy wystawiali stoły na ganki na tyłach domów. W powietrzu unosiła się wtedy przenikliwa woń sosu, który zawsze perkotał na kuchni państwa Daniela.

- Tak, tam gdzie pracowałam, zrobili składkę i podarowali mi ten serwis jako prezent ślubny. To był wzruszający gest, pamiętam, że aż się popłakałam...

Tata, zaciekawiony przygotowaniami, zajrzał do kuchni i zapytał:

- Dlaczego on nazywa cię Jennie?

- Wszyscy tak na mnie mówią.

Mama, która w tym momencie energicznie siekała cebulę, włączyła się do rozmowy.

- Dlaczego mu na to pozwalasz? Ty masz na imię Janinę, to takie piękne imię.

- Nie pasuje do nazwiska Rakowsky.

- Sam, ty to słyszysz? Więc to nazwisko Rakowsky jej się nie podoba. Szczęście, że nie słyszy tego twój dziadek - niech spoczywa w pokoju. On był dumny, że się tak nazywa, był bohaterem. Wtedy wybuchł pożar, pamiętasz...

- Mamo, wiem, jak to było z dziadkiem - Jennie mówiła z przejęciem.

- Ile razy będziesz to opowiadać?

- No więc zmienisz sobie nazwisko - powiedziała mama wesoło. - Wybierzesz sobie mężczyznę, który się ładnie nazywa.

Jennie przeszła do jadalni, gdzie z krzeseł usunięto plastikowe pokrowce, a na stole, przykrytym świątecznym obrusem, stały najlepsze talerze.

Słyszała, jak jej ojciec mówił:

- Mendes. Co to za nazwisko? Mendel, to wiem, że jest popularne, ale Mendes...

- Hiszpańskie albo portugalskie.

- Hiszpańskie! No tak, Żydzi są wszędzie. Czytałem gdzieś, że nawet w Chinach. Tak, nawet w Chinach.

Wszystko poszło dobrze, więc Jennie nie musiała się martwić. Peter przyszedł z bukietem żonkili; wstawiła je do niskiego wazonu i umieściła pośrodku stołu. Zdumiewające, jak kilka kwiatów może przeobrazić cały pokój. Obiad, który przygotowała mama, był znakomity, a ona sama równie rozmowna jak zwykle, lecz powstrzymała się od bardziej osobistych uwag. Tylko przy podawaniu na stół keczupu pozwoliła sobie na mały żarcik, stwierdzając, że jej mąż niedługo będzie nim pewnie polewał nawet lody.

Ojciec mówił znacznie więcej, niż mu się to na ogół zdarzało. Zarówno on, jak i Peter byli entuzjastami baseballu. Ku zdumieniu Jennie jej ojciec wiele wiedział na temat drużyny Orioli i bardzo się nimi interesował. Możliwe, że mieszkając razem z dwiema kobietami, nie czuł potrzeby, by o tym rozmawiać.

Jennie zauważyła, że spodobał mu się Peter.

- Słyszałem od Janinę, że nazywają cię Konus.

- Ona tak na mnie nie mówi, ale inni owszem.

- Gdybyś był jeszcze trochę wyższy, nie zmieściłbyś się u nas w drzwiach - powiedział tata. - Słyszałeś ten kawał o krasnalu i jego bracie? - Po czym w jidisz zaczął opowiadać dowcip.

Kiedy okazało się, że Peter nic z tego nie zrozumiał, Jennie najlepiej jak mogła wytłumaczyła mu, o co chodzi. Tata był zdumiony.

- To ty nie znasz jidisz?

- Przykro mi, nigdy się go nie uczyłem.

- Nie uczyłeś się! Tego nie trzeba się uczyć, to się po prostu umie.

Twoja rodzina pochodzi stamtąd, prawda?

- Z Europy, ale to już dawne czasy.

- Twój dziadek tu przyjechał?

- Nie, jeszcze wcześniej.

- Jak dawno?

Jennie miała nadzieję, iż Peter zrozumie, że tata jest tylko zaciekawiony, nie zaś niegrzeczny.

- W XVIII wieku przybyli z Ameryki Południowej do Savannah. Przedtem mieszkali w Holandii.

- Dwieście lat w tym kraju?

Tata potrząsnął głową ze zdumieniem. Może przypuszczał, że Peter sam nie wie, co mówi.

Kiedy wyczerpały się dowcipy - teraz już po angielsku - rozmowa nieuchronnie zaczęła się obracać wokół polityki. Wszyscy byli przejęci i rozgniewani sprawą wojny w Wietnamie i rolą, jaką odgrywali w niej Amerykanie; zgadzali się co do tego, że jest to złe i zarazem bezsensowne. Podczas gdy rozmawiali, mama pilnowała, aby Peter nie miał pustego talerza. Potem na stole pojawił się placek z jabłkami i woń cynamonu mieszała się ze słodkim zapachem żonkili. Peter jadł i rozmawiał z ożywieniem; Jennie widziała, że dobrze się czuł u nich w domu. Bardzo się z tego cieszyła.

Oczywiście, gdyby rodzice wiedzieli, jak to naprawdę jest z nią i z Peterem, wszystko wyglądałoby inaczej... Ale teraz były inne czasy. Mama i tatuś za mało bywali w szerszym świecie, aby uświadomić sobie, jak wiele się w rzeczywistości zmieniło. Wiedzieli to, co wyczytali w gazetach, a zachowania, które ich szokowały, uważali za sporadyczne.

I tak mijał wieczór, aż w pewnej chwili Peter powiedział, że o dziewiątej ktoś ma po niego przyjechać, by go zabrać do Owings Mills.

- Szkoda, że nie możesz zostać na noc - powiedziała mama. - Do frontowego pokoju możemy wstawić kozetkę, jest bardzo wygodna.

- Dziękuję, chętnie bym został, ale tam na mnie czekają.

Znajomy Petera przyjechał po niego furgonetką. Kiedy otworzył przednie drzwi, rozległo się szczekanie, a w głębi auta widać było głowy trzech terierów. Peter wyjrzał i dał znak, że już wychodzi.

- Powiedz swojemu znajomemu, żeby wszedł do środka i wypił z nami kawę - namawiał tatuś. - Zostało też masę ciasta.

- To raczej niemożliwe ze względu na psy. Nawet na minutę nie zostawi ich samych w samochodzie. To bardzo rzadka rasa, teriery tybetańskie, biorą udział w wystawach. U nich w domu jest specjalna ściana zawieszona błękitnymi wstęgami - wyjaśnił Peter.

Potem podziękował państwu Rakowsky, uważał, by nie nazbyt czule pożegnać się z Jennie i wyszedł.

Tatuś z mamą przyglądali się odjeżdżającej furgonetce.

- Błękitne wstęgi - mruknął tata. - O czym on mówił? Ale to miły chłopak, nie ma co. Bardzo miły, Janinę, mimo że nazywa cię Jennie.

Peter powiedział jej potem:

- Podobali mi się twoi rodzice, to dobrzy ludzie.

- Cieszę się. Ty też im się podobałaś.

- Mam nadzieję, że i tobie spodoba się moja rodzina. Pojedziesz tam ze mną na kilka dni w czasie ferii wiosennych? Jeśli chcesz, to poproszę mamę, żeby w przyszłym tygodniu zaprosiła cię listownie.

Nigdy nie opowiadał zbyt wiele o swojej rodzinie, Jennie wiedziała tylko, że ma czternastoletnią siostrę. Jego ojciec był jakimś przedsiębiorcą; domyślała się, że chodziło o bankowość. Wyobrażała sobie obszerny, biały dom z kortem tenisowym. Takie domy widywało się podczas niedzielnych przejażdżek po dzielnicach podmiejskich.

- Chce, żeby jego rodzice cię poznali, a jeśli im się spodobasz, bo niby dlaczego miałyby być inaczej? - rozważała na głos mama - wtedy on przyjdzie do twojego ojca z pytaniem, czy może cię poślubić.

- Mamo! Jest rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty. Nikt już nie pyta ojców o pozwolenie, kiedy chce się ożenić. A poza tym, na litość boską, żadne z nas nie dojrzało do małżeństwa. Jesteśmy jeszcze za młodzi.

- Przecież możecie poczekać rok czy dwa. Ja miałam dziewiętnaście lat, kiedy wyszłam za mąż - odparła z przekonaniem mama.

Na lotnisku w Atlancie czekał na nich długi, granatowy samochód z czarnoskórym szoferem w granatowym uniformie. Jennie sądziła, że to pewnie wynajęta limuzyna, a ponieważ nigdy nie jechała tak luksusowym samochodem, zrobiło to na niej wielkie wrażenie.

Wtedy jednak czarnoskóry mężczyzna powiedział:

- Dobrze, że pan przyjechał, - panie Peter. Dawno nie był pan w domu.
- Jak się wszyscy mają, Spencer? Mama? Ojciec? Ciotka Lee?
- Wszyscy mają się dobrze, a pańska ciotka Lee wciąż jest prawdziwym skarbem. Bo tak przecież się na nią mówi, prawda?
- Tak, to właśnie ona, prawdziwy skarb.

A więc to był ich samochód i ich szofer! Jennie wygładziła na sobie spódnicę. Raz po raz poprawiała ubranie z porządnej, szarej wełny, które uszył jej tata.

- Ręcznie uszyte - zachwyciła się mama. - Czy ty wiesz, ile by to kosztowało w sklepie? Twój ojciec ma naprawdę złote ręce. Potrzebna ci do tego jeszcze żółta bluzka i czarne lakierki i wszędzie będziesz się mogła pokazać.

Peter przykrył jej dłoń swoją.

- Masz tremę - zauważył.

Dostrzegał wszystko i wszystko wyczuwał, jak gdyby ich nerwy tworzyły wspólny system.

- Tak. Czy wyglądam jak trzeba?

- Wyglądasz pięknie.

Nie mogła mu przecież powiedzieć: To przez ten samochód. Ta jazda coś we mnie zmieniła. Boję się.

Na podłodze leżała zapomniana przez kogoś parasolka, kraciasta, firmy Burberry. Jedna z koleżanek w college'u miała podobną i odpowiedni płaszcz deszczowy. Mama mówiła, że musiało to kosztować majątek.

Z autostrady skręcili do miasta, a potem wyjechali na szeroką szosę, wysadzaną starymi drzewami. Potem pojawiły się trawniki, żywopłoty i ogrodzenia. Domy stały w pewnym oddaleniu od szosy, prowadziły do nich długie aleje wjazdowe. Przez okno wpadało łagodne powietrze, zupełnie inne niż w domu, i chłodziło rozpalone policzki Jennie.

- Jennie, moi rodzice cię nie zjedzą, to nie wilkołaki. Rodzice Petera. To absolutna głupota z jej strony, że tak się czuje. I co z tego, że mają samochód i szofera? Co z tego?

Samochód zwolnił, skręcił w długą aleję i pod sklepieniem z różowo ukwieconych gałęzi wjeżdżał nieco pod górę.

- To derenie. Atlanta słynie z dereni - wyjaśnił Peter. Samochód wjechał na górę, okrążył gigantyczny okrągły klomb szkarłatnych tulipanów i zatrzymał się. Jennie przyszło

do głowy, że może wstąpił tu, aby zabrać po drodze kogoś z lokalnego klubu czy jakiejś prywatnej szkoły. Białe kolumny, wysokie na dwa piętra, lśniły bielą na tle ściany z czerwonej cegły. Po szerokich schodach wchodziło się na werandę. Widok ten przypominał Jenny *Przeminęło z wiatrem*, a może Partenon. Kiedy zobaczyła osoby stojące w białym wejściu, pojęła, że to jest właśnie dom Petera.

Musiała się odezwać. Zdołała wydusić z siebie tylko trywialną uwagę.

- Ach, cóż za piękne tulipany!

Peter wysiadł już z samochodu i właśnie wbiegał po schodach. Szofer pomógł Jennie wysiąść i wziął jej walizkę. Weszła więc także na werandę, a tam serdecznym gestem witał ją już Peter.

- Mamo, tato, to moja koleżanka, Jennie Rakowsky. Jennie wyciągnęła rękę do kobiety, której obraz rozmywał jej się przed oczami. Widziała tylko niewyraźną symetryczną postać o bladej cerze i o bystrym, ciekawym spojrzeniu.

- Jak się masz, Jennie? Zawsze cieszymy się, kiedy Peter przywozi ze sobą kogoś ze swych przyjaciół - powiedziała matka Petera.

Ojciec Petera był potężnym, siwym mężczyzną; przypominał senatorów i generałów, jakich widuje się w telewizyjnych wiadomościach. Pod wysokimi kolumnami i wśród tych wysokich ludzi Jennie poczuła się nagle bardzo malutka.

Z werandy wchodziło się do przestronnego, wysokiego na dwie kondygnacje holu. Na złocistym sznurze wisiał tam kryształowy żyrandol, a kręte schody z dwóch stron prowadziły na górę, łącząc się na podeście. Przez okno nad podestem wpadało dużo światła.

- A to jest Sally June - powiedział Peter.

Po schodach, wymachując rakieta, schodziła właśnie młoda dziewczyna w stroju do tenisa. Miała piegi i była ruda, tak samo jak jej brat.

- Cześć - rzuciła bez uśmiechu i minąwszy ich, wyszła na dwór.

Nawet brata nie uściskasz? Poza tym, jak kogoś witasz, to należałoby się uśmiechnąć, pomyślała Jennie, której uśmiech pozostał nieodwzajemniony. Zrobiło jej się głupio.

- Pozwól, że zaprowadzę cię do twego pokoju - powiedziała pani Mendes.

Jennie ruszyła za nią po schodach; przyjemnie się wchodziło po takich szerokich i niskich stopniach. Natomiast proste szczupłe plecy idącej przed nią kobiety napępiały ją jakimś lękiem. Przypomniała jej się wicedyrektorka ze szkoły średniej, groźna, zasadnicza osoba o siwiejących włosach związanych w kok, która poruszała się w podobny sposób.

Weszły do pokoju na końcu szerokiego korytarza.

- Obiad będzie za pół godziny - rzekła pani Mendes. - Nie zawracaj sobie głowy przebieraniem, jesteś po podróży. Po prostu rozgość się tu i zjedź do nas na dół, kiedy będziesz gotowa. Wypijemy drinka w bibliotece. Aha, gdybyś czegoś potrzebowała, po prostu zadzwoń. Trzeba nacisnąć guzik obok wyłącznika.

Będę uważać, żeby go niechcący nie nacisnąć, pomyślała Jennie, a głośno powiedziała:

- Dziękuję. Bardzo pani dziękuję, pani Mendes.

Pani Mendes wyszła, a drzwi zamknęły się za nią z lekkim pyknięciem i w pokoju zaległa cisza. Jennie stała pośrodku, rozglądając się dookoła. Mahoniowe łóżce z baldachimem przykryto gołębioszarą narzutą w zielone liście i miniaturowe cytrynki. Story były z tego samego materiału, teraz odsłonięte i udrapo-wane. Na podłodze rozpościerał się szary jak morze dywan, na którym stały pękate biało-żółte krzesła, dwie ciemne, lśniące drewniane komody i okrągły stół, a na nim bukiet czerwonych tulipanów, takich, jakie widziała na klombie przed domem.

Przebierać się. Nie zawracaj sobie głowy przebieraniem. Tylko w co niby miałyby się przebrać? Myślałam, że ten kostium będzie odpowiedni do kolacji... do obiadu. No i mam jeszcze granatową jedwabną sukienkę, na wypadek gdybyśmy jutro szli do kina czy gdzie indziej... Przerwała swe rozmyślenia i podeszła do okna. Weszło jej już w nawyk, że w nowym miejscu zawsze najpierw podchodziła do okna i przyglądała się okolicy. Jej pokój miał okna od frontu. Po lewej stronie widać było róg trawnika, natomiast żadnego innego domu jak okiem sięgnąć; nic tylko gęste drzewa i soczysta, zielona trawa. Panował głęboki spokój późnego popołudnia. Wewnątrz domu także trwał niezmacony spokój. U Jennie

w domu zawsze było coś słyhać: z sąsiedniego podwórka dobiegały czyjeś głosy, ulicą przejeżdżały ciężarówki, ktoś splukiwał toaletę, ktoś stukał butami, wchodząc po gołych schodach. Wykładzina za szybko się niszczy - uważała mama.

Teraz Jennie otworzyła drzwi na korytarz i spojrzała na stojący zegar. Nie, przypomniała sobie, że powinno się mówić „zegar szafkowy”. Musiała gdzieś to przeczytać, może w którymś numerze „Domu i Ogrodu”, które przeglądała czasem u fryzjera, gdzie wpadała, żeby przyciąć włosy. Wygląda na to, że mimo woli gromadzę jakieś przypadkowe, zbędne informacje, pomyślała. Bang! Bang! - wybił zegar. Zejdź na dół, kiedy będziesz gotowa. Może lepiej umyć już ręce i iść.

Pokój miał oddzielną łazienkę, wyłożoną bladożółtymi kafelkami. Ręczniki były grube i białe, oznaczone żółtymi monogramami. Taki sam monogram Jennie widziała już na papierze listowym pani Mendes: było tam duże M, z jednej strony splecione z małym c, z drugiej zaś z małym d. C od Caroline, M od Mendes, a d musiało być pierwszą literą jej panińskiego nazwiska. Tak się tworzy monogramy. Następna bezużyteczna informacja, która się do mnie przyczepiła jak mucha do lepu, pomyślała Jennie i roześmiała się. Poczula się jednak głupio. Więc kiedy... jeśli... się pobiorą, zostanie panią Janiną Rakowsky Mendes? Po co jej monogramy! Mama kupuje ręczniki u Sear-sa, kiedy stare się zużyją, i to zupełnie wystarcza.

Przeczesała grzebieniem włosy. Były ładne, mocne i kręcone; łatwe w pielęgnacji, co oszczędzało jej kłopotów i wydatków związanych z fryzurą. Nowy grzebień przygotowany dla niej leżał na toalecie. Na nocnym stoliku zobaczyła karafkę wody z lodem oraz czasopisma, „Miasto i Wieś” i „Vogue”. Gdyby gościem był mężczyzna, pewnie czekałyby tu na niego „Time” i „Newsweek”.

Peter, nie przypuszczałam, że możesz tak mieszkać. Nic mi nie mówiłeś. Ale właściwie dlaczego miałbyś mówić. I jak?

„Jennie, jesteśmy bardzo bogaci, mieszkamy we dworze”?

Ale ze mnie idiotka! Policzki tak mi płoną, że wyglądam, jakbym miała gorączkę.

Wyszła z pokoju, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi. Po drugiej stronie korytarza, przez otwarte drzwi, zobaczyła inną sypialnię. Ta utrzymana była w tonacji ciemnego błękitu. Na

piętrze znajdowało się co najmniej osiem sypialni. Drzwi od wszystkich były otwarte, więc wyglądało na to, że wychodząc, nie należy ich zamykać. Wróciła więc, żeby otworzyć swoje, po czym zeszła na dół, w poszukiwaniu biblioteki. Najpierw trafiła do dużego pokoju, gdzie było łukowate okno i wysokie szafy, po sufit wypełnione książkami. Zastanawiała się, czy te książki oznaczają, że jest już w bibliotece, nikogo tu jednak nie było. Wtedy usłyszała czyjś głos:

- Tędy, panienko.

Był to ten sam czarnoskóry mężczyzna, który ich tutaj przywiózł. Teraz miał na sobie białą marynarkę i trzymał w rękach srebrną tacę. Prowadził ją przez szereg pokoi, po jasno zielonym dywanie, po wschodnich kobiercach, a raz po dywanie w białe i jasnobrzoskwiniowe kwiaty. Wszyscy zgromadzeni byli w długim, wyłożonym boazerią pokoju z drugiej strony domu. Pod ścianami stały półki z książkami. Były tu krzesła obite skórą, modele statków, a na ścianie nad kominkiem wisiał olejny portret mężczyzny w szarym mundurze. Wszystko to Jennie dostrzegła kątem oka, wchodząc do pokoju.

Panowie wstali i dokonano prezentacji. Byli tu: Peter, jego ojciec i dziadek, a także wuj. Pani Mendes i ciotka Petera zrobiły dla Jennie miejsce na sofie, przed którą, na niskim stoliku, czarnoskóry mężczyzna postawił srebrną tacę z butelkami, kieliszkami i szklankami. Peter podał Jennie szklankę.

- Nie zapytałeś, co twój gość będzie pił - upomniała go matka.

- Ja zawsze wiem, na co Jennie ma ochotę. Ona napije się piwa imbirowego.

Jennie popijała małymi łyчками, podczas gdy mężczyźni podjęli prowadzoną wcześniej rozmowę. Pamiętała, że nogi ma trzymać przyzwoicie skrzyżowane. I obciągnij spódnice, pamiętaj, pouczała ją mama. Musisz uważać, ona się podciągnie, jak założysz nogę na nogę. Mama знаła się na takich sprawach. Jennie uśmiechnęła się w duchu. Czasami, choć nie zawsze, opłacało się słuchać mamy.

- U państwa w ogrodzie pewnie nie ma jeszcze kwiatów? -zapytała pani Mendes. - Podobno tam na północy wegetacja jest co najmniej o miesiąc spóźniona w stosunku do tego, co tutaj.

„U państwa w ogrodzie”. Jennie nie miała odwagi spojrzeć na Petera.

- Ach, nie, u nas jest jeszcze zupełnie zimno.

- Jak to miło, kiedy dom pełen jest młodych ludzi - wtrąciła się ciotka. Wyglądała jak sklonowana matka Petera, z dokładnością do jedwabnej sukienki i klipsów z kości słoniowej. - Podobno do Sally June też ktoś przyjechał na weekend.

- Tak, Annie Ruth Marsh z Savannah.

- Ach, córka Marshów! Jak miło! A więc dziewczynki się przyjaźnią?

- Tak, poznaliśmy je ze sobą ubiegłego lata na plaży, nie wiedziałaś o tym?

- Nie wiedziałam, ale to świetnie. Przyjaźń, która trwa przez tyle pokoleń.

Jennie tymczasem obserwowała otoczenie, przypominając sobie zarazem, co czytała w fascynującej książce *Socjologia 101*. Był tam specjalny rozdział o tym, jak charakter i wystrój domów związany jest z pochodzeniem ich właścicieli. Wydaje się, że niektórzy Anglosasi lubią otaczać się antykami, nawet jeżeli nie są to ich pamiątki rodzinne; chętnie bowiem stwarzają wrażenie, że przedmioty te są w rodzinie od pokoleń. W ten sposób starają się dowieść, że nie są nowymi imigrantami. Z kolei niektórzy Żydzi wybierają nowoczesność, aby dowieść, że oni właśnie są nowymi imigrantami i proszę, ile już osiągnęli! Jej gospodarze byli Żydami o równie długiej „tradycji rodzinnej”, jak każda dobra rodzina anglosaska. Wszystko to było takie głupie... To zresztą nie jej sprawa. Podobał jej się ten pokój i to, że było w nim tyle wspaniałych książek.

- Widzę, że przyglądasz się portretowi - zwróciła się do niej nagle pani Mendes.

Jennie wcale nie patrzyła na obraz, teraz jednak zwróciła uwagę, że mężczyzna ubrany był w mundur Konfederacji, poza tym miał bokobrody, a w ręce trzymał szablę.

- To prapradziadek Petera ze strony ojca. Był majorem, został ranny pod Antietam. Jednak - wypowiedziała to już z lekkim śmieszkiem - wyzdrowiał i został ojcem rodziny, inaczej by nas tu teraz nie było.

- Cóż, wypijmy więc za niego. - Dziadek zawtórował jej stłumionym chichotem. Wstał, wznosił kieliszek i skłonił się

przed portretem. - Zdrowie, majorze. Był moim dziadkiem i ja go jeszcze pamiętam. Jestem już jedyną osobą, która go pamięta. Powiadam ci, miałem pięć lat, kiedy umarł, i uczciwie mówiąc, pamiętam jedynie to, że hodował pszczoły. O, jest nasza Sally June.

Razem z nią weszła do pokoju druga dziewczyna ubrana w biały strój do tenisa.

- Annie Ruth Marsh, Jennie Rakowsky. Bardzo ci dziękuję za ciasto, kochanie - powiedziała pani Mendes. - Annie Ruth pamiętała, jak nam wszystkim smakowało to ciasto z owocami, które piecze ich kucharka.

- Mama sądziła, że o tej porze roku będzie to dobry prezent - odparła Annie Ruth. - Można je nasączać brandy przez całe lato i na święta będzie jak znalazł.

Prezent. A więc należało przywieźć ze sobą jakiś prezent? Dlaczego Peter nic jej nie powiedział? Powinien był ją uprzedzić. Ale jak niby miał powiedzieć: Słuchaj Jennie, powinnaś coś im zawieźć?

Panował tu chłód, chłód i obcość. Poczwała ulgę, kiedy poproszono ich do stołu. Przynajmniej wszyscy zajmą się jedzeniem, nie będzie trzeba przez cały czas rozmawiać.

Stół lśnił jak czarne szkło. Na płóciennych serwetkach spoczywały zestawy błyszczących przedmiotów: nakrycia z błękitnej porcelany, srebra i kryształy. W pamięci Jennie na moment pojawił się obraz matki podającej na stół butelkę z keczupem... Do stołu podawał ten sam czarnoskóry mężczyzna, Spencer; miał teraz na sobie białą marynarkę. Rozmowa przy stole przebiegała swobodnie i brali w niej udział głównie mężczyźni. Dotyczyła wyborów lokalnych, golfa i rodzinnych plotek. Jedzenie miało delikatny, wyrafinowany smak. Menu obejmowało zupę, jak się okazało żółtą, co nikogo z obecnych nie dziwiło, pieczeń baranią przyprawioną rozmarynem i buraczki pokrojone tak wymyślnie, że przypominały pączki róży. Jennie jadła powoli i czuła się przy tym jak widz, obserwujący własne zachowanie przy stole.

W pewnym momencie w sposób nieunikniony wypłynął temat Wietnamu, sprawozdanie z wczorajszych walk i liczba ofiar. Dziadek podniósł głos.

- Chodzi o to, że raz na zawsze powinniśmy przestać się

czaić. Trzeba się wreszcie ruszyć i doszczętnie zbombardować Hanoi
A ojciec Petera dodał:

- Staliśmy się pośmiewiskiem całego świata. Kto to widział, żeby taka potęga jak my pozwałała sobą poniewierać, jak - tu z oburzeniem powiódł wzrokiem po wszystkich obecnych przy stole - no, sam już nie wiem jak co. Ci młodzi ludzie, którzy urządzają marsze, ta cała protestująca gawiedź! Gdyby któryś z moich synów coś takiego robił... Wierzcie mi, jeżeli ta wojna będzie jeszcze trwała, kiedy Peter skończy college - a mam nadzieję, że do tej pory zdążymy dać im w skórę - no więc, gdyby mimo wszystko jeszcze trwała, to będę oczekiwał, że mój syn zachowa się po męsku, założy mundur i wypełni swój obowiązek. Prawda, Peter?

Peter przełknął to, co miał w ustach. Omijając wzrokiem Jennie, spojrzał na ojca, który siedział za karafką z winem.

- Prawda - potwierdził.

Jennie czuła, że wyraz zdumienia wypisany ma na twarzy, zrobiła więc minę obojętną, lecz przez cały czas myślała: Ale przecież ilekroć o tym rozmawialiśmy, mówiłeś mi, no sam mówiłeś, że nigdy, ale to nigdy nie pójdziesz; że to jest niemoralna, bezsensowna wojna. Sam to wszystko mówiłeś, Peter!

- A większość twoich kolegów? Co oni o tym myślą, Peter? - zapytał dziadek.

- Ach, nie rozmawiamy zbyt dużo na ten temat.

Nie rozmawiamy zbyt dużo na ten temat! Przecież właśnie o tym wszyscy rozmawiali najwięcej - na zajęciach, po zajęciach, w kawiarniach, do późnej nocy. Można by nawet uznać, że właściwie nie rozmawiali o niczym innym!

- Ale przecież muszą chyba mieć jakieś zdanie - dziadek nie dawał się zbyć.

Peter zaczerwienił się i odpowiedział:

- No cóż, oczywiście, jedni myślą tak, drudzy inaczej.

- Mam nadzieję, że ty śmiało i po męsku głosisz swoje poglądy i występujesz w obronie swego prezydenta, nie tak jak ci płaczący tchórze. Nie powinienesz im pozwalać na wygłaszanie tych ich defetystycznych bredni. To szkodzi krajowi. Naprawdę, szczerze ufam, że nie siedzisz cicho i nie dajesz im się przegadać, Peter.

- Nie, dziadku - odpowiedział Peter. Tu wtrącała się pani Mendes.

- No, może dość już polityki! Porozmawiajmy o weselszych sprawach, na przykład o jutrzejszym przyjęciu urodzinowym Cindy. Cindy to kuzynka moich dzieci, właściwie siostra cioteczno cioteczna, która kończy dwadzieścia jeden lat i z tej okazji urządzą u siebie mały bal. - Te wyjaśnienia skierowane były do Jennie. - Mam nadzieję, że nie będzie padało, bo tańce mają się odbywać na dworze. Na pewno będzie cudownie.

Mały bal., o tym też mi nie powiedział. Może sam nie wiedział. Nie mam w co się ubrać, myślała Jennie. Jeszcze nigdy nie czuła się tak obco.

Rozmowa przy stole toczyła się nadal.

- Słyszeliście, co podarowała jej ciotka Lee?

- Nie, co? - zapytał wuj.

- Konia! - odpowiedziała pani Mendes. - rebaka, jeśli idzie o ścisłość. Poznałaś naszą ciotkę Lee, to ta, która ma końską farmę - zwróciła się do Annie Ruth.

- Ale to jest dziwaczka! Prawdziwy szkielet w szafie -stwierdziła Sally June.

- Sally June, jak możesz powiedzieć coś tak strasznego!

- Ale to prawda, może nie?

- Nie wiem, co masz na myśli - odparła sztywno pani Mendes.

- Mamo! Bardzo dobrze wiesz, o co mi chodzi. - Sally June zachichotała.

- Moja siostra zawsze była trzpiotką - rzekła pani Mendes, prawdopodobnie pod adresem Jennie, osoby wśród nich nowej.

- Trzpiotką! - Dziewczynka nie ustępowała. - Ona ma już ponad pięćdziesiątkę. Wszyscy wiedzą, że jest...

- Wystarczy - przerwała pani Mendes i ostro powtórzyła: -Powiedziałam, wystarczy!

W ciszy, jaka zapadła, słychać było stuknięcia sztućców o porcelanę. Sally June zwiesiła głowę i oblała się rumieńcem aż po szyję. Wyglądała na przestraszoną.

Ciszę przerwał Peter.

- Skoro już mowa o koniach, przypomniało mi się, że w tamten weekend, kiedy byłem w Owings Mills, widziałem

Ralpa jadącego konno. Minęliśmy go samochodem. Nie wiedziałem, że jest teraz w Georgetown.

Z jakim wdziękiem Peter potrafił przejść od poprzedniego tematu do następnego. Był oczywiście świadom napiętej atmosfery, jaka panowała w pokoju, ale mówił dalej:

- Być może zajmie się dyplomacją, jak jego brat.

- I zostanie zabity tak jak jego brat - powiedziała ciotka i uprzejmie wyjaśniła Jennie. - Chodzi o starych przyjaciół naszej rodziny. Ich syn został zamordowany podczas zamieszek w Pakistanie.

- To już pewnie z piętnaście lat, a jego matka wciąż jest w żałobie - rzekła pani Mendes. - To śmieszne. - Mówiła szorstko, zwracając się do wszystkich. - Nie mam cierpliwości do osób, które nie potrafią spojrzeć prawdzie w oczy

- To była straszna śmierć - łagodnie przypomniał jej Peter.

- Mimo to powinna wziąć się w garść - odpowiedziała jego matka. - Inni są do tego zdolni i dają sobie z tym radę. - Nieoczekiwanie zwróciła się do Jennie: - Peter mówił nam, że twój ojciec był w obozie koncentracyjnym w Europie.

A więc opowiadał już o niej w domu. Odpowiedziała więc:

- Tak. Był wtedy młody i silny, należał do tych nielicznych, którzy zdołali przeżyć.

- A czym się teraz zajmuje? Widocznie tego Peter im nie powiedział.

- Jest właścicielem sklepu spożywczego.

Przez moment oczy tamtej kobiety rozjarzyły się i coś w nich zamigotało.

- No, cóż. Dobrze, że zdołał wyjść z tego cało. Nie poddał się i przeżył.

- Tak - rzekła Jennie.

Przeżył. Tylko te jego koszmary i okresy zupełnego milczenia. I już po raz drugi tego dnia stwierdziła, że wpatruje się w mankiet swego żakietu, uszytego z wprawą, która sprawiła, że jej ojciec pozostał przy życiu, z wprawą, o której nie chciał pamiętać.

Zerknęła na panią Mendes, mówiącą już o czymś innym. Nie ma pani serca, powiedziała do niej w duchu.

Służący właśnie umieścił przed nią talerz, na którym leżała serwetka, a na niej stała miseczka z lodami. Po jednej stronie

miseczki leżała łyżka, po drugiej zaś narzędzie, jakiego Jennie jeszcze nigdy nie widziała. Wyglądało to na skrzyżowanie łyżki z widelcem. Wahala się, nie wiedząc, którego użyć, ale wtedy właśnie służący z nieprzenikną miną, niby mimochodem, wskazał palcem na dziwne narzędzie. W jednej chwili Jennie przypomniała sobie, że słyszała kiedyś o czymś takim jak wi-delczyk do lodów i pojęła, że to na pewno właśnie to. Miała ochotę podziękować temu człowiekowi i postanowiła, że zrobi to, kiedy tylko nadarzy się okazja. On dostrzegł jej zakłopotanie. Pomyślała, że wie o niej więcej, niż ktokolwiek inny w tym pokoju, poza Peterem. Nie podobało jej się tutaj, atmosfera była zimniejsza niż te lody.

A jednak lody nie przypominały żadnych innych, jakie dotąd jadła. Miały w sobie odrobinę miodu i chyba jakiegoś likieru. Jadła je powoli, rozkoszując się tym, że są takie gładkie, jak gdyby była dzieckiem, które dostało lizaka.

Po obiedzie Peter oprowadził ją po posiadłości. Za kortem tenisowym znajdował się wielki owalny basen, wyglądający jak naturalny staw. Wychodziły nań okna ładnego, małego domku w stylu rustykalnym. Na wspaniale utrzymanym trawniku tu i tam stały grupki różowych krzesełek i stolików z lanego żelaza pod kwiecistymi parasolami. Peter zapalił lampy, tak że w półmroku basen zaśnił turkusowo. Jennie stała całkiem nieruchomo, wpatrując się w ten blask i ponad nim w ciemne zarośla i czarne sylwetki drzew w oddali. Cisza aż dźwięczała w uszach.

- Nie wiedziałam, że żyjesz w ten sposób - odezwała się w końcu. - Nie wiem, jak się mam czuć i co o tym myśleć.

- Nic nie myśl. Co za różnica, jak żyję? No powiedz.

- Może masz rację.

- Czy to ważne?

Stał tak blisko, że czuła, czy może tylko wydawało jej się, że czuje ciepło jego ciała, które kochała. Oczywiście, że to nie było ważne, ważny był tylko Peter, a nie jego stan posiadania. A jednak było coś...

- Zgodziłeś się z nimi w sprawie Wietnamu.

- Właściwie nie. Ja tylko nie zaprotestowałem.

- To jest to samo.

- Nie. Pomyśl nad tym.

- Właśnie myślę.

- No cóż, zależało mi na tym, żeby był spokój, ja nienawidzę kłótni. Jaki sens miałyby rozpoczynanie kolejnej długiej dyskusji, która i tak zakończyłaby się niczym? Wszyscy pozostaliby przy swoich poglądach. Widziałaś przecież, jak to z nimi jest.

Zastanowiła się przez chwilę. Tak, miał rację. U niej w domu też pewnych tematów lepiej było nie poruszać. Na przykład przestarzały zwyczaj oddzielenia kobiet od mężczyzn w synagodze był czymś, o czym z tatą nie można było dyskutować. Tata wiedział, że tak ma być, bo tak zostało przykazane i nic nie mogło zmienić jego zdania w tej sprawie, nie było więc sensu próbować. Tak, Peter miał rację. Był człowiekiem zgodnym i zachowywał się pojednawczo, tak jak wtedy, gdy przerwał rozmowę na temat ciotki Lee i umiejętnie skierował ją na inne tory. Była to jedna z cech, które Jennie w nim kochała.

- Chciałbym, żebyśmy mogli spać razem - powiedział Peter. - Domek w parku świetnie by się nadawał. Jest tam kanapa.

- Peter! Nie mogę. Nie miałabym odwagi.

- Wiem. Trudno, niedługo wrócimy do domu.

Sprawiło jej przyjemność, że za „dom” uważał uczelnię, miejsce, gdzie byli razem. Potem pomyślała o czym innym.

- Nic mi nie mówiłeś, że w planie jest jakiś bal. Wzięłabym ze sobą sukienkę.

- Nie wiedziałem. Moja kuzynka jest naprawdę śmieszna... na miłość boską, kto w dzisiejszych czasach wydaje bale?

- Widocznie niektórzy nadal mają ten zwyczaj.

- Nienawidzę ich.

- Ale co ja mam zrobić? Nie mam co na siebie włożyć.

- Naprawdę nic nie masz? - Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Tylko ten kostium, moją odświętną sukienkę z granatowego jedwabiu, którą zawsze noszę, i kilka spódnic i bluzek. Ja nawet nie chcę tam iść. Musimy? Przypuszczam, że tak. - Głos jej się załamał.

- Zapytamy moją matkę. Może będzie mogła ci coś pożyczyć.

- Wstydzę się.

- Ja ją zapytam. Chodźmy do niej od razu.

- O mój Boże - zawołała pani Mendes - jesteś pewna, że nic ze sobą nie przywiozłaś?

Jennie potrząsnęła przecząco głową. Tak jakby miała w walizce jakąś tajemną skrytkę, z której mogłaby wydobyć suknię balową i pantofle, gdyby tylko dobrze poszukała!

- Nie znoszę sprawiać kłopotu - rzekła.

- To żaden kłopot. Chodźmy na górę i zobaczmy, co ma w szafie Sally June. Ty jesteś, oczywiście od niej wyższa, no ale... O mój Boże - powtórzyła raz jeszcze.

Sally June i jej koleżanka leżały wyciągnięte na identycznych, przylegających do siebie łóżkach. Pani Mendes otworzyła szafę, w której wisiał długi rząd ubrań, a pod nimi, na specjalnym stelażu stało wiele par butów.

- Będziemy musiały pożyczyć jedną z twoich sukienek, Sally June. Jennie nie przywiozła ze sobą nic, co nadawałoby się na bal.

- Tylko nie tą niebieską ażurową. Ja się w niej wybieram.

- Oczywiście że nie tę.

Pani Mendes przyjrzała się Jennie, jakby brała z niej miarę, po czym wyjęła z szafy jedną z sukienek.

- Ta sięga Sally June do ziemi, dla ciebie pewnie będzie do kostek. Przymierz ją i zobaczymy.

Czuła się, jakby była naga, kiedy musiała przy nich trzech zdjąć z siebie kostium i założyć tamtą sukienkę. Obserwowały ją w milczeniu. To, co miała teraz na sobie, było z białej bawełny, miękkiej i wiotkiej jak chustka do nosa, z sutymi falbankami na ramionach i na samym dole. Krótkie bufiaste rękawki ściągnięte były wstążkami zawiązanymi na kokardy. Była to wyjściowa sukienka dla małej dziewczynki, nie bardzo nadawałaby się już nawet dla czternastolatki. Jennie wyglądała w niej wręcz śmiesznie. Z przerażeniem przyglądała się sobie w dużym lustrze.

- Urocza sukienka - rzekła pani Mendes. - Była uszyta na urodziny Sally June. Tylko że Sally June trochę utyla. - Żartobliwie pogroziła córce palcem. - Ale na ciebie pasuje doskonale - zwróciła się do Jennie. - Ładna, prawda?

- Bardzo ładna - odpowiedziała Jennie, myśląc jednocześnie, że mama na jej widok pękłaby ze śmiechu.

- Widać ci ramiączka od stanika, ale będziesz mogła je podpiąć. No i teraz buty. Jaki rozmiar nosisz?

- Siedem i pół.

Co ona tym razem wyciągnie, na litość boską?

- Ach, mój Boże, Sally June nosi szóstkę.

Buty, białe dziecinne pantofelki na niskich obcasach byłyby nawet do przyjęcia, gdyby nie fakt, że były półtora numeru za małe i ich założenie momentalnie sprawiło Jennie ból.

- Uwierają cię? - zapytała pani Mendes.

- Tak, trochę. Uwierają.

- No cóż, ja mam jeszcze mniejsze stopy, więc obawiam się, że będziesz musiała jakoś wytrzymać. - Będąc już w drzwiach, przypomniała sobie o czymś. - Mam torebkę, którą mogę ci pożyczyć. Na szczęście jak na tę porę roku jest wyjątkowo ciepło, więc żadne dodatkowe okrycie nie będzie ci potrzebne.

Wynurzając się spośród falbanek, Jennie pochwyciła spojrzenia obu dziewczynek, które leżały na łóżkach i bezgłośnie chichotały. Sally June natychmiast uciekła oczami w bok, kiedy tylko napotkała wzrok Jennie. Dziwne, że te same piękne oczy, tak dobre i łagodne u jej brata, u niej były lodowate i szydercze!

Z powrotem założyła swój kostium, a sukienkę złożyła i przewiesiła sobie przez ramię.

- Dziękuję - powiedziała cicho. - Przepraszam, że zawracałam ci tym głowę.

- Nic nie szkodzi - odparła Sally June.

One mnie nienawidzą. Nie wyglądam dziwacznie, maniery mam równie dobre jak one, a przy tym o ile więcej serca, pomyślała Jennie. A mimo to mną gardzą.

Wiejska posiadłość kuzynów była rozległa; należały do niej pola i strumyk z malowniczym mostkiem, lecz sam dom bardzo przypominał dom Mendesów, nawet z dokładnością do wiszącego nad kominkiem portretu tego samego przodka.

- Poznajesz ten portret? - szepnęła do Jennie pani Mendes, która stała obok niej. - To także ich pradziadek, tylko że oni mają kopię, oryginał jest u nas. Ktoś zgodził się, żeby zamówili kopię, co według mnie było błędem. Jednakże... - Wzruszyła ramionami i odeszła.

Jennie, która ledwie kuśtykała, tak bardzo bolały ją stopy,

szła właśnie do pokoju, służącego paniom za garderobę. Od trzech godzin byli już na balu. Gdyby ból stóp był mniej dojmujący i gdyby nie czuła, że w tej idiotycznej sukience zwraca na siebie uwagę, właściwie podobałoby jej się to widowisko. Bo ten bal był dla niej widowiskiem. Olbrzymi dom, służba, porozwieszane na tarasie lampiony, kwiaty w kamiennych donicach, orkiestra i dziewczęta w pięknych sukienkach - wszystko to razem sprawiało wrażenie teatru.

Jak na kogoś, kto nienawidzi takich rzeczy, Peter zadziwiająco świetnie się bawił. Przedstawił ją komu się dało i tańczył z nią tak często, aż przypomniła mu, że musi też zwracać uwagę na innych, szczególnie zaś na kuzynkę, której urodziny obchodzili. Ona sama tańczyła z wieloma młodymi ludźmi, którzy byli zadbani i dobrze ostrzyżeni i tak bardzo różni od mężczyzn, jakich znała. Nawet rozmowę prowadzili inaczej, była to wyłącznie płytką, towarzyską konwersacja. Kręcąc się i wirując w tańcu, Jennie widziała ponad ramionami partnerów, że Peter jest w doskonałym humorze, słyszała, jak się śmieje. Ale dlaczego niby nie? Był przecież wśród swoich, nie widział ich od Bożego Narodzenia. Tańczyła więc i kręciła się, dopóki jej stopy całkiem już odmówiły posłuszeństwa i musiała wymknąć się do garderoby.

Pokój, przeznaczony teraz dla pań, był w rzeczywistości małym salonikiem, wyposażonym w lustro, kanapę i dwa miękkie fotele. W jednym z nich siedziała starsza pani i czytała gazetę. Jennie zdjęła pantofle i jęknęła, rozcierając sobie stopy.

- Obtarłaś sobie piętę aż do krwi - zauważyła kobieta.
- O Boże. Zakrwawiłam buty Sally June. Jeszcze tego mi było trzeba.
- Wyglądasz dość niewesoło.
- Bo tak się też czuję. A na dokładkę rozpięła się agrafka i widać mi ramięczko. - Jennie zachichotała, usiłując sięgnąć do pleców.
- Podejdz do mnie, ja ci zapnę.

Stały przed lustrem. Jennie zobaczyła kręłą kobietę o siwiejących, ostrzyżonych po męsku włosach, dużej, owalnej twarzy i obwisłych policzkach. Miała na sobie gładką czarną suknię z drogiego jedwabiu.

- Proszę, wszystko przypięte. A co masz zamiar zrobić ze swoimi stopami?

- Muszą mi trochę odpocząć i jakoś przecierpię resztę nocy. Chyba nie mam innego wyjścia.

- Czy to ty jesteś tą dziewczyną, którą przywiózł ze sobą Peter?

- Tak, jak pani zgadła?

- Po akcencie. Wszyscy inni są tu z okolicy. Poza tym słyszałam, że miałaś przyjechać; a tę sukienkę pamiętam z przyjęcia urodzinowego Sally June. Nawet na niej wydawała mi się zbyt słodziutka.

Jennie wybuchnęła śmiechem. To były właściwe słowa, podobała jej się otwartość tej kobiety i bystre, mądre oczy, ożywiające nieładną twarz.

- Ale ładnie z ich strony, że mi ją pożyczyli. Naprawdę nie mam prawa się skarżyć.

- To prawda, nie masz prawa. A przy okazji, ja jestem ciotką Lee Mendes, tą, która podarowała Cindy żrebaka, pewnie już o tym słyszałaś. - Zachichotała.

- No tak, wspominali o tym.

- Jestem tego pewna. Ci moi krewni na swój sposób mnie kochają, ale uważają mnie za dziwaczkę i śmiem twierdzić, że istotnie tak jest. Tak czy inaczej, żrebak jest przepiękny. Gdyby nie było tak ciemno i gdyby stopy tak okropnie cię nie bolały, zabrałabym cię teraz do stajni, żebyś go zobaczyła. Prawdę mówiąc, w ostatniej chwili wcale nie chciałam się z nim rozstawać. Mam bzika na punkcie zwierząt. A ty?

- Ja też, gdybym miała dla nich dość miejsca. Tam gdzie mieszkam, nie ma warunków nawet na to, żeby trzymać psa.

- Zapewne chodzi o jakieś eleganckie mieszkanie w Nowym Jorku, prawda?

- Nie. Mieszkamy w skromnym domu w Baltimore. Jennie spojrzała ciotce Lee prosto w oczy. I wypowiedziała

słowa, których wcale nie miała zamiaru mówić, które mogły być tu zupełnie nie na miejscu. A jednak, kiedy już je wypowiedziała, poczuła się lepiej.

- Moja rodzina jest biedna. Kobieta skinęła głową.

- Przypuszczam więc, że jeszcze nie byłaś na takim balu jak dziś.
- Szczerze mówiąc, nie.
- Obco się tu czujesz, prawda?
- Trochę. - I szybko dodała: - Na uczelni zawsze dużo się dzieje, a ja jestem bardzo otwarta i przyjacielska... - Przerwała, nie wiedząc, po co to właściwie mówi.

- Widzę, że jesteś. I bardzo zdecydowana. Ale Peter taki nie jest, pewnie już to zauważyłaś.

Najwyraźniej rodzina ma rację, uważając tę kobietę za dziwaczkę. A może tylko dlatego tak sądzą, że większość ludzi cały czas gra, podczas gdy ona po prostu mówi to, co myśli. Zdumiało to Jennie.

- Nie, Peter taki nie jest - powtórzyła ciotka Lee - ale i tak jest prawdziwym skarbem.

- On to samo powiedział o pani.

- Cieszę się, jeśli tak mówił. Bardzo się lubimy. Był czas, że latem całe tygodnie spędzał u mnie na farmie. Uczyłam go różnych rzeczy - jeździć konno, prowadzić traktor, siał i zbierać plony, uczyłam go, jak kochać ziemię. Tak, to dobry chłopak. Zbyt dobry, aby jemu samemu to wyszło na dobre, tak mi się czasem wydaje. Zbyt układny; tak, to chyba jest właściwe słowo. Układny.

Jennie zaczęła odczuwać pewien niepokój. Nie chciała rozmawiać z tą dziwną kobietą o Peterze. Krzywiąc się z bólu, założyła buty i powiedziała:

- Chyba powinnam już tam wrócić.

- Tak, chyba powinnaś. Ja jeszcze chwilę tu zostanę. Ten cały harmider przyprawia mnie o ból głowy.

Podszedł do niej Peter.

- Gdzie byłaś? Szukałem cię.

- Musiałam zdjąć buty. Przy okazji poznałam twoją słynną ciotkę Lee.

- No i jak ci się podobała?

- No cóż, niewątpliwie jest inna, ale w pewnym sensie ją polubiłam. Czy bardzo miałbyś mi za złe, gdybyśmy już więcej nie tańczyli? Ja już naprawdę nie mogę.

- Och, tak mi przykro. Biedne nogi.

Usiedli przy małym stoliku przykrytym koronkową serwetą,

w pobliżu oszklonych drzwi prowadzących na taras. Muzyka wnikała do środka. Kelner przyniósł im drinki.

- Mimo wszystko ten wieczór nie jest taki zły - odezwał się Peter.

- Mówiłeś, że nie znosisz bali.

- Nie znoszę. Ale trzeba iść na ustępstwa, robić to, czego od nas oczekują... Moje biedactwo, źle się czujesz z powodu tej sukienki - powiedział czule.

- Wcale tego nie powiedziałam.

- Jest wiele takich rzeczy, których wcale nie musisz mi o sobie mówić, bym je wiedział.

Natychmiast poczuła skruchę.

- Przepraszam. Nie powinnam psuć ci nastroju. Sukienka nie jest przecież taka ważna.

Pod stołem ujął ją za rękę.

- Ie się czujesz z moją rodziną. Nie są łatwi w kontakcie, mogą się wydawać nieprzystępni. Ale kiedy ich poznasz, zobaczysz, że będzie inaczej. Poczujesz się z nimi swobodna. Jestem pewien, że tak będzie.

Miał rację. Była jak dziecko; jeśli coś ją trapiło, natychmiast było to po niej widać.

- Jutrzejszy dzień mamy dla siebie - powiedział Peter. - Oni wszyscy po obiedzie jadą do teatru, ale powiedziałem matce, żeby zwróciła nasze bilety, bo już widzieliśmy tę sztukę i była okropna.

- Co to za sztuka?

- Nie wiem. Nigdy o niej nie słyszałem.

Roześmieli się i Jennie nabrała ducha równie szybko, jak go przedtem straciła.

Przypominało to wieczór w pełni lata. Ptaki to opadały w locie tuż nad trawnik, to wzbijały się ku wierzchołkom drzew, chwytając w powietrzu owady, szczebiocząc i nawołując się, pikując i szybując, póki nie zapadł zmrok. W końcu ucichły.

- Jak pięknie - szepnęła Jennie. W domu było ciemno, tylko w pokojach na dole zapalono kilka lamp - na powrót rodziny z teatru. Poza tym tylko na trzecim piętrze oświetlone były pokoje służących.

Basen wyglądał tym razem jak sztuka czarnego jedwabiu,

przetykanego srebrem w miejscach, gdzie padały nań promienie księżyca. A ci dwoje, którzy w milczeniu przyglądali się srebrnym odblaskom, rozpoznali chwilę, wstali i bez słowa weszli razem do domku przy basenie, zamykając za sobą drzwi.

Później miała wspominać tę wizytę z mieszanymi uczuciami. Gdy kochali się w domku w ogrodzie, było to zupełnie inne przeżycie, niż kiedy kochali się w motelu przy autostradzie, gdzie nieustannie towarzyszył im hałas przejeżdżających ciężarówek. Dobrze było rozpleść miłosny uścisk, wyjść i zanurzyć się w ciszę i słodki zapach nocy...

Przypomniało jej się, jak pożegnała ją pani Mendes.

- Tak miło nam było cię gościć - powiedziała, sznurując przy tym usta i dając delikatnie do zrozumienia, że uważa znajomość za skończoną. A może było to tylko kolejne nerwowe urojenie Jennie? Cóż, cokolwiek to było, stanowiło niewątpliwie lekcję na przyszłość, przekonywała samą siebie, rozbawiona tym belferskim sformułowaniem. Teraz byli już z powrotem we własnym świecie, w miasteczku uniwersyteckim; wrócili do pracy, przyjaciół i weekendowej miłości. Miała siedemnaście lat, a życie było piękne.

3

Pewnego popołudnia, kiedy przygotowywała pracę semestralną z podstaw socjologii, przypadkiem zerknęła na kalendarz. Data zawirowała jej przed oczami, jakaś nagła myśl zaświtała w głowie. Nie potrafiła później powiedzieć, dlaczego zdarzyło się to akurat w tej chwili, ale tak właśnie było. Jeszcze raz spojrzała na datę, odliczyła dni wstecz, zmarszczyła brwi i policzyła jeszcze raz. Okresy miewała dość nieregularne, więc nie martwiła się nigdy, jeśli się o kilka dni spóźniały. Poza tym Peter mówił, że bardzo uważa. Jednak serce podskoczyło jej gwałtownie i dopiero po chwili odzyskało właściwy rytm.

Poczekam jeszcze tydzień, pomyślała. To jeszcze nic nie znaczy.

Nie wspomniała o tym Peterowi i czekała dłużej niż tydzień, starając się o tym nie myśleć. Był to jej wypróbowany sposób

radzenia sobie z problemami. Upominała samą siebie: Weź się w garść, posługuj się głową, a nie uczuciami. Spokojnie, spokojnie. Jeśli zachować spokój, sprawy same jakoś się ułożą.

Ale któregoś dnia, pod koniec drugiego tygodnia, wybrała się do sklepu po nowe tenisówki. Przechodząc koło gabinetu lekarza, wiedziona nagłym impulsem, weszła do środka.

Doktor był mężczyzną w średnim wieku i wyglądał na zmęczonego. Z uprzejmą wyrozumiałością nie wpatrywał jej się w twarz, gdy mówiła. Nie zadawał też żadnych osobistych pytań, za co była mu wdzięczna. Gdyby ją wypytywał, pewnie by się rozpląkała, mimo że starała się być silna, a on pewnie to rozumiał. Wziął od niej próbkę moczu i obiecał zadzwonić, kiedy będzie już wynik testu ciążowego. Zapłaciła kobiecie siedzącej w rejestracji, a potem, już na ulicy, zaczęła drżeć i trząść się, bo dopiero teraz uświadomiła sobie swą rzeczywistą sytuację i wynikające z niej konsekwencje. Uiszczenie pewnej sumy, jakby to była transakcja, i obojętna niczym maska twarz rejestratorki, nadały całej sprawie wymiar bardziej urzędowy. Straciwszy ochotę na kupowanie tenisówek, wróciła do nauki i czytała, nie rozumiejąc, co czyta. Tej nocy spała niespokojnie, męczyły ją złe sny; w jednym z nich jakiś żaloszny królik przyszedł do niej ze łzami w oczach. Kilka dni później otrzymała telefoniczną wiadomość, że wynik jest pozytywny.

- Czy chciałaby pani od razu umówić się na wizytę u doktora? To ważne, aby od samego początku ciąży była pani pod opieką, nawet jeśli wygląda pani na zdrową młodą osobę.

- No, może jeszcze nie teraz. Zadzwonię za jakiś czas. Ostrożnie odłożyła słuchawkę i siedziała przez chwilę jak

w transie. Przez otwarte okno dobiegały ją odgłosy życia, które toczyło się wokół, nie bacząc, co działo się właśnie z Jennie Rakowsky. Ktoś wołał: Bobbeeee. Za drzwiami ktoś z wielkim trzaskiem upuścił na schody całą stertę książek i zaklął. Z wyższego piętra słychać było tremolo ustnej harmonijki.

Wstała. Peter powinien być teraz w bibliotece; od razu zrobiło jej się lepiej. Brzemie strachu jakby stało się trochę lżejsze. Co ona myślała? Przecież nie jest sama, na litość boską! Peter będzie wiedział, co trzeba zrobić; na pewno coś wymyśli.

Siedział przy tym samym stole co zwykle, wsparty na obu

łokciach, z twarzą ukrytą w dłoniach. Pilnie studiował jakiś opasły tom. Zdążyła zerknąć na wykres, prostokąt kontrastujący z resztą strony, gęsto pokrytą tekstem, i w tym momencie Peter zaskoczony podniósł wzrok i zamknął książkę.

- Cześć, kończysz już? - Uśmiechnęła się do niego.

- Mogę skończyć. Co się stało?

- Czy musi się koniecznie coś stać, żebym tu do ciebie przyszła? - Jennie była zadowolona, że głos jej nie zdrzał.

- Mnie nie nabierzesz.

Jego niepokój sprawił, że o mało znów się nie rozkleiła. Przywołała się do porządku. Bądź dzielna i opanowana.

- O co ci chodzi? Wyglądam jakoś śmiesznie, czy coś w tym rodzaju? Tak, musi traktować to lekko. Przecież nie jest to katastrofa.

- Widzę w twoich oczach, że coś się stało. - Wstał z miejsca, zebrał książki i papiery. - Chodźmy stąd.

Wyszli na zewnątrz, było późne słoneczne popołudnie. Przyjaciele zatrzymywali się przy nich, nie sposób było odejść. Inni podchodzili, a potem szli dalej, rozmawiając o jakichś błażych sprawach. Serce Jennie znów zaczęło walić jak szalone. Wyczuła, że Peter stara się odłączyć od grupy, ale znów ktoś do nich podszedł. Minęły je dwie współlokatorki Jennie; zdjęły swetry i obwijały się nimi w tali; prowadziły jakąś ożywioną rozmowę. Jeszcze niedawno była taka jak one. Kiedy wreszcie zostali sami, zawrócili i usiedli na jakichś schodach. Peter ujął ją pod brodę i spojrzał prosto w twarz.

- Więc o co chodzi? Powiedz.

Znów ogarnął ją lęk, nawet pod jego spokojnym spojrzeniem.

- Nie domyślasz się?

- Chyba nie.

- Parę dni temu byłam u lekarza. Teraz już się domyślisz.

- Och. Och.

- Tak. Peter, i co my teraz zrobimy? - westchnęła.

Teraz załamał się jej dotychczasowy hart ducha, wydała z siebie coś jakby jęk i wybuchnęła płaczem, a drzewa, trawa i cegły budynków rozmyły się we łzach.

Peter spojrzał na swoje dłonie i obrócił je wnętrzem do góry. Jennie popatrzyła na nie i uświadomiła sobie, jak wrażliwym i czułym miejscem jest wnętrze dłoni. Tak dobrze znała ręce Pe-

tera: długie palce, krótko obcięte owalne paznokcie, drobne, rudawe włoski na nadgarstkach. No i czekała.

Nagły wietrzyk zaszeleścił liśćmi, dreszcz zimna przeszedł jej po plecach. Peter podniósł wzrok.

- To może wcale nie być prawda.

- To jest prawda.

W nagłym, żalonym geście splótła ręce na podolku. Peter jednak rozłączył jej dłonie i ujął jedną z nich w swoje.

- W takim razie będziemy musieli coś z tym zrobić, prawda? I uśmiechnął się. Ten uśmiech natychmiast zapadł jej w serce.

- Na przykład?

- Pozwól mi się namyślić.

Przez jakiś czas żadne z nich się nie odzywało. Wiatr się wzmagął i Jennie skurczyła się z zimna. Zastanawiała się, o czym Peter może myśleć. A on spojrzał na zegarek.

- Jest już szósta. Chodź, pójdziemy do naszej włoskiej knajpki na spaghetti. Lepiej będzie nam się myślało na pełny żołądek.

W restauracji nie było nikogo znajomego, usiedli z tyłu, w zacisznym kąciaku, gdzie nie było ich widać.

- Nie jestem głodna - powiedziała, trzymając w ręku menu.

- Musisz jeść.

Przyszło jej do głowy, że jest takie śmieszne wyrażenie: Jeść za dwoje. Poczowała dławienie w gardle.

- Nie, naprawdę nie mogę.

- Tylko zupę, ja wezmę to samo. Też nie jestem głodny. Przez parę minut znów siedzieli w milczeniu. Jennie przełknęła odrobinę zupy i odłożyła łyżkę.

- Mój Boże, Jennie, tak mi przykro. Czuję się jak niezdarny, tępy dureń. A myślałem, że jestem taki ostrożny. No i byłem ostrożny. Do diabła, nie rozumiem, jak to się stało.

- Nigdy nie ma stuprocentowej pewności.

Z przykrością patrzyła, jak teraz wyglądał. Nie dalej jak wczoraj był jeszcze taki beztroski, kupił nową gitarę i jakieś płyty.

- To także i moja wina - oświadczyła. - Powinnam była dokładniej liczyć. Byłam lekkomyślna. Jestem lekkomyślna. To już jest stan dość zaawansowany.

- Zbyt zaawansowany, aby coś z tym zrobić? - Peter rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Masz na myśli zabieg?

- No tak. Oczywiście znalazłbym ci najlepsze miejsce, gdzie byłoby to zupełnie bezpieczne. Mój Boże! Nie dopuściłbym, żeby cokolwiek ci się stało! Musisz o tym wiedzieć.

Jennie znowu westchnęła. Przez całe popołudnie wzdychała głęboko raz po raz, jakby jej płuca odmawiały posłuszeństwa.

- Nie mogłabym... Nie chcę... Bez względu na to, czy jest jeszcze czas i tak nie mogłabym tego zrobić.

- Dlaczego nie? - zapytał Peter bardzo łagodnie. - Dlaczego byś nie mogła?

- Nie jestem pewna.

Może wynikało to z ortodoksji jej taty? Czyżby zakorzeniła się w sceptycznym umyśle Jennie, wbrew całej jej obojętności religijnej?

- Skoro nie jesteś pewna, to znaczy, że mogłabyś. Pomyśl tylko. Takich zabiegów dokonuje się cały czas.

- Wiem.

Kiedy chodziła do szkoły średniej, w ostatniej klasie jedna z dziewcząt przerwała ciążę. Wszyscy o tym wiedzieli. Skończyła szkołę tak jak wszyscy i żyła dalej, jakby nic się nie stało. A jednak Jennie aż się wzdrygnęła. Jakby wbrew własnej woli, dotknęła swego płaskiego, twardego brzucha.

Nie żywiła żadnych uczuć do tego, co w niej rosło, nie miała też na jego temat żadnych wyobrażeń. To był intruz, ktoś niepożądany i budzący w niej lęk, a jednak nie umiałaby go zabić. Peter zauważył jej gest.

- Tam prawie nic jeszcze nie ma, Jennie. Może mieć jakieś trzy, cztery centymetry, albo mniej.

Ale to jest życie, z nią nieodłącznie związane. Miałaby je wyrwać i wyrzucić, jako krwawą bezładną masę... Otrząsnęła się z tych myśli, a jej oczy spotkały się z oczami Petera, w których kryło się pytanie i niepokój.

- Musisz mi uwierzyć, Peter. Dla niektórych to nie jest problem. Ja nikogo nie osądzam, wiem po prostu, że ja bym tak nie mogła.

Znowu zapadła cisza, Peter w milczeniu nabierał zupę. Po-

tem podniósł głowę, lekko uderzył pięścią w stół i zrobił zdecydowaną, wesołą minę.

- Więc co, u licha? Nad czym się więcej zastanawiać? Po prostu weźmiemy ślub, i tyle!

Jennie odczuła nagle niesamowitą radość, która aż dławiła w gardle. Ale już w chwilę później ogarnęły ją wątpliwości.

- Peter, nie chciałabym wyjść za kogoś, kto ożenił się, „bo musiał”, a później miałby mi to za złe. - Mówiła to, oczekując i mając nadzieję, że on zaprzeczy.

- Jennie, najdroższa, jak mogłaś tak choćby pomyśleć? To prawda, że nie jest to najlepsza pora, ale przecież i tak mieliśmy zamiar w końcu się pobrać, więc będziemy musieli znaleźć sposób, by poradzić sobie z tym już teraz. No już, nie bój się. Jestem tu z tobą. - Wezwał kelnera i zwrócił się do niego: - Proszę nam jednak przynieść obiad, jesteśmy głodniejsi, niż przypuszczaliśmy.

I cały czas już do niej mówił, jego słowa koili i uspokajały jak ciepły prysznic, a Jennie siedziała i słuchała.

- Wybacz mi to, co teraz powiem. To głupio brzmi, ja wiem, ale do licha, po co to ukrywać, przecież sama widziałaś. Moi rodzice są zamożni, naprawdę bardzo zamożni. Pieniądze są rzeczą bez znaczenia. Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek będę przywiązywał do nich jakąś wagę. Znasz mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że po cichu buntuję się przeciw ich sposobowi życia i pewnym ich poglądom, ale... - uśmiechnął się - odrobina tego nie zaszkodzi.

Jego porozumiewawczy uśmiech sprawił, że Jennie poczuła ogromną ulgę. Szybko i spokojnie przyjął jej punkt widzenia i dostosował się do sytuacji. Sama nie miała w sobie zbyt wiele spokoju, reagowała żywiołowo, nawet w sposób egzaltowany, tym bardziej ceniła więc jego opanowanie, czuła jego siłę.

- Od razu nas przejrzą nie ma co do tego wątpliwości. Cóż, tłumaczenie im tego nie będzie należało do przyjemności, ale kiedy już powiedzą, co będą mieli do powiedzenia, zgodzą się. Słuchaj, Jennie, nie jesteśmy pierwszymi, którym się to zdarzyło, i nie będziemy też ostatnimi. No, rozchmurz się już i jedz spaghetti.

W jej głowie powstała wizja przyszłości, bardzo wyraźna i nawet kolorowa. Będą mieli małe mieszkanko, dwa pokoje

a może nawet jeden - w pobliżu kampusu. Dzieckiem będą się zajmować na zmianę, żeby móc chodzić na zajęcia. Po dyplomie pierwszego stopnia podejmą dalsze studia, ona spłaci je później, kiedy zacznie już zarabiać jako prawnik, zapłaci ze swoich własnych pieniędzy, nie Petera, żeby im pokazać, kim jest i zdobyć ich szacunek. Tak, pomimo wszystko uda jej się zdobyć ich szacunek. A kiedy zobaczą, że potrafiła dać ich synowi szczęście, może ją nawet pokochają.

- Znajdę sobie pracę w laboratorium albo gdzieś indziej, będę pracował wieczorami i w weekendy, żebyśmy nie musieli być zależni od rodziców - powiedział Peter.

A więc wizja przyszłości także i w jego głowie zaczynała nabierać realnych kształtów.

- Na weekend pojedziesz do domu i powiesz o tym rodzicom, a ja wtedy pojedę do swoich. - Było to na wpół stwierdzenie, na wpół pytanie.

Jennie potrząsnęła głową.

- Pewnie pojedę do domu, ale nie jestem pewna, czy będę mogła im to powiedzieć, zanim weźmiemy ślub.

Jak mogłaby sprawić im ból, wiedząc, ile już w życiu przeszli? Przeczytała wiele książek o dzieciach ludzi, którzy przeżyli holocaust, i słyszała o specjalnych grupach wsparcia dla tych osób, które spotykają się, wymieniają doświadczenia i pomagają sobie nawzajem; nigdy jednak na takim spotkaniu nie była. To prawda, inaczej traktowało się rodziców, jeśli ze zdjęć i relacji znało się hitlerowski terror w Europie w czasie wojny i wiedziało się, że ojciec i matka, którzy co wieczór siadają z nami przy tym samym stole, rozmawiając o domowych wydatkach albo o lekcjach - przeszli przez tamto piekło. To nie byli tacy sami rodzice jak inni. Jak mogłaby znowu wystawić na próbę ich wytrzymałość, która tak bardzo już została nadwreżona?

- Naprawdę nie zamierzasz im powiedzieć? - zapytał Peter, unosząc brwi.

- Może powiem, nie jestem pewna. Bardzo mnie kochają. -I dodała po prostu: - Musiałbyś ich znać, żeby to zrozumieć.

Więcej nie pytał.

- No cóż, ja porozmawiam z moimi starszami. Wiem, że tobie wydali się strasznie groźni. - Zaśmiał się krótko i niewe-

soło. - Ulubione powiedzenie mojej matki brzmi: Formuj się, i uczciwie przyznaję, że to wyrażenie przyprawia mnie o mdłości, brzmi tak po wojskowemu. Ale są dwie rzeczy, które oni oboje szanują - uczciwość i odwaga. Więc będę uczciwy, a oni potraktują mnie przyzwoicie i sprawiedliwie. To im muszę oddać, Jennie, są bezwzględnie sprawiedliwi, naprawdę. - Sięgnął po jej dłoń i ucałował jej palce. - W ogóle nie ma się o co martwić.

Wyglądało, że jest szczery. Jennie miała nadzieję, że to, przez co będzie musiał przejść w domu, da się jakoś znieść i że pierwszy gniew rodziców nie będzie trwał długo.

- Zaufaj mi Jennie.

- Ufam ci. I nigdy nie przestanę.

- Jak tam Peter? - zapytała mama.

- Poleciał na weekend do domu.

- A więc temu zawdzięczamy zaszczyt, że nas odwiedziłaś? - Mama się roześmiała. - Siadaj. Właśnie przyszłam ze sklepu. Zrobię ci herbatę, a potem zajmę się obiadem.

Z kuchni widać było jadalnię; na stole czekały już dwa nakrycia i świecznik przygotowany do błogosławieństwa. W piątkowe wieczory jadali w pokoju. Mimo że byli sami, przestrzegali tradycji równie skrupulatnie, jak gdyby byli otoczeni otoczeni gromadką dzieci i krewnych. Jennie wiedziała, że bardzo tego pragnęli. Usiadła naprzeciw matki przy kuchennym stole.

- Mam w tym roku piękne pelargonie, różowe, o podwójnych kwiatach; nowa odmiana. Tylko popatrz - powiedziała mama.

Na barierce ganku stał rząd pelargonii w doniczkach. Z półtora metra od nich zaczynały się doniczki pani Danieli, ale jej pelargonie były całkiem zwyczajne, czerwone. Mama podążyła wzrokiem w tę samą stronę, co Jennie.

- Nie ma porównania, co? - zapytała.

- Nie ma, mamó.

Wzruszyło ją to pytanie. W ciągu ostatnich kilku dni, od czasu sceny z Peterem w restauracji, prawie wszystko wywoływało u niej idiotyczne ły: wiersz Dylana Thomasa, który czytali na zajęciach z angielskiego, stara kobieta pomagająca swemu staremu mężowi wsiąść do pociągu w Filadelfii. Teraz to były pe-

largonie, wyciągające do słońca swe drobne kwiatki. Poczula, że jakaś kula rośnie jej w gardle. Co za głupota. Mama oczekiwała, że sobie porozmawiają. W odróżnieniu od ojca, mama nie znosiła ciszy. Poza tym Jennie chciała się od niej czegoś dowiedzieć.

- A jak się mają sąsiedzi? Państwo Danieli? Dieterowie?

- Ach, u Danielich wszystko dobrze, mają się świetnie, są szczęśliwi z powodu tego małego. Zupełnie inaczej niż Dieterowie - powiedziała mama ponuro.

Jennie chciała dowiedzieć się czegoś o Dieterach. Gloria Dieter w zeszłym roku „wpadła” i teraz była w domu, razem ze swoim niechcianym dzieckiem.

- Czy nie zaczęli traktować jej ani trochę lepiej?

- Nie wiem. - Mama wzruszyła ramionami. - Prawie ich nie widuję. Chowają się w domu. Gloria wystawia wózek na ganek i ucieka do środka.

- Przecież nie obrabowała banku ani nikogo nie zabiła - Jennie powiedziała to cicho, drżącym głosem.

I czekała na odpowiedź...

- Prawda, prawda. Ale teraz są takie zwariowane czasy. Nie wiem, jak to jest. - Mama wzięła do ręki złożoną gazetę. - Tylko popatrz, co tu wypisują! Niedobrze się człowiekowi robi, jak to czyta. Pytam się, co ma wspólnego wojna w Wietnamie z tym, co teraz młodzież wyprawia? To jest zła wojna, ale co ma z tym wspólnego wolność seksualna, może mi powiesz? To hańba. Spójrz, spójrz tylko na to! - Był to artykuł na temat znanej działaczki, która zaszła w ciążę. - Tylko jej się przyjrzyj! Nie ma męża, urodzi dziecko i jeszcze jest z tego dumna! Dumna, wyobrażasz sobie? Studentka, dziewczyna z wykształceniem, ale kiedy dobrze się temu przyjrzeć, to kim ona jest, jeśli odjąć całą tę dziwaczną gadaninę?

Jennie milczała.

- Ach, żal mi tylko jej rodziców! Człowiek pracuje ze wszystkich sił, żeby zapewnić swoim dzieciom jak najlepsze życie i co dostaje w zamian? - Mama potrząsnęła głową, współczując nieznanym rodzicom. Potem westchnęła głęboko i twarz jej się rozjaśniła. - Na szczęście twój ojciec i ja nie mamy z tobą takich zmartwień. Ty jesteś przyzwoitą dziewczyną, Jennie,!" zawsze taka byłaś. Czy zdajesz sobie sprawę, że

nigdy, odkąd się urodziłaś, nie mieliśmy z tobą żadnych kłopotów? Niech cię Bóg za to błogosławi.

- Ale tym tak zwanym „przyzwoitym dziewczynom” też się może coś przydarzyć - powiedziała Jennie bardzo cicho. - Co powinna zrobić matka, no wiesz, pytam tak z ciekawości, co ty byś, na przykład, zrobiła, gdybym przyszła do ciebie, tak jak tamta dziewczyna i powiedziała ci, że jestem...- Roześmiała się chrapliwie i nienaturalnie i umilkła.

- Mój Boże, nie potrafię sobie nawet czegoś takiego wyobrazić, więc jak mogę ci na to odpowiedzieć? Żeby taka dziewczyna jak ty miała rujnować sobie życie?

Och, gdybym mogła ci to powiedzieć, położyć ci głowę na ramieniu i opowiedzieć o wszystkim. Jakaż by to była ulga...

- Przypuszczam, że wyrzuciłabyś mnie z domu, prawda? - Wydała z siebie wymuszony śmiech, który jednak tym razem zabrzmiał bardziej przekonywająco i miał oznaczać, że oczywiście to wszystko jest śmieszne.

- Wyrzucić cię z domu? Kto wyrzuca z domu własną córkę? Ale wolałabym sama umrzeć, niż żeby coś takiego miało nas spotkać.

Mama zdjęła okulary; miała łagodny, zagubiony wyraz twarzy, tak jak zawsze gdy opowiadała o swoich pomordowanych rodzicach, o swoim ślubie czy o urodzeniu Jennie.

- To by oznaczało, że wszystko, czego cię uczyliśmy, przeszło ci mimo uszu. Że byłaś głucha na to, co ci mówiliśmy, że wszystkie nasze słowa były na nic. Tyle lat, kawał życia -wszystko poszłoby na marne. No już, skończmy tę smutną, niepotrzebną rozmowę. Zjedzmy sobie teraz lody. Nagle naszła mnie ochota na deser kawowy

Już całkiem jasne, czego mogę oczekiwać, pomyślała Jennie. Przętykała lody bez żadnej przyjemności. Przypomniało jej się, jak jadła lody u państwa Mendes; tam także czuła się samotnie i obco. Teraz jednak chodziło o coś innego. Nieomal potrafiła wczuć się w sytuację Maszy-Marlene; rozumiała, jak to jest, kiedy należy się do tego pokolenia i nosi w sobie takie doświadczenia jak ona. Trzeba ją było zrozumieć.

W poniedziałek, po powrocie na uczelnię, oczekując na powrót Petera, Jennie pocieszała się, myśląc o przyszłości. Kiedy

już będziemy po ślubie, to nawet jeśli dziecko urodzi się trochę za wcześnie, wszystko będzie wyglądało inaczej. Mama i tata będą się cieszyć moim szczęściem. Którzy rodzice nie cieszyliby się, gdyby ich córka wyszła za kogoś takiego jak Peter? Tak, kiedy już weźmiemy ślub tak jak trzeba, wszystko będzie dobrze.

Peter nie zjawił się na zajęciach w poniedziałek ani we wtorek. Czy to był dobry znak, czy zły? Oczywiście, trzeba było wiele rzeczy załatwić.

Późnym popołudniem w środę zadzwonił telefon na końcu korytarza i ktoś zawołał Jennie.

- Wróciłem - powiedział Peter.

- I jak było? - Serce podskoczyło w niej niespokojnie.

- Opowiem ci, jak się zobaczymy - mówił martwym głosem, bez śladu radości, z jaką jej zwykle odpowiadał.

Tym razem serce w niej zamarło. Była to u niej bardzo ruchliwa część ciała, zdarzało się, że serce uciekało jej w pięty.

- Wynająłem samochód. Przyjadę po ciebie za dziesięć minut.

- Wynająłeś samochód! Dokąd jedziemy?

- Tylko tam, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Tu w pobliżu nigdzie nie da się zamienić paru słów, żeby zaraz ktoś ci nie przeszkodził.

- To głupota... - zaczęła Jennie.

- Za dziesięć minut. - I odłożył słuchawkę.

Zacinał ulewny deszcz. Jennie założyła pelerynę i kiedy Peter podjechał, czekała już na niego w drzwiach. Wsiadła do samochodu i spostrzegła, że jest bardzo poważny. Kiedy chciał pocałować ją w usta, odwróciła się, więc pocałował ją w policzek.

Wiedziała już. Wiedziała.

- No to przekaż mi tę złą wiadomość.

- To niekoniecznie musi być zła wiadomość. Dlaczego tak mówisz?

- Bo już to widzę. Nie udawaj przede mną, Peter. Powiedz od razu wszystko, prosto z mostu.

- Znajdźmy najpierw jakąś spokojną uliczkę, na której będzie można zaparkować, wtedy porozmawiamy. - Zapuścił silnik.

Zatrzymał samochód w bocznej uliczce, przed szeregiem

przylegających do siebie skromnych domków. Lało teraz jak z cebra i ulica była pusta. Kiedy zgasł silnik, słychać było tylko, jak deszcz uderza o dach samochodu i opryskuje okna. Był to przygnębiający dźwięk.

- No więc, Peter?

- Oni nie chcą, żebyśmy teraz brali ślub. - Nie patrzył na nią, tylko prosto przed siebie, przez okno.

- Nie chcą? - Jennie poczuła, że zaschło jej w ustach. - W takim razie czego chcą?

- Mówią, że według nich jesteśmy jeszcze za młodzi.

- To prawda, jesteśmy - Mówiła spokojnie. - Tylko co mamy zrobić z tą... jakby to powiedzieć, naszą małą komplikacją? A może to jest nieważne?

Odwrócił się teraz w jej stronę, więc w szarym półmroku widziała jego proszący wyraz twarzy.

- Jennie, nie mów z taką ironią. Proszę cię, w domu przeszedłem piekło.

Natychmiast stała się czuła, bo tego mu było potrzeba.

- Przepraszam. Ale co dalej? Co mamy robić?

- Oni są zdania, że powinnaś... przerwać ciążę. Tłumaczyłem im, jak ty to odczuwasz, ale wiesz - no wiesz, to, co oni mówią ma sens, Jennie. Wszystko przemyślałem. Przekonali mnie, to naprawdę ma sens.

- Oni cię przekonali - powtórzyła. - Oni uważają, że to ma sens. Ale tu chodzi o mnie. Co oni albo ty macie do mojego ciała, do mnie?

- Jennie, kochanie, posłuchaj. Nie wyobrażasz sobie, co tam się działo; jak strasznie się rozgniewali. Dwa dni trwało, zanim zdołałem doprowadzić do tego, by zamiast krzyczeć, rozmawiać ze sobą. Matka zalewała się łzami. Od śmierci babci nigdy jeszcze nie widziałem jej w takim stanie. Nie wyobrażasz sobie tego - powtórzył.

- Ach, oczywiście, że sobie wyobrażam, tylko co to ma za znaczenie? Oni mi mówią, co ja mam zrobić ze swoim ciałem. - Zaczęła płakać. - Peter, już ci mówiłam, że nie jestem w stanie tego zrobić. Nie chcę mieć dziecka, nie kocham go, ale powiedziałam ci - i powtarzam raz jeszcze - nie mogę go zabić.

- Ale pomyśl! Za kilka lat weźmiemy ślub i będziemy mieć tyle dzieci, ile będziesz chciała. Przecież chcesz skończyć tę

szkołę i iść na studia prawnicze, prawda? Skąd weźmiesz na to pieniądze, jeśli się teraz pobierzemy?

- Mówiłeś, że oni są bogaci i nam pomogą. Sam tak mówiłeś.

- Bo tak myślałem, ale przecież nie wycisnę z nich czegoś, czego nie chcą dać, prawda?

Opuścił głowę i przez moment siedział, opierając ją o kierownicę.

- O, Chryste! - jęknął i spojrzał na Jennie. - Mój ojciec zaproponował, że da ci wszystko, co będzie trzeba, jeśli tylko to załatwisz. Może będziesz miała ochotę na podróż do Europy, do Rzymu, do Paryża. Kupisz sobie różne rzeczy, wypoczniesz i o wszystkim zapomnisz. Da ci tyle pieniędzy, ile będziesz chciała.

Jennie wpadła w taką wściekłość, jak jeszcze nigdy dotąd. Była to wściekłość mordercza, czuła, że jest w stanie zabić. Walnęła pięścią w tablicę rozdzielczą.

- Wydaje mu się, że kim ja jestem? Kurwą, której się płaci, żeby się odczepiła? Podróż do Europy? Czy ty wiesz, co mówisz? On mi proponuje wakacje... i na co mi wakacje, kiedy ja proszę o miłość, o pomoc, o współczucie...

- Jennie! Przecież masz miłość! Kocham cię, wiesz o tym. Jak możesz mówić w ten sposób?

- A ty, jak możesz? Ciebie też przekonali? Dla ciebie też jestem kurwą?

- Nie używaj tego słowa, jest wstrętne, śmierdzi.

- Nie mów mi, jakich słów mam używać! Będę używać takich, jakich będę chciała. Mogę ci dokładnie opowiedzieć, co się zdarzyło w twoim domu. Widzę wszystko i słyszę tak wyraźnie, jakbym tam była i stała za drzwiami. Twoja matka, ten sopel lodu... myślisz, że nie wiem, czego ona chce? Dziewczyny takiej, jak ta bezczelna smarkula... jak jej tam było? Annie Ruth, czy Ruth Annie, albo coś w tym rodzaju? Przyjaźnimy się od pokoleń, rozumiesz. I czyż to nie cudownie, że ci młodzi ludzie się zaręczyli? Potajemna miłość... niczego się nie domyślaliśmy. Tak, wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym była Panną z Dobrej Rodziny, a nie Panną Nikt. Nie byłoby mowy o przerywaniu ciąży, odbyłby się szybki ślub u was w ogrodzie, pod drzewami. Nie, przepraszam, w ogrodzie Panny z Dobrej Ro-

dziny. Na pewno mieliby ogród. Dziecko, najśłodsze maleństwo, okazałoby się wcześniakiem. - Z wściekłością podniosła głos.

- Jennie, na Boga, przestań! To wcale tak nie jest!

- Oczywiście, że jest! Każdy idiota by to zauważył. Wiedziałam to już w chwili, kiedy przestąpiłam próg twojego domu. A ty, ty pozwoliłeś, żeby zrobili ci takie pranie mózgu. I to ty, mój wielki, dzielny mężczyzna, który miał się mną opiekować. Nie martw się, kochanie, sama się wszystkim zajmę.

Peter przekreślił kluczyk w stacyjce i wycieraczki zaczęły terkotać.

- Nie ma sensu ciągnąć tego dalej, jeżeli masz zamiar tylko na mnie krzyczeć, Jennie. Mamy problem i krzyki nic tu nie pomogą.

Siedziała przez chwilę, starając się opanować; potem coś jej się przypomniało.

- Widziałeś może przypadkiem ciotkę Lee?

- Tak, pojechałem do niej.

- Aha! I co powiedziała?

- Mogę ci to powtórzyć. Powiedziała, że powinniśmy się pobrać. Podobałaś jej się. Zaproponowała, że pożyczmy nam trochę pieniędzy.

- Tak powiedziała? - Oczy Jennie napełniły się łzami. - No to cudownie z jej strony!

- Ona taka jest. Z pozoru szorstka, ale sentymentalna. To dość śmieszne, wzięwszy pod uwagę, że jest lesbijką.

- Okrutne, że tak mówisz.

- Nie chciałem, żeby to tak brzmiało, naprawdę mnie to dziwi.

- Czy pożyczmy nam tyle, żeby starczyło?

- Jennie... nie mogę od niej nic wziąć, wszystko jedno, dużo czy mało. Moi rodzice wpadliby w szal. Byli już wściekli, kiedy im o tym powiedziałem.

- Dlaczego? Skoro oni nie chcą pomóc, wydawałoby się, że powinni być zadowoleni, że ktoś ich w tym zastąpi.

- To długa historia. Ona lubi się wtrącać. Nie powinienem w ogóle być o tym mówić.

- Im czy mnie?

- Chyba ani im, ani tobie. - Peter westchnął.

Ale jednak jej powiedział, był na tyle uczciwy, że powiedział, więc trochę zmięła.

- Och, Peter, co my mamy zrobić? Wycieraczki zawtórowały skrzypliwie - bić, bić, bić.

Peter znowu przekręcił kluczyk i wycieraczki się zatrzymały.

- Co mamy zrobić? - powtórzył. - Nie wiem. - Wpatrywał się w potoki deszczu.

W samochodzie zapanował nastrój przygnębienia. Jej krótki, ale gwałtowny wybuch wściekłości sprawił, że czuła się zmęczona. Gdyby mogła teraz usnąć, pomyślała, po prostu usnąć, obudzić się i zobaczyć, że to był tylko sen. Ona także wpatrywała się w ciemną, mokrą ulicę. Frontowe ściany domów po obu stronach ulicy tworzyły długi, ciemny tunel, nie rozjaśniony żadnym światłem.

Peter przerwał milczenie:

- Gdybyś zgodziła się na aborcję, to by wszystko rozwiązało.

W głowie Jennie znowu pojawił się obraz w czerwieni, w kolorze krwi, ostry błysk stali, zniszczenie. Z trudem zaczerpnęła powietrza.

- Czy chodzi o to, że się boisz? - zapytał, znowu łagodnym tonem.

- Czy boję się bólu? Wiesz przecież, że nie o to chodzi. Parę lat temu Jennie miała skomplikowane złamanie ręki i mówiono jej wtedy, że dzielnie znosi ból. Sama o tym wiedziała. Poza tym, poród też rzadko bywa bezbolesny.

- No więc w czym rzecz? Możesz mi to powiedzieć?

- Próbowałam ci wytłumaczyć najlepiej, jak umiałam.

- Takie zabiegi przeprowadza się ciągle. Zupełnie bezpiecznie, mimo że to jest nielegalne. Są do tego bezpieczne miejsca, mają tam dobrych lekarzy.

Ze znużeniem powtórzyła:

- Może dlatego, że tak byłam wychowana. Nie mogę tego zrobić. Moi rodzice są ortodoksyjni...

Teraz to Peter jej przerwał. Przyszła jego kolej, żeby się rozzłościć.

- Twoi rodzice! Nie jesteś nawet w stanie z nimi o tym porozmawiać! Boisz się im powiedzieć. Ja przynajmniej swoim powiedziałem.

- Przecież cię uprzedzałam.

Pomyślała o mamie, siedzącej w kuchni i nabierającej łyżeczką lody: Wszystko, czego cię nauczyliśmy, puściłaś mimo uszu, wszystko poszło na marne.

Jennie poczuła, że znowu wzbiera w niej złość.

- Ty wcale nie chcesz zrozumieć. Nie mogę rozmawiać o tym z rodzicami. Dlaczego nie możemy się pobrać, Peter? Jakoś dalibyśmy sobie radę. Twój ojciec musiałby pomóc; chyba-by nie dopuścił, żebyśmy głodowali. Moi rodzice też by nam coś dołożyli, no, chociaż troszeczkę...

- Mój ojciec poradziłby mi, żebym rzucił college i poszedł do pracy.

- To niemożliwe!

- Niemożliwe? Ty go jeszcze nie znasz. On ma swoje zasady.

- Zasady! Czy oni nie mają sumienia?

- Powiem ci. Oni twierdzą, że jeśli ktoś jest dość dorosły, aby spłodzić dziecko, to jest też dość dorosły, aby je utrzymać.

- I tak ci powiedzieli, prawda? A ty im uwierzyłeś.

- Musisz przyznać, że jest w tym sens.

- Tak, jest sens, tylko brakuje serca. Nie ma w tym serca. Oni są zimnymi worami pieniędzy - powiedziała, zaciskając zęby. - Tak, gdyby mój ojciec nie był właścicielem sklepiku... Myślisz, że nie widziałam, jaką minę zrobiła twoja matka, kiedy jej o tym powiedziałam? Miała minę rekina.

- Jennie, dość już tego. Zostaw moją matkę w spokoju, bardzo cię proszę.

No tak, lojalność mimo wszystko. Lojalność syna wobec matki. Poczula, że coś dławi ją w gardle.

- Jak mogę zostawić ją w spokoju, jeśli ona ma decydować o moim życiu? - Nie, Jennie, to my sami decydowaliśmy o naszym życiu.

- Jak możesz tak mówić? Co oni ci zrobili, jak zdołali tak cię przekabacić? Może sprawili, że poczułeś się jak śmieć, ale ja nie czuję się śmieciem, zapewniam cię. Nie czuję się, nie będę i oni mnie do tego nie zmuszą. Ty też nie.

- Jesteś zdenerwowana. - Peter zapuścił silnik. - To jest głupia rozmowa i do nikąd to nie prowadzi.

- Rzeczywiście jest głupia. Odwieź mnie do akademika. Chętnie by go uderzyła. Czy to był Peter? Gdzie podziała się

jego siła i pogodna pewność siebie? Polegała na nim, ale może te łagodne, wyraziste i opalizujące oczy, w których się zakochała, były zbyt łagodne? Zbyt układny - powiedziała o nim starsza pani. Był tylko przestraszonym chłopcem... a ona czuła się zagubiona.

Podczas jazdy żadne z nich się nie odezwało. Dopiero kiedy dojechali na kampus, Peter położył jej dłoń na ramieniu.

- Jennie, trochę się odpręż. Oboje nie wiemy, co się z nami dzieje i dlatego się kłócimy. Wieczorem zadzwonię do ojca i jeszcze raz z nim porozmawiam.

Wyrwała mu się i otworzyła drzwi.

- Powodzenia - powiedziała z goryczą.

- Nie bądź taka zgryźliwa. Coś wymyślimy. Proszę cię, wierz we mnie.

- Dobrze, spróbuję. - Zmusiła się do nikłego uśmiechu.

- Zadzwonię do ciebie wieczorem po rozmowie z ojcem, dobrze?

- Nie, poczekaj z tym do rana. Jestem wykończona. Chcę się położyć i przez parę godzin nie musieć o niczym myśleć.

- W porządku, w takim razie zadzwonię z samego rana. Aha, Jennie pamiętaj, że się kochamy.

Może jednak jestem niesprawiedliwa, myślała, wspinając się po schodach. Dla niego to też jest okropne. Była zmęczona, strasznie zmęczona.

Przez cały następny tydzień nocami płakała cicho w poduszkę, rano wstawała z bólem głowy i zmuszała się do nauki i chodzenia na zajęcia. Przypominało to oczekiwanie na pociąg albo samolot tak bardzo opóźniony, że człowiek zaczyna wątpić, czy kiedykolwiek przybędzie. Peter był w podobnym stanie. Codziennie konferował przez telefon z ojcem, który z kolei konferował z kimś jeszcze.

- Pewnie ze swoim prawnikiem - stwierdził Peter. - On nie zrobi żadnego kroku, póki nie poradzi się swego prawnika.

Codziennie na krótko spotykał się z Jennie, zawsze w miejscach publicznych, gdzie nie mogli się nawet dotknąć. Żadne zresztą nie było w nastroju do pieszczot.

Tylko niema prośba, malująca się na ich twarzach, znajdowała oddźwięk w ich sercach.

- Dobrze się czujesz? - dopytywał się bezustannie.

Czuła się znakomicie. Na oko nie było widać, że w jej ciele zachodzą jakieś zmiany. Możliwe, że jeszcze prawie do końca semestru jej ciąża nie rzucałaby się w oczy.

Pod koniec drugiego tygodnia Peter otrzymał wiadomość. Jego ojciec załatwił miejsce w domu dla samotnych matek w Nebrasce. Było to miejsce godne zaufania, należące do kościoła. Brzmiało to dość dziewiętnastowiecznie; Jennie nie przypuszczała, że takie miejsca w ogóle jeszcze istnieją. Najwyraźniej jednak istniały, dziewczyna mogła tam zachować anonimowość, aż do porodu otoczona była opieką, a potem, jeżeli chciała, mogła oddać dziecko do adopcji.

- No i co ty na to? - zapytał Peter.

Znowu siedzieli w samochodzie, zaparkowanym tym razem naprzeciwko zoo. Kobieta przechodząca obok nich usiłowała pocieszyć dziecko płaczące w wózku, a drugi berbecę chwycił się jej spódnicy. Ten obraz przesunął się przed oczami Jennie i na trwałe wrył się jej w pamięć. Obraz ten był niewyraźny i zamazany, cały w drobnych plamkach światła padającego przez młodziutkie listki drzew. Młoda matka o długich, rozpuszczonych włosach, które opadały jak luźny szal, kiedy pochylała się nad dzieckiem. I jeszcze pyzata, zdrowa buzia drugiego malca na tle czerwonej matczynej spódnicy.

I Jennie wiedziała od razu, że jest to jeden z tych rzadkich, przypadkowych obrazów, które w sobie zatrzyma, tak jak zatrzymała wspomnienie najpiękniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek widziała, spotkanej w autobusie, co najmniej pięć lat temu. Albo obraz pewnego poranka, kiedy w ciszy ulicy gęsto spowitej śniegiem dobiegł ją nagle odgłos kościelnych dzwonów i stała tam, dopóki ostatni dźwięk nie umilkł.

- I co ty na to? - powtórzył Peter.

Odczuwała tak przytłaczające zmęczenie, że z trudem zdołała otworzyć usta.

- Właśnie myślę.

Jej myśli biegły wciąż tym samym torem. Małe mieszkanko dałoby się wyposażyć niewielkim kosztem. Meble do sypialni można by przenieść nawet od niej z domu; potrzebowaliby więc tylko stołu i dwóch krzeseł, żeby jeść posiłki; biurka i lamp do nauki, dzieciennego łóżeczka, no i trochę żółtej farby w słonecz-

nym odcieniu, żeby pomalować kącik dla dziecka. Potrzeba tak niewiele...

Ale on nie chciał. Przypuszczam, że mogłabym go jakoś zmusić, myślała Jennie. Bóg wie, jak często się tak robi. A jednak żyć w ten sposób, z przymusu... W tej atmosferze wychowywać dziecko... Ono na pewno by to odczuło.

- Pomyślałaś już? - Peter wziął ją za rękę. - Masz takie zimne ręce; biedna Jennie. Och, moja biedna Jennie.

Rozplakała się. Do tej pory udawało jej się powstrzymywać łzy, płakała tylko w poduszkę, kiedy nikt jej nie widział, ale teraz nagle trysnęły jej z oczu całe potoki łez.

Położył sobie jej głowę na ramieniu.

- Kochanie, kochanie - szeptał, całując jej włosy. - Tak mi przykro. Co za głupi drań ze mnie, że cię na to wszystko naraziłem. Jennie, będziemy mieć dzieci, obiecuję ci. Zostaniesz prawnikiem i będziemy mieć dom. Będziemy mieć wszystko, co zechcemy. To dla dobra dziecka, nie rozumiesz? Znajdzie się w jakiejś wspaniałej rodzinie. Tyle małżeństw nie może mieć dzieci, chociaż tak bardzo tego pragną; starsze małżeństwa są w stanie stworzyć dziecku odpowiednie warunki. My nie jesteśmy jeszcze do tego gotowi, nie widzisz?

Obejmował ją mocno i powtarzał wciąż to samo, co mówił jej już pewnie z tuzin razy.

Wspaniała rodzina, pomyślała Jennie, będzie w stanie stworzyć dziecku odpowiednie warunki. To przecież nie to samo, co zabijanie, prawda? To życie. Dawanie życia. Wydało jej się naraz, że czuje, jakby coś poruszyło się w głębi jej ciała, chociaż był to absurd i miały minąć jeszcze miesiące, zanim rzeczywiście mogła to poczuć. A jednak ono tam było.

Po dłuższej chwili jej płacz przeszedł w głębokie, przeciągłe, ostateczne westchnienie.

- Przypuszczam, że to jest jakieś rozwiązanie. Tak. Adopcja - wymamrotała.

- Załatwimy to tak - odpowiedział Peter natychmiast. - Termin masz mniej więcej na pierwszego listopada, tak mówiłaś. Możesz tam pojechać w każdej chwili, kiedy tylko uznasz za stosowne. Nie wiem, w jak sposób wytłumaczysz to w domu, ani jak im wyjaśnisz, dlaczego nie wrócisz tu od nowego semestru, ale już coś wymyślisz.

- Tak, coś już wymyślę - odpowiedziała ze znużeniem.

- Może mogłabyś im powiedzieć, że jedziesz tam na jakiś kurs albo że dostałaś stypendium z francuskiego, czy coś w tym rodzaju. Nie wiem. Nie sądzę... chciałem powiedzieć, czy twoi rodzice orientują się cokolwiek w różnych kursach i innych takich sprawach?

- Dobrze wiesz, że nie.

- No więc, chyba sobie z tym jakoś poradzisz?

- Tak. Tak.

- No, Jennie, na drugą połowę roku już tu wrócisz. I znowu będziemy razem.

Tak sobie rozmawiali. A więc znalazło się rozwiązanie. W gorączkowej atmosferze ostatnich egzaminów, w krótkich przerwach przytulali się do siebie, zapewniając się nawzajem, że wszystko jest w porządku, nic się między nimi nie zmieniło.

A potem nastąpiło rozstanie: Peter pojechał do domu, do Georgii, Jennie do siebie, do Baltimore. Miał wrócić przed rozpoczęciem nowego semestru, przed jej wyjazdem do Nebraski.

Pod koniec lata, kiedy zbliżał się czas wyjazdu, Jennie trochę przytyła, co ucieszyło jej matkę.

- Widzisz, jak ślicznie teraz wyglądasz, kiedy nabrałaś trochę ciała? Nie będziesz się więcej odchudzać, prawda? - I dodała: - Mam nadzieję, że ta decyzja o wyjeździe jest słuszna. Nic nie wiem na temat stypendiów naukowych, ale wiem co nieco o mężczyznach. Chcę przez to powiedzieć, że kiedy ma się takiego chłopca jak Peter, to szaleństwem jest go zostawiać. Rozumiem, że to tylko na kilka miesięcy, ale mimo wszystko... - Wygłosiła to, prasując dla Jennie przyciasną już minispódniczkę.

Tata podniósł głowę znad gazety.

- Nic się nie martw, do ślubu Jennie zdąży mieć jeszcze z dziesięciu chłopaków zakochanych w niej po uszy.

Dla taty ona zawsze była cudem piękności i rozumu. Uważał Jennie za doskonałość.

A ona odpowiedziała łagodnie:

- Tak tato, tak mam, nie macie się co o mnie martwić. Wszystko w porządku.

Matka spojrzała na nią i zmarszczyła czoło.

- Ja się martwię. Jak można nie martwić się o swoje dziec-

ko? Jak będziesz miała swoje własne, to się przekonasz. -Wyglądała staro. - Kocham cię, córko.

Jennie poczuła w gardle tak wielką i bolesną kulę, że odwróciła się i schyliła nad walizką.

- Ja też cię kocham, mamó. Kocham was oboje.

Peter i Jennie spotkali się w Filadelfii, na dzień przed odlotem. Peter znowu wynajął samochód i późnym popołudniem pojechali City Line Avenue na autostradę i do motelu, w którym pierwszy raz się ze sobą kochali. W dość ponurej restauracyjce fast-food właściwie w milczeniu zjedli kolację. On trzymał hamburgera i ręce mu się trzęsły, aż w końcu połowę odłożył, jakby przełykanie sprawiało mu trudność.

- Dobrze się czujesz, Jennie?

- Tak, świetnie. Naprawdę świetnie.

- Może od razu dam ci bilety i wszystkie dokumenty, zanim je gdzieś wsadzę czy zgubię. Proszę, włóż je do torby. Wszystko tam masz, książeczkę bankową i pieniądze. Powinno ci wystarczyć. To miejsce... ten dom... jest już opłacony, nie będziesz miała żadnych dodatkowych kosztów. To jest tylko dla ciebie.

Spojrzała na książeczkę bankową, było na niej pięć tysięcy dolarów.

- To śmieszne - powiedziała. - Nie będę tyle potrzebowała. Muszę sobie kupić ze dwie ciężowe spódnice i koniec. Bluzki mogę nosić te same, tylko nie będę zapinać dolnego guzika.

Peter wpatrywał się w ścianę poza nią. Wprawiała go w zakłopotanie. Ciężowe ubrania stanowiły dla niego temat wstydlawy, mimo że znał dobrze całe jej ciało.

Jaki on jest okropnie młody, pomyślała, sama czując się duża, dojrzała, odpowiedzialna i dumna.

- Jeśli będzie ci trzeba, dostaniesz więcej - rzekł Peter, ignorując jej skrupuły. - Jedno trzeba przyznać mojemu ojcu. Jest hojny; i zawsze taki był.

Hojny. Nie zdobył się na wizytę, na list, nawet na telefon, który świadczyłby o tym, że przyjmuje do wiadomości ich sytuację i że dostrzega w Jennie istotę ludzką.

- Masz oczywiście mój domowy adres. Skontaktuj się ze mną natychmiast, gdybyś tylko czegoś potrzebowała, czegokolwiek.

- Mówiłam ci już, że niczego nie będę potrzebować.
- Nigdy nie wiadomo. Wolałbym, żebyś wzięła więcej, ale powiedziałaś, że cię to obraża.

- No i tak by było. - Wyprostowała się na krześle. - Czy mógłbyś mi przynieść jeszcze jedną szklankę mleka? Jeszcze nie wypięłam swojej dzisiejszej porcji.

- Oczywiście. - Zarumienił się.

A więc dieta ciążowa też wprawiała go w zakłopotanie. Dziwne. Ale właściwie nie takie dziwne, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, uświadomiła sobie, dotykając dłonią brzucha. To przecież ona była osobą, która musiała karmić tego... tego człowieczka. I właśnie w tym momencie człowieczek poruszył się w niej, przeciągnął, wyprostował ręce albo nogi, układając się wygodniej. Jennie się uśmiechnęła.

- Co się stało? - Peter pochwycił jej uśmiech.

- Poruszyło się.

- Och. Nie wiedziałem.

- Tak, »w pewnym momencie one zaczynają się ruszać. To się nazywa „ruchy płodu“.

Peter opuścił głowę, wyglądał na nieszczęśliwego.

- Jeszcze nic po tobie nie widać - rzekł po minucie milczenia.

- Doktor powiedział, że nie będę miała bardzo dużego brzucha.

- To dobrze?

- Tak.

- Cieszę się.

- Zjadłabym jakiś deser.

- Oczywiście.

- Tylko owoce; może być pieczone jabłko, jeżeli coś takiego tu mają.

Siedział i przyglądał się, jak jadła jabłko. Przeszło jej przez myśl, że zapamięta tę chwilę, chłód wnikający do wnętrza restauracji, daleki odgłos piorunów, zwiastujący zbliżanie się burzy, brudne zacieki na szybach, widoczne w ukośnym popołudniowym świetle... Jakiś mężczyzna wstał i spod szklanego klosza na ladzie wyjął jedną bułeczkę. To były tak zwane filadelfijskie lepkie ciastka. Położył nogi na ciężkiej walizie, stojącej obok jego krzesła. Jennie usłyszała, jak westchnął. Trochę przypominał jej tatę.

- Za chwilę będzie burza - odezwał się Peter. - Przebiegnijmy lepiej do pokoju, zanim zaczną walić pioruny.

W pokoju stało łóżko, dość szerokie, żeby pomieścić nawet trzy osoby. Przykryte było ohydną groszkowozieloną narzutą. Na wprost łóżka stał telewizor - wielkie puste oko wybałuszone na ten obskurny pokój. Kiedy byli tu pierwszy raz, wcale nie wydawał im się taki obskurny, a jednak musiał i wtedy taki być.

Tylko że wtedy byliśmy rozgorączkowani i w pośpiechu, nic poza tym do nas nie docierało, pomyślała Jennie. Nie zwracaliśmy uwagi na to, gdzie jesteśmy. On rozpiął mi sukienkę, tę czerwoną wełnianą, którą kupiłam sobie specjalnie na tę okazję. Zdjął mi buty i rozpiął stanik, właśnie tak to było, po kolei. Pamiętam wszystko; jak ubrania opadały ze mnie i jak stałam potem nago i czułam się dumna, widząc, jak on na mnie patrzy. Wszystko pamiętam.

- Może włączyć telewizor? Chciałabyś coś obejrzeć? - zapytał teraz.

- Nieszczególnie. Ale jeśli ty chcesz, to włącz.

- No, jeszcze za wcześnie, żeby iść spać.

- Wezmę gorący prysznic. Nagle zrobiło mi się zimno.

- Wygląda na to, że lato się kończy.

Dziwne, że żadne z nich nie potrafiło wykrztusić z siebie nic poza najprostszymi, banalnymi uwagami.

Utracili to, co mieli. Przynajmniej ona to utraciła. Gdzie się podziała miłość? Zamarzła. Czy miała jeszcze kiedyś odtajać?

Ubrana w szlafrok i skulona w kłębek na łóżku, oglądała sztukę w telewizji publicznej. Była to piękna angielska sztuka, we wspaniałej obsadzie, rozgrywająca się w cudownej scenerii, wśród pól, alejek i domów z kamienia. We wnętrzach wisiały portrety rodzinne, w kominkach o ozdobnych, rzeźbionych gzymsach płonął ogień, przed kominkami wylegiwały się wielkie czarne retrievery. Obraz trwałości i bezpieczeństwa. Czy w takich miejscach ktokolwiek mógł czuć się samotny i zagubiony?

Jennie oglądała sztukę, lecz jednocześnie obserwowała Petera. Ekran telewizora świecił migotliwie w ciemnym pokoju i rzucał jasny refleks na jego twarz. Jest taki młody, pomyślała po raz któryś z kolei. Zbyt młody, by móc przeciwstawić się swej rodzinie. Ja jestem znacznie dojrzalsza wewnątrz. Dla-

czego tak jest? Czy kobieta zawsze musi być dojrzała? Tyle pytań, na które nie ma odpowiedzi! Zresztą, co za różnica? Jest tak jak jest. Jesteśmy, kim jesteśmy. Rodzina ma go w ręku. A mnie moja także, chociaż z innych przyczyn. Jest rok 1969 i robimy rzeczy, które jeszcze dziesięć lat temu byłyby raczej niepodobieństwem. Są ludzie, którzy potrafią robić to, co chcą bez lęku i bez wstydu, ale pewnie wszyscy oni pochodzą z „liberalnych” rodzin, które ich w ten sposób wychowały. Nie wiem. W każdym razie więcej jest takich jak my niż takich jak oni. Tylko że to o nich jest głośno. Sztuka się skończyła.

- Piękne - powiedział Peter. - Angolicy się na tym znają, prawda? - I dodał: - Kiedyś pojedziemy razem do Anglii. Na pewno ci się tam spodoba, zobaczysz Cotswolds, jeziora i wrzosowiska.

Kiedy już leżeli w łóżku, przytulił ją i wiedziała, że czeka na jakiś odzew z jej strony. Położyła mu głowę na piersi. Parę zimnych łez spłynęło jej po skroniach. Wygasł w niej nie tylko smutek, ale i pożądanie, czuła się odrętwiała. To był skutek stresu. Czytała gdzieś, że podczas ciąży kobiety odczuwają jeszcze silniejsze pożądanie niż normalnie. W innych okolicznościach pewnie i z nimi by tak było. Wspólnie myśleliby o przyszłości, spędzaliby razem dużo czasu, razem mieszkali.

Znowu zaczęła drzeć. Peter pogłaskał jej włosy.

- Jennie, Jennie, wszystko będzie dobrze. Wrócisz i będzie tak samo jak przedtem.

Mówił to już tyle razy, a ona mu wierzyła, bo chciała wierzyć. Teraz nagle pojęła, że już nic nie będzie tak samo. Nie umiała wytłumaczyć, skąd wiedziała, że wszystko między nimi się skończyło. Czy on naprawdę wierzył, że pojedą razem do Anglii czy gdziekolwiek? Podejrzewała, że tak, bo chciał w to wierzyć.

Ale kiedy coś umiera, to nie należy przedłużać cierpienia. Strach okaleczył to, co nas łączyło. Teraz więc niech umiera w spokoju.

Przytulał ją. Leżeli, obejmując się, i po pewnym czasie zasnęli.

Rano Peter odwiózł ją na lotnisko. Kiedy uściskali się na pożegnanie i Jennie szła do samolotu, odwróciła się jeszcze,

żeby na niego popatrzeć. Widziała ruch jego ust, kiedy mówił: Będę pisać, chociaż oczywiście już tego nie słyszała. Pomachał jej ręką, jakby chciał ją pocieszyć i dodać ducha. Wiedziała, że więcej go nie zobaczy.

Dom, w którym się znalazła, należał kiedyś do bogatego człowieka. Była to obszerna rezydencja o rozległych skrzydłach, zbudowana w stylu króla Jerzego. Dostała jeden z najlepszych pokoi, pojedynczy, z oknem wychodzącym na gęstwę jesiennych drzew, złotych i czerwonych dębów i klonów. Z drugiego okna widać było boczną aleję dojazdową, mogła więc obserwować, jak dziewczęta przyjeżdżają i odjeżdżają - a niektóre z nich były naprawdę jeszcze dziewczynkami, najwyżej czternastoletnimi. Przyjeżdżały tu, tak jak ona, żeby się ukryć. Zajeżdżały lincolny, cadillaki i mercedesy, widać było elegancko ubranych rodziców i kosztowne bagaże. Pobyt w tym miejscu musiał kosztować majątek. No, ale przecież rodzice Petera są hojni, prawda?

Pierwszego wieczora po przyjeździe Jennie czuła się tak bezgranicznie samotna, że musiała walczyć ze sobą, by nie zadzwonić do domu. Już nawet zaczęła wykręcać numer. W duchu słyszała już nawet, jak płacze: Mamo! Tato! Pomóżcie mi, chcę powiedzieć wam prawdę. Lecz zaraz pomyślała o wysokim ciśnieniu taty, o jego nerkach, o pieniądzach, o czynszu za sklep, o tym, jak daliby sobie radę, gdyby się rozchorował i nie mógł pracować... I pomyślała, że musi przejść przez to wszystko sama.

A jednak mocne postanowienie nie wystarczyło. Pierwszego dnia po obudzeniu miała wrażenie, że otacza ją gęsta, szara chmura, która nie dopuszcza do niej blasku słońca. Marzyła tylko o tym, by przykryć się na głowę i zostać w łóżku, z trudem zmusiła się, żeby wstać. Gdzie podziała się jej dotychczasowa odwaga, która pozwalała dzielnie to wszystko znosić? Teraz robiło jej się zimno od niesprecyzowanych, bezimiennych lęków. Przyszłość była pustką. Kim będzie po tym, jak urodzi dziecko? Jaką osobą stanie się wówczas Jennie i jaki będzie cel jej życia?

Przygnębienie oblepiało ją niczym pajęczyna, kiedy wykony-

wała różne codzienne czynności. To było dobre miejsce i ludzie byli tu mili. Nikt nie zadawał pytań. Niektóre z młodych kobiet, oczekujących na rozwiązanie, miały ochotę pogawędzić z nią o sobie, inne wołały zachować milczenie. Rozglądając się po zgromadzonych w jadalni pensjonariuszkach, pomyślała, że historia każdej z nich, choć zasadniczo taka sama, to jednak w każdym przypadku musi być nieco inna. Rozmaite wariacje na ten sam temat.

Peter pisał do niej. Jego listy pełne były zapewnień i upomnień, żeby o siebie dbała; krzyżyki pod spodem oznaczały całusy. Równie dobrze mógłby wcale nie pisać. W odpowiedzi pisała mu same banały: Miejsce jest sympatyczne, jedzenie dobre, ze mną wszystko w porządku. To też były puste słowa, bez znaczenia. Kiedy dostała czwarty czy piąty list, pomyślała, że nie warto nawet odpisywać.

W drugim tygodniu pobytu wysłano ją do opiekunki-terapeutki. Pani Burt była energiczną młodą kobietą. Na ścianie za biurkiem wisiał cały zestaw jej dyplomów. Podczas pierwszej wizyty rozmowa dotyczyła głównie spraw konkretnych, takich jak opieka lekarska, data porodu czy proponowana adopcja; potem jednak Jennie odważyła się na zwierzenia.

- Czy to nie straszne z mojej strony, że nie odpowiadam mu na listy? Ale moim zdaniem to nie ma sensu. - I dalej mówiła: - Nie rozumiem, co się stało. Gdzie podziała się miłość? Przecież chciałam spędzić z nim całe życie. Mogłam za niego umrzeć. A teraz... - Ukryła twarz w dłoniach.

- Masz prawo płakać - powiedziała pani Burt. Ale Jennie miała suche oczy.

- Teraz już nie płaczę. To wszystko mam za sobą. Tylko że teraz jest znacznie gorzej. Mam poczucie, jakby nic się nie liczyło. Przestałam nawet myśleć o dziecku, chociaż przedtem tak dbałam o prawidłowe odżywianie, żeby tylko było zdrowe. Teraz nie odczuwam głodu, nawet nie staram się jeść.

- Może nic się teraz dla ciebie nie liczy, ale liczysz się ty sama. - Kobieta mówiła łagodnie i krzepiąco zarazem. - Ty sama jesteś wszystkim, co masz, Jennie. Wiesz o tym? To „ja” jest wszystkim, co każdy z nas posiada. Bo jeśli to się rozpadnie, nie pozostaje w nas już nic, co moglibyśmy komuś ofiarować. A więc, jeżeli nie chcesz pisać ani z nikim rozmawiać, to

jest to twoja decyzja i masz do niej prawo, nie musisz czuć się winna. Jennie podniosła wzrok. Może gdyby mama była taka, mogłaby powiedzieć jej prawdę. Tylko że ta młoda Amerykanka na pewno nie była tak okaleczona jak mama, nie straciła rodziców w komorach gazowych i nie uciekała przez Pireneje wraz z grupą obcych ludzi. Lepiej więc zostawić mamę w spokoju.

- Dziękuję - powiedziała tylko.

- Czujesz się winna za wszystko, Jennie. Przede wszystkim za to, że jesteś tu, gdzie jesteś; za to, co robisz rodzicom, za przerwana naukę, no za całą tę sytuację. Czujesz też gniew - aż się w tobie gotuje, chociaż nie chcesz tego przyznać. Ale pozwól sobie na gniew! Dlatego jesteś w depresji, bo to tłumisz.

- Pani uważa, że jestem w depresji?

- Oczywiście, kochanie. Zapewniam cię, że tu depresje zdarzają się bardzo często. Depresja to gniew skierowany do wewnątrz. Wiedziałaś o tym, Jennie?

- Nie.

- Ale tak właśnie jest. A więc, jeżeli ci to szybko nie minie, będziemy musieli ci jakoś pomóc. Wydaje mi się jednak, że to przejdzie; jesteś mocna, dasz sobie radę.

I po pewnym czasie depresja rzeczywiście minęła. Któregoś ranka, po obudzeniu, Jennie stwierdziła, że szara chmura znikła. Pytanie, czy jeszcze wróci, pozostawało otwarte, na razie jednak znikła. Jennie otworzyła okno i wyjrzała na dwór; był to jeden z pierwszych zimowych dni. Popatrzyła na zaśnieżone świerki i na ptaki, które przysiadły na karmniku i trzepotały skrzydłami. Poczowała, że ma ochotę na śniadanie i na spacer na świeżym powietrzu gdzie było zimno i rześko. Wiele mieszkających tu dziewcząt unikało centrum handlowego, gdyż obawiały się, że ludzie zgadną, skąd są, i będą się na nie gapić. Tego ranka Jennie zupełnie się tym nie przejmowała.

- Ten czas należy wykorzystać, a nie marnować go - powiedziała jej pani Burt. I poradziła: - Może postarasz się o książki i pouczysz się na zapas tych przedmiotów, które będziesz miała w programie, kiedy w lutym wrócisz na uczelnię.

Podjęła więc pierwsze pieniądze z sumy, którą Mendesowie

zdeponowali dla niej w tutejszym banku. Potem, zaopatrzona w odpowiednie fundusze, poszła poszperać w księgarni i wróciła, kupiwszy *Lincolna* Sandburga, sztuki Tennessee Williamsa i grubą, świeżo wydaną powieść. Ułożyła książki na szafce, gdzie mogła je podziwiać i cieszyć się, bo nie musiała zwracać ich do biblioteki. A potem usiadła, zaopatrzona w pudełko czekoladek, a nie tylko batonik, i zaczęła czytać.

Peter napisał do niej znowu, tym razem z wiadomością, że w lutym przenosi się na uniwersytet Emory w Atlancie. Nie rozumiał, dlaczego Jennie tak długo się nie odzywa. Bardzo prosił, żeby dała mu znać, czy nic złego się nie stało.

Przenieśli go. Zrobili to, aby go z nią rozdzielić, żeby go już więcej nie kalala. W ten sposób rodzina będzie go miała na oku. Próbowwała wyobrazić sobie ich rozmowy. Czy odbywały się przy lśniącem stole w jadalni? Nie, tam byłby ich służący Spencer, a nie rozmawialiby przecież w jego obecności. Może więc przed kominkiem, pod portretem przodka. A może próbowali przemówić synowi do rozumu w tym pokoju, gdzie leżał kwiecisty dywan. Biedny chłopak. Jennie czuła pogardę dla nich wszystkich.

Czy on naprawdę wierzył w to, co mówił - że przyjdzie czas, gdy znów będą razem i po tym wszystkim będą żyć, jakby nic się nie stało i jakby się wcale nie zmienili? Tak, może on naprawdę w to wierzył, w ten sposób było mu znacznie łatwiej.

Termin jej porodu był już coraz bliżej. Mniej myślała teraz o ojcu dziecka, coraz więcej zaś o samym dziecku i o innych dzieciach, które miały się tu urodzić i zostać oddane do adopcji. W ich życiu wszystko było sprawą przypadku, od chwili poczęcia aż do momentu, gdy przekazane zostaną obcym ludziom, których przeszłość miały odziedziczyć i których wpływ miał je kształtować. No ale czyż przypadek nie rządził także tymi, których nikomu nie oddawano?

Któregoś dnia rano wezwano ją do pani Burt, która powitała ją uśmiechem, zdradzającym niezwykle zadowolenie.

- Mamy małżeństwo, które chce wziąć twoje dziecko, Jennie. Uważamy, że są to cudowni ludzie, naprawdę wspaniali. Czy chciałabyś się czegoś o nich dowiedzieć?

Jennie splotła ręce na swym małym, szpiczastym brzuchu.

Coś poruszyło się pod jej dłońmi, kopnęło lekko, plusnęło i uspokoiło się. Było to ostrzeżenie, przypomnienie czy prośba?

Pani Burt musiała odczytać z jej ust niemy krzyk: „Nie, nie mogę... nie mogę się z tobą rozstać. Boże, powiedz mi, jak mam to zrobić”, popatrzyła bowiem ze współczuciem.

- Czy na pewno chcesz rozmawiać o tym właśnie teraz? Jeśli nie masz ochoty, to nie musimy.

Tylko że musisz mieć ochotę, prawda? Nie ma już powrotu. No bo dokąd wracać? Nie chcesz tego zrobić, Jennie, ale wiesz, że to jest najlepsze rozwiązanie. Przemyślałaś to już setki razy.

Podniosła głowę, wyprostowała się i powiedziała wyraźnie:

- Proszę, niech pani mówi. Chcę wiedzieć.

- On jest lekarzem, a ona bibliotekarką i chce przerwać pracę na parę lat, dopóki dziecko nie pójdzie do szkoły. Są już siedem lat po ślubie i do tej pory nie udało jej się zająć w ciążę. To dobry, pełen miłości związek. Dużo podróżują, jeżdżą na nartach, chodzą po górach. - Pani Burt przerwała.

- Niech pani mówi dalej - poprosiła Jennie. To jest bibliotekarka, a więc w domu będą książki.

- Jak wiesz, staramy się wybierać dziecku rodzinę z tego samego środowiska, a nawet, o ile to możliwe, o podobnym wyglądzie. Ci państwo oboje mają ciemne włosy; ona ma nawet kręcone, tak jak ty. Są średniego wzrostu i oczywiście zdrowi. Oboje są Żydami. Chcesz słuchać dalej?

- Tak, proszę.

- Mieszkają na dalekim Zachodzie. Dom jest bardzo ładny, nie jakiś szczególnie bogaty, ale dziecku niczego tam nie będzie brakować. Jest duże podwórko, dobra szkoła i duża, kochająca się rodzina złożona z dziadków, ciotek, wujków i kuzynów. Sprawdziliśmy to wszystko jak najstaranniej.

- Przypuszczam, że oni też chcieli dowiedzieć się czegoś o mnie i o... ojcu dziecka. - Oczywiście. I bardzo chcą wziąć twoje dziecko.

Jennie potrząsnęła głową. Dziwne. Zabiorą go... albo ją... gdzieś daleko i te dziewięć miesięcy spędzonych razem zniknie, jakby ich nigdy nie było.

- Gdybyś chciała zmienić zdanie, będziesz miała jeszcze na to masę czasu, gdy dziecko już się urodzi.

- Nie. Tak już musi być. Pani o tym wie.

- Nic nie musi być. Uważam jednak, i obie chyba zgadzamy się co do tego, że jest to rozwiązanie dobre dla wszystkich zainteresowanych.

- Ja myślę... - Jennie przełknęła ślinę i nieoczekiwanie poczuła kulę w gardle. - Myślę... proszę powiedzieć doktorowi, że ja wcale nie chcę dziecka widzieć.

Pani Burt patrzyła na nią życzliwie i łagodnym tonem powiedziała:

- Tak pewnie będzie najlepiej. W takich okolicznościach często to doradzamy.

- Dobrze, więc nie zapomni pani powiedzieć doktorowi?

- Nie, Jennie, powiem mu.

Będąc w centrum handlowym, kilkakrotnie zdarzyło się jej, że zaglądała do wózków i przystawała, zagadując młode matki, żeby tylko móc przyjrzeć się niemowlętom. Stała i wpatrywała się w różową albo czerwoną twarzyczkę czterokilogramowej istotki, która wierciła się albo spała słodko pod kocykiem. I za każdym razem przeżywała rozdarcie pomiędzy decyzją, którą podjęła w takim bólu, a bezgranicznym smutkiem, że musi rozstać się z tym, co wciąż było z nią równie mocno związane, jak jej ręce czy nogi.

Któregoś dnia, idąc do księgarni, wstąpiła do sklepu i kupiła żółte śpioszki oraz kocyk do wózka w tym samym kolorze.

- To dla mojej przyjaciółki - powiedziała i w tym momencie uderzyło ją, że w tak szokujący sposób fałszuje prawdę o sobie. - Chciałabym dać jej to, zanim urodzi. Żółty może być i dla dziewczynki, i dla chłopca, prawda? I chciałabym jeszcze tamtą czapeczkę, tak, tę haftowaną.

Sprzedawczyni spojrzała na stary płaszcz Jennie, który teraz z trudem się dopinał.

- Ta czapeczka jest droga, to ręczny haft.

- To nie szkodzi, poproszę.

Najdroższa, czemu nie?, dla wnuka Mendesów może być najdroższa, pomyślała z goryczą; zaraz jednak odpędziła tę myśl. To brzydko, Jennie, stać cię na to, żeby tak nie myśleć.

Tego wieczora w pokoju długo przyglądała się swej twarzy w lustrze. Czy coś z tej twarzy oddziedziczy jej dziecko? Może będzie miało okrągłą buzię jak ona, a może kwadratową jak jej

matka; opalizujące oczy Petera, albo - nie daj Boże - ostre i przenikliwe jego matki.

Po jakimś czasie wstała i zaczęła pisać list.

Kochane Dziecko

Mam nadzieję, że rodzice, którzy cię wychowują, dadzą Ci ten list, kiedy będziesz już w takim wieku, że go zrozumiesz. Matka, która Cię urodzi i ... - zaczęła pisać „mężczyzna”, ale poprawiła i napisała „chłopiec” -...który Cię spłodził, są ludźmi dobrymi, lecz niemądrymi i mam nadzieję, że Ty będziesz mądrzejsze. Byliśmy zbyt młodzi, by umieć wpasować cię w nasze życie. Możliwe, że byliśmy także zbyt samolubni, nie chcąc nic zmieniać w swoich dotychczasowych planach. Znaleźli się tacy, którzy chcieli, żebym się Ciebie pozbyła - przerywając ciążę - ja jednak nie mogłam tego zrobić. Moje dziecko rosło już we mnie i musiałam pozwolić, żeby urosło i się urodziło. Musiałam mu pozwolić, żeby miało swe własne życie. Wierzę z całego serca, że będzie ono wspaniałe. Oddam Cię tylko takim wspaniałym ludziom, którzy będą Cię chcieli i którzy zrobią dla Ciebie więcej, niż ja mogłabym zrobić. Mam nadzieję, że zrozumiesz - robię to z miłości do Ciebie, chociaż może nie bardzo wygląda to na miłość. Ale tak jest, moja córko, lub synu, naprawdę tak jest.

Potem, nie podpisując listu, włożyła go do pudełka z haftowaną czapeczką, zamknęła je i na nowo przewiązała wstążką.

Zabrali ją w środku nocy. Poród był krótki. Bóle trwały mniej więcej cztery godziny: nasilały się, aż pod koniec stały się prawie nie do zniesienia. Jennie zagryzała wargi i ze wszystkich sił spoconymi rękami rozpaczliwie ścisnęła poręcz łóżka. Wreszcie tuż przed świtem poczuła ostatni, okropny skurcz, a potem nagle przyszła ulga i wyzwolenie. Kiedy leżała i odpoczywała po tym prawie nieludzkim wysiłku, usłyszała żalosny płacz, a potem jakiś głos, dochodzący jakby z daleka, powiedział:

- Masz córkę, Jennie. Piękna dziewczyna, trzy kilo pięćdziesiąt.

Była strasznie, strasznie zmęczona, uniosła się jednak na łokciu i zobaczyła niewyraźny, rozmyty obraz: pielęgniarka albo lekarz, ktoś w białym fartuchu, wynosił właśnie coś małego, zawiniętego w kocyk.

- Czy wszystko ma tak jak trzeba? - wyszeptała.
- Tak, wszystko w porządku. Ma dziesięć paluszków u rączek, dziesięć u nóżek i dobre płuca; słyszałaś, jak płakała.
- Na pewno nie ma żadnej wady?
- Na pewno. Jest w idealnym stanie. Dobrze się spisałaś, Jennie.

Wróciła do domu. Wycofała z banku pieniądze Mendesów; było to ponad cztery tysiące dolarów, wydała dotąd tylko pięćset. Pomyślała najpierw, żeby zwrócić tę resztę wraz z uprzejmym, chłodnym liścikiem, okazując tym samym swą niezależność i pogardę. Potem jednak zastanowiła się nad tym głębiej i powiedziała sobie: bądź praktyczna! Mama ją tego uczyła i coś w niej pozostało. Te pieniądze mogły w części pokryć jej studia prawnicze. W tym roku i w przyszłym będzie pracować w czasie wakacji i postara się odkładać każdy grosik. A kiedy tata coś jej dołoży, cokolwiek by to było - jakoś da sobie radę. Będzie musiała. Teraz chciała tylko tego - i to bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Wracała do domu autobusem, bo tak było najtaniej. Był listopad, jechała dwa dni, cały czas marznąc. Przejeżdżali bocznymi ulicami jakichś zaniedbanych miast, potem znów wyjeżdżali na autostradę. Słychać było śpiew mokrych opon; mijali gołe, bezlistne drzewa, śmieci na poboczach i złomowiska.

Nagle, na pustym polu koło jakiegoś walącego się domu, zauważyła dwa konie wyglądające przez ogrodzenie. Jeden z nich odrzucił wspaniałą, jedwabiście lśniącą głowę, zarżał i poderwał się do biegu, a drugi ruszył za nim. I tak, z czystej radości, galopowały po tym pustym polu.

Zapamiętam tę scenę, pomyślała Jennie. To jedna z tych dziwnych, drobnych rzeczy, jakie zapadają w pamięć. Może to jest znak?

W domu zastała wszystko po staremu. Ćwiczyła, co powie, jak wróci, i rodzice przyjęli to bez żadnych podejrzeń.

- Dobrze, że już będziesz bliżej - powiedział tata.
- Co wcale nie znaczy, że tak cię znowu często widzimy, ale miło jest wiedzieć, że to tylko dwie godziny drogi - poprawiła mama.

Tata zauważył, że Jennie schudła, na co mama orzekła, że

szkoda, ale co zrobić z tymi młodymi dziewczynami? Wszystkie chcą być płaskie jak deski.

- Nasza córka studentka, niech ją Bóg błogosławi. Jedno tylko mnie martwi. Zerwałaś z Peterem, prawda? Znalazłaś sobie innego?

- Na pierwsze pytanie tak; na drugie nie. Mam masę czasu, mamo. Nie popędzaj mnie. - Jennie uśmiechnęła się do nich. Miało to znaczyć: Widzicie, jaka jestem młoda i beztroska?

- Kto cię popędza? Chciałam tylko wiedzieć.

- No więc, po prostu przestałam go lubić. Gdyby kiedykolwiek zadzwonił, powiedzcie mu, że mnie nie ma. Możecie powiedzieć, że wyjechałam do Meksyku albo do Afganistanu.

Peter nie zadzwonił, ale znowu napisał, pytając, dlaczego nie odpowiedziała na jego ostatni list. Przeczytała to jeszcze raz. Pytał, co się stało, czy nie chce go znać? Niepokoił się o jej zdrowie, pisał, że ją kocha. Przykro mu, że nie wróci do Pensylwanii, ale może uda mu się wpaść chociaż na parę dni w czasie przerwy świątecznej. Na temat dalszej przyszłości nie było żadnej wzmianki.

I tyle zostało z cudownych miesięcy i wspaniałych obietnic! Musiało to być wszystko dziecinne i bez wartości, jeśli się w ten sposób skończyło. A wieczorem, kiedy już leżała w łóżku, wciskała twarz w twarde materac, by powstrzymać łzy. Nie mogła przecież pokazać się rano z oczami czerwonymi od płaczu.

Jej cierpienie ustępowało bardzo powoli, a na to miejsce wpełzał tępy gniew. Peter nawet nie zapytał o dziecko, pytał tylko o jej zdrowie, jakby była po zwykłej chorobie czy po operacji. Nie, Mendesowie nie chcieli nawet słyszeć o dziecku, to było jasne. I przerobili już swojego syna, całkiem go sobie podporządkowali. Biedny, słaby Peter. I biedne dziecko...

Ale dziecku nie dzieje się żadna krzywda, przypomniawszy sobie Jennie. Było zadbane i kochane, bezpieczne gdzieś na tym nieznanym Zachodzie. Spojrzała na globus, który jeszcze od czasu szkoły podstawowej stał u niej na biurku. Zachód jest rozległy. W San Diego były palmy i ocean. Salt Lake City otaczały ośnieżone góry. Portland? Nazywano je Miastem Róż. Miło byłoby pomyśleć, że dziecko wychowuje się w mieście o tak pięknej nazwie.

Któregoś dnia podarła w drobne strzępy listy Petera, porozdawała wszystko, co od niego dostała i usiadła przy biurku. Napisała do niego pożegnalny list, dziwiąc się przy tym, że żegna i nie obwinia. Nic nie wspomniała o dziecku. Najwyraźniej bał się o nie pytać, nie zasłużył więc, żeby wiedzieć.

Kiedy zakleiła kopertę i przylepiła znaczek, poczuła się dumna, stanowcza i dojrzała. Przeszłość była przeszłością. Teraz miała przed sobą przyszłość. Nie było Petera i nie było dziecka. To wcale się nie zdarzyło.

Zdarzyło się.

Co teraz zrobić? Niedługo mam wyjść za mąż, życie mi się ułożyło, mam w nim wytyczony cel. Dlaczego musi się to zdarzyć akurat teraz? Dlaczego w ogóle ma się to zdarzyć? Och Boże, proszę, nie pozwól, żeby się zdarzyło...

Potem ukryła twarz w dłoniach i zaczęła głośno łkać.

Po chwili wstała, nałożyła spodnie i kurtkę i wyszła na ulicę. Lodowaty wicher wiał od East River, a może nawet aż od Hudsonu. Otuliła się kurtką ciaśniej, szła szybko, potem zaczęła biec. Nie wiedziała, dokąd biegnie, ale musiała być w ruchu. Do domu mogła wrócić dopiero, kiedy będzie zupełnie wykończona.

Na ulicach panował spokój. Od czasu do czasu ze świstem opon przejechał jakiś samochód. Dwa groźne ślepie zbliżały się, kiedy nadjeżdżał, dwa małe czerwone ogniki znikwały, gdy się oddalał. W domach świeciło się jeszcze tylko gdzieś tam. W tych ciemnych, trzydziestopiętrowych fortecach ludzie pogrążeni już byli we śnie. Dawno minęła północ.

Nie spał tylko wielki szpital, potężny, ciemny masyw na tle chmurnego, wietrznego nieba. Kiedy biegła, widziała oświetlone okna w różnych miejscach tego wielkiego budynku, i to rozpraszało trochę jej strach. Wracając wieczorem do domu, zawsze tędy przechodziła i zawsze wyobrażała sobie z całą wyrazistością, co może dziać się za tymi oknami.

Teraz, gdy zbliżała się do podjazdu dla pogotowia, musiała się zatrzymać. Pobocze było zablokowane przez samochody policyjne, karetki i zwarty tłum gapiów, który nie wiadomo skąd zebrał się tu o tej godzinie. Zobaczyła, że o parę metrów od niej właśnie podnoszą nosze; nastąpiło pewne zamieszanie wśród

postaci w białych fartuchach. Potem na syrenie podjechała kolejna karetka; i znowu nosze. Przez moment Jennie widziała długie, czarne włosy i przerażającą, krwawą maskę w miejscu, gdzie powinna być twarz.

Zrobiło jej się gorąco, a w ustach poczuła jakby słony smak krwi. Odwróciła się, ale zaraz, wbrew własnej woli, znów popatrzyła w tamtą stronę.

- Proszę się rozejść - zarządził policjant, żeby usunąć zgromadzonych na chodniku ludzi. Była wśród nich kobieta, która płakała, zasłoniwszy oczy dłonią. Jakiś mężczyzna odszedł, przeklinając głośno obowiązujące prawo.

- Wyszedł tylko na przepustkę. Na dziesięć dni. Włamał się do domu i poderżnął im gardła, a ją jeszcze przedtem zgwałcił. Mąż podobno nie żyje...

Jennie nie chciała tego dalej słuchać i pobiegła dalej. Wciąż miała w oczach tę zmasakrowaną twarz... Wybiegła na środek ulicy, unikając furtek i podjazdów i pędziła, jakby ją ktoś gonił.

Kiedy biegiem pokonała schody i zatrzasnęła za sobą drzwi, była zupełnie wykończona. Ale ten koszmar przed szpitalem przywrócił jej problemom ich rzeczywisty wymiar. Makabryczna nocna scena, krzyki, zakrwawiona twarz... Jej własny kłopot, tamta rozmowa przez telefon, wydawały się teraz niczym.

Powrócił jej zdrowy rozsądek. Victoria Jill Miller przeżyła bez niej dziewiętnaście lat i z pewnością zdoła żyć bez niej nadal. Lepiej dla niej, jeśli nie będzie znać Jennie. Mogło jej się wydawać, że chce zobaczyć swą prawdziwą matkę, ale doprowadziłoby to tylko do uczuciowego wstrząsu. Te komitety pomocy adoptowanym to banda intrygantów. Co taki komitet może wiedzieć o jej straszliwej męce i rozpacz sprzed lat? W każdym razie to nie ich interes. Jakie mieli prawo wkraczać teraz i zachęcać tę małą do ingerencji w jej życie?

Mam tyle do roboty, pomyślała Jennie i od razu poczuła związane z tym napięcie. Ta sprawa była taka okropnie ważna. Jay czuł się za nią odpowiedzialny, powiedział już wszystkim, jaką to Jennie jest świetną prawniczką i teraz musiała tego dowieść. Nie będzie to wcale łatwe. Ci przedsiębiorcy stanowią potężną klikę, mówił Jay. Będą ostro walczyć. Muszę się doskonale przygotować, nie mogę stracić nawet minuty. Zabiorę się do tego jutro od samego rana. Porozumiem się ze specjali-

stami, z inżynierami od spraw wodnych, ruchu, dróg, jak to wszystko wygląda. Najważniejsze to zacząć. Nie mogę pozwolić by cokolwiek innego mnie teraz blokowało. Po prostu nie mogę.

Przeżywała wewnętrzną huśtawkę, myśląc: skoro odmówiłam spotkania z tą dziewczyną, ona pewnie przemyśli to jeszcze raz i da sobie spokój. Pewnie już więcej nie zadzwonią. A gdyby zadzwonili, będę po prostu powtarzać to, co im już mówiłam, aż się wreszcie zniechęcą. Ale na pewno już nie zadzwonią.

A jeśli tak?

4

Dwa tygodnie później Jennie wybrała się znowu na północ stanu, na zebranie komisji planowania. Mimo poczucia, że zdążyła się wystarczająco dobrze przygotować, bo wszystkie inne sprawy odłożyła na bok, chciała jednak mieć przy sobie Jaya.

- Wolałabym, żebyś ze mną pojechał. Na pewno nie możesz?

- Na pewno. W tym tygodniu codziennie muszę być w sądzie. Ale świetnie dasz sobie radę beze mnie. Przed zebraniem tata zaprosił całe towarzystwo na kolację, żeby cię wszystkim przedstawić i żebyś miała czas wszechstronnie omówić z nimi tę sprawę. Oczarujesz ich, moja mała Jennie.

- Nie w tym rzecz, żeby ich oczarować. Będą raczej patrzyli na skutki.

- Postaraj się tak samo, jak w tej sprawie z Long Island, to zobaczą skutki. No już, Jennie! Zobaczysz, że padną.

„New York Times” podawał, że temperatury w północnej części stanu wahają się od dwunastu do piętnastu stopni poniżej zera. Jej najcieplejszy płaszcz miał dwa lata, ale wciąż dobrze się prezentował, tylko mankiety były trochę przetarte. Stała przed otwartą szafą oglądała rękaw, rozważając różne za i przeciw, aż nagle cisnęła płaszcz i wyszła, żeby kupić nowy. Odczuwała coś, co rzadko jej się zdarzało - potrzebę zrobienia sobie przyjemności. Wyruszyła więc w kierunku Fifth Avenue, gdzie bez większego trudu znalazła szokująco piękny, rudy wełniany płaszcz podbity futrem i spódnicę w podobnym kolorze. Do

tego dobrała kremowy kaszmirowy sweter i kremową bluzkę z ciężkiego jedwabiu. Wracając do domu, nadłożyła drogi i wstąpiła na lody do stylowej lodziarni, jakby żywcem przeniesionej z przełomu wieków; takie lokale, udekorowane kosztami paproci, stawały się teraz popularne. Jennie zaszalała dziś po raz drugi i zafundowała sobie olbrzymią porcję przepysznego, słodkiego deseru - bitej śmietany z czekoladą. Coś słodkiego na pociechę.

Jeżeli komukolwiek należy się coś na pociechę, to tym kimś jestem ja, powiedziała sobie w duchu. Już od dwóch tygodni czuła się jak na huśtawce. Zadzwoń? Nie zadzwoń? Przychodziły jej do głowy wspomnienia strasznych chwil na egzaminach, kiedy czekała na rozdanie tematów i myślała gorączkowo: Zdam? Nie zdam? Skończyła deser czekoladowy i poszła do domu się pakować.

Shirley obejrzała zakupy i wyraziła aprobatę.

- To wystrzałowe ubranie. A do tego załóż teraz perły.

- Perły? Jadę na urzędowe spotkanie w małym miasteczku.

- No to na samo spotkanie możesz je zdjąć, ale z tą bluzką i ze swetrem wyglądają świetnie. Nie sądzisz, że byłoby ładnie, gdybyś pokazała swojej teściowej...

- Ale ona nie jest moją teściową.

- Nie bądź taka drobiazgowa. Za dwa miesiące już będzie i byłoby ładnie, gdybyś pokazała, że doceniasz jej prezent.

- W porządku, może tak zrobię.

Wiedziała jednak, że tego nie zrobi. Dlaczego? Dlatego, że coś jej przeszkadzało; miała poczucie, że się pod kogoś podszywa i że w gruncie rzeczy wcale na te perły nie zasługuje. Dlatego właśnie nie mogła ich założyć.

Ojciec Jaya czekał na nią na stacji. Na polach leżała lśniąca warstewka śniegu, wierzchołki wzgórz były w śnieżnych czapach.

- W tym roku wcześniej mamy śnieg - zauważył starszy pan. - Teraz wygląda całkiem inaczej, niż kiedy tu byliście. I spoglądając na Jennie, dodał: - Ślicznie dzisiaj wyglądasz.

- Dziękuję.

Przyjęła ten komplement poważnie, nie była to bowiem zdawkowa uprzejmość, lecz wyraz rzeczywistego podziwu.

To wszystko pozór, nie jestem tą osobą na jaką wyglądam. Jestem intruzem, tak samo jak dziewiętnaście lat temu w Georgii.

W ciągu tych dziewiętnastu lat zdążyła pozbyć się wszelkich wspomnień związanych z Peterem, wymazała je jak gumką. Tylko raz się zdarzyło, że na stole w bibliotece ktoś zostawił książkę zawierającą spis amerykańskich uczonych i Jennie zajrzała wtedy pod literę M. Zrobiła to z czystej ciekawości, Peter nic już jej nie obchodził, tak przynajmniej starała samą siebie przekonać. Znalazła go tam pod hasłem Peter Algernon Men-des, wraz z całą listą jego tytułów naukowych i spisem publikacji. Zdobył już sobie miejsce w archeologii, tak jak zamierzał, i teraz - a przynajmniej tak było trzy czy cztery lata temu - wykładał w Chicago. A więc oboje osiągnęliśmy to, na czym nam zależało, pomyślała. I nic nam nie zostało z tego szalonego zakochania - a może nawet była to prawdziwa miłość? Gdybyśmy wtedy zostali ze sobą, czy teraz nadal byłibyśmy razem? Gdyby tak się stało, to ta dziewczyna, ta Victoria Jill - co za dziwaczne imię - też byłaby teraz z nami i nie musiałaby szukać nas po całym kraju.

- Enid zaprosiła cały tłum ludzi - mówił Arthur Wolfe. - Nasz komitet rozrasta się tak, że nawet mnie to zadziwia, ale ta sprawa naprawdę ludzi bulwersuje. Zdumiewające, jak głośno zrobiło się na ten temat od czasu, kiedy tu byliście. Obydwie strony obkleiły całe miasto plakatami. Gazety też oczywiście włączyły się do walki. Koncern prasowy, do którego należy z pół tuzina liberalnych gazet w tym hrabstwie, jest za utrzymaniem tych terenów w stanie naturalnym, ale miejscowa gazeta popiera inwestycje. Przykro mi to mówić, ale staje się to coraz bardziej nieprzyjemne. Ostatnio rozmawia się tu głównie o tym - więcej niż o Rosji, rozbrojeniu czy o wyborach.

Kiedy dojechali na miejsce, zdążył już zapaść wieczór. Podjazd zapchany był samochodami, wiele innych stało na ulicy. Świeciło się we wszystkich oknach, dom stojący pośród ciemnych, szumiących drzew był rozświetlony i jakby zapraszał do środka.

Taki dom to bezpieczna przystań - jeśli się do niego należy, pomyślała Jennie.

Przyjemny gwar rozmów słychać było, jeszcze zanim Enid otworzyła drzwi i z radością zawołała na powitanie:

- Ach, więc jesteś, Jennie! Goście nie mogą się już ciebie doczekać. Wejdz.

W pokojach zastała około pięćdziesięciu osób. Jennie pomyślała, że jest to pewnie cała śmietanka towarzyska miasteczka: dwóch lekarzy, dyrektor szkoły zbiorczej, jacyś nauczyciele, właściciel sklepu, kierownik przedszkola, hodowca choinek i kilku hodowców krów. W sumie grupa ludzi, których niewątpliwie łączyła jedna sprawa: potrzeba zachowania dla przyszłości pewnej części ziemi w jej naturalnym stanie.

Dostała od razu gorącego rumu, po czym gospodarze obeszlili z nią gości i dokonali prezentacji. Potem zabrali ją do jadalni, gdzie na długim stole urządzony był bufet.

- Jak zauważyłaś, nie ma tu prawników - odezwał się ojciec Jaya, podczas gdy nakładali sobie na talerze indyka, pudding kukurydziany i sałatkę. - Mówiłem ci, odsuwają się od nas. Nie widzą w tym dla siebie korzyści.

- Więc musieliście wypuścić się daleko, aż do Nowego Jorku, żeby sprowadzić mnie. - Jennie się uśmiechnęła.

- Tak, i bardzo się cieszymy, że tak się stało. Jay mówił mi, że pracowałaś nad tym nawet więcej niż zazwyczaj, szukając specjalistów, którzy mogliby być świadkami w naszej sprawie.

- To nie było takie trudne. Na szczęście ci sami inżynierowie, którzy robili badania w mojej sprawie z Long Island, okazali się chętni i gotowi do współpracy. Będą tutaj dziś wieczorem.

Na twarzy starszego pana odmalował się wyraz podziwu.

- Muszę pogratulować mojemu synowi. On zawsze znał się na ludziach. Chodźmy, chciałbym, żebyś porozmawiała teraz przez chwilę z naszym najlepszym przyjacielem z rady miejskiej. Przedstawiłem was sobie, kiedy tylko weszłaś, pamiętasz? George Cromwell, ten który stoi z tą kobietą w plisowanej spódnicy. On jest dentystą. Ma taką energię, jaką kiedyś ja miałem.

Cromwell, jak wszyscy pozostali, ubrany był zgodnie z miejscową modą w wełniane ubranie, sweter i grube buty. Jego gęste siwe włosy kontrastowały z pulchną, gładką twarzą; jak na swój wiek, wyglądał młodo.

- Wydaje mi się, że powinniście porozmawiać i uzgodnić strategię - oświadczył Arthur Wolfe. - Może weźmiecie swoje

talerze i pójdziecie na werandę? Dopilnuję, żeby nikt wam nie przeszkadzał.

- Czy mogę mówić pani po imieniu, Jennie? Ja jestem George - zaczął Cromwell.

- Oczywiście.

- Zdaje się, że wkrótce będę mógł ci pogratulować. Podobno nie mówi się jeszcze o tym oficjalnie, dopóki nie dostaniesz zaręczynowego pierścienia, ale ja jestem ich starym przyjacielem, więc dopuścili mnie do tajemnicy. Wiesz, ci Wolfe'owie to wspaniali ludzie, nie tacy jak inni letnicy. Nie chodzi o to, że mamy tu zbyt wielu letników - jesteśmy dla nich trochę za daleko. Wolfe'owie świetnie przystosowali się do życia w tym miasteczku. Wspierali finansowo policję i ochotniczą straż pożarną. Co tam, Arthur nawet sam był strażakiem, jak był młodszy.

Jennie zerknęła na zegarek i George to zauważył.

- No dobrze, a więc do rzeczy - powiedział. - Czy może chciałabyś mnie o coś zapytać?

- Tylko o ludzi, których szczególnie powinnam przekonać.

- A więc przede wszystkim burmistrza. To oczywiste, że chcielibyśmy mieć go po swojej stronie. Od niego zależy, za kim opowiedzą się prawie wszyscy pozostali.

Jennie kiwnęła głową.

- Bo przecież to on nadzoruje finanse, wyznacza komisarza policji i tak dalej. - A więc wiesz dobrze, o co chodzi. Powinnaś jednak wiedzieć, jakiego typu człowiekiem jest nasz burmistrz. Cóż, muszę przyznać, że ja nie darzę go specjalną sympatią. Nigdy go nie lubiłem. Nazywa się Chuck Anderson, jest właścicielem dwóch stacji benzynowych, tutaj i po drugiej stronie jeziora. Tak wygląda, jak się nazywa. Nie wiem dlaczego, ale imię Chuck zawsze mi się kojarzy z kimś kłótliwym i prostackim. Oczywiście, mogę się mylić. Twoje imię na przykład kojarzy mi się z małym, brązowym strzyżkiem, a ty niewątpliwie nie jesteś tym ptaszkiem, moja pani.

- Powiedz mi, proszę, kto wchodzi w skład komisji planowania. - Jennie starała się nie okazywać swego zniecierpliwienia.

- Wszystkich ich dziś tutaj poznałaś. Komisja planowania jest niejednorodna - część z nich to ludzie naprawdę wysokiej klasy, ale reszta to ludzie Chucka. On sam nigdy specjalnie o tę

komisję nie dbał, ponieważ pracują tam bez żadnego wynagrodzenia. Idźmy dalej, jest tam bibliotekarz, Albert Buzard, następny to Jack Fuller, właściciel największej farmy mlecznej, osiem kilometrów na północ od miasta. Ci będą po naszej stronie.

- No a co z resztą?

- Cóż, szczerze mówiąc, będzie to zależało od tego, czy potrafisz ich poruszyć i rozpałić. Słyszałem, że już coś takiego robiłaś. W każdym razie będą zaskoczeni, kiedy zobaczą kobietę. W tym mieście nigdy nie było kobiety-prawnika.

No, nieźle, pomyślała Jennie, kryjąc rozbawienie.

- Rada może okazać się silniejsza niż komisja planowania. Więc nawet jeśli wygrasz dziś wieczorem, to i tak będziesz musiała się liczyć z opinią rady. Oni wszyscy też tu będą.

Arthur Wolfe uchylił drzwi i zajrzał do środka.

- Czas zaczynać. Podobno napływają tłumy ludzi, więc musieli przenieść zebranie do szkolnej auli.

- Hoho! - George potrząsnął głową. - To naprawdę duży budynek, szkoła zbiorcza. A więc masz przed sobą trudne zadanie, Jennie.

Parking był prawie pełny, a gęsty tłum ludzi, poubieranych w długie buty i wełniane czapki, nieprzerwanym strumieniem napływał do budynku typowej małomiasteczkowej amerykańskiej szkoły, z czerwonej cegły, o białych gzymsach i framugach.

- Spójrz tylko na to! - Arthur Wolfe zachichotał.

Przed samą szkołą stał stary, zdezelowany samochód, ochlapany śniegową breją i oblepiony hasłami: Gówno mnie obchodzi kaczkę; Głosujcie na ludzi, pal diabli szopy: Pocałujcie mnie w dupę.

Enid była wyraźnie zmartwiona.

- To się robi naprawdę wstrętne. Słyszałam, że przedsiębiorcy sprowadzili na to spotkanie ludzi, którzy nawet nie mieszkają w okolicy miasta.

- Wstrętne, to prawda. Ale trzeba też spojrzeć na to z drugiej strony. Człowiekowi, który widzi dla siebie perspektywę pracy i zarobków na kilka lat, trudno jest wytłumaczyć, że my mamy na względzie dobro całej wspólnoty i przyszłych pokoleń. Wejdz w położenie takiego człowieka, jeśli potrafisz - powiedział Arthur Wolfe.

Jennie westchnęła.

- Potrafię. Co dzień pracuję z ludźmi, którym brakuje wszystkiego. Tu także mogłabym przeżywać wewnętrzny konflikt, gdyby nie moje głębokie przekonanie, że na dłuższą metę to my mamy rację. Ale, tak jak mówisz, trudno to wytłumaczyć ludziom, którzy potrzebują różnych rzeczy już teraz.

I Arthur, który właśnie pomagał jakimś dwóm kobietom, ślizgającym się na oblodzonym chodniku, powtórzył przyjazne ostrzeżenie Cromwella:

- Masz przed sobą trudne zadanie.

Projekt zagospodarowania terenu został przedstawiony zebranym za pomocą dużej mapy i pałeczki do wskazywania. Przewidywał on budowę pięciuset mieszkań w obrębie wspólnotowych osiedli siedemdziesięciu pięciu oddzielnych domków jednorodzinnych, budowę zapory i stworzenie zalewu, pól golfowych, kortów tenisowych, basenów i toru narciarskiego.

Członkowie komisji siedzieli w jednym rzędzie, na podwyższeniu, z którego zwykle dyrektor przewodził szkolnym apelom, mając z jednej strony flagę amerykańską, z drugiej zaś sztandar szkoły. Wszyscy mieli ten sam, godny wyraz twarzy. W pewnym momencie Jennie pochwyciła wzrok jednego z nich, kiedy na nią patrzył. Wszyscy ci mężczyźni w średnim wieku uważali prawdopodobnie, że jej miejsce jest teraz w domu, gdzie powinna przygotowywać na jutro lunch dla swoich dzieci.

Zaczynała się trzecia godzina spotkania. Jak to było w zwyczaju, eksperci przedstawili już swoje poglądy: inżynierowie od spraw środowiska odczytali raporty techniczne, zabrali głos inżynierowie konsultanci, geodeci i rozmaici specjaliści od planowania. Jennie wystąpiła z wieloma dociekliwymi pytaniami, nie ustępował jej w tym pełnomocnik przedsiębiorców - firmy Barker. Publiczność, która przez cały czas słuchała na stojąco, zaczynała się niecierpliwić. Teraz oni chcieli zabrać głos; chcieli, żeby coś zaczęło się wreszcie dziać.

- Przewidziany jest pewien porządek zebrania, którego musimy przestrzegać - powiedział przewodniczący. - Wydaje mi się, że nadeszły listy, które mają być tu publicznie odczytane. Bardzo proszę, panie McVee.

- Tylko jeden list, od Davida i Rebeki Pyle, z datą czwartego września.

Szanowny Panie,

Piszemy ten list, aby wyrazić swe zaniepokojenie przewidywanym zagospodarowaniem Zielonych Moczarów. Nasza farma sąsiaduje ze wzmiankowanym terenem i położona jest niżej niż jego północna część, dlatego obawiamy się, że w razie melioracji bagna i powiększenia jeziora zasoby wody mogą zostać uszczuplone bądź zanieczyszczone, co stanowi niebezpieczeństwo dla naszego stada dojnych krów. Obecnie mamy czyste jezioro, zachowane w stanie naturalnym i nie wolno dopuścić, aby zostało zniszczone i stało się siedliskiem chorób.

Jeśli przedsiębiorca naprawdę wierzy, że nic takiego nie będzie miało miejsca, powinien naszym zdaniem złożyć pisemną gwarancję, że prace na tym terenie nie wyrządzą szkód, i zobowiązać się do poniesienia wszelkich kosztów, gdyby jednak stało się inaczej.

Ufamy, że ta komisja podejmie słuszną decyzję dla ochrony naszych interesów.

Z poważaniem

David i Rebecca Pyle

Ten list dotyka kwestii prawnych, pomyślała Jennie. Musieli się już kogoś radzić.

- Czy może pan to skomentować, panie Schultz? - padło pytanie z podium.

Pełnomocnik Barkera zerwał się na nogi, zanim jeszcze przebrzmiało pytanie. Był to młody człowiek, mniej więcej w wieku Jennie. Ubrany w sweter, a na to marynarkę, wszystko starannie dobrane w tutejszym zgrzebnym stylu, nieco znoszone, ale nie zanadto. Miał ujmujący sposób bycia.

- Chodzi o tę pisemną gwarancję, panie przewodniczący?

- Tak, jeśli pan łaskaw.

Pan Schultz uśmiechnął się i uniósł brwi w lekkim zdumieniu.

- Cóż, proszę pana, jak wszyscy wiemy, czegoś takiego się nie praktykuje. Nasz dorobek jest naszym świadectwem i to powinno wystarczyć. Firma Barker buduje osiedla mieszkalno-re-

kreacyjne na terenie Pensylwanii, New Jersey, całej Nowej Anglii i na Florydzie. To jakość tych prac tworzy dobre imię i opinię firmy.

- Panie przewodniczący, czy mogę zabrać głos? - odezwała się Jennie.
- To nie jest odpowiedź na rzeczowe pytanie zawarte w tym liście. Mamy do czynienia z poważnym problemem, który usiłowałam tu państwu dzisiaj przedstawić. Musimy się dowiedzieć dokładnie wszystkiego, co wiąże się z opadaniem poziomu wody, z głębokością lustra wody i tak dalej, i tak dalej, jeżeli mieliby tu budować zgodnie ze swoim planem. Stwierdzam, że pan Schulz nie przywiózł ze sobą eksperta od spraw wodnych, który mógłby wydać na ten temat opinię.

- Panie przewodniczący, pan Bailey wypowiedział się w tej kwestii dość obszernie; jest on inżynierem o odpowiednich kwalifikacjach.

- Nie jest jednak specjalistą od spraw wodnych - Jennie nie ustępowała.

Schultz wzruszył lekko ramionami, jakby mówił, o co to całe zamieszanie?

- Można spokojnie uznać, że jest specjalistą w zupełnie wystarczającym stopniu. Nie sądziliśmy, że spotkamy się tu... z tak, rzekłbym, drobiazgowymi zarzutami. Oczekiwaliśmy, że zostaniemy przyjęci entuzjastycznie i nadal nie tracę na to nadziei, ponieważ dążymy do rozwoju tego miasta i większość obywateli miasta to rozumie.

Jennie potrząsnęła głową, wciąż patrząc na przewodniczącego.

- A jednak są tu obywatele, którzy widzą te sprawy inaczej. To nie są prości ludzie, których łatwo omamić. Prócz zastrzeżeń, które już słyszeliśmy, mają jeszcze inne obawy i wątpliwości: listy do gazet...

W tym momencie przerwał jej jakiś ochryply głos, tak donośny, że zdumiał wszystkich zgromadzonych.

- Ani oni za mnie nie mówią, ani pani!

Wszystkie głowy odwróciły się w tamtą stronę. W trzecim rzędzie stał mężczyzna o postawie tak śmiałej i wyzywającej, jakby właśnie zaserwował i czekał, kto złapie piłkę. Wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat, był dość przystojny, miał mocną, zdecydowaną twarz, gęste czarne włosy i kilkudniowy,

ciemny zarost. Ubrany był w czarną skórzaną kurtkę, typowy strój motocyklistów spod ciemnej gwiazdy; a spod rozpiętej kurtki widać było przybrudzoną koszulę, opinającą jego mocny tors.

- Proszę zwracać się wyłącznie do przewodniczącego, a nie do kogokolwiek innego - skarcił go zdumiony przewodniczący.

- W porządku. Po prostu powiem, co ja o tym myślę. Na diabła nam potrzebny ten cały komitet ochrony środowiska! A do tego jeszcze zgraja obcych, co przyjechali z Nowego Jorku. Zależy im, żeby nikt nie zarobił tu ani dolara, co? Jasne, im na niczym nie zbywa, to co ich to obchodzi? Lachę na to kładą!

Z sali odezwały się głosy protestu.

- Dlaczego jak z Nowego Jorku to od razu obcy? Czy to jest inny kraj?

- Proszę o ciszę!

- On wie, co mówi!

- Cholera, on ma rację.

- Powinno się stąd wyrzucić tego durnia!

- Dobry z ciebie chłopak, Bruce!

- Och, zamknijcie się!

- Proszę o spokój! Trzeba mieć trochę szacunku!

- Pan zachowuje się karygodnie, panie Fisher. Proszę powściągnąć nieco swój język albo usiąść.

Przewodniczący energicznie stuknął młotkiem w stół. Przywrócono porządek i podjęto dyskusję. Ktoś zapytał o planowane inwestycje rekreacyjne, na co pan Schultz odpowiedział, że przewidziany jest budynek klubowy, boisko do gry w baseballa i sporty wodne na powiększonym jeziorze.

- Wszystko to do użytku nabywców? - zapytała Jennie.

- Cóż, tak, będzie to wspólnota klubowa, działająca na podobnych zasadach jak wszystkie inne kluby.

- Obecnie jednak - zauważyła łagodnie Jennie - tereny te są dostępne dla każdego, służą wypoczynkowi wszystkich obywateli. Wasza inwestycja im to odbierze, z czego, jak sądzę, należy zdać sobie sprawę.

Ochrypli głos odezwał się znowu. Fisher zerwał się z miejsca i drwiąco wykrzyknął:

- Dla wszystkich! Tylko dla garstki świrów, którzy mają fioła na punkcie przyrody. Zgraja komunistów z miasta przyje-

zdza tutaj i rozprawia o środowisku, a jakby przyszło co do czego, to nie odróżniliby sowy od tchórza. Komuniści i koniec. Są przeciwko postępowi i przeciwko prywatnej własności. Ludzie chcą inwestować, mają prawo ulokować swoje pieniądze; ten kraj zbudowali ludzie podobni do przedsiębiorców z firmy Barkera.

Młody pan Schultz przybrał wyraz łaskawej aprobaty, mającej oznaczać, że przyjmuje tę pochwałę do wiadomości.

Sytuacja staje się coraz bardziej zwariowana, pomyślała Jenny.

- Jeszcze raz powtarzam, panie Fisher, proszę usiąść. - Przewodniczący podniósł głos.

Fisher to zignorował.

- A pani jest tylko płatną szczekaczką, panno Beluski, czy jak się tam pani nazywa, nie potrafię tego wymówić. Ja nie jestem bogaczem, jak ci faceci, co panią wynajęli.

Podniosły się krzyki:

- To wstyd! - ale było też słycać oklaski.

- To wbrew porządkowi zebrania - krzyczał przewodniczący. Zaczerwienił się, a jego łagodna twarz wyrażała teraz zmieszanie.

- Reprezentuję tu grupę obywateli tego miasta, przejętych sprawami swej okolicy, a siłą najemną jestem w takim samym stopniu jak pan Schultz.

Starając się zachowywać przepisowo, Jennie zwróciła się do przewodniczącego, nie zaś do Fishera.

- Płatna szczekaczką! - powtórzył Fisher pogardliwie.

- Panie Fisher! - Przewodniczący wstał z miejsca. - Zostanie pan usunięty z sali, jeżeli pan nie usiądzie i nie będzie cicho.

Fisher usiadł. Jennie obserwowała go kątem oka. To, co dostrzegła, to był ekstrakt nienawiści. Ale dlaczego? Ten głos... Mężczyzna musiał mieć około dwóch metrów wzrostu, a ta czarna skórzana kurtka nieuchronnie kojarzyła się z przemocą. Przeszedł ją dreszcz. Co za głupota... to tylko zwykły chuligan, swego rodzaju przypadek psychiatryczny. W jej pracy takie rzeczy się zdarzają.

- Jest już późno - oświadczył przewodniczący. - Czas na krótkie podsumowanie, jeżeli któreś z prawników zechce się

o to pokusić. Następnie komisja zbada sprawę i do końca miesiąca przedstawi raport. Panie Schultz?

Schultz mówił krótko.

- Właściwie nie mam nic do dodania. Firma Barker działa, opierając się na swej dobrej opinii i gotowości do zainwestowania tutaj pokaźnych pieniędzy. Wykazuje tym samym wiarę w przyszłość tego miasta, gdy będzie wkraczało - do czego wszyscy się przygotowujemy - w następny wiek. Mamy nadzieję, że przesadna troska o środowisko naturalne nie stanie się przeszkodą w działaniach dla dobra ludzi. Jest to czułościowa postawa pewnej elity, która bardziej dba o naturę - sarny czy wędrujące ptaki - niż o ludzi. Dziękuję komisji za uwagę

i opuszczam to spotkanie z ufnością, że będziecie państwo głosować na rzecz postępu - zakończył uprzejmie, tonem mającym zjednać mu sympatię obecnych.

Jennie zamierzała mówić krótko i konkretnie, ale ubrana w gładkie słówka przewrotność jej przeciwnika, w połączeniu z jego poprzednim wrogim wystąpieniem, głęboko nią wstrząsnęły. Kiedy więc wstała i zaczęła mówić, głos jej drżał.

- Panie przewodniczący, jest to dla waszego miasta historyczny moment. Decyzja, jaką podejmiecie państwo w omawianej przez nas kwestii, będzie na tyle ważna, że każdy z was ją zapamięta. Jestem w pełni świadoma wątpliwości, jakie nurtują niektórych z was. Chcecie pracy, a ci ludzie wam ją obiecują. Przypominam jednak, że będzie to praca krótko terminowa. W rzeczywistości inwestorzy nie rozwiążą waszych problemów; pojawią się tu i znikną, a wszystko razem potrwa może dwa lata. Świadoma jestem także, że jeśli Zielone Moczary zostaną zniszczone, nie będzie to jeszcze koniec świata. Będzie to jednak koniec pewnej jego części - tego świata, który jest wam bliski.

Publiczność milczała, wszyscy słuchali. Członkowie komisji wychylali się z miejsc i obserwowali Jennie.

- Nawet gdyby okazało się prawdą że ta inwestycja nie wpłynie na poziom lustra wody, to są jeszcze inne sprawy, z którymi należy się liczyć. Proszę tylko pomyśleć! Cały ten wspaniały teren i stworzenia, które tu żyły przez tysiące lat, znikną na zawsze. Przestrzeń i spokój, które służyły wam i waszym dzieciom...

Ku swemu zdumieniu Jennie zauważyła, że sama jest tym szczerze przejęta. Przypomniała sobie tamten ranek, kiedy stała razem z Jayem na szczycie wzniesienia, z którego widać było bagno, jezioro i drzewa ociekające wilgocią; bezmiar mglistej zieleni, rozciągający się jak okiem sięgnąć aż po linię milczących wzgórz na północy.

Na moment oddała się wspomnieniom. Tamtego ranka czuła się tak swobodna, jakby miała skrzydła. Wtedy jeszcze nie ciążyło na niej to brzemie, nie wisiało nad nią widmo katastrofy. Teraz ciemna chmura niepokoju ogarnęła ją znowu, a lęk ścisnął za gardło. Nagle straciła wątek i w panice przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Wszyscy czekali...

Na szczęście miłosierna pamięć podsunęła jej zagubioną myśl i Jennie mówiła dalej.

- Nie byłoby w porządku, gdyby to wszystko zostało oddane w drodze głosowania, w zamian za dolary, które szybko się wyczerpią. Dajmy przynajmniej szansę państwu, aby objęło te tereny ochroną, tak żeby i inni, jeszcze po latach, mogli tu spacerować, pływać, łowić ryby, obserwować ptaki i zmieniające się pory roku. Proszę was, panowie, zaklinam was, abyście odrzucili tę ofertę.

Kiedy Jennie skończyła mówić, przez kilka sekund panowała niezwykła, znacząca cisza, nie słychać było kasłania, szurania butami, szelestu papierków. Twarze wszystkich osób siedzących na podium zwrócone były w jej stronę i Jennie olśniła myśl: Przecież oni wszyscy wyglądają na zaskoczonych!

- Dziękuję pani bardzo - powiedział przewodniczący, powstawszy z miejsca. - Dziękuję wszystkim obecnym. Zamykam dzisiejsze zebranie.

Jennie powoli torowała sobie drogę wśród tłumu prącego do wyjścia. Niektórzy jej gratulowali.

- Uczę szóstą klasę i staram się wpoić moim uczniom zrozumienie dla spraw, o których pani tu mówiła.

- Trafiła pani w samo sedno.

- Zgadza się z panią w stu procentach.

Ale też widziała, że inni mają zacięty wyraz twarzy, patrzą na nią z wyraźną dezaprobatą lub rozmyślnie odwracają głowy.

Daleko z przodu, u stóp niskich schodów prowadzących do przedsionka, zauważyła Wolfe'ów, którzy na nią czekali. Nagle

poczuła się zmęczona i wcale nie była już pewna, czy udało jej się coś osiągnąć. I właśnie wtedy, kiedy schodziła po schodach, ktoś ją grubiańsko popchnął. Potknęła się, zachwiała i wpadła na mężczyznę idącego przed nią. Tylko to, że ją złapał, uchroniło ją od upadku. Krzyknęła z wściekłości i przerażenia, a odwróciwszy się, zobaczyła tuż za sobą znajomą twarz - wilgotne, czerwone wargi i ciemne, popsute zęby. Był to mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce; śmiał się.

- No, co pan... - zaczęła. - Co pan sobie w ogóle wyobraża? Nie przestając się śmiać, kuksnął ją łokciem w bok, przebił się przez ciżbę i wybiegł głównymi drzwiami.

Kiedy dotarła do miejsca, gdzie czekali Wolfe'owie, wciąż jeszcze waliło jej serce. Oboje byli czerwoni z przejęcia i Jennie, z niewiadomej nawet dla niej przyczyny, ukryła przed nimi swoje rozdrażnienie.

- Jennie! Byłaś cudowna! - wykrzyknęła Enid. - Naprawdę. Niech no tylko Jay się dowie!

Zaczął padać śnieg. Było bezwietrznie i lepkie, mokre płatki padały już pewnie od paru godzin, kiedy siedzieli na zebraniu, bo oblodzony chodnik pokryty był teraz warstwą miękkiego puchu, podobnie jak samochód. Jennie i Enid wsiadły do środka, podczas gdy Arthur oskrobywał szyby.

- Naprawdę sędzę, że poruszyłaś członków komisji. Specjalnie obserwowałam ich twarze i niektórych jestem zupełnie pewna. A co do przewodniczącego, nie mam najmniejszych wątpliwości - powiedziała Enid.

- On prawdopodobnie od samego początku był po mojej stronie, zanim jeszcze zdążyłam powiedzieć choć słowo - zauważyła Jennie.

- Dobrze, może i tak, ale pozostali nie byli zdecydowani, wiem o tym. Pan Sands potakująco kiwał głową, kiedy kolejno mówiłaś o różnych sprawach.

Arthur uruchomił samochód i włączyli się w sznur pojazdów wolno wyjeżdżających z parkingu.

- Tak, dałaś im trochę do myślenia - przyznali zgodnie oboje. - Dobrze, że przeciwstawiłaś się temu Schultzowi. To spryciarz! Wie, jak z ludźmi rozmawiać, żeby ich przekonać.

Jennie miała wrażenie, że przez zasłonę śniegu widzi zdezelowany samochód, pokryty napisami, i swego wroga siedzą-

cego za kierownicą. Wielka twarz, zaokrąglone ramiona... ale może nie...

- Kim był ten mężczyzna w skórzanej kurtce, który narobił tyle zamieszania? - zapytała.

- Ach, to typ spod ciemnej gwiazdy - Arthur Wolfe westchnął. - Nazywa się Bruce Fisher i jest kuzynem naszego burmistrza. Mieszka w ruderze na skrawku ziemi, przylegającym od tej strony do Zielonych Moczarów. Sądzę, że musiał dostać jakąś korzystną propozycję. Jest to dość oczywiste, bo jego teren jest płaski i sąsiaduje z jeziorem, nadaje się na dobry dojazd, podczas gdy w innych miejscach droga musiałaby prowadzić stromo pod górę. On nie chce teraz dopuścić, żeby cokolwiek pokrzyżowało te plany.

Cokolwiek albo ktokolwiek, pomyślała Jennie. Przecież on najwyraźniej chciał mnie zepchnąć ze schodów! Istne szaleństwo! No jasne, że szaleństwo. Ale zdarza się, że ktoś kogoś wpycha pod pociąg, więc niby dlaczego nie to?

- Wiele razy był już w konflikcie z prawem - ciągnął Arthur. - Parę lat przesiedział w więzieniu. Chyba Chuck postarał się, żeby go wcześniej zwolniono. Śmieszne, bo oni wcale nie są ze sobą w bliskich stosunkach - przynajmniej na oko sądząc. Chuck nie zaprosiłby na przykład Bruce'a do siebie na obiad; a jednak trzymają się razem. Kiedyś Bruce wycelował strzelbę w dzieci, które przez jego teren szły na skróty nad jezioro. Chuck wyciszył tę sprawę. Bruce żył z jakąś kobietą, dopóki nie przesadził i nie pobił jej o jeden raz za dużo, odtąd jest sam. Właściwie należałoby dodać, że mieszka z parą pitbullterierów, wyszkolonych przez niego psów morderców. Krótko mówiąc, niezbyt sympatyczny facet.

- Czy w tym podsumowaniu moje podejście nie było zbyt emocjonalne? - zapytała Jennie, chcąc zmienić temat. - Czuję się, jakbym słuchała samej siebie, raz po raz, od początku. Więc jak było?

- Mój Boże, nie - powiedziała Enid. - Było akurat tak, jak trzeba.

- Ale nie bądź zbyt dobrej myśli - ostudził ją Arthur. - Nawet jeśli pozyskasz sobie komisję planowania, to i tak ostateczne głosowanie należeć będzie do rady miejskiej. A on będą

twardzi. Nie możesz nie doceniać naszego burmistrza. Chuck lubi pieniądze.

- Podobnie jak większość ludzi - rzekła Jennie.

- Tak, ale mam wrażenie, że on lubi je bardziej niż większość z nas. Nie byłoby wcale dziwne, gdyby sprzedał swój głos, tak samo jego kumple, których mógłbym wymienić po nazwiskach, ale tego nie zrobię.

- Firma Barkera cieszy się dobrą opinią - myślała głośno Jennie. - Wątpię, czy chcieliby ryzykować, że ją stracą, przekupując burmistrza jakiegoś małego miasteczka. Mają w planie znacznie większe inwestycje niż ta tutaj.

- To wcale nie musi być przekupstwo. Po prostu korzystna propozycja, złożona kuzynowi burmistrza, jak już mówiłem. Na przykład suma równa dziesięciokrotnej wartości jego gruntów. Propozycja całkowicie legalna. - Powinna być sama na to wpaść.

Arthur zatrzymał samochód przed frontowymi drzwiami domu. Stojące tam w doniczkach iglaki wyglądały teraz jak małe, białe piramidki.

- Ja odstawię samochód, a ty może przygotowałabyś nam przez ten czas trochę rumu na gorąco, co Enid? W taki wieczór jak dziś dobrze nam to zrobi.

- Tak - powiedział, kiedy siedzieli potem razem w kuchni i grzali sobie ręce, trzymając cynowe kubki z gorącym rumem. - Tak, mogłabyś nadal zajmować się takimi sprawami i zdobyć sobie nazwisko właśnie w tej dziedzinie prawa, Jennie. Ty to czujesz, a wiadomo, że problemy nabrzmiewają i konfliktów tego typu będzie coraz więcej, ponieważ nasza planeta robi się coraz bardziej zatłoczona. - Zamilkł na chwilę. - Nie jest łatwo dalekosięzną wizję przeciwstawić doraźnym korzyściom. Większość ludzi nie ma wcale ochoty wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał świat, kiedy ich już nie będzie. - Nie zatrzymuj jej, Arthurze - upomniała go Enid. - Spójrz, czy jej się zamykają. Idź się położyć, Jennie.

A jednak Jennie nie mogła jeszcze usnąć. Leżała w łóżku, w przytulnym mansardowym pokoiku z małym oknem i ukośnym sufitem i wsłuchiwała się w ostatnie dźwięki nocy. Ktoś wypuścił psa, żeby obszczekał wszystko, co uda mu się napotkać, potem ktoś wpuścił go z powrotem i zatrzasnął drzwi;

w końcu słyhać było kroki na schodach. Odgłosy domowego życia, zwyczajne i krzepiące. To pierwszy raz, kiedy Jennie była z rodzicami Jaya pod jego nieobecność. I właśnie ten prosty fakt, że znalazła się tu teraz niejako gość, lecz jako członek rodziny, że siedziała z nimi w kuchni i spała pod ich dachem -oznaczał dla niej, że ją w pełni akceptują, był czymś więcej niż jakikolwiek prezent czy wyrazy uprzejmości.

I równie nagle w to ciepłe i krzepiące doznanie wtargnęła groźna chmura lęku, otoczyła ją i zmroziła.

Ona jest w Nowym Jorku... Chce się z panią zobaczyć.

5

Wieczorami, kiedy tylko w domu zadzwonił telefon, Jennie pędziła, żeby go odebrać, z nadzieją, że dzwoni Jay. I tak na ogół było. W tych dniach jednak działo się inaczej, zdała sobie bowiem sprawę, że naiwnością jest sądzić, iż pan Riley więcej już nie zatelefonuje.

Ale tym razem był to Jay.

- Właśnie skończyłem rozmawiać z tatą, a potem dał mi do telefonu George'a Cromwella. Wszyscy są zachwyceni tym, jak zajęłaś się sprawą. Oni są zachwyceni, a ja jestem dumny.

- Tak się cieszę, Jay.

- Teraz posłuchaj, zdecydowałem, że jutro jest na to świetny dzień. Pójdziemy kupić pierścionek. Chciałbym spotkać się z tobą o trzeciej, na dole, przed moim biurem. I żadnych protestów nie przyjmuję do wiadomości. Możemy przejść się do Cartiera.

Odłożyła słuchawkę i jeszcze przez chwilę siedziała przy telefonie, chcąc rozeznąć się w swoich uczuciach. Do Cartiera. Po pierścionek, żeby ich więź, tak mocna i bliska stała się oficjalnie uznanym faktem. Powinna być teraz w stanie niczym niezmaconej łaski, była przecież najszcześniejszą z kobiet! Błędem i absurdem byłoby dopuścić, aby lęk czy cokolwiek innego zniszczyło jej radość...

Telefon zadzwonił znowu.

- Panna Rakowsky? - zapytała jakaś kobieta.

Tym razem kobieta, ale Jennie i tak wiedziała, zanim jeszcze tamta zdążyła powiedzieć następne słowo. Wiedziała od razu.

- Nazywam się Emma Dunn. Pan Riley rozmawiał z panią jakiś czas temu; przekazał tę sprawę mnie.

Tę sprawę. Stanowię jedną ze spraw w kartotece pracownika socjalnego.

- Nie ma żadnej sprawy - powiedziała Jennie.

- Cóż, nie musimy tego tak nazywać. Istnieje jednak problem, mimo że istnieć nie powinien. Czy myślała pani jeszcze o tym?

Udawaj pewną siebie. Nie dopuść, żeby wyczuła twoje wahanie i lęk.

- Tak, myślałam. Dałam już panu Rileyowi odpowiedź i nie zmieniałam zdania.

- Mieliśmy wielką nadzieję, że je pani zmieni, jeśli zostawimy pani trochę czasu do namysłu.

- Sądzę, że wyraziłam się jasno. - Głos Jennie zabrzmiał surowo. - Ta... ta kwestia została ustalona wiele lat temu. Był to układ zawarty poufnie i miał być trwały. Chciałabym, żeby tak pozostało.

- To taka urocza dziewczyna. Gdyby tylko mogła ją pani zobaczyć...

- Proszę posłuchać, czy pani wie, co pani robi? Rozdrapuje pani starą ranę, i jest to okrutne z pani strony. Czy pani nie zdaje sobie z tego sprawy?

Powinna skończyć rozmowę; po prostu cisnąć słuchawką, żeby ta natrętna obca kobieta miała za swoje. Tylko że nic dobrego by z tego nie wynikło. Dzwoniliby nadal. Może nawet któregoś dnia, wracając z pracy, zastałaby kogoś z nich pod drzwiami. Może akurat byłby z nią Jay. Jennie aż wzdrygnęła się na tę myśl. Teraz, gdy zaczęła mówić, głos jej drżał.

- Miałam osiemnaście lat, byłam zupełnie sama. Jego rodzina mnie nie chciała; nie byłam dla nich dość dobra, a on był bezradnym dzieckiem, które nie mogło mi pomóc. Moi rodzice, nieszczęśni ludzie... Proszę posłuchać, musiałam wtedy sama uporać się z tym kłopotem i właściwie nikt mi wtedy nie pomógł! Teraz też jakoś się z tym uporam i będę walczyć, jeśli nie będzie innego wyjścia. Więc może wreszcie zostawicie mnie w spokoju? Mogę panią o to prosić?

Głos w słuchawce brzmiał teraz pojednawczo.

- Ależ nikt nie chce z panią walczyć, panno Rakowsky. Wręcz przeciwnie. Pani córka chce powitać panią z miłością, bardzo tego pragnie.

- Pan Riley mówił, że niczego jej nie trzeba. A zresztą, ja i tak nie mam pieniędzy - powiedziała Jennie i natychmiast tego pożałowała. Jej słowa zabrzmiały zbyt szorstko, wcale tego nie chciała.

- To nie pieniędzy Jill oczekuje od pani.

Nie chciała wiedzieć; chciała tylko uwolnić się od tego wszystkiego, a jednak coś kazało jej zapytać:

- Czy nie jest szczęśliwa w tamtej rodzinie?

- Ach nie, to zupełnie nie o to chodzi. Prawdę mówiąc, rodzina rozumie, że Jill pragnie poznać prawdziwych rodziców.

- Rodzina ją rozumie! A kto pomyśli o tym, czego ja pragnę i jakie są moje potrzeby? To jest zamknięty rozdział w moim życiu... - Jennie nie mogła już wydobyć głosu z gardła.

Kobieta musiała to zauważyć, bo odezwała się ze współczuciem:

- A może przyszlaby pani do nas do biura, żeby porozmawiać? Rozmowa przez telefon to za mało. Patrząc sobie nawzajem w oczy, łatwiej się porozumiemy. Proszę przyjść do nas po poradę, chcemy pani pomóc.

- Nie chcę żadnej pomocy! - Teraz Jennie już całkiem otwarcie płakała. - Nie prosiłam o to, prawda? Świetnie sobie sama radzę - czy też radziłam, dopóki wy nie otworzyliście tej puszkii Pandory, która zgodnie z prawem miała pozostać zamknięta.

- Przepisy się zmieniają ludzie chcą znać swoje pochodzenie. Mają prawo wiedzieć...

- Ja też mam swoje prawa! W tej chwili mówi pani o moim życiu prywatnym. Nie chcę nic słyszeć na temat zmieniających się przepisów. Jestem prawnikiem i zdaję sobie sprawę...

- Wiemy, że pani jest prawnikiem, panno Rakowsky. Tym bardziej powinna pani być świadoma, że prawo z czasem ulega zmianom.

Jennie była wykończona. Nawet utrzymanie w ręku słuchawki stanowiło dla niej zbyt wielki wysiłek.

- Proszę pani, ja nie chcę ciągnąć dalej tej rozmowy. Powie-

działałam już wszystko i zaraz odkładam słuchawkę. Chcę tylko, żebyście dali mi spokój.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odpowiedział łagodny głos.

Jennie odłożyła słuchawkę. Jej łzy nie były już łzami smutku, lecz gniewu i lęku. Wiedziała o tym już w chwili, gdy spływały jej z oczu, zimne i śliskie jak krople gliceryny. Pod zamkniętymi powiekami, pomiędzy okiem a mózgiem, dojrzewały i kształtowały się ciemny gniew i gorzka obraza; krwistoczerwone i czarne kłęby falowały jak dym, wirowały, przyjmując postać unoszącej się zjawy. Mają czelność śledzić ją, jakby popełniła jakieś przestępstwo?

A jednak... Ta biedna dziewczyna. Może jest w rozpaczliwej sytuacji? Nie, nie jest, studiuje w Barnard i mówili, że świetnie sobie radzi. Wyjąwszy fakt, że sądzi, iż ja jestem jej do czegoś potrzebna. Więc jak może być w rozpaczliwej sytuacji? Nie, to moja sytuacja jest rozpaczliwa.

Pokój, oświetlony tylko jedną boczną lampą, pogrążony był w półmroku. Fotele przybrały postać siedzących mężczyzn, członków trybunału, mającego osądzić Jennie. Zasłony wyglądały jak sylwetki mężczyzn, którzy ze srogimi minami czekali, aby rzucić się i wywlec ją stąd. Światło padające na miedziane naczynie, w którym stała paproć, wydobyło z wypukłej, błyszczącej powierzchni obraz twarzy, która wyraźnie z niej szydziła. Kiedy Jennie się poruszała i zmieniał się jej kąt widzenia, twarz poruszała się także i robiła wstrętne, żalodne miny, jakby otwierała usta do płaczu.

Czy mam tu sama zwariować?

„Poszukuje swoich rodziców” - powiedziała tamta kobieta. No przecież tak powiedziała, prawda? A więc czy to możliwe, że odnaleźli także Petera? Poszperała w pamięci. Czy wtedy w domu dla samotnych matek podała jego nazwisko? Ale na pewno jakiś ślad tam pozostał; przecież jego ojciec opłacił jej pobyt, więc musiał istnieć jakiś wpis.

Cóż, jeśli ta organizacja prześledziła jej losy aż do Mendesów - wyniosłych ludzi wśród wysokich kolumn i kwiatów w ciepłe popołudnie w Georgii - na pewno nie zazna od nich serdecznego przyjęcia, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Peter może mieć do tej pory nawet szóstkę dzieci, Bóg to raczy

wiedzieć. Lepiej, jeśli będziesz się trzymać z dala od tych ludzi, Victorio Jill.

A potem poczuła ból. Złapał ją, jak kolka w boku, kiedy bez tchu biegnie się pod górę. Był tak przejmujący, że przez chwilę nie mogła oddychać. Victoria Jill. Mówią na nią Jill. Ciekawe, do kogo jest podobna? Musi być trochę podobna do mnie, przynajmniej odrobinę.

Oczy miała już teraz suche. Oparła głowę na biurku koło telefonu. Gdyby tylko mogła z kimś o tym porozmawiać! Nikogo jednak nie było, nawet jej sąsiadki Shirley, która zresztą przyniosłaby jej tylko zdawkowe pocieszenie i zakończyła rzecz stwierdzeniem, że Jennie nie powinna traktować wszystkiego tak poważnie.

Dopiero po dłuższym czasie była w stanie podnieść głowę i położyć się do łóżka.

Na ulicy wiał zimny wiatr, więc Jennie weszła do holu, żeby poczekać na Jaya. Wejście do biura maklerskiego było ozdobnie wykute w brązie, identyczne wejście miał bank, znajdujący się naprzeciw, po drugiej stronie wielkiego holu. W głębi, przy windach, była kwaciarnia, z witrynami pełnymi pastelowych, różnokolorowych kwiatów, zupełnie nietypowych dla tej pory roku. Wprowadzały tu nastrój wesołości, nie licującej z powagą miejsca - ośrodka biznesu i finansów. A może nie było w tym nic niewłaściwego. W tej okolicy ludzie chodzili szybko i energicznie i sprawiali wrażenie zadowolonych z życia. To tacy ludzie świętując, kupowali kwiaty. I zaraz upomniała samą siebie: Nie bądź taka zgorzkniała. Nawet jeśli ktoś wygląda bez troski, to wcale nie znaczy, że taki jest, podobnie jak ty. Ktokolwiek zobaczyłby cię w tym płaszczu - wybierając się do Cartiera, Jennie uważała za stosowne nałożyć nowy płaszcz i perły od Enid - też pomyślałby, że nie masz żadnych trosk. Każdy ma swoje problemy, Jennie.

Nic nie mogło umknąć uwagi Jaya. Podeszedł do niej, pocałował ją i cofnął się trochę, z zaniepokojeniem marszcząc brwi.

- Wyglądasz na strasznie zmęczoną! Co się stało?
- Po prostu źle spałam.
- Coś cię martwi?
- Nie, czasem mi się to zdarza.

Poszli w kierunku zachodnim, w stronę katedry św. Patryka. Przy Piątej Alei znajdował się cały ciąg biur linii lotniczych. Nawet z tej odległości widać było różnokolorowe plamy plakatów w ich oknach. Patrząc w tamtą stronę, Jay powiedział:

- Myślałem o tym, że te dwa tygodnie w Caneel Bay to za krótko jak na miodowy miesiąc. W lecie, kiedy skończy się szkoła, moi rodzice mogą wziąć dzieci do siebie na wieś, a my spędzimy wtedy miesiąc w Europie. Wynajmiemy samochód i będziemy jeździć z otwartym dachem. Będziemy mieszkać w châteaux, pić wino i jeść foie gras. To będzie nasz prawdziwy miesiąc miodowy.

Przyciągnął ją do siebie mocniej, mijali właśnie jakąś przecznicę.

- A jednak, muszę przyznać, że mimo to nie mogę się doczekać naszych dwóch tygodni.

Nie odpowiedziała. Na skrzyżowaniu zapaliły się czerwone światła, samochody miały czerwone światła stopu, wszędzie połyskiwała krwista czerwień. Nie czuła się przygotowana do wakacji na Karaibach. Jakiś odkrywca nazwał te wyspy Wyspami Czerwcowymi. Oglądała broszury ze zdjęciami stamtąd; palmy, piasek plaże nietknięte ludzką stopą, mewy i pelikany, żagle i parasole. Ale teraz, gdy sprawy stały się niepewne i mgliste, nie miała ochoty tak po prostu spakować się i wyjechać dla przyjemności, pozostawiając za sobą groźny, nierozwiązany problem, z którym i tak po powrocie będzie musiała się zmierzyć. Mniejszym ryzykiem byłoby pozostać w swym biurze, czekać, kiedy się to zdarzy i jakoś spróbować się z tym uporać. A że zdarzy się, była pewna. Tak, tak, nie miała wątpliwości.

- No to jesteśmy - powiedział Jay.

Budynek Cartiera nawet z zewnątrz wyglądał jak klejnot, pałac renesansowy wycięty w kamieniu. Kiedy wchodziła do środka, a Jay za nią, czuła, że wszyscy widzą, iż jest tu pierwszy raz.

Jay poszedł prosto na zaplecze, gdzie jakiś elegancki mężczyzna na jego widok podniósł się z miejsca.

- Pan Wolfe? Miło pana znowu widzieć. Odłożyłem dla pana kilka, jak sądzę, bardzo ładnych pierścionków.

Jay przedstawił ich sobie i dodał:

- Ilekcroć pana widzę, zawsze wiąże się to z jakąś szczęśliwą okolicznością.

- Tak, ostatnio chodziło o prezent od pańskiego ojca dla pańskiej matki, z okazji złotych godów. To było jakiś rok temu, prawda? No a teraz, ponieważ nie zgłaszał pan żadnych specjalnych życzeń, chciałbym pokazać panu kilka kamieni w kształcie łezki, kilka markizów i kilka o szlifie szmaragdowym.

Na tacy pokrytej aksamitem pół tuzina brylantów migotało i skrzyło się w świetle żyrandola. Nic, tylko klejnoty i aksamit. Ten znakomity sklep był jak szkatułka, wyciszony i odizolowany od miejskiego gwaru.

Nastąpiła chwila ciszy, kiedy to Jennie miała przyjrzeć się pierścionkom. Zamiast tego znowu zaczęła myśleć i czuła jak jej splecione dłonie wilgotnieją. Gdybym powiedziała mu to od razu, na samym początku! Ale teraz, gdy znamy się już drugi rok, kiedy on sądzi, że mnie zna... Opowiedziałam mu wszystko o mojej rodzinie, o dzieciństwie, o tym, czego chcę od życia. Otworzyła się przed nim, wszystko mu opowiedziałam. Wszystko oprócz... A on otworzył się przede mną. Wiem, że nic nie ukrył, zwierzył mi się bowiem z najskrytszych, najintymniejszych rzeczy. Jest wobec mnie uczciwy...

Jay spojrzał na nią ciekawie, myśląc zapewne, że jest onieśmielona i niepewna, jak ma się zachować.

- Przyjrzyj się uważnie, Jen - powiedział. - Zanim powiesz tak, chciałbym, żebyś się w którymś z nich zakochała.

- Wszystkie są takie piękne. Nie wiem, który wybrać.

- Ma pani długie palce - zauważył sprzedawca. - Kamień o szlifie szmaragdowym pasowałby pani. Nie każda kobieta może taki nosić.

Jay wziął do ręki jeden z pierścionków.

- Białoniebieski? Mężczyzna kiwnął głową.

- Bardzo, bardzo piękny, panie Wolfe.

Jay znał się na diamentach. Musiał kupować je dla swojej pierwszej żony, Phyllis. Dla dziewczyny, która nie ukrywała przed nim swej przeszłości i była właściwą partnerką dla takiego mężczyzny jak on.

- Przymierz ten, Jennie.

Na litość boską okazała trochę przejęcia, strofowała sama siebie.

- Jest cudowny, Jay. Naprawdę cudowny. Pierścionek łatwo wślizgnął się na jej palec.

- Proszę unieść rękę do światła - powiedział sprzedawca. Spotykały się tu wszystkie kolory tęczy, a jednak odbłask na jej dłoni był biały, podobnie jak światło słoneczne odbite w niebieskiej wodzie staje się białe, srebrnobiałe.

- No więc, co sądzisz o tym? - zapytał Jay.

Z pewnością był bardzo drogi! Gdyby nie był aż taki drogi, może i ona nie czułaby się tak speszona.

- Czy nie uważasz... że trochę mniejszy byłby lepszy? - zapytała.

- Dlaczego? Myślisz, że jest zbyt wyzywający?

- Nie, nie, wcale tak nie pomyślałam.

- Pomyślałaś. Ja cię znam. Ale i ty mnie znasz. Nie chciałbym, żebyś nosiła coś wyzywającego. Rozmiar jest dobry. Przymierz teraz inne kształty kamienia.

Usłuchała, posłusznie wyciągając rękę i przymierzając coraz to inne pierścionki. Jaka to strata, kiedy w takim momencie nie odczuwa się żadnego wzruszenia!

Widząc jej nieśmiałość, Jay przejął komendę.

- Ten w kształcie łezki wygląda trochę gorzej - powiedział i sprzedawca przyznał mu rację.

Mężczyźni zastanawiali się. Wyjęli i odłożyli żółty diament, podobnie było z okrągłym. Do wyboru pozostał teraz jeden markiz, brylant o szmaragdowym szlifie, który już przymierzała, i jeszcze jeden tego samego rodzaju. Sprzedawca wciąż zakładał je Jennie na palec i zdejmował. Dwie pary oczu przyglądały jej się badawczo.

- Nie mogę się zdecydować - wymamrotała.

- Wolisz zdać się na mnie? - zapytał Jay.

- Tak, ty wybierz. - Jennie zmusiła się do uśmiechu. - W końcu to ty będziesz patrzył przez stół na ten pierścionek.

Wybrał pierścionek z diamentem o szmaragdowym szlifie. Do tego ślubna obrączka z drobnymi brylancikami, dość wąska, aby można ją było nosić na tym samym palcu. Odłożono ją, gdyż trzeba ją było jeszcze dopasować. Potem Jay wypisał czek, którego Jennie nie widziała, i wyszli na ulicę.

- No i nie bolało, prawda, Jennie? Czy cieszysz się, kochanie?

- Wiesz przecież, że się cieszę.

- Byłaś taka milcząca.

- Byłam skrepowana, palce mam brudne od atramentu. Nie zauważyłeś?

- No to co? To znak uczciwej pracy, i tyle. - Roześmiał się. - Nie mówiłem ci jeszcze, dziś wieczorem nie wracam do domu. Dzieci nocują u rodziców Phyllis, ich dziadek ma urodziny. Więc będziesz miała gościa na noc. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Jennie poczuła gwałtowny przypływ pożądania. Nigdy nie dość im było wspólnie spędzanych nocy. Nie odpowiedziała, po prostu spojrzała na niego i to spojrzenie mówiło samo za siebie.

- Moja Jennie - powiedział czule Jay.

Szybkim krokiem szli w kierunku centrum, potem skręcili na wschód. Po zmierzchu robiło się coraz zimniej i wyglądało na to, że zacznie padać śnieg. Wiatr zapierał dech w piersiach, trudno im było rozmawiać. Pierwszy odezwał się Jay.

- Idziemy tam gdzie zwykle?

- Czemu nie?

„Tam gdzie zwykle” oznaczało restaurację oddaloną o dwa domy od mieszkania Jennie. Był to skromny, mały lokal, ale podawano tam znakomite dania kuchni włoskiej. Takie miejsca jak Lutece czy La Côte Basque rezerwowali sobie na weekendy - po całym dniu wypoczynku lub względnego wypoczynku, gdyż Jay zawsze miał jakąś pracę na weekend.

- Wszyscy lubią włoską kuchnię - oznajmił, rozkładając serwetkę.

Wiele lat temu w Filadelfii też była taka „mała włoska knajpka”, tania restauracja, z obrusami w biało czerwonej kratce. Przez cały dzień, w jakiś zdumiewający sposób, powracały do niej te dawno zapomniane obrazy.

Tutaj stół przykryty był świeżym, białym obrusem, a w szklanym wazonie stał bukiet goździków. Jennie w duchu upomniała samą siebie: Jest rok 1988. Jestem w Nowym Jorku, tutaj, teraz.

Na wprost stolika wisiał krzykliwy obraz, we wstrętnej, złoconej ramie; utrzymany był w gęstych błękitach, w tonacji ultramaryny i kobaltu.

- Okropny, prawda? Ani w połowie nie oddaje piękna Zatoki Neapolitańskiej. Tam też pojedziemy, Jen.

- Och, bardzo bym chciała.

- Już wkrótce powinniśmy mieć wiadomości od komisji planowania, jakie są losy twojej sprawy - powiedział Jay.

Szara chmura, lepka i wilgotna, otoczyła ją znowu. Chciała ją rozpędzić; potrzebowała pocieszenia, tak jak zmartwione dziecko, które potrzebuje pocieszenia i dlatego udaje, że coś je boli. Więc i ona, nie mogąc opowiedzieć mu o swym prawdziwym zmartwieniu, znalazła problem zastępczy.

- Miałam takie przykre przeżycie, Jay, naprawdę coś okropnego.

I opowiedziała mu o mężczyźnie, który ją popchnął na schodach.

- Wielki Boże! - wykrzyknął Jay - Czy powiedziałaś o tym mojemu ojcu?

- Nie chciałam mu tego mówić. Nie wiem dlaczego, ale po prostu nie chciałam.

- Trzeba było powiedzieć.

- I co on by na to poradził? Nic. A ja nie mogłam tego udowodnić, prawda?

- No, tak. Masz rację. Ale następnym razem, kiedy będziesz występować przed radą miejską, ja tam z tobą pojedę. Nie dlatego, żebym oczekiwał jakiegoś jawnego ataku czy czegoś w tym rodzaju - powiedział szybko. - Ten człowiek to zupełne dno, kanalia. Psychopata.

- Twój ojciec podejrzewa, że on otrzymał jakąś bardzo korzystną propozycję dotyczącą sprzedaży ziemi i że podzieli się pieniędzmi z burmistrzem.

- To całkiem możliwe. Nie wiadomo, ilu jeszcze członków rady dopuszczonych jest do spółki. Ten kawałek gruntu, ze względu na swoje położenie, wart jest krocie. Wiesz, Jen, w pewnym sensie prawie żałuję, że wmieszałem cię w tę rozgrywkę. Ty tak bardzo bierzesz sobie do serca swoją pracę! Boję się, że będziesz strasznie zmartwiona, jeśli przegrasz.

- A myślisz, że przegram, prawda?

- Istnieje taka możliwość. Burmistrzowi potrzeba tylko pięciu głosów od rady miejskiej, żeby wygrał. Dlatego nie chcę, żebyś się zanadto angażowała.

- Tyle brudów w takim małym miasteczku!

- Nawet nie masz pojęcia, ile. Ludzie z miasta, kiedy mają go już dość, chętnie wyobrażają sobie, że gdyby wyprowadzili

się na wieś, odnaleźliby życie proste i niewinne; ale pomyśl tylko - Jay uśmiechnął się ironicznie - że Chuck Anderson wybrany został jako człowiek z czystą kartoteką. Chuck Śmiałek, Uczciwy Chuck. Skończą się przekupstwa przy reperacji dróg i łapówki za pozwolenia na budowę - zwykłe sprawy. A potem, jakieś sześć czy siedem lat temu, wyszła na jaw wyjątkowo brzydka historia. Chodziło o twojego znajomego - Bruce'a Fishera - który był zamieszany w jakiś zbiorowy gwałt nad jeziołem. Obrzydliwa sprawa: dziewczyna miała czternaście lat. Cóż, rzecz była skomplikowana, nie pamiętam wszystkich szczegółów, ale co utkwiło mi w pamięci, to fakt, że Chuck od początku wiedział o udziale Fishera w tym gwałcie i przez cały czas kłamał i krył go. Więc kiedy zbliżały się następne wybory, cóż się stało? Pan Anderson wystąpił, publicznie przyznał się do winy i przeproszał. Okazał szczerą, serdeczną skruchę, miał łzy w oczach i bił się w piersi: „Postąpiłem źle, powinienem powiedzieć wam to już dawno. Teraz proszę tylko, byście mi wybaczyli”.- I tak dalej. Tym sposobem wszyscy podziwiali jego odwagę i wybrali go ponownie.

- Cóż, to naprawdę wymagało odwagi. Przecież nie musiał się przyznać, prawda?

- Tak, tylko widzisz, kiedy ktoś czeka tak długo, żeby powiedzieć prawdę, zaczynasz się zastanawiać, co jeszcze ukrył i co z kolei wyjdzie na jaw. Nie potrafię traktować kogoś takiego tak jak przedtem, mimo jego innych dobrych cech. Po prostu tracę zaufanie.

Jennie milczała. Pasta z cielęciny, którą miała na talerzu, nagle zaczęła wzbudzać w niej wstręt.

- No i widzisz - powiedział Jay - on znowu zbacza z prostej drogi, prawda? Mimo że przez ostatnie kilka lat rządził całkiem nieźle. Właściwie wszyscy wiemy, że tak jest, nawet jeśli nie możemy tego udowodnić. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Jennie nabrała mięso na widelec. Smakowało jak guma, chociaż wiedziała, że jest dobrze przyrządzone. Jay jadł swoje z wyraźnym smakiem.

- Tak - podsumował w zamyśleniu - czasem jest już za późno, żeby się oczyścić.

- Za późno? - powtórzyła jak echo.

- Za późno, aby ktokolwiek mógł mieć jeszcze do tej osoby zaufanie.
- Tak. - Jennie kiwnęła głową.
- Ty nic nie jesz - zaniepokoił się. - I się czujesz, najdroższa?
- Po prostu jestem zmęczona. Już ci mówiłam.
- Może nie powinienem zostawać na noc.
- Ach, proszę cię! Chcę, żebyś został. Nie jestem aż tak zmęczona!
No zrób coś, żeby oczy ci błyszczały; pokaż mu, że go pragniesz, bo przecież strasznie go pragniesz; chociaż może w tej chwili to nie jest pożądanie, lecz potrzeba uspokojenia się, pewności.
Jay, Jay nie opuszczaj mnie. Nie mogę cię stracić.
- Czy moja matka dzwoniła do ciebie w sprawie przyszłego tygodnia?
- zapytał.
- Nie. A o co chodzi?
- No to zadzwoni. Przyjeżdżają tu w przyszłym tygodniu, a może jeszcze w następnym, i matka myślała, że może zechcesz wybrać się z nią i z dziewczynkami na zakupy w którąś sobotę po południu. Od czasu kiedy zabrakło Phyllis, to ona kupuje im wszystko i przyszło jej do głowy, że może ty zaczniesz ją w tym zastępować.
- Oczywiście. Oczywiście, chętnie.
- No to już spadają na ciebie pierwsze rodzinne obowiązki. - Jay uśmiechnął się kpiąco.
- Nie mam nic przeciwko obowiązkom.
Te słowa zabrzmiały martwo, gdy tymczasem myśli szaleńczo galopowały przez jej głowę, tam i z powrotem: Gdyby tylko on nie miał rodziny, rodziców, dzieci i Bóg jeszcze wie jakich krewnych, którzy będą ją sądzić! Gdyby tylko nie byli tymi, kim są gdyby Jay był nikim, nie miał domu, nazwiska, żadnych więzów, i gdyby mogli wyjechać gdzieś daleko, gdzie nikt by ich nie znalazł, i gdyby mogli zacząć razem nowe życie zupełnie od początku!
To fantazja, absurdalna mrzonka. I Jennie przypomniała sobie wieczór, tak niedawno temu, kiedy kładła jego córeczki spać i czuła, że przepełniają wdzięczność, ufność i miłość.
Znowu wyszli na wiatr, który stał się tak silny, że biegnąc

z opuszczonymi głowami, musieli z całej siły przeć do przodu. Już w mieszkaniu u Jennie rozcierali sobie zlodowaciałe dłonie.

- Teraz gorący prysznic - zarządził Jay.

- Gorąca kawa przedtem czy potem?

- Wcale. Tylko prysznic i do łóżka. W łóżku się rozgrzejemy. Stali razem pod prysznicem, myli sobie nawzajem plecy, a potem w zaparowanej maleńkiej łazience Jennie wycierali się ręcznikiem do sucha. Jay nakrył dłońmi do jej piersi i rzekł:

- Pasują idealnie.

I poczuła znajomą czułość, słodką jak rozpuszczający się na języku cukierek; kolana się pod nią ugięły, z trudem trzymała się na nogach. Była w nim wielka siła, ale nie taka jak u innych mężczyzn, co czasem bywało przerażające; trzeba im było przeciwstawić własną siłę, by obronić się przed fizyczną i emocjonalną dominacją. Z Jayem nie trzeba było walczyć, tylko dawać, ufnie i bez reszty - tak łagodna była jego siła.

A jednocześnie Jennie знаła swoją nad nim władzę. Potrzebował jej. Odczuwała to jak cud, widziała to w jego oczach, rozszerzonych oczekiwaniem i jakąś figlarną wesołością.

Wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka i zgasił lampę. I zamknęła się nad nimi noc. Rano Jennie wcześniej przygotowała śniadanie: świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, naleśniki i kawę.

- Nie znoszę się rano śpieszyć - poinformowała Jaya. - Wolę wstać godzinę wcześniej i wszystko spokojnie zrobić.

- To zabawne, bo ja też. Jennie, czy to nie cudowne, że wciąż znajdujemy w sobie nowe wspólne cechy i upodobania!

- Ale nie wyobrażaj sobie, że ja codziennie jem na śniadanie naleśniki. Wiedz, że to tylko dlatego, by uczcić wczorajszą noc.

- Bardzo dobre. Robisz supernaleśniki.

Wąski pas słonecznego światła kładł się na stoliku. Za pół godziny słońce przesunie się za róg budynku i w jej kuchence znów trzeba będzie palić światło, ale w tej chwili słoneczny blask wprowadzał odświeżony nastrój i Jennie była szczęśliwa. Cieszył ją zapach palonej kawy, płomiennie czerwona pelargonja na oknie, krawat Jaya w czarno-żółte paski, kontrastujący z białą koszulą, spokojna bliskość we dwoje, a nie w otoczeniu dzieci, krewnych czy obcych ludzi w restauracji.

- Cóż, nasz dzień się zbliża - powiedział Jay. - Nawet kupiłem już sobie nowy garnitur.

- Ja też mam już suknię. Prawdziwa suknia panny młodej. Będziesz zaskoczony.

- Niech zgadnę. Różowa?

- Nie powiem ci, ale zobaczysz, że ci się spodoba. Shirley pomagała mi ją wybrać.

- Ojoj! - Jay zrobił zabawną minę.

- Nic się nie martw, ona wie, co do czego, ja muszę to tylko trochę moderować.

- Jennie, kochanie, cokolwiek założysz, to będzie... Zadzwonił telefon. Jennie poszła do pokoju i podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry - odezwała się Emma Dunn. - Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale próbowałam ostatnio przez kilka wieczorów i nie mogłam pani zastać.

W ciągu tych kilku sekund dłonie Jennie zrobiły się śliskie od potu.

- Nie mogę teraz rozmawiać. Zaraz wychodzę do pracy - powiedziała, starając się zachować spokój.

- Rozumiem. To zajmie tylko chwilę. Proszę powiedzieć, kiedy będzie pani mogła przyjść, żeby się ze mną zobaczyć. Niech pani zdecyduje o terminie.

- To zupełnie niemożliwe. Muszę już odłożyć słuchawkę.

- Nie pozbędzie się pani tej sprawy, panno Rakowsky. I nie pozbędzie się pani Jill, ostrzegam panią. Więc chyba lepiej, jeśli spojrzy pani...

Jennie odłożyła słuchawkę, wytarła ręce w chusteczkę i spróbowała nadać swej płonącej, rozpalonej twarzy normalny wyraz.

- Jakiś kłopot? - zapytał Jay.

- Nie, dlaczego pytasz?

- Wyglądasz na zdenerwowaną.

- No bo jestem. Ta klientka... biedaczka, ma takie smutne życie, coś straszego.

- Nie możesz mieszać uczuć do kwestii prawnych. Zniszczy cię to, jeżeli się tego nie oduczysz. Może powinnaś mieć zastrzeżony numer telefonu. Chociaż właściwie, już niebawem nie będziesz tu mieszkała.

Wstał i sięgnął po swoją aktówkę. Kiedy pochylił się, żeby ją

pocałować, zaczęła drżeć, a oczy, wbrew jej postanowieniu, napełniły się łzami. Jay był zdumiony.

- Co się stało? Ty płaczesz!

- Nie, nie. Ja... po prostu... myślę o nas, no i tak mnie nagle złapało. Czułam się... Jestem taka szczęśliwa.

- Słodki smutek! Ach, te kobiety! - Roześmiał się, naśladowując stereotypową męską reakcję. - Czy mężczyzna jest w stanie kiedykolwiek je zrozumieć? Hej, muszę już lecieć i ty chyba też. Zadzwoń do ciebie po południu.

„Nie pozbędzie się pani Jill”. Uparta osóbką, prawda? I wytrwała. Tak jak ty, Jennie? - pytała się w duchu.

Zmyła parę naczyń po śniadaniu, maznęła powieki cieniem, a usta szminką i wciąż roztrzęsiona, poszła do pracy. Z ulgą myślała, że cały dzień ma spędzić w biurze, a nie w sądzie. Pomyślała, że zachowuje się jak zwierzę uciekające do nory; chce się schować w swojej kryjówce, gdzie jest tylko biurko, książki, dwa krzesła, okno wysoko ponad ulicą i zamknięte drzwi. Telefony odbiera sekretarka i będzie mówić, że mnie nie ma, jeżeli jej tak przykaże. Rzecz się jeszcze nie skończyła, jeszcze się nie poddałam.

„Nie pozbędzie się pani Jill”.

Dzisiaj, jak nigdy, klientki przychodziły do niej z dziećmi i niemowlętami. Biedne kobiety, nie zadowolone w tym bezwzględnym mieście, nie miały gdzie ich zostawić.

- To jest mój Ramon, w zeszłym tygodniu skończył dwa lata. No, powiedz pani dzień dobry.

Ramon wpatrywał się w nią czarnymi jak węgielki oczami, a potem wtulił brudny nos w matczyną spódnice.

- Duży jest jak na dwa lata - powiedziała Jennie, nie mając najmniejszego pojęcia, jak duży powinien być dwulatek.

- Tak, i silny. A to jest Celia, ma osiem miesięcy. Niemowlę, które kobieta trzymała na ręce, było wyjątkowo

piękne i miało delikatne rysy, nie wskazujące na żadne podobieństwo do matki czy brata. Obdarzyło Jennie promiennym uśmiechem i wyciągnęło do niej różową łapkę, jak gdyby łączył je jakiś wspólny, radosny sekret. Jennie ujęła małą rączkę i drobne paluszki natychmiast wczepiły się w jej dłoń.

- Jest śliczna - powiedziała Jennie.

Kobieta kiwnęła głową.

- Ta dwójka to moje klejnoty, moje brylanty.

Jej słowa przypomniały Jennie historię starożytną, którą zajmowali się przez dwa semestry na uczelni: Rzymianka Cornelia przedstawiała tak swoje dzieci: Oto moje klejnoty.

Ta kobieta także była znękana i pozbawiona środków do życia. Patrzyła teraz z zaciekawieniem, zastanawiając się pewnie, dlaczego Jennie wciąż trzyma dziecko za rączkę. Jennie puściła rączkę małej.

- Cóż, zobaczmy teraz, co da się dla pani zrobić, pani Fernandez.

Późnym popołudniem zadzwonił Jay, że ma dla niej wiadomości.

- Dobre czy złe?

- I takie, i takie. Pierwsza jest dobra: komisja planowania odrzuciła propozycję Barkera. To twoja zasługa.

Jennie ucieszyła się, ale wolała przedstawić sprawę uczciwie:

- Oni już od początku stanowili dość spójną grupę. Tak jak mówiłam twoim rodzicom, pewnie byli już prawie zdecydowani, zanim ja zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

- To jest tylko częściowo prawda. Niektórzy z nich byli bardzo pod wrażeniem tego, co mówiłaś jeszcze przed zebraniem, u moich rodziców w domu: inni zaś zmienili zdanie dopiero, kiedy usłyszeli, jak przemawiałaś publicznie. Według nich zdecydowanie pokonałaś przeciwną stronę. Decyzja zapadła większością głosów, przy dwóch głosach sprzeciwu.

- No, a ta zła wiadomość?

- Jest nie tyle zła, ile raczej nieprzyjemna. Mój ojciec i jeszcze kilku innych członków komitetu ochrony środowiska otrzymali wiele obelżywych anonimów, wysłanych z jakiejś miejscowości, oddalonej dwadzieścia kilometrów od miasteczka. Tata przeczytał mi jeden przez telefon. Coś naprawdę wstrętnego.

- To były groźby? - Przypomniała sobie, jak została złośliwie popchnięta, kiedy stała u szczytu schodów.

- W pewnym sensie, ale nie wprost. To sprytnie zagranie, nie wystarczy, aby wszcząć kroki prawne. A mimo to bardzo obraźliwe. W niektórych z nich wspominali też o tobie.

- Jestem aż taka ważna? To mi pochwlebia.

- Najwyraźniej uważają, że tak. Oczywiście jest, że ktokolwiek za tym stoi, niepokoi się o wynik głosowania rady miejskiej w przyszłym miesiącu i obawia się, że możesz na nich wpłynąć. George Cromwell - pamiętasz, ten, który jest w radzie - mówił, że Barker nadesłał całe stosy papierów, dokładne raporty na temat wody, o których mówiłaś, tym razem podpisane przez specjalistę, i różne inne dokumenty. Podobno są naprawdę zaniepokojeni.

- Ale przecież to chyba nie oni wysłali te anonimy, prawda?

- Niewykluczone, choć nie sądzę, żeby to było ich dzieło. Jak na nich, wydaje się zbyt prostackie. Ale właściwie, kto wie? W mieście działa jakaś zakazana banda. Fisher jest pierwszym tego przykładem, jak już zdążyłaś się przekonać. I bardzo możliwe, że nasz burmistrz wykorzystuje go do swych celów. Nie zapominaj, że stawką są duże pieniądze. Naprawdę duże. W każdym razie nie życzę sobie, żebyś sama chodziła po mieście, kiedy będziesz musiała tam znowu pojechać. Będę z tobą. - Jay zmienił temat. - A co sądzisz o tym, żebyśmy wybrali się dzisiaj do kina? Jest świetny film, w tym kinie tuż koło ciebie.

Odłożywszy słuchawkę, Jennie pomyślała, że normalnie nie przejęłaby się zanadto tą sprawą z Zielonymi Moczarami. Uznałaby to za burzę w szklance wody; garstka niezadowolonych mieszkańców porozsyłała obraźliwe listy - i koniec. Ostatnio jednak żyła w takim napięciu, że na wszystko reagowała nadmiernie.

Szklanka mleka dobrze by jej teraz zrobiła na uspokojenie. Jednak karton z mlekiem wyslizgnął jej się z rąk, kiedy go wyjmowała z lodówki, i na podłodze rozlała się biała kałuża. Wycierając ją na klęczkach, pomyślała, że teraz nawet muśnięcie piórkiem wyprowadziłoby ją z równowagi.

A wiadomości od Jaya były czymś więcej niż muśnięcie piórkiem, przepełniły miarkę. Bo mimo że nie nastąpiły żadne dalsze telefony od Emmy Dunn, Jennie oczekiwała ich nieustannie, i każdy dzwonek wprawiał ją w panikę.

To pełne napięcia oczekiwanie przypominało strach przed upadkiem. Kiedyś, dawno temu, widziała film, w którym pociąg, odłączywszy się od lokomotywy, zaczął staczać się z al-

pejskiej przełęczy. Grzechocząc i klekocząc na szynach, zarzucając na zakrętach, coraz bardziej nabierał szybkości, podczas gdy pasażerowie, bezbronni, skamieniali w niedowierzaniu, zbyt przerażeni, aby krzyczeć - wpatrywali się w migające za oknami sosny, ostre skały, śnieżne stoki, góry i niebo; i w dół, gdzie setki metrów poniżej czekała ich zguba. Dziwne, ale Jennie nie przechowała w pamięci zakończenia filmu, pamiętała tylko tę straszliwą ludzką bezradność.

Sobota: trudny, porozrywany dzień, którego wydarzenia nie miały ze sobą żadnego logicznego związku.

Rano przymiarka ślubnego stroju, który Jennie zamówiła u Saksy. Było to dopiero jej drugie doświadczenie z tym, co Shirley nazywała „strojami galowymi”. Pierwszym był nowy zimowy płaszcz. Stojąc w przymierzalni przed lustrem, prawie się nie poznawała. Rubinowy aksamit rzucał na jej twarz różowy refleks, płonący pięknie w zestawieniu z jej czarnymi włosami. Plisowana kryzka i mankiety z koronki w kolorze ecru stanowiły wykończenie stroju. Suknia leżała gładko na jej szczupłych biodrach, a rozszerzała się na samym dole.

- Lepiej być nie może - powiedziała z satysfakcją sprzedawczyni.

I rzeczywiście lepiej być nie mogło.

- Proponowałabym do tego czarne sandałki z bardzo cienkimi paskami, sam but prawie niewidoczny, za to bardzo wysokie obcasy. No chyba, że pan młody nie jest... - Zawahała się.

- Jest bardzo wysoki. - Jennie się uśmiechnęła.

- To świetnie. I jeszcze małeńka, czarna torebka; najlepiej aksamitna albo z bardzo delikatnego zamszu.

- Bardzo mi pani pomogła. Dziękuję pani - powiedziała Jennie.

- Ach, z panią łatwo się pracuje, to tylko przyjemność. Przeważnie kobiety same nie wiedzą, czego chcą.

Czego ja chcę? Chcę mieć jasny umysł. Znowu spojrzała w lustro. Ty Jennie, w tych czerwonych aksamitach, wystrojona do ślubu, jesteś po prostu oszustką i dobrze o tym wiesz, prawda? Przedstawiłaś się fałszywie, ukryłaś prawdę na swój temat; i to właśnie ty, która przysięgałaś, że będziesz przestrzegać prawa. Krótko mówiąc, kłamałaś. Ty oszustko!

Niebo było czyste, a powietrze orzeźwiająco zimne, zimowa bryza szarpała flagi wzdłuż całej Piątej Alei. Jennie szła w kierunku sklepu Bergdorf Goodman, gdzie dziewczynki miały dostać nowe sukienki na przyjęcia urodzinowe i na lekcje tańca. Enid będzie musiała ją nauczyć, jak trzeba dbać o te dzieci. Nagle odpowiedzialność, jaką miała na sobie wziąć, wydała jej się przytłaczająca.

Czekały na nią na parterze: dostojna pani ubrana w spokojne szarości, a przy niej dwie małe dziewczynki. Sue i Emily stawały na palcach, żeby je pocałowała.

- Cześć, Jennie.

- Ach - zdumiała się Enid. - To one tak się do ciebie zwracają?

- Oczywiście - odparła Jennie, zaskoczona. - A jak miałyby się zwracać?

- Według mnie stosowniej byłoby: ciociu Jennie.

- No cóż, mnie jest wszystko jedno.

Dlaczego taka błaha uwaga wzbudziła w niej cały ciąg przykrych myśli i skojarzeń? Męczyło ją to, gdy jechały windą i na górze, w dziale dziecięcym, gdzie kupiły sukienki z granatowo-białej tafty, z białego batystu i z wełenki w kwiatki; i później, kiedy przeszły przez ulicę i udały się na lunch do Palm Court. Przez cały czas w głowie Jennie pojawiały się, przesywające jak iskry, obrazy Atlanty i tamtej chłodnej reakcji: Ty jesteś obca! Nie należysz do nas. Dlaczego? Przecież nie było żadnego podobieństwa między tamtymi ludźmi a tymi; między tamtą kobietą a tą. Ci przyjęli ją serdecznie! A jednak coś w tym było... Mieli swoje zasady, sztywne zasady. Ich liberalizm przeznaczony był dla tych, co mieli mniej szczęścia, dla ludzi, od których mniej się wymaga, „gdyż mniej niż my otrzymali”.

I teraz, gdy Jennie siedziała nad sałatką z kurczaka, a dziewczynki wzrokiem pochłaniały już deser, po raz kolejny uświadomiła sobie, że kiedy poznała Wolfe'ów, jej pierwszym wrażeniem była ich pełna wyższości pewność siebie; szczególnie u Enid.

Nie, tak przyzwoici ludzie jak oni na pewno byliby wstrząśnięci. Trudno by im było wybaczyć Jennie, że wspólne życie z ich synem rozpoczęła w kłamstwie.

Rozmowa przy stole była lekka i sympatyczna. Enid tylko mimochodem napomknęła, że sprawa Zielonych Moczarów przybiera bardziej nieprzyjemny obrót, niż można się było spodziewać i że u nich mieście wszyscy rozmawiają wyłącznie na ten temat. Poza tym skupiały uwagę na dzieciach, bo to im ten dzień był poświęcony.

Po lunchu przeszły na drugą stronę ulicy do F.A.O. Schwartz, gdzie Sue i Emily wybrały prezent urodzinowy dla Donny'ego, naturalnych rozmiarów pluszowego szopa, który wyglądał jak żywy, z dokładnością do prążków na ogonie.

- Dziewczynki, wydaje mi się, że miałyście wspaniały dzień - powiedziała Enid. - I sądzę, że już pora, bym was odprowadziła do domu. Na pewno masz jakieś plany na resztę popołudnia, Jennie. Przy tak napiętym rozkładzie zajęć zapewne nie masz zbyt wiele czasu dla siebie.

- To prawda. Zawsze mam masę do roboty.

- Cóż, w takim razie tu się rozstaniemy. - Enid pocałowała Jennie w policzek. - Dziewczynki, powiedzcie cioci Jennie do widzenia.

- Do widzenia, ciociu Jennie - powiedziały obie posłusznie. Jennie przyglądała się, jak szły do taksówki. One mają różne ciocie, aleja do nich nie należę, pomyślała. Śmieszne, Enid postawiła na swoim. Mniejsza o to. Co za różnica, czy będą mówić do mnie „ciociu”, czy nie?

Powiedziałam, że mam masę do roboty i rzeczywiście mam, ale co z tego? Jedyne, na co mam ochotę, to usiąść i nic nie robić.

Przeszła znów przez ulicę i usiadła na ławce, cieplej od słońca, które teraz stało wysoko. Otuliła się ciasno płaszczem, wepchnęła ręce w kieszenie i siedziała przez chwilę, nie myśląc o niczym szczególnym, patrząc po prostu na samochody, które przejeżdżały, zatrzymywały się i ruszały znowu.

Nie potrafiłaby powiedzieć, w jaki sposób, z jakich pokładów jej mózgu nadszedł ten impuls, pojawił się nagle - nie poprzedzony żadnym świadomym procesem myślowym, zdumiewający, właściwie niepożądany, może nawet w pewnym sensie szalony. A jednak zawahała się tylko przez chwilę, a potem wstała i ruszyła w kierunku zachodnim, w stronę stacji metra. Nigdy przedtem nie była tam, dokąd teraz zamierzała się udać,

musiała więc pytać o drogę. Na skrzyżowaniu Sto Szesnastej ulicy z Broadwayem wysiadła z metra i wyszła na górę. Do Barnard było jeszcze tylko kawałek drogi piechotą. Widok młodej kobiety, siedzącej na ławce w kampusie i sprawiającej wrażenie, że na kogoś czeka, nie powinien wzbudzić niczyich podejrzeń.

A jednak, kiedy już usiadła, poczuła całą absurdalność tej sytuacji. No cóż, to tylko głupia ciekawość. Nie poznałabym jej, nawet gdyby stanęła tuż przede mną. Jak mogłabym ją poznać? Może to ta w norweskiej czapce narciarskiej, która idzie powoli, czytając książkę. Może to któraś z grupki dziewcząt, plotkujących przy wejściu. A może jednak poznałabym ją dzięki pewnemu podobieństwu - ale nie do ojca, uchowaj Boże. Gdybym ją zobaczyła, gdybym miała pewność, że to właśnie ona, zaspokoiłabym ciekawość i po prostu bym odeszła. Bo przecież to ona jest osobą, którą ze wszystkich ludzi na świecie najbardziej chciałabym poznać?

Czekała przez godzinę. Nic się nie wydarzyło. Żadnych sygnałów, znaków, które mogłyby jej pomóc. Mijały ją różne dziewczęta: zgrabne i niezgrabne, zaniedbane i eleganckie, powolne i energiczne, piękne i brzydkie. Wszystkie miały jedną cechę wspólną: młodość. Można się było tylko zastanawiać, co każda z nich zrobi w nadchodzących latach albo co te lata zrobią z każdą z nich, ponieważ świat lat osiemdziesiątych, miejsce kobiety w tym świecie, był bardziej skomplikowany niż kiedykolwiek. I serce Jennie napełniło współczucie i tęsknota, przepojone smutkiem i czułością.

Niebo szarzało, zimowe popołudnie było krótkie i robiło się coraz zimniej. Błędem i szaleństwem było, że tu przyszła, i dobrze, że nie rozpoznała tej dziewczyny. Powinna była to wiedzieć. I drżąc z zimna, wstała i poszła z powrotem w stronę metra. Zaledwie starczy jej czasu, żeby wziąć prysznic i przebrać się, nim pójdzie z Jayem na kolację.

Jak smutno jej było teraz, kiedy nie mogła czuć się w jego towarzystwie naturalnie! Z goryczą przypominała sobie, że jeszcze tak niedawno niecierpliwie obserwowała powolny ruch wskazówek zegara i liczyła minuty do chwili, gdy Jay zadzwoni do drzwi.

Tego popołudnia zatelefonował.

- Jennie, muszę cię strasznie przeprosić. Mam gorączkę i leżę w łóżku. Chyba zaczyna mi się jakaś wstrętna grypa.

- Ach, kochanie, jak mi przykro. Tak chciałabym móc się tobą zająć.

- Już niedługo będziesz miała ten przywilej. Podobno bardzo wam się udało, z Sue i Emily. One cię naprawdę kochają, Jennie; tak się cieszę.

- Ja też.

- Jennie?

- Tak, kochanie?

- Chciałbym mieć też nasze własne dziecko, twoje i moje. Nie masz nic przeciwko temu?

- Tak bardzo o tym marzę, Jay; będzie miało dołek w brodzie i twoje oczy...

- Ale gdyby się okazało, najdroższa, że nie możesz mieć dzieci, to nic nie szkodzi, pamiętaj i o tym. Będziemy razem, i to jest najważniejsze. A co zrobisz z tym wieczorem, skoro ja cię zawiodłem?

- Och, będę czytać, przyniosłam z biura trochę akt. No i wcześniej położę się spać.

- To dobrze. Bądź w dobrej formie przed wyjazdem na Ca-neel. Kupiłaś już sobie nową rakietę?

- W przyszłym tygodniu. Nic się nie martw, gromadzę ekwipunek.

- No to się nie martwię. Kończę, bo kicham jak armata.

W rzeczywistości wcale nie gromadziła ekwipunku, odsuwała od siebie wszelkie spisy zakupów i spraw do załatwienia. Te ostatnie tygodnie, kiedy powinna była przygotowywać się do wyjazdu, okazały się zbyt stresujące, by mogła myśleć o zakupach. Czasu jednak było coraz mniej i dziś wieczór nadarzała się okazja, żeby zacząć się tym zajmować.

Z ołówkiem i kartką papieru zaczęła robić spis garderoby. Kostiumy kąpielowe - trzy, zeszłoroczny, niebieski, jeszcze całkiem dobry, plus dwa nowe. Sukienki plażowe - będzie je mogła zakładać na lunch, tak mówił Jay. Torba plażowa, ta w kwiaty, którą widziała na wystawie - będzie pasowała do wszystkiego. Biały, rozpinany sweterek, gdyby noc była chłodna. Nowa składana parasolka, bo ta stara to już wrak. Buty do kostiumu podróżnego, granatowe. Buty do...

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Dziwne. Jennie nigdy nie miała niespodziewanych gości. Wszyscy wcześniej telefonowali.

Ostrożnie podeszła do drzwi i popatrzyła przez wizjer. W holu panował półmrok, więc z trudem dostrzegła stojącą tam postać, pomniejszoną i zniekształconą przez szkiełko wizjera: była to kobieta z rozpuszczonymi włosami, sięgającymi do ramion. Jennie zebrała się w sobie i z wysiłkiem zapytała:

- Tak? Kto tam?

Przez sekundę trwało milczenie, po czym młody, drżący głos odpowiedział:

- Jill. To Jill. Czy mogę wejść?

- Och, nie - wyszeptała Jennie.

Poczuła się jak sparaliżowana i, tak jak ci bezbronni ludzie w pociągu w górach, wiedziała, co ją czeka.

6

Dom oddalony był o ponad trzy tysiące kilometrów od tego zdumiewającego miasta, które tętniło życiem poza murami jej akademika. Przybywając tutaj, Jill opuściła go śmiało i z ochotą. A jednak czasami, niespodziewanie, kiedy na przykład w lustrze nad łóżkiem napotykała odbicie własnej twarzy, wspomnienie domu ożywało w niej z taką intensywnością że słyszała niemal głosy nawołujące na podwórku za domem, czuła zapach mięsa piekącego się w kuchennym grillu, wydawało jej się, że stąpa boso po gładkiej, chłodnej podłodze w holu na piętrze. Ciekawe, że tym, co Jill pamiętała najlepiej, nie był wcale jej własny, różowy pokoik - w którym na półkach stały pluszowe zwierzątka, a potem książki, i skąd przez niewielkie okno patrzyła na gwiazdy - lecz raczej duży pokój na końcu korytarza, w którym sypiali jej rodzice.

Tam, w górnej szufladzie, ukryte było pudełko specjalnych czekoladek na dobranoc, z którego po kąpieli, a jeszcze przed myciem zębów, dostawała jedną. Tam, przed wykuszowym oknem, stały dwa miękkie wygodne fotele. Po lewej stronie było miejsce taty; w niedzielę, kiedy nie musiał odwiedzać żadnych pacjentów, siadywał tam i czytał, rozrzucając gazety wo-

kół siebie na podłodze. Drugi to był „fotel do bajek”, mama i Jill mieściły się tam we dwie i mama czytała jej na głos.

Kiedy tylko w rodzinie pojawiała się nowe dziecko, obok wielkiego łóżka stawała kołyska. Za każdym razem była odświeżona, ozdobiona nowymi wstążkami i falbankami, i stała tam do czasu, aż dzidzius podrósł na tyle, by mógł sypiać w swoim własnym pokoju, w normalnym łóżeczku.

- Maleńkie dzieci lubią zaciszne miejsca - tłumaczyła mama - bo przecież ledwo co wyszły z takiego właśnie zacisznego, ciepłego miejsca.

To musiało być za drugim razem, kiedy urodziła się Lucille. Jill miała wtedy cztery lata i pamiętała, jak mama zrobiła się gruba, a potem nagle schudła, kiedy tylko Lucille wyszła z jej brzuszka. Kiedy urodził się Jeny, Jill była jeszcze malutka, nie miała nawet dwóch lat, więc tego nie pamiętała. Ale pojawienie się Lucille mocno utkwilo jej w pamięci.

Zaciszne, ciepłe miejsce. Intrygowało ją to, bo niemowlę wydawało się zbyt duże, żeby zmieścić się wewnątrz kogokolwiek.

- Czyja też byłam u ciebie w brzuszku? - zapytała Jill.

- Nie - odpowiedziała mama. - Ty byłaś w brzuszku innej pani.

No to dobrze, nie miało to szczególnego znaczenia. Przez długi czas wcale o tym nie myślała, chociaż później, gdy zaczęła się nad tym zastanawiać, wydawało jej się dziwne, że właśnie ta scena szczególnie wyraźnie zapisała się jej w pamięci: Lucille owinięta w ciasny, flanelowy kokon, Jill u wezglowia kołyski i mama ubrana w jakiś długi, powłóczysty strój z czarnymi wzorami na białym tle.

Po latach zapytała:

- Mamo, czy nosiłaś kiedyś jakiś czarno-biały szlafrok albo podomkę, w kratę, a może w kwiaty?

- Ależ tak. Miałam takie japońskie kimono, które tata kupił mi podczas naszej podróży do Japonii, kiedy jeszcze ciebie nie mieliśmy. Było piękne, jedwabne, w czarne peonie na białym tle. Nosłam je, dopóki się całkiem nie rozpadło. A dlaczego pytasz?

- Nie wiem. Tak jakoś nagle przyszło mi to do głowy.

Ale to było już znacznie później. Jej dzieciństwo było bogate, dni pełne wydarzeń, w sąsiedztwie masa dzieci. Po południu

odwiedzali ich krewni. Kiedy podrosła i zaczęły do niej docierać informacje o rywalizacji i zazdrości wśród rodzeństwa, skłonna była przypuszczać, że nie dotknęło jej to tak bardzo, ponieważ zawsze mogła usiąść na czyichś kolanach i zawsze czekały na nią czyjeś gościnne objęcia. Jeśli jej rodzice byli chwilowo zbyt zajęci młodszym dzieckiem, żeby grać w jakąś grę z Jill albo gdzieś ją zabrać - zawsze była jeszcze ciotka Fay, dwie pary dziadków i trzy komplety kuzynów.

Ludzie uśmiechali się do niej i zachwycali się jej rudymi włosami. Kiedy zaczęła chodzić do szkoły, mama co rano przewiązywała jej wstążką, w kolorze pasującym do swetra czy spódnicy. Raz, kiedy wyszła z salonu, gdzie mama piła właśnie kawę z przyjaciółką usłyszała, jak ta pani mówiła:

- Co za śliczne dziecko, Irene. I jakie szczęście wam przyniosła! Pomyśleć tylko, że kiedy ją zaadoptowaliście, urodziło wam się jeszcze troje własnych!

- Tak, przyniosła nam szczęście - odpowiedziała mama. Ale przecież mieli „czworo własnych”, prawda? Czy jeśli

ktoś jest adoptowany, to nie jest „własnym” dzieckiem swoich rodziców? Wtedy Jill znała już oczywiście znaczenie słowa adoptowany. Więc tego wieczora, kiedy mama przyszła otulić ją w łóżku, Jill przyciągnęła ją do siebie.

- Usiądź na chwilę - powiedziała.

- Chcesz, żeby ci poczytać, Jill? Ale tylko coś krótkiego, bo jutro idziesz do szkoły. Może rozdział z *Kubusia Puchatka*? - Mama wzięła ją za rękę.

- Nie.

Pytanie, które chciała zadać, wydawało się zbyt dziecinne, jak na dziewczynkę z trzeciej klasy, uczącą się według zaawansowanego programu.

- No to, o co chodzi?

Jennie potrząsnęła głową, cały czas ściskając jej dłoń.

- Proszę, powiedz mi. Jeżeli coś cię trapi, lepiej się poczujesz, kiedy mi powiesz.

Pytanie wyrwało jej się samo.

- Czy ja jestem wasza? Tak samo, jak Jerry, Lucille i dzidzius?

- Ach - odezwała się mama. - Ach. - Wyciągnęła Jill spod koca i zaczęła ją kołysać. - Dlaczego o to pytasz? Czy ktoś ci

powiedział...? - I nie czekając na odpowiedź, mówiła śpiesznie: - Czy jesteś nasza! Jesteś naszą najdroższą, piękną, dużą dziewczynką, naszą najwłaśniejszą. No powiedz, czyja jeszcze mogłabyś być?

Wcisnęła policzek w szyję mamy i wyszeptała:

- Myślałam, że może tej pani, która miała mnie w brzuszku.

- Ach.

Mama powiedziała to z czułością, ale tak długo zwlekała z odpowiedzią, iż Jill odsunęła się trochę i spojrzała jej w twarz. Miała poważną minę, tak jak wtedy, kiedy rozmawiały na temat wyjmowania czegokolwiek z domowej apteczki.

- Nie, kochanie. Ty już do niej nie należysz.

- Jak ona się nazywała?

- Nie wiem, Jill.

- Czy była miła?

- Bardzo miła, na pewno, przecież urodziła ciebie.

- Ale dlaczego mnie wam oddała?

- Cóż... dość trudno to wytłumaczyć. Czasami zdarza się ludziom coś takiego, bo na przykład nie mają pieniędzy ani ładnego domu, gdzie byłby pokój dla małej dziewczynki. Więc ponieważ ona cię kochała i chciała, żebyś miała to wszystko i ponieważ my bardzo, bardzo pragnęliśmy mieć taką małą dziewczynkę, to... tak to właśnie było. Rozumiesz?

Jill uznała, że jest to dość sensowne.

- Ale czy jest jeszcze coś?

- Jeszcze coś do dodania? O, tak! Oboje z tatą byliśmy tacy szczęśliwi. Od razu pobiegliśmy i kupiliśmy tę kołyskę. Ty byłaś pierwszym dzieckiem, które w niej spało. Miałaś tylko jeden dzień, kiedy przywieźliśmy cię do domu. Pamiętasz, jaka malutka była Sharon rok temu? No więc ty byłaś jeszcze mniejsza.

- No i miałam rude włosy.

- Nie tak od razu. - Mama wybuchnęła śmiechem. - Na początku byłaś łyśa jak wszystkie moje dzieci.

Wszystkie moje dzieci, głos mamy brzmiał ciepło i kojąco, nastrajał do snu. Po chwili mama położyła ją z powrotem do łóżka i otuliła kocem. Zaciągnęła zasłony, pocałowała Jill w policzek, jeszcze raz wróciła, żeby ją pocałować, i zamknęła drzwi.

„Moje dzieci. Bardzo pragnęliśmy mieć taką małą dziewcz-

czynkę". A więc nie było nic złego w tym, że jest się dzieckiem adoptowanym. To oznacza, że jest się kimś upragnionym. Nikt nie zadawałby sobie tyle trudu, by cię dostać, nie kupowałby wysokich krzesłek, wózków, domków dla lalek i innych takich rzeczy, gdyby cię nie chciał.

Nikt z sąsiedztwa nie wypytywał Jill na temat jej adopcji, ponieważ większość sąsiadów o tym wiedziała; nie sprawiłoby jej jednak przykrości, gdyby ktoś zapytał. W pewnym sensie byłoby to wyróżnienie, jak to, że przynosiła ze szkoły doskonałe świadectwa, albo gdy przez cały tydzień zastępowała mamę w przygotowywaniu obiadów, gdy ta złamała nogę. Fakt, że jest adoptowana, był tylko jedną z wielu cech określających jej osobę; jak piegi na rękach czy to, że dobrze jeździła na nartach. Wszystkie te sprawy traktowała całkiem naturalnie, przez co rzadko o nich myślała.

Któregoś dnia, gdy była w szóstej klasie, nauczycielka dała im zadanie. Na lekcji rozmawiali o tym, że Ameryka składa się z ludzi przybyłych z wielu różnych miejsc, o różnych zwyczajach i tradycjach. W domu mieli dowiedzieć się jak najwięcej o swoich przodkach i narysować drzewo genealogiczne.

- Sprawdźcie, jak daleko potraficie sięgnąć wstecz - powiedziała nauczycielka.

Jeden chłopiec z klasy miał pradziadka Indianina i był bardzo dumny, że jest „rdzennym Amerykaninem”. Drugi miał prapra-babcie, starszuskę dziewięćdziesięciosiedmioletnią, która opowiadała o swym przyjeździe do Nowego Meksyku, kiedy były to jeszcze całkiem dzikie tereny.

- To świetna zabawa - powiedziała nauczycielka. -Poznając swoich przodków, będziecie zdumieni, ile dowiecie się jednocześnie o sobie samych. Zadawajcie więc jak najwięcej pytań!

Tego dnia Jill wybrała się po kolacji z wizytą do dziadków. Rodzice mamy zmarli parę lat temu, lecz rodzice taty wciąż byli zdrowi i w dobrej formie; natychmiast zainteresowali się zadaniem Jill.

- Mój ojciec bardzo by ci się spodobał - powiedział dziadek. - Był wspaniałym tancerzem. Jeszcze w starszym wieku potrafił tańczyć tańce ludowe, których nauczył się w młodości

na Węgrzech. Gdybyś go tylko widziała! Miał zdrowe serce i nieprzebrane zapasy dobrego humoru.

Babcia wypisała imiona swoich rodziców, pamiętała nawet panieńskie nazwiska swoich babć. Dorzuciła parę anegdot. Jill zauważyła, że obojgu dziadkom to wspomnianie sprawia przyjemność. Nie chcieli jej jeszcze puścić, poprosili do stołu, podali ciasto i lemoniadę. W pewnym momencie zielonkawa smuga światła wiosennego wieczoru padła przez okno na stół na wprost Jill, położyła się na siwiejących włosach mężczyzny, dotknęła polakierowanych paznokci kobiety i wydobyła z mroku jej opaloną, pulchną, ożywioną twarz. To właśnie w tym momencie Jill doznała nagle uczucia głębokiej samotności.

To wszystko nie ma nic wspólnego ze mną, pomyślała. To nie moja historia.

We właściwym czasie, uważając, aby nie zranić dziadków zbyt nagłym wyjściem, podziękowała im i poszła do domu. Chłopcy ze szkoły średniej grali na boisku w baseballa.

Przed domem na rogu właściciel pieczołowicie strzygł trawnik; a jednak mimo wszelkich jego wysiłków trawa w czerwcu i tak będzie pożółkła i wyschnięta. Z domu naprzeciwko dochodziły odgłosy gry na fortepianie. Wszystko to było znajome i wesołe, a jednak Jill czuła się daleka od tego i trochę smutna.

Kiedy przysłała do domu, cała rodzina siedziała razem na patio. Jill widziała z holu ich ciemne głowy, pochylone nad czymś leżącym na stole - gazetą czy mapą. Poszła szybko na górę do swojego pokoju, stanęła przed dużym lustrem i zaczęła się sobie przyglądać. Twarz miała wąską i pociągłą, nie taką jak pozostałe dzieci. Poza tym już teraz była wyższa od mamy. Jerry i Sharon podobni byli do mamy, podczas gdy Lucille wyglądała jak ojciec taty. Odgarnęła włosy do przodu, tak że spadały jej na ramiona. Ich miedziane końce połyskiwały brązem, zachodzące słońce kładło na nich złote refleksy. Kto dał jej takie włosy? Albo te zęby, które trzeba było prostować, podczas kiedy wszyscy inni członkowie rodziny mieli zęby równe?

Na biurku leżała pierwsza wersja jej drzewa genealogicznego. Jill usiadła i zaczęła rysować drugie, wypełniając puste miejsca: - matka - Irenę Miller, ojciec - Jonas Miller. Potem odłożyła pióro i siedziała, wpatrując się w czyste niebo. Noc zapadła nagle, jakby ktoś opuścił ciemną zasłonę. Z dołu słysząc

było różne hałasy, ktoś wołał kota do domu, ktoś zamykał drzwi. Brat i siostry wchodzili na górę, kłócąc się, kto pierwszy pójdzie pod prysznic. W pokoju Jill było ciemno, więc nikt do niej nie zajrzał i siedziała sama, może nie tyle bliska łez, ile jakby odrętwiała, przeżywająca ten nowy, nie znany jej dotąd smutek.

Nagle zapaliło się światło i mama wykrzyknęła:

- Jill! Nie wiedzieliśmy, dlaczego tak długo nie wracasz. Tata właśnie zadzwonił do dziadków i dowiedział się, że wyszłaś już godzinę temu. Przestraszyłaś nas. - Ponad ramieniem Jill spojrzała na pustą kartkę leżącą na biurku. - Powiedz mi, o co chodzi?

Jill obróciła się na krześle.

- O to. Nie mogę tego zrobić. - I oczy jej zwilgotniały. - Gdybym napisała tu to, co wiem, to byłoby kłamstwo.

- Nie sądzę, by było to kłamstwo, jeśli koniecznie chcesz to tak nazywać, które mogłoby komukolwiek zaszkodzić. Po prostu napisz wszystko, co wiesz o naszej rodzinie, przecież do niej należysz. - I chcąc jej pomóc, dodała: - Napisz, jakbyś była Jerrym, Lucille czy Sharon. Albo najmłodszym dzidziusiem.

- Ale ja nie jestem żadnym z nich, jestem sobą - wyszeptała.

- Usiądź wygodnie w fotelu - zarządziła mama i zamknęła drzwi. - Musimy porozmawiać.

Teraz, kiedy nadeszła chwila swego rodzaju objawienia, Jill była przestraszona. Czowała się tak, jakby miała otworzyć paczkę otrzymaną od kogoś nieznanego; nie wiadomo, co może z niej wypaść: bomba, a może wąż.

- O czym? - zapytała drżącym głosem.

- O tym, co niewątpliwie zaprzęta twoją uwagę. Przyrzekam, że powiem ci wszystko, co wiem.

- Jak ona wyglądała? - wyszeptała Jill.

- Mówiono mi - odparła mama spokojnie - że ma ciemne, kręcone włosy, jak ja. Kiedy szukają dziecku nowej rodziny, starają się, brać wszystko pod uwagę. Więc możliwe, że była bardzo podobna do mnie.

- Rozumiem. A mój ojciec?

- Nic nam o nim nie mówili.

- Chciałabym wiedzieć, jak się nazywają.

- To niemożliwe, kochanie.

- Przypuszczam, że nie byli małżeństwem.

- Nie.

- To nie szkodzi, mamó. Ja mam dwanaście lat, wiem, jak to się dzieje. Ona była w ciąży, a on nie chciał się z nią ożenić.

- Nie wiem, czy było tak, jak sądzisz. Może nie mógł. Byli wtedy oboje tacy młodzi, dopiero zaczęli studia. To musiało być bardzo trudne dla każdego z nich.

- Powinni byli pomyśleć, zanim... to zrobili - powiedziała Jill, czując nieoczekiwany gniew.

- Ludzie nie zawsze myślą na zapas, Jill.

- Ty zawsze powtarzasz... no, mówiłaś mi tyle razy, że to źle, jak dziewczyna pozwala chłopcom na różne rzeczy...

- Mówiłam tak, to prawda. A jednak, kiedy ludzie źle postępują, staramy się ich zrozumieć i wybaczyć, prawda?

W głowie Jill pojawił się obraz dziewczyny leżącej na trawie i spoglądającej w oczy chłopcu, który się nad nią pochylał. Ten obraz kusił ją, a jednocześnie odpychał. W kinie z ciekawością czekało się, co będzie potem, nie będąc jednocześnie pewnym, czy chce się to widzieć. No, a gdyby ta dziewczyna i chłopak byli naszymi rodzicami...

Mama obserwowała Jill. Kąciki jej ust uniosły się w nikłym uśmiechu, lecz oczy wciąż pełne były niepokoju. Przybierała ten wyraz twarzy, kiedy któreś z dzieci się skaleczyło i trzeba je było pocieszyć. Przez lata ta jej mina stała się czymś znajomym, tak jak poziome zmarszczki na czole czy malutkie złote kolczyki, które codziennie nosiła w uszach.

- Prawda, Jill? - powtórzyła i mówiła dalej - Nie wiń jej za to. Nie zrobiła nic złego. Popełniła błąd, nic więcej.

- Czy mogę wejść? - Tata zastukał do drzwi. - A może to tajemnica?

- Nie, wejdź. Rozmawiamy z Jill o jej urodzeniu.

- Ach, tak? - Tata usiadł i zmarszczył brwi, jakby przygotowywał się, żeby słuchać w skupieniu.

- Wydaje mi się, że Jill martwi się tym, iż jej matka nie była zameżna - powiedziała mama. - I chyba uważa, że to odróżnia ją od reszty dzieci, od jej koleżanek i kolegów. Czy mam rację, Jill?

Tata zdjął okulary i znów je założył. Ten gest w dziwny sposób nadał mu wyraz mądrości i powagi. Pewnie tak właśnie

wygląda, kiedy rozmawia z pacjentami u siebie w gabinecie, pomyślała Jill.

- Posłuchaj, Biedroneczko - odezwał się. - Powiem teraz coś bardzo samolubnego. Gdyby tamta biedna, młoda dziewczyna nie znalazła się wtedy w kłopotcie, my nigdy nie mielibyśmy ciebie. A to ty jesteś jedną z najlepszych rzeczy, jakie kiedykolwiek przytrafiły się twojej mamie i mnie. Czy nie zdajesz sobie z tego sprawy? No powiedz!

Jill kiwnęła głową.

- I wydaje mi się, mam taką nadzieję, że jesteśmy dla ciebie najlepsi, jak umiemy.

- Wiem. - Była bliska płaczu, ale rodzice okazywali jej tak czułą troskę, że za wszelką cenę starała się powstrzymać. - Ale chciałabym wiedzieć... Och, opowiadaliście mi, że ona nie miała warunków, żeby się mną zająć i właściwie to rozumiem, ale jednak, jak mogła mnie oddać? Czy wy moglibyście oddać Marka?

Rodzice popatrzyli jedno na drugie. Pewnie oboje pomyśleli w tym momencie o Marku, który leżał w kołysce. Sypiał z dwoma pluszowymi misiami, głowa przy głowie, i ładnie pachniał talkiem.

Mama odezwała się pierwsza.

- Tak. Gdybyśmy nie mieli domu i nie moglibyśmy dać mu tego, czego mu potrzeba, to oddalibyśmy go, bo tak bardzo go kochamy.

- Pomyśl tylko, jak bardzo ona musiała cię kochać, skoro to zrobiła - powiedział tata. - Zastanów się nad tym. A potem postaraj się więcej już o tym nie myśleć, jeśli tylko zdołasz. Masz przed sobą całe długie i wspaniałe życie, i tyle do zrobienia.

Położył dłoń na kolanie Jill; jego dotknięcie było mocne i zdecydowane; jakby do niego należała; to było miłe uczucie. Bardzo chciała do nich należeć. Kiedy położyła dłoń na dłoni taty, kula, która dotąd dławiła ją w gardle, stopniała i jakoś odechciało jej się płakać.

- Czy jeszcze coś chciałabyś powiedzieć, Biedroneczko?

- No, muszę skończyć to drzewo genealogiczne.

- Pokaż. - Tata popatrzył na kartkę. - Masz dwie możliwości. Możesz powiedzieć nauczycielce, że nie chcesz tego robić, albo...

Mama mu przerwała.

- Mogę zamiast tego napisać do niej kartkę z wyjaśnieniem.

- Tak. Albo możesz powpisywać tu wszystkie informacje, które zebrałaś. Obydwa rozwiązania są słuszne.

Stali nad nią oboje i uśmiechali się, ale ściągnięte brwi wskazywały, że czegoś po niej oczekują. Czuła, że także powinna się do nich uśmiechnąć i rzeczywiście, kiedy tak patrzyła, jaką trwałą jedność stanowią, coraz bardziej miała na to ochotę.

- Już późno, więc kończ lekcje - powiedziała mama. - Jej rzeczowy ton też działał na Jill kojąco. - Daruj już sobie dzisiaj prysznic, bardziej potrzebujesz snu.

Kiedy Jill została sama, wzięła pióro do ręki. Więc miała do wyboru dwie możliwości. Myślała intensywnie i po niespełna minucie już wiedziała. Jedna z dróg prowadziła donikąd, ginęła w ciemności, tak jak w tych zamkniętych kanionach, które widywała niekiedy, gdy wędrowali po górach Jerez. Druga droga była łatwa i prosta.

A więc wzięła pióro i zaczęła wypełniać puste miejsca. Ojciec: Jonas Miller, urodzony w 1930 roku, w Phoenix. Matka: Irene Stone, urodzona w 1940 roku, w Albuquerque. Dziadek: Otto J. Miller, urodzony w 1908 roku...

Nieprawdą byłoby twierdzić, że Jill dorastała i osiągnęła pełnoletniość, dręczona poważnymi wątpliwościami co do swego urodzenia. Była na to zbyt aktywna, zbyt szczęśliwa i bezpieczna w rodzinie. A jednak równie fałszywe byłoby twierdzenie, że już nigdy jej te wątpliwości nie nachodziły.

Owszem, zdarzały się, ale natychmiast odpędzała od siebie te myśli, odkładając takie rozważania na później, tylko im była starsza, tym trudniej jej było się ich pozbyć.

W któryś weekend wybrała się z przyjaciółmi na wycieczkę w okolice Taos. Był wiatr i trochę chmur, słońce jednak paliło mocno i ani się spostrzegła, jak nabawiła się bolesnych pęcherzy.

- Osoby z twoją karnacją powinny bardzo uważać z opalaniem - życzliwie pouczył ją nieznajomy lekarz. - Jeżeli masz rodzeństwo, to lepiej im powiedz, żeby strzegli się przed rakiem skóry. To jest cena, jaką rudowłose rodziny płacą za swoją urodę.

- A więc jej włosy były aż tak szczególną cechą! Czasami żałowała nawet, że jest ruda. No bo gdyby miała tak samo ciem-

ne włosy, jak reszta rodziny, to czy myślałaby tyle o sobie? Teraz, gdy tylko spotykała gdzieś wysoką, rudą kobietę około trzydziestki, natychmiast myślała: Czy to może być ona? I przez moment serce zaczynało jej walić, dopóki nie przypomniała sobie, co jej mama mówiła o ciemnych, kręconych włosach tamtej. A więc to ojciec był rudy?

Niedobrze, że te dociekania nie tylko wzbudzały w niej jakiś niejasny, powracający, głuchy smutek, lecz również poczucie winy. Dlaczego nie była w stanie zaakceptować swego udanego przecież życia i przyjąć je takim, jakie było?

Podczas wakacji poprzedzających ostatni rok w szkole średniej babcia, która była nauczycielką francuskiego, zabrała ją i Lucille do Francji. To była wspaniała przygoda; wszystkie trzy miały nie mówić po angielsku, nawet między sobą. Podróżowały różnymi lokalnymi pociągami i autobusami, zwiedzały miejscowości leżące poza głównymi szlakami turystycznymi. Wędrowały wiejskimi drogami, niosąc lunch w koszyku i jadły go, przysiadłszy gdzieś w cieniu drzewa. Babcia była jeszcze dość młoda, aby dotrzymać im kroku, a one dość duże, by zainteresować się muzeami i katedrami, o których babcia tak dużo wiedziała.

Ostatnie kilka dni spędziły w luksusowych warunkach, odpoczywając nad morzem, w Eze-sur-Mer. W hotelu pełno było Niemców, Anglików i Amerykanów. Któregoś wieczoru, kiedy Lucille i babcia poszły już na górę, do swoich pokoi, Jill zaznajomiła się z dziewczynką w swoim wieku, która też przyglądała się ustawionej pośrodku ogrodu olbrzymiej klatce wielkości pokoju, pełnej egzotycznych ptaków tropikalnych. Zamówiły lody i rozmawiając, usiadły na tarasie.

Dziewczynka nazywała się Harriet i była śmiała i towarzyska.

- Czy jesteś tu razem z rodziną? - zapytała.

- Z babcią i z siostrą.

- Ach, więc to jest twoja siostra? Wcale nie jesteś do niej podobna, prawda?

Jill nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego odpowiedziała wtedy tak, a nie inaczej.

- Jestem adoptowana.

- Naprawdę? Ja też.

Przez chwilę obie milczały. Wreszcie Jill powiedziała:

- Jesteś jedyną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam, która jest taka jak ja.

- Na pewno poznałaś całe tłumy, tylko o tym nie wiedziałaś. Ludzie niechętnie mówią na ten temat. Ja też.

- To prawda. Ja do tej pory nigdy o tym nie mówiłam.

- Według mnie, tak naprawdę, nie powinno to nikogo obchodzić, prawda?

- To też prawda, ale nie wydaje mi się, żeby to była prawdziwa przyczyna.

- Nie? No to jaka jest ta przyczyna?

- Myślę, że to dlatego, że my - no, ja przynajmniej - nie chcemy o tym myśleć.

Harriet przysunęła się z krzesłem bliżej i Jill zrozumiała, że ta obca dziewczynka odczuwa teraz takie samo podniecenie, jakie ogarnęło i ją: świadomość bliskiego porozumienia, jakiego nie odczuwała dotąd z nikim innym.

- Powiedziałam, że ja nie chcę o tym myśleć, ale jednak myślę - dodała Jill.

- A ja nie. Teraz już nie.

- Nie chcesz przynajmniej wiedzieć, kim była twoja matka? - zapytała Jill cicho.

- Ja wiem, kim ona była, kim jest. Widziałam ją. Jill osłupiała.

- Jak do tego doszło? Opowiedz mi.

- Urodziłam się w Connecticut. To jest jeden z tych czterech stanów, które nie pieczętują danych.

- Czy Nebraska też do nich należy?

- Nie. I możesz mi wierzyć, że kiedy dane zostają zapieczętowane, to są zapieczętowane. Niczego się nie dowiesz, więc lepiej o tym zapomnij.

- Nie potrafię zapomnieć. Im jestem starsza, tym większą czuję potrzebę... - Głos Jill załamał się i zamilkła.

Tamta dziewczynka czekała przez jakiś czas, zanim Jill znów mogła mówić. - Opowiedz mi. Jak to było, kiedy ją zobaczyłaś?

Harriet popatrzyła na skrzeczące ptaki i na morze rozpościerające się poza skałami.

- Była pijana - powiedziała. Teraz patrzyła już wprost na Jill. - Nikomu o tym nie mówiłam, tylko mamie i tacie, ale to-

bie powiem, bo już nigdy cię więcej nie zobaczę i dlatego, że... no, że chyba powinnaś to wiedzieć. To było tak. Ona była okropna - tragiczna i straszna. Ma męża - wyglądał, jakby też lubił sobie popić. Mieli dwóch synków, moich przyrodnich braci. Jak tam przyszłam, właśnie się bili. W domu było brudno. Nie wiem, gdzie się podział mój prawdziwy ojciec i wątpię, czy ona wie. Złapała mnie i płakała, i błagała, żebym jeszcze przyszła. Ale właściwie nie wydaje mi się, żeby naprawdę jej na tym zależało. Chyba było jej wstyd; nie miałyśmy sobie nic do powiedzenia. - Harriet zamilkła. - To był inny świat. Te brutalne obrazy przygnębiły Jill.

- Czy widziałaś ją jeszcze potem? - zapytała.

- To było trzy lata temu i odtąd jeżdżę tam co roku w zimie, podczas przerwy świątecznej. Mieszkam w Waszyngtonie i cieszę się, że nie bliżej. Pisujemy do siebie, chociaż właściwie nie bardzo jest o czym pisać. Oni są... ona jest... miła, ale czuję... właściwie nie bardzo wiem, co czuję, prócz tego, że strasznie mi jej żal i strasznie się cieszę, że mam takich rodziców, jakich mam. Mówiłam ci, to był inny świat.

- Pewnie żałujesz, że ją w ogóle odnalazłaś.

- Nie, prawdę mówiąc, nie. Tak jest znacznie lepiej; nie muszę się martwić ani o niczym marzyć. Teraz już wiem.

Kiedy Jill przyszła na górę, babcia czytała coś w sąsiednim pokoju.

- Widziałam cię przez okno, więc byłam spokojna, że wszystko w porządku - powiedziała. - Długo rozmawiałaś z tamtą dziewczynką. Czy jest miła?

- Bardzo. Ona jest adoptowana, rozmawialiśmy na ten temat. Babcia milczała.

- Poznała swoją matkę; tę, która ją urodziła.

Babcia sponad okularów do czytania spojrzała na Jill; przyglądała jej się długo i ze współczuciem.

- Wcale nie sędzę, aby to było dobre, Jill - odezwała się. Teraz Jill była tą, która milczała. Babcia zapytała:

- I co mówiła, czy było to dla niej przyjemne doświadczenie?

Jill nie chciała zawieść zaufania Harriet, więc odparła tylko:

- Nie wiem.

- Pamiętaj, że to mogło zniszczyć tamtą rodzinę. Na przy-

kład, jeśli ta kobieta wyszła za mąż i nie powiedziała mężowi o dziecku? A jeśli ma inne dzieci, to jak one by zareagowały? Albo, przypuśćmy, jej rodzice? To mogło wyrządzić ogromną krzywdę.

- Można przecież o tym wszystkim pamiętać i postępować ostrożnie.

Kiedy babcia zdjęła okulary, Jill dostrzegła w jej oczach poważne zaniepokojenie.

- Mogłabyś zostać - a sędzę, że ta rozmowa dotyczy właśnie ciebie - mogłabyś zostać całkowicie odtrącona. Nie chcemy, żeby cię coś takiego spotkało, Jill.

- Wydaje mi się, że chciałabym zaryzykować - powiedziała cicho Jill.

- Jest jeszcze jedna rzecz. - Babcia westchnęła. - Czy pomyślałaś, jak bardzo mogłoby to zranić twoich rodziców?

- Zapytałabym ich najpierw; wytłumaczyłabym im, jak bardzo ich kocham i że to nie ma nic wspólnego z moją miłością do nich. - Jill przeszła przez pokój i położyła dłoń na ramieniu babci. - Babciu, czy jesteś na mnie zła?

- Nie, ale jestem nieszczęśliwa, bo i ty jesteś. Czy przemyślisz to jeszcze, Jill? Pomyśl, a potem, jeśli musisz, to porozmawiaj o tym z rodzicami, kiedy wrócimy do domu.

Więc myślała o tym, ale po powrocie do domu powstrzymywała się przed rozmową na ten temat. Dyskutując sama ze sobą, dostrzegała pewne sprzeczne ze sobą ewentualności. Przypuśćmy, że kobieta, która ją urodziła, okazałaby się jakimś tragicznym rozczarowaniem, tak jak pijana matka Harriet? A z drugiej strony dziewczynka mówiła, że pomimo wszystko odczuła ulgę, gdy poznała prawdę... No ale przecież ta pierwsza matka mogłaby równie dobrze okazać się najcudowniejszą osobą na świecie, miłą piękną i mądrą... Gdzieś przecież żyje i oddycha - nie mogła jeszcze umrzeć, jest na to za młoda! - tylko gdzie jej szukać?

Którejś soboty, w ciemne, deszczowe popołudnie Jill z mamą były same w domu. Gotowały razem i piekły: chleb, ciasta i zapiekanki na jutrzejszy obiad, na którym mieli być goście. To był miły zwyczaj. Mama zrobiła kurs pieczenia pod kierunkiem mistrza cukiernika i teraz uczyła swoje córki.

Ale dzisiaj mama, chociaż nuciła cicho przy obieraniu jabłek,

była jakaś roztargniona i nieswoja. Jill spojrzała na nią znad stolnicy i pochwyciła jej spojrzenie.

- Już od pewnego czasu coś ci chodzi po głowie, prawda? -zapytała mama.

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Jill próbowała się wykręcić.

- Babcia opowiadała nam o waszej rozmowie we Francji. Czekaliśmy, aż sama coś powiesz, ale ty milczałaś. Więc może to my powinniśmy odezwać się pierwsi. Oczekiwaliśmy chyba, że zapomnisz, ale ty nie zapomniałaś.

- Próbowałam - wymamrotała Jill.

Mama podeszła do kuchennego pieca, przesunęła jakiś garnek, którego wcale nie trzeba było przesuwać, i wróciła do niej.

- Jest jedna rzecz, którą zamierzaliśmy dać ci, kiedy skończysz osiemnaście lat, ale wczoraj wieczorem zdecydowaliśmy, że damy ci to już teraz. Pójdę po to na górę.

Po chwili wróciła, podała Jill list i powiedziała:

- Usiądźmy tu na sofie, we wnęce.

List napisany był kobiecym, lecz zdecydowanym charakterem pisma. Mama zachowywała się tak uroczyście, że Jill zaczęła czytać z ciekawością, ale i z pewnym lękiem. Był to tylko jeden arkusik, więc czytanie zajęło jej zaledwie parę chwil.

Kochane Dziecko,

Mam nadzieję, że rodzice, którzy cię wychowują, dadzą Ci ten list, kiedy będziesz już w takim wieku, że go zrozumiesz. Matka, która Cię urodzi i... - zaczęła pisać „mężczyzna”, ale poprawiła i napisała „chłopiec” - ... który Cię spłodził, są ludźmi dobrymi, lecz niemądrymi i mam nadzieję, że Ty będziesz mądrzejsze. Byliśmy zbyt młodzi, by umieć wpasować cię w nasze życie. Możliwe, że byliśmy także zbyt samolubni, nie chcąc nic zmieniać w swoich dotychczasowych planach. Znaleźli się tacy, którzy chcieli, żebym się Ciebie pozbyła - przerywając ciążę - ja jednak nie mogłam tego zrobić. Moje dziecko rosło już we mnie i musiałam pozwolić, żeby urosło i się urodziło. Musiałam mu pozwolić, żeby miało swe własne życie. Wierzę z całego serca, że będzie ono wspaniałe. Oddam Cię tylko takim wspaniałym ludziom, którzy będą Cię chcieli i którzy zrobią dla Ciebie więcej, niż ja mogłabym zrobić. Mam nadzieję, że zrozumiesz - robię to z miłości do Ciebie, chociaż może

nie bardzo wygląda to na miłość. Ale tak jest, moja córko lub synu, naprawdę tak jest.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Jill. - O mój Boże. - Zakryła twarz dłońmi, kołysała się i płakała.

- Wiem, wiem - szepnęła mama. Objęła Jill i położyła sobie jej głowę na ramieniu. I siedziały tak razem, ciasno objęte.

Po dłuższym czasie Jill wyprostowała się i otarła oczy.

- Zamoczyłam ci całe ramię - powiedziała.

- To nic, to nic. Już ci lepiej?

- To taki piękny list... nie mogę uwierzyć, że go trzymam w ręku. Naprawdę piękny list.

- Tak, ja też płakałam, kiedy go pierwszy raz czytałam.

- Gdyby się tylko podpisała!

- Kochanie, ty nie rozumiesz, o co tu chodzi. To jest ostatnia rzecz, którą mogłaby zrobić. Ona ponad wszystko pragnęła dyskrecji. Bała się, czuła się zagrożona.

Jill zastanawiała się przez chwilę, usiłując wyobrazić sobie siebie w takiej sytuacji, nie potrafiła jednak się w nią wczuć.

- Może ona zmieniła zdanie i chciałaby mnie zobaczyć - powiedziała.

- Przecież minęło już tyle czasu.

- Możliwe. Ale nawet gdyby tak było, nie wiem, co ty czy ona mogłybyście w tej sprawie zrobić. Takie jest prawo.

- Uważam, że to prawo jest złe i nie jestem jedyną osobą która tak sądzi. Słyszałam, że jest wiele ludzi i organizacji, podejmujących próby, aby to zmienić. Czy zgodzisz się, że mają słuszość?

- Nie jestem pewna. Wiele się mówi o tym, że trzeba zapewnić dziecku bezpieczeństwo w ramach jednej rodziny, bez konfliktów i podwójnej lojalności.

- Dziecku tak, ale nie dorosłemu - zareplikowała Jill. Z nową siłą zaczynała odczuwać chęć działania. - Mamo, ja za parę miesięcy skończę osiemnaście lat.

- Wiem o tym. - W głosie mamy pobrzmiwał smutek.

I Jill, natychmiast dostrzegłszy ten smutek, otoczyła ją ramionami.

- Mamo, ty zawsze będziesz moją matką. Robisz dla mnie wszystko, jesteś...

- Jak tylko pomyślę, przez co myśmy przeszli, żeby cię do-

stać! - Jej smutek zamienił się teraz w śmiech. - Zbierali nasze referencje i przeprowadzali wywiady, zadawali tysiące pytań. Bardzo się baliśmy, że nie będziemy w stanie sprostać wymaganiom agencji, bo nie jesteśmy aż takimi ideałami, jakich oni wydają się szukać. I kiedy wreszcie pojechaliśmy po ciebie, był ponury, listopadowy dzień, siąpił deszcz i owinęliśmy cię jak Eskimosa...

Siedziały tak i rozmawiały przez resztę popołudnia, podczas gdy deszcz spływał z okapów i rozmywał się po szybach, a obiad wciąż czekał na ugotowanie.

A więc postanowiono: Tata i Jill mieli pojechać razem do Nebraski i dowiedzieć się tam wszystkiego, czego się da.

- Nic się tu nie zmieniło - powiedział tata, kiedy podjechali na miejsce wynajętym na lotnisku samochodem. - Ciekawe, czy pani Burt jeszcze pracuje.

Jill szła za nim długim korytarzem, który prowadził pomiędzy biblioteką a solarium. Przyszło jej do głowy, że właśnie wtedy musiała chodzić jej matka.

- Wszystko w porządku, Biedroneczko? - zapytał.

- Tak. Wszystko świetnie. Tata wszedł do biura.

- Spróbuję ci utorować drogę, powiem, że jestem lekarzem - to może wzbudzi w nich pewien respekt, kto wie? I wytłumaczę, że przyjechałaś tu za pełną zgodą i aprobatą rodziców.

Jill usiadła w czyściutkiej poczekalni, utrzymanej w kolorze beżowym. Stały tu wygodne krzeselka, na stoliku leżały czasopisma. W takich poczekalniach od razu człowiekowi zaczyna walić serce, pomyślała Jill.

Tata wyszedł po dłuższym czasie i wyszeptał:

- Pani Burt przeszła na emeryturę dwa lata temu. Ta, która jest teraz, nie należy do najsympatyczniejszych osób na świecie, no ale chodź i spróbuj, co uda ci się zdziałać.

Młoda kobieta za biurkiem była nawet przystojna, ale nie uśmiechnęła się, kiedy Jill została jej przedstawiona. Reprezentowała typ businesswoman.

- Twój tata powiedział mi już, o co ci chodzi - zaczęła, zwracając się do Jill. - Wiesz z pewnością, że to niemożliwe.

- Chyba miałam jednak nadzieję - wymamrotała Jill.

- Dane zostały zabezpieczone. Twoja pierwsza metryka urodzenia - nie ta, która została wydana, kiedy adopcja się uprawomocniła - jest w rękach państwa, w Urzędzie Statystycznym. Też zabezpieczona - powtórzyła. I zabrzmiało to jak trzaśnięcie drzwiami.

Lecz Jill mimo to nie ustępowała.

- A kartoteki, które macie tutaj? Myślałam... och, tak bardzo chcę to wiedzieć, tylko wiedzieć!

Zdała sobie sprawę, że błagalnie składa ręce, opuściła je więc i ciągnęła dalej, spokojniejszym już tonem:

- Miałam nadzieję, że pani mnie zrozumie i pomoże mi.

- Ale pan to przecież wiedział, doktorze. - Kobieta zwróciła się do ojca Jill. Mówiła do niego z szacunkiem, lecz i z naganą.

- Tak, wiedziałem. Mamy tu jednak do czynienia z potrzebą psychiczną, której nie można zlekceważyć.

- To jest ciekawość, doktorze.

- Pani wybaczy, ale się z panią nie zgodzę; to znacznie więcej niż ciekawość.

- Gdybyśmy chcieli spełniać wszystkie takie prośby, to obietnice, które składaliśmy naturalnym matkom, byłyby bezwartościowe, prawda?

Podczas tej wymiany zdań Jill siedziała ze wzrokiem wbitym w biurko. Plastikowa tabliczka z imieniem i nazwiskiem stała odwrócona od niej w drugą stronę. Przeczytała, od tyłu i do góry nogami, co było na niej napisane: Amanda Karch. Dalej leżała duża urzędowa teczka. W środku na pewno było świadectwo jej urodzenia, sporządzone przez agencję. Jill poczuła przyływ straszego gniewu. Tu oto, o kilkadziesiąt centymetrów kryła się prawda, a ta kobieta odmawiała ujawnienia jej, chociaż sama знаła tę prawdę i widziała, jak bardzo Jill jej pożąda. Jakim prawem? Ta nic nieznacząca biurokratka, ta za-rozumiała...

I zapytała cicho, tłumiąc w sobie gniew:

- Czy istnieją takie okoliczności, w których dane można zabezpieczać?

- Bardzo rzadko. Należy przekonać sąd, że istnieje po temu ważny powód; na przykład poważna choroba, którą trudno rozpoznać, a która może być przekazywana genetycznie, lub też

poważna choroba natury psychicznej, grożąca obłędem. To rzadkie sytuacje.

- Rozumiem.

- W twoim wypadku nie zachodzi żadna z tych sytuacji.

Jill nie odpowiedziała. Jej spojrzenie powróciło znów do leżącej na biurku teczki i na chwilę się na niej zatrzymało.

- Radziłabym ci przestać zaprzętać sobie tym głowę. Jak mówił mi twój ojciec, nie masz żadnych innych problemów. Jesteś więc szczęśliwą młodą osobą, prawda?

- Tak - odparła Jill.

Tata wziął ją za rękę i powiedział:

- Nie muszę chyba dodawać, panno...

- Karch.

- Panno Karch. Nie muszę chyba dodawać, jak bardzo jesteśmy zawiedzeni.

Kobieta na wpół wstała, chcąc się ich już pozbyć.

- Rozumiem, doktorze Miller. Mogę jednak tylko raz jeszcze powtórzyć - dla własnego dobra proszę przestać zaprzętać sobie tym głowę. Proszę nie dopuścić, aby to bezużyteczne pytanie stało się obsesją. Po co niszczyć własne życie.

- Dziękujemy bardzo. - Tata wstał.

W drodze na lotnisko zjechał nagle na pobocze i zatrzymał samochód.

- No i co, Jill? Wracamy do domu? Masz może jakieś inne pomysły?

Biedna i pokonana, odpowiedziała pytaniem na pytanie:

- A jaki mogłabym mieć pomysł?

- Żeby wnieść sprawę do sądu.

- Słyszałeś, co ona o tym mówiła.

- Zimna ryba - mruknął tata. - Chociaż przypuszczam, że pewnie wiedziała, co mówi.

- To by drogo kosztowało, gdyby wynająć prawników, tato.

- O to się nie martw. - Uruchomił samochód. - Jak tylko wrócimy do domu, zacznę się dowiadywać. A na razie jedźmy coś przegryźć, obiad w samolocie nie będzie zbyt obfity.

Był już późny wieczór, kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania nad Nowym Meksykiem. Sine cienie skał kładły się na ceglasczerwonej ziemi. Dla ludzi, którzy nic nie wiedzą o tych terenach, klify są jedynie gigantycznymi skalnymi

ścianami. Jednak dla tych, którzy je dobrze znają, jest to siedziba pradawnego ludu. Tam właśnie rosły krzewy mesquite, sosny drżały na wietrze i płynęła rzeka. Jill pochyliła się w stronę okienka, chcąc sprawdzić, czy rozpozna jakieś znajome miejsca.

- Pamiętasz, jak kiedyś wybraliśmy się w niedzielę na wycieczkę i Jeny zapomniał butelek z wodą? - zapytał tata. - To mi przypomina, że chyba wygramy tę walkę o prawo farmerów do wody. To jakiś obłęd, żeby odbierać wodę farmom, a dostarczać ją do hotelu dla turystów.

Jill zrozumiała, że ojciec usiłuje odwrócić jej uwagę od problemu, który ją trapił. Smutno jej się zrobiło, kiedy zauważyła, że on też wygląda na zgnębionego; powiedziała więc szybko:

- Tato, nie musisz mnie rozweselać. Dzisiaj przegrałam, ale to wcale nie koniec, ja nie zrezygnuję.

Mniej więcej miesiąc później tata zdał sprawę z efektów swoich działań. Rzeczywiście, nie było żadnej szansy, żeby wygrać sprawę w sądzie. Prawnicy zarówno tutaj, jak i w Nebrasce byli w tej kwestii całkowicie zgodni. Sądowi należało przedstawić ważny powód, a Jill takiego powodu nie miała.

Przyjęła te wiadomości ze stoickim spokojem. W tym czasie była już przyjęta do Barnard College w Nowym Jorku i miała ułożony cały plan. Kiedy już tam będzie, postara się skontaktować z jedną z organizacji pomocy adoptowanym, o których czytała.

Podobno innym osobom będącym w jej sytuacji powiodło się, więc i ona mogła mieć nadzieję.

Z pewną goryczą przypominała sobie ostrzeżenia tamtej nieczulej kobiety w domu dla samotnych matek. Poszukiwania Jill nazwała wtedy obsesją. Cóż, tak samo dobre słowo jak każde inne.

Kiedy pakowała swe nowe ubrania, towarzyszyły jej najrozmaitsze uczucia: smutek, że opuszcza dom, podniecenie na myśl o życiu, które miała rozpocząć w Nowym Jorku, duma ze swych osiągnięć... i ta obsesja.

Biuro organizacji znajdowało się w jednym skrzydle zwykłego, prywatnego domu w małym miasteczku niedaleko Nowe-

go Jorku. Były to dwa pokoiki; każdy z nich wyposażony w biurko i cały rząd zielonych, metalowych segregatorów.

- Jest nas mała grupka - powiedziała Emma Dunn. - Ja jestem emerytowaną urzędniczką od spraw socjalnych, a to stało się teraz moim pełnoetatowym zajęciem. Ja sama jestem adoptowana, rozumiesz. Poza mną jedynym stałym członkiem personelu jest pan Riley, reszta to ochotnicy - kilku nauczycieli, psychologowie, dwoje prawników, a pozostali to po prostu zwyczajni dobrzy ludzie. A teraz usiądź i opowiedz mi o sobie.

Kiedy Jill zakończyła swą krótką historię, kobieta kiwnęła głową.

- Taki jest zwykle początek. Czy masz metrykę urodzenia? Nie muszę chyba dodawać, że chodzi mi oczywiście o tę metrykę, którą otrzymałaś już po adopcji.

- Jest w domu.

- Będziemy jej potrzebować, chyba że pamiętasz nazwę szpitala i nazwisko lekarza.

- Pamiętam, ale jestem pewna, że on nic nie powie.

- Mówiłaś, że twój ojciec jest lekarzem. Czy nie mógłby skontaktować się z nim? Zdarza się, że lekarze robią sobie nawzajem różne przysługi.

To głupota, pomyślała Jill. Nic z tego nie będzie. Zgodziła się jednak, że warto spróbować.

Tego samego wieczora zadzwoniła do domu i, jak się spodziewała, tata zgodził się spróbować. Odezwał się do niej po kilku dniach. W jego głosie brzmiało przygnębienie.

- Nic z tego, Jill. To już starszy człowiek i bardzo życzliwy, nadal prowadzi praktykę. Nie może jednak łamać prawa; wyraźnie dał mi to odczuć, a ja zrozumiałem. Nawet było mi trochę wstyd, że go o to prosiłem.

- Dziękuję, tato. Dziękuję ci i tak.

- Czy poza tym wszystko w porządku, Jill? Dużo się uczysz? Bawisz się trochę?

- Tak na oba pytania. Nowy Jork jest wspaniały. Mam już koleżanki i świetnie się tu czuję, ale myślę już też o przyjeździe do domu na przerwę świąteczną.

- My też o tym myślimy, kochanie. Bardzo tęsknimy za tobą.

Słowa „przerwa świąteczna” obudziły w niej pewną myśl.

A może by nałożyć drogi i jadąc do domu, zatrzymać się w Nebrasce? Przypuśćmy, że wybrałyby się do tego doktora osobiście? Może dałoby się obłaskawić jego pielęgniarkę albo sekretarkę? Ta myśl zmieniła się w postanowienie i nie opuściła jej do końca semestru.

Zgodnie z tym planem, pewnego przejmująco zimnego dnia, gdy na zachodnich równinach leżał śnieg, tótmle znów siedziała na wprost jakiegoś biurka, naprzeciw siwego, głuchawgo mężczyzny. Oświetlone okna budynku po drugiej stronie wąskiej uliczki nieco ożywiały ciemne popołudnie. Doktor, bardzo uprzejmie powtórzył Jill to, co uprzednio powiedział jej ojcu, potem zaś dodał:

- Patrzy pani właśnie na budynek szpitala, w którym się pani urodziła.

Jill, dość już zniechęcona, kiwnęła tylko głową.

- Bardzo żałuję, że nie mogę pani pomóc, młoda damo. Naprawdę żałuję. Gdybym jednak wypowiedział te słowa, potem by mnie one prześladowały. Nigdy dotąd nie łamałem prawa i jestem za stary, żeby zacząć to robić teraz.

- Słowa? Jakie słowa?

- Pani dane osobiste. Kiedy zadzwonił doktor Miller i podał mi pani datę urodzenia, poszedłem i zacząłem grzebać w mojej zakurzonej kartotece. Tamtego dnia przyjąłem tylko jeden poród: urodziła się dziewczynka.

Oczy Jill napełniły się łzami. Tak blisko, znowu tak blisko... tuż na wprost niej, na biurku.

Starszy pan zakasłał i pochylił się nad szufladą.

- Te przekłete pigułki - wysapał - nigdy nie mogę ich znaleźć.

A Jill wychyliła się do przodu. Na arkuszu zapisanym na maszynie zdołała dojrzeć tylko jedno nazwisko i przeczytała je, choć było do góry nogami: „Peter... Alger jakiś... Mendes”.

Cofnęła się w dokładnie w tym momencie, gdy doktor uniósł głowę znad szuflady.

- Naprawdę żałuję, że nie mogę pani pomóc, moja miła.

Musiała teraz szybko opuścić gabinet, żeby zapisać to nazwisko, zanim je zapomni. Serce jej waliło. Czy wydawało jej się, czy w oczach doktora dostrzegła błysk? Dał jej szansę, nie łamiąc przy tym prawa. Kimkolwiek był ten Mendes, stanowiło

to przynajmniej pewien ślad. Może to jakiś krewny albo znajomy jej matki? A może nawet jej własny ojciec?

Późnym wieczorem, już w domu, z drzeniem opowiadała o tym rodzicom.

- Peter Alger - powiedziała mama.

- Nie Alger, tam były jeszcze jakieś litery. Mama zastanowiła się.

- Co by to mogło być, jak nie Algernon?

- To dziwne imię - stwierdził tata. - Ale coś mi to chyba przypomina.

- Słyszałeś o nim? - wykrzyknęła Jill.

- Wydaje mi się, że gdzieś to imię widziałem. Chyba przeczytałem je w jakimś czasopiśmie. Może on jest lekarzem i opublikował coś w jednym z czasopism medycznych. W poniedziałek poproszę jedną z dziewcząt u mnie w pracy, żeby poszukała w spisie lekarzy. Wiesz, są takie spisy, które obejmują wszystkich lekarzy działających w Stanach Zjednoczonych.

- Nie, to nie jest lekarz - oświadczył tata w poniedziałek wieczorem. - A jednak to nazwisko nie daje mi spokoju. To właśnie ten Algernon utkwiał mi w pamięci. Możliwe, że ponosi mnie wyobraźnia, ale mam wrażenie, jakbym widział to wydrukowane na jakiejś stronie i że czytałem to u siebie w gabinecie, tak jak zwykle, gdy jem drugie śniadanie i czytam. Wydaje mi się też, że było to niedawno.

- No dobrze, więc co zwykle czytasz, oprócz czasopism medycznych? - zapytała mama.

- Masę rzeczy. Wszystkie magazyny, które wykładamy w poczekalni: „National Geographic”, „The Smithsonian”, no i te różne popularne pisma. Poza tym rozmaite broszury i ulotki, które mnie interesują: Biuletyn Indiański, Informator Klubu Sierra - wszystko, co mam pod ręką.

- No to nigdy tego nie znajdziesz - orzekła Jill.

- Nie mów tak. Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że musiałem widzieć to nazwisko nie dalej niż rok temu. A przeważnie przechowujemy pisma na półce przez rok albo i dłużej. Zapełniają trochę miejsca i nieźle to wygląda.

To daremny trud, pomyślała Jill. A jednak nigdy nie wiadomo. Minęła zima, nadeszło i minęło lato: Jill była już studentką drugiego roku. Odwiedziła ponownie Emmę Dunn i podała jej

to nazwisko, z nadzieją, że może jej organizacja będzie w stanie zrobić z niego jakiś użytek. I wtedy któregoś wieczora zatelefonował tata.

- Nie uwierzysz w to, co ci powiem! Znalazłem Mendesa. To było w artykule na temat poszukiwań archeologicznych dotyczących Indian. On jest profesorem archeologii w Chicago. Poczekaj, mam to tutaj. Zapisz sobie... Co masz teraz zamiar zrobić? Napiszesz do niego?

- Myślę, że zaraz do niego zadzwonię - powiedziała Jill. - Nie mogłabym dzisiaj spać, gdybym tego nie zrobiła.

- Okay, zuch dziewczyna! Zadzwoni potem do nas, opowiedz nam, jak ci poszło.

Jak zacząć? Dzień dobry, nazywam się Jill Miller. Czytałam o panu, czy jest pan moim krewnym? Nie, tak będzie głupio. Tak ni z gruszki, ni z pietruszki skąd może wiedzieć, kto to jest Jill Miller. Po prostu trzeba mu powiedzieć prawdę.

Kolana się pod nią uginały, ale dowiedziała się w informacji o jego numer i zadzwoniła. Odpowiedział jej energiczny męski głos. Podała swe nazwisko i przedstawiła się jako studentka drugiego roku Barnard College, po czym zaczęła:

- Mam dziwną prośbę. Zaraz po urodzeniu zostałam adoptowana i poszukuję swoich rodziców. Przez przypadek trafiłam na pana nazwisko i pomyślałam, że może wie pan coś o tym... kim jestem.

Zapadła cisza, dopiero po dłuższej chwili ten ktoś odpowiedział.

- Gdzie znalazła pani moje nazwisko? W którym to było stanie?

- W Nebrasce. Tam właśnie się urodziłam, w domu dla samotnych matek. Ale teraz mówię z Nowego Jorku. Czy jest pan może krewnym mojej matki?

- Proszę mi powiedzieć - głos mężczyzny przybrał teraz inny ton - proszę mi powiedzieć, ile pani ma lat?

- Dziewiętnaście.

Tym razem cisza trwała jeszcze dłużej. Jill myślała już, że odszedł od telefonu.

- Panie Mendes? Czy pan mnie słyszy?

- Mój Boże, tak, słyszę.

- Panie Mendes? Czy pan zna moją matkę?

- Znałem ją.

Nagle ogarnął ją strach, że może mężczyzna płacze. Zaczęło tętnić jej w głowie; nie mówiła już, lecz szeptała.

- Jej imię? Jak ona się nazywała? Głos mężczyzny drżał, gdy odpowiadał:

- Janinę. Mówiło się na nią Jennie.

Jennie. Z ciemnymi, kręconymi włosami. Tylko tyle wiem. Ale ten mężczyzna, na drugim końcu linii, wie resztę.

- Pan zdaje sobie sprawę, że musi mi pan wszystko powiedzieć, prawda? - Jill kurczowo ścisnęła słuchawkę. - Nie można sprawiać, aby ktoś cierpiał...

- Nazywała się Jennie Rakowsky. Byliśmy na tej samej uczelni. Była ode mnie o rok młodsza i... - Zamilkł.

Jill musiała oprzeć się o ścianę.

- W takim razie pan... pan musi być... czy to pan?

- Tak! Och, tak! Mój Boże, nie mogę w to uwierzyć. Tak nagle, znikąd. Chcę cię zobaczyć? Czy mogę? Kiedy mogę?

- Och, tak... może pan... możesz. Ale gdzie jest moja matka?

- Nie wiem. Nie widziałem jej od tamtej pory i nie miałem o niej żadnych wiadomości. Jill się rozpląkała.

- To takie straszne! A przecież... szukałam tak długo. Próbowałam. Jak mogę ją znaleźć?

- Dam ci adres, pod którym mieszkała w Baltimore; i mój adres. Chcę się z tobą zobaczyć. Jill, jak ty wyglądasz?

- Jestem wysoka, mam rude włosy, długie, rude włosy.

- Ja jestem rudy. Jill, podaj mi swój adres i numer telefonu. Zaraz do ciebie zadzwonię, za dużo zapłacisz za tę rozmowę.

- To nie szkodzi

- Jak mnie znalazłaś?

- Napiszę i wszystko ci wyjaśnię. Mój ojciec znalazł twoje nazwisko. On interesuje się Indianami, mieszkamy w Nowym Meksyku...

- Tak nagle, znikąd. Mój Boże, spadłaś mi z nieba.

Tej nocy prawie nie spała. Zadzwoniła do domu, żeby podzielić się z rodzicami tą zdumiewającą wiadomością, a w sobotę pojechała pociągiem do Baltimore i udała się pod adres, który podał jej Peter Mendes. Był to jeden z przylegających do siebie domów, w ubogiej uliczce. Drzwi otworzyła czarnoskóra

kobieta. Nie, nigdy nie słyszała tego nazwiska. Jej sąsiedzi o nazwisku Danieli, mieszkają tutaj od lat, może oni będą coś wiedzieć. Tak, oni pamiętali rodzinę Rakowsky, ale po śmierci ojca żona i córka wyprowadziły się stąd, już wiele lat temu. Jennie Rakowsky to była przemiła dziewczyna, ładna i taka mądra. Nie, nie mieli pojęcia, gdzie jej teraz szukać.

W niedzielę Jill zadzwoniła do Petera Mendesa, żeby mu o tym powiedzieć.

- Coś mi wczoraj przyszło do głowy, Jill. - W głosie Petera brzmiało podniecenie. - Telefonowałem do ciebie, ale już wyszłaś. Chodzi o to, że Jennie zawsze chciała zostać prawnikiem. Istnieje przecież spis wszystkich prawników w kraju. To głupota z mojej strony, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Dzisiaj jest niedziela, więc nie mogę się tym zająć, ale jutro to sprawdzę i dam ci znać.

Znowu nie mogła spać. „Przemiła, ładna i taka mądra”, mówili sąsiedzi. A on był wysoki i rudy. Nawet przez telefon wyczuwało się, że jest wrażliwy i dobry. Peter i Jennie. Jennie i Peter. Przez cały dzień każdą jej myśl przenikała świadomość, że są, że istnieją.

Późnym popołudniem zatelefonował Peter.

- Jill, wyobraź sobie, że ona jest w Nowym Jorku! Jest adwokatem; postawiła na swoim. Mam dla ciebie jej adres.

Więc Jennie jest w Nowym Jorku. Przez cały ubiegły rok były tu obie i nie wiedziały o tym. Kiedy powiem o tym rodzicom... wieczorem muszę im to powiedzieć.

- Jill, myślę, że musisz być dla niej wyrozumiała. Jej bardzo zależało na dyskrecji. Nie możesz zadzwonić do niej tak po prostu, jak zadzwoniłaś do mnie. To byłby zbyt wielki szok.

- Nie zrobiłabym tego w ten sposób, gdybym wiedziała, kim jesteś.

- Mnie nie wyrządziło to krzywdy, ale ją mogłabyś skrzywdzić. Bardzo możliwe, że ma rodzinę. Bądź ostrożna, tylko o to cię proszę.

- Będę. Och, na pewno będę! Jestem w kontakcie z organizacją pomocy adoptowanym, więc zapytam ich, co mam zrobić.

- To dobry pomysł. A ja będę z tobą w kontakcie, nie mogę się już doczekać, kiedy się zobaczymy. A tymczasem przyślij

mi swoje zdjęcie, a ja wyślę ci swoje. Jill, czy to wszystko dzieje się naprawdę? Wciąż nie mogę w to uwierzyć...

Emma Dunn przywołała pana Riley'a, żeby i on wysłuchał opowieści Jill. Słowa płynęły pośpiesznie i nieskładnie, dziewczyna czerwieniła się i wymachiwała rękami w podnieceniu. Zauważyła, że oboje byli wzruszeni.

- Muszę ich zobaczyć! Jadę do Chicago zobaczyć się z Peterem, ale najpierw chcę się spotkać z Jennie. Wyobraźcie sobie! Jest tak blisko. Może tak blisko, że doszłabym tam na piechotę.

- Nie, nie rób tego, Jill. Pozwól, żebyśmy zrobili to za ciebie. Widzieliśmy wiele takich spotkań, które kończyły się bardzo boleśnie. Nie chcę przez to powiedzieć, że będzie tak akurat tym razem - powiedziała szybko. - Rozegrajmy to jednak prawidłowo, żeby temu zapobiec.

A jednak Jill przepełniała radość i podniecenie. Po całym długim roku próżnych wysiłków sprawy zaczęły się toczyć tak pomyślnie, że pozwoliła sobie założyć, iż nie napotka już żadnych innych przeszkód. Tę jej promienną radość zgasiła wiadomość pana Riley'a, że Jennie Rakowsky życzy sobie, aby ją zostawić w spokoju.

- Powiedziała, że to, co się stało dziewiętnaście lat temu, już się nie odstanie.

- Tak powiedziała? - nie wierzyła Jill.

- Tak, ale to nie znaczy, że nie zmieni zdania. Zostawmy jej trochę czasu, żeby to przemyślała.

- Czy to dlatego, że ma inne dzieci? Jak się panu wydaje?

- Nie wiem. Dowiemy się.

- Jak wam się to uda?

- Mamy swoje sposoby. Dam ci znać. I posłuchaj, Jill, mnie to nie zaskoczyło, więc niech i ciebie nie dziwi. Uprzedzałem cię, to się ciągle zdarza.

Kiedy opowiedziała o tym rodzicom, tata powtórzył to samo, co pan Riley, a mama dodała:

- Tego się obawialiśmy. Mam nadzieję, że w końcu będzie tak, jak ty chcesz, ale gdyby do tego nie doszło, musisz się z tym pogodzić. To nie może cię zniszczyć. Niech ci wystarczy, że masz Petera w Chicago.

Pocieszył ją telefon Petera.

- Wszystko się ułoży - powiedział wesoło. - Tylko bądź cierpliwa.

Jakby go widziała, gdy siedzi przy telefonie - młodzieńczy, może trochę sztucznie wesoły, żeby rozproszyć jej smutek, nie tak ojcowski jak tata, a jednak serdeczny. I była mu wdzięczna.

Mijały dni, potem tydzień, parę tygodni. W końcu odezwała się Emma Dunn, aby powiedzieć, że tym razem ona podjęła kolejną, nieudaną próbę rozmowy z Jennie.

- Nie dawaj za wygraną, Jill. To były tylko dwie próby. Zadzwoń do niej znowu; nie ma ani męża, ani dzieci. Mam przecucie, że w końcu się zgodzi.

Teraz jednak Jill miała poczucie, że coś ją nagli. Tak jakby miała za sobą maraton i od mety dzielił ją niespełna kilometr. Cel był tuż-tuż, nogi jednak niosły ją z trudem i brakło jej tchu; a jednak musiała podjąć ten wielki, ostatni wysiłek, teraz nie mogła przegrać. Mniejsza o wszelkie środki ostrożności. Mniejsza o rodziców, Petera, Rileya i Emmę Dunn. Musi zaryzykować.

I tak któregoś wieczora po kolacji poszła do swego pokoju, wzięła prysznic i przebrała się, chcąc wyglądać jak najlepiej. Potem wezwała taksówkę. Będzie spokojna, powtarzała sobie, i wydawało się jej, że czuje, jak pod wpływem tych słów jej serce się uspokaja. Weszła do domu, potem po schodach na górę i zadzwoniła do drzwi.

Kobięcy głos zapytał:

- Kto tam?

- To Jill - odpowiedziała. - Czy mogę wejść?

7

Jennie z trudem trzymała się na nogach, które nagle stały się jak z gumy; jedną ręką oparła się o ścianę - i otworzyła drzwi. Światło padające z dużego pokoju wydobyło z półmroku postać wysokiej młodej dziewczyny. Włosy, to zauważyła najpierw. Bezmiar wspaniałych, lekko kręconych, rdzawych, lśniących włosów; miedzianych, rudych włosów.

Musiała mocniej oprzeć się o ścianę. Patrzyła. Przyłożyła

dłoń do piersi w miejscu, gdzie jej serce stukało, stukało i mogło nagle całkiem się zatrzymać.

- Przepraszam - powiedziała dziewczyna cicho. - Przepraszam, czy pani zaraz zemdleje?

Jennie się wyprostowała. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że obserwuje siebie z zewnątrz i wydało jej się, że to tylko sen, koszmarny sen, z którego obudzi się w świetle dnia i odnajdzie rzeczywistość. Ale już po sekundzie, będąc znowu sobą, stwierdziła, że właśnie to jest rzeczywistość. Ta dziewczyna była prawdziwa, żywa i zamierzała wejść do środka. Jenny odsunęła się na bok, wciąż czuła, że ledwie stoi i że nogi się pod nią uginają.

- Proszę, wejdź - szepnęła.

Stały naprzeciw siebie pośrodku pokoju, oddalone jakieś dwa metry jedna od drugiej. Jennie stwierdziła nagle, że nie czuje nic i że towarzyszy jej tylko przerażająca świadomość, że straciła mowę. Przez głowę przelatywały jej strzępy myśli, jak suche liście unoszone wiatrem: Co powinnam teraz robić? Co powinnam czuć? Jestem niema, nie jestem zdolna do żadnych uczuć, nie widzisz? A poza tym to może być pomyłka. Tak, oczywiście, to pomyłka. Na pewno.

Tylko te włosy. Ile osób może mieć takie włosy? A teraz spójrz jej w twarz; spójrz w twarz tej obcej dziewczyny.

- Pani nie jest pewna, kim ja jestem, ale trafiłam dobrze. Jestem Jill, Victoria JUL Mówiono już pani o mnie.

- Tak - odpowiedziała Jennie bezgłośnie, tak że musiała powtórzyć - Tak, mówiono mi.

Wciąż stały z dala od siebie, dzieliło je prawie pół pokoju.

- Powinna pani usiąść, pani się cała trzęsie - powiedziała dziewczyna.

Usiadły na fotelach stojących po obu stronach sofy. Teraz dzieliło je już tylko niewiele ponad metr.

Przygląda mi się, pomyślała Jennie. Jej spojrzenie przesuwają się po mnie od stóp do głowy i tu się zatrzymuje. Chce pochwycić mój wzrok, ale ja już widziałam błysk rodzący się w jej oczach i nie potrafię tego znieść, nie jestem gotowa; do oczu napływają mi łzy i muszę się odwrócić.

Na razie nawet się nie dotknęłyśmy, nie podałyśmy sobie rąk. Gdyby to było na filmie, ścisnęłybyśmy się, płacząc, ale ja

nadal czuję pustkę. Ona spogląda w okno, które jest całkiem ciemne, widać tylko wąski pas światła padający spomiędzy zasłon w oknie na przeciwko. Patrzy w tamtą stronę. Jej biała, jedwabna bluzka jest zapięta wysoko pod szyją widzę więc jej napięte mięśnie, kiedy walczy ze łzami. Twarz ma wąską pociągłą i trochę piegów na nosie; nosek mały, ale z garbkim, nie tak jak u mnie czy u Petera. Oczy ciemne, o długich, gęstych rzęsach i białkach tak czystych, że prawie niebieskich. Poznaje ją, kawałek po kawałku, wciąż jeszcze niezupełnie w to wierząc.

Dziewczyna odwróciła się nagle i powiedziała:

- To musi być dla pani straszne, przepraszam.

I Jennie, ta silna, która ambitnie przewyciężała trudności, teraz nie była w stanie odpowiedzieć.

- Może czegoś pani trzeba? Wody? Brandy?

- Nie, dziękuję. Już mi lepiej.

- Na pewno?

- Tak, już dobrze, naprawdę.

Jennie wsłuchiwała się w ciszę i w łomot swoich myśli. Ulicą na syrenie przejechała straż pożarna; gdy umilkła, cisza zdawała się jeszcze głębsza. Jennie bezgłośnie mówiła sama do siebie: zaczęła mnie boleć głowa, od czoła aż po kark, jakby mnie ktoś walił młotkiem. Przykładam dłoń do czoła, jakby to mogło przerwać ból. Właśnie uświadomiłam sobie, że gdyby Jay nie zachorował, byłby tu ze mną, nim zadzwonił dzwonek. Sytuacja zupełnie niewyobrażalna...

I znowu patrzę na tę dziewczynę - córkę - siedzącą koło mnie w fotelu. Jest zaniepokojona, chyba się boi, że coś mi się stanie, a ona nie będzie wiedziała, co ze mną zrobić. Nie rozumie, dlaczego niby miałyby rozumieć, że jest bombą rzuconą w samo centrum mojego życia.

- Czy pani w ogóle nie zamierza nic mówić? - odezwała się dziewczyna. - Przecież nie będzie pani przez cały czas tylko mi się przyglądać, prawda?

Tę delikatną naganę łagodził przymilny, trochę smutny uśmiech, któremu towarzyszyło zmarszczone czoło, jakkolwiek spod grzywki niewiele go było widać.

Odpowiedź Jennie wymknęła się sama.

- Przeszkadza ci, że patrzę?

- Nie, oczywiście, że nie. - Jill wychyliła się w jej stronę, z brodą wspartą na dłoni. - A więc, co pani o mnie myśli?

Jennie czuła, że pieką ją oczy, otwierała je bowiem jak najszerzej, żeby tylko nie płakać.

- Jesteś ładna... - odpowiedziała.

- Pani też jest ładna... Czy i pani ma takie uczucie, że to nie dzieje się naprawdę? Czy może pani uwierzyć, że przez cały zeszły rok mieszkaliśmy w tym samym mieście, nic o tym nie wiedząc? Ja nie miałam o tym pojęcia. Zawsze sądziłam, że skoro urodziłam się w Nebrasce, to musi pani mieszkać gdzieś na zachodzie.

Jak spokojnie mówi! Z jaką godnością! Można by pomyśleć, że jesteśmy tylko znajomymi, które przypadkiem spotkały się gdzieś po wielu latach. Na pewno trzęsie się cała w środku podobnie jak ja, tylko że ona o wiele lepiej ode mnie daje sobie radę ze swoimi lękami i z całą tą zdumiewającą sytuacją. Mnie przez cały czas drżą ręce, podczas gdy jej ręce spoczywają spokojnie na oparciach fotela.

- Urodziłam się i wychowałam w Baltimore.

Bądź przygotowana na setki pytań. Przecież przyszła po to, żeby dostać na nie odpowiedzi. Jej umysł, który ciągle błądzi gdzieś w przeszłości, musi być kłębowiskiem pytań.

I teraz Jennie zaczęła odczuwać cierpienie dziewczyny, na równi ze swym własnym. Wyobraź sobie tylko, że nie wiesz, kto cię spłodził! Ja do końca życia pamiętać będę tatę: jego wąsy, jego dobre, porośnięte włoskami ręce, jego głos, poważny nawet, kiedy się śmiał. I mamę, okrągłutką, wesołą, udzielającą przestroóg i mówiącą, mówiącą bez przerwy

- Mieszkamy w Albuquerque.

- Wiedziałam, że mieszkasz gdzieś na zachodzie, zastanawiałam się tylko gdzie.

- Tam jest pięknie, ale Nowy Jork też wydaje mi się cudowny. Byłam w operze i w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, wszędzie. Tu jest cudownie.

Jej spokój i opanowanie zaczynały się ulatniać. Nie jest jeszcze gotowa na zetknięcie z nagą, bezlitosną prawdą woli na razie ślizgać się z tematu na temat tonem towarzyskich pogaduszek i dopiero stopniowo przejść do sedna sprawy, pomyślała Jennie. Dla niej też była to jedyna możliwa droga.

- A więc college dał ci okazję, abyś poznała Nowy Jork?
- Byłam tu już raz przedtem. Kiedy skończyłam szkołę średnią, babcia w nagrodę zabrała mnie do Europy i zatrzymałyśmy się tu na kilka dni.

- To wspaniały prezent.

Co za banalna, pospolita uwaga, podczas gdy serce cały czas wali mi jak opętane!

- Wiem. A ta torba to był drugi prezent. Babcia kupiła mi ją w Paryżu. Duża torba od Vuittona stała u stóp dziewczyny na podłodze.

- Wiem, że jest ładna, ale tak naprawdę wcale jej nie chciałam.

Paryż, Vuitton. Dziewczyna - musi przestać nazywać ją „dziewczyną”, nawet w myśli - miała zegarek ze złotą bransoletką, w uszach kolczyki z brylancikami, rzeczy, jakich Jennie nigdy sama nie miała ani też nie mogłaby nikomu podarować.

Należało jednak coś odpowiedzieć.

- Dobrze, że jest duża; zawsze możesz włożyć do niej parę książek.

- Ach, noszę ją nawet wtedy, kiedy chodzę po kampusie. Jak na college, który jest w mieście, mamy naprawdę ładny kampus. Powinna go pani zobaczyć; była pani tam kiedyś?

- Nie - odparła Jennie.

Byłam tam dziś po południu, mając nadzieję, że cię zobaczę. I mając nadzieję, że cię nie zobaczę.

- No to powinna się tam pani kiedyś wybrać. Zataczamy koła, poruszamy się po spirali, zawadzamy

o głupstwa i z lękiem coraz bardziej zbliżamy się do sedna. Jill otworzyła usta, zamknęła je, potem znowu otworzyła.

- Kiedy kończyłam szkołę średnią, mama dała mi pani list.

- Mój list?

- Ten, który napisała pani przed moim urodzeniem; był w pudełku z dziecinnymi ubrankami.

- Ach, ten. Tak, tak.

Zupełnie o tym zapomniała. A więc to prawda, że można wymazać z pamięci wszystko, o czym chce się zapomnieć, wszystko, co jest zbyt bolesne, aby pamiętać.

- Któregoś popołudnia byliśmy same w domu. Mama

usiadła przy mnie i czekała, aż skończę czytać. Płakałyśmy obydwie.

- Nie pamiętam już, co wtedy napisałam.

- Czy chce pani, żebym to powtórzyła? Znam ten list na pamięć.

- Ach, nie! Proszę nie. - Jennie powstrzymała ją gestem ręki.

Nie mogę przecież rozsypać się w kawałki. Teraz, kiedy już tyle mi powiedziała, będę musiała się z nimi widywać; z nią i z tą kobietą, która jest jej matką...

Ganek. Gołe górskie zbocza. Czerwone płaskowyzę. Czy Albuquerque leży na płaskowyzu? Słysząc dźwięk dzwoneczków poruszanych wiatrem. Na trawniku rośnie kaktus; na ganku jest bujana ławeczka, a na niej one dwie; kobieta obejmuje dziewczynkę ramieniem. Widzę, że ma myślącą twarz intelektualistki i siwe pasmo w ciemnych włosach. Nie wiem, dlaczego tak właśnie ją sobie wyobrażam.

- To tamtego dnia pierwszy raz pomyślałam sobie, że koniecznie muszę panią odnaleźć - powiedziała Jill.

- A więc nie wcześniej?

- Właściwie nie. Ale odkąd ta myśl przyszła mi do głowy, już mnie nie opuściła. Wiedziałam, że muszę się dowiedzieć, skąd pochodzę.

- A twoi... rodzice?

- Czy mieli coś przeciwko temu? Zupełnie nie. Oni to rozumieli. - Jill zamilkła. - Mam rude włosy... bardzo odróżniałam się od całej mojej rodziny; jeśli pani rozumie, o co mi chodzi.

To te wspaniałe włosy. Biedactwo, musiała się zastanawiać, skąd jej się takie wzięły.

- Masz włosy po swoim ojcu - powiedziała Jennie. - To ich cecha rodzinna. Może jesteś trochę do nich podobna... Nie znałam ich zbyt dobrze. - A potem wyrzuciła z siebie: - Mówienie o nich jest dla mnie bolesne.

- Nie musi pani. Proszę mi tylko opowiedzieć o sobie.

- Opowiedzieć o sobie? - powtórzyła Jennie z goryczą. - Całe życie w jeden wieczór?

- Będą przecież następne wieczory, Jennie. Czy mogę tak panią nazywać? Nie czułabym się dobrze, mówiąc do dwóch osób „mamo”.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Prawdę mówiąc, byłoby to raczej absurdalne, gdyby nazywała mnie mamą. Ja nie byłam i nie jestem matką. Ona mówi o „następnych wieczorach”; tego właśnie należało oczekiwać. Kiedy zrobiła już pierwszy krok, na pewno zrobi następne, nie zatrzyma się w miejscu. I tak wkracza się na drogę, której koniec trudno sobie wyobrazić. No, może jeśli o mnie idzie, to tym końcem jest jakaś ślepa ściana. Ona teraz czeka, że opowiem jej swoją historię. Skrzyżowała nogi, przyjęła niby to skromną pozę, chociaż ja już wiem, że ta dziewczyna - Jill - wcale nie jest taka skromna. No, ale przecież ja też nie.

- Mówiłaś, że pochodzisz z Baltimore.

- Moi rodzice byli biednymi Żydami z Europy, przeżyli obozy koncentracyjne. Nie mieliśmy wiele, ale to był szczęśliwy dom. Ojciec już nie żyje, matka mieszka na Florydzie, nie mam żadnego rodzeństwa... - Poczowała dławienie w gardle i zamilkła.

To jakieś szaleństwo, że siedzimy tak sobie we dwie i rozmawiamy; scena równie surrealistyczna jak rozpływające się zegary Dalego, senne pejzaże, dalekie domy, zagubiony czas. I ja, która równie niechętnie, jakbym była na kanapce u lekarza, odgrzebuję zamazane, od tak dawna uśpione wspomnienia.

- Przepraszam - powiedziała Jennie, ocierając łzy. - Ja zwykle nie płaczę.

- Dlaczego? Nie ma nic złego w tym, że się płacze.

- Kiedy raz zacznę, obawiam się, że trudno mi będzie przestać.

Silna jest ta dziewczyna, rozsądna, odpowiedzialna. To ona dzisiaj nadaje ton, ja się tylko dostosowuję. Nie jestem do tego przyzwyczajona.

Jennie zgmiotła mokłą chusteczkę w kłębek, wyciągnęła się w fotelu i nieomal bojaźliwie powiedziała:

- Nie bardzo wiem, co mam dalej mówić. Odpowiedź była cicha, lecz zdecydowana.

- Przypuszczam... chciałabym... żebyś mi powiedziała, dlaczego nie chciałaś mnie widzieć, dlaczego przez ostatnie tygodnie tak bardzo się opierałaś. Nie chciałam cię do tego zmuszać, przychodząc tu niespodziewanie, tak jak dzisiaj, ale nie było innego wyjścia.

- To było... - Jennie zaczęła się jąkać. - To znaczy, wyda-

wało mi się niemożliwe, żeby zetknąć się osobiście, przypominać sobie...

Zapędziła mnie w kozi róg. Na sali sądowej mogę atakować i odparowywać ciosy, ale nigdy dotąd nie znalazłam się jeszcze w takiej sytuacji. Ta dziewczyna mnie nie wypuści. Teraz już tak zapadnie mi w pamięć, że nigdy jej nie zapomnę. Zawsze będę widziała jej twarz i słyszała jej głos. Ładnie mówi, dobra dykcja jest taka ważna, młodzi ludzie wcale dziś o to nie dbają, wyrażają się byle jak...

I siedzi na fotelu z takim wdziękiem. Pasowałaby do rodziny Petera... Czyż to nie ironia losu? Och, głowa pęka mi z bólu.

- Tak bardzo chciałam zdobyć sobie jakieś miejsce w twoim życiu, stać się jego częścią - odezwała się w tym momencie Jill.

- Jak to możliwe? - Jennie głęboko zaczerpnęła powietrza. - Jest już za późno. Za późno dla nas obu. W moim życiu nie ma dla ciebie miejsca, w twoim dla mnie też nie.

- Tylko co do tego pierwszego masz rację. W moim życiu byłoby dla ciebie miejsce. Ty po prostu mnie nie chcesz; powiedziałaś to tym ludziom, którzy do ciebie dzwonili.

- Nie powiedziałam tego w ten sposób.

Jak okrutnie i głupio z ich strony, że tak jej to przedstawili! No, ale przecież tak mówiłam, prawda? Powiedziałam, żeby dali mi spokój. Niech no jej się przyjrę... Cerę ma jak mleko, a błękitne żyłki na skroniach takie cienkie; jej krew w nich płynie... Teraz martwi się, czuje się zraniona. Miałam rację od samego początku. Dla nas obu byłoby lepiej, gdybyśmy się nigdy nie spotkały.

I bardzo cicho powiedziała:

- Miałam tylko na myśli, że to trudno... no, tak, powiedziałam - niemożliwe - po dziewiętnastu latach odkryć jakąkolwiek wzajemną bliskość. Tylko to miałam na myśli.

- Mogłybyśmy spróbować. Przecież od razu możemy postarać się nawiązać jakiś kontakt. - Jill spojrzała na zegarek. - Jest dopiero dziewiąta. Przez godzinę czy dwie mogłabyś mi masę opowiedzieć. - I dokończyła: - Gdybyś tylko chciała.

Jennie westchnęła.

- Zrobię coś innego. Naszkicuję drzewo genealogiczne i przyślę ci pocztą. Opiszę ci też różne rodzinne historie, wszystko, co mnie dotyczy. Co do tej drugiej rodziny - twojego

ojca - niewiele mogę ci opowiedzieć. Nic o nich nie wiem, prócz tego, co mi mówił, że są południowcami. Przypuszczam, że mogłabyś ich uznać za żydowskich arystokratów. Nic więcej nie wiem.

- To nie ma znaczenia. Rozmawiałam już z Peterem.

- Co... co zrobiłaś? - Jennie wbiła w nią wzrok. Jill patrzyła jej prosto w twarz.

- Odnalazłam go, tak samo jak odnalazłam ciebie. W ciągu ostatnich paru tygodni prowadziliśmy długie rozmowy przez telefon. Mieszka w Chicago, zaprosił mnie do siebie na najbliższy weekend. Był taki przejęty, kiedy do niego zadzwoniłam! Od razu zechciał się ze mną spotkać.

Jennie była jak oniemiała, słowa Jill spływały po niej jak strumienie lodowatej wody.

- Mamy ze sobą wiele wspólnego. - Mówiła teraz głośniej, nie kryjąc triumfu. - On jest archeologiem. Nie wiedziałaś o tym, prawda? Jest profesorem. A ja byłam kiedyś w Izraelu na wykopaliskach, mieliśmy więc o czym rozmawiać. Wydaje mi się, że to wspaniały człowiek; nie mogę się już doczekać, kiedy go zobaczę.

Gdy minął pierwszy szok, Jennie zaczęła bardziej zdawać sobie sprawę, kim jest młoda osoba siedząca naprzeciwko niej. Musiało jej strasznie zależeć, a przy tym była sprytna, skoro nie zdradziła się ze sprawą Petera, nie dowiedziawszy się najpierw, co Jennie ma jej do powiedzenia.

- Cieszę się ze względu na ciebie, Jill - odezwała się ostrożnie. - I ze względu na niego też, jeśli tego chcecie. Mam nadzieję, że wyniknie z tego coś dobrego.

- Dlaczego miałyby nie wyniknąć?

- Nie mogę tego dokładnie powiedzieć, bo nic o nim nie wiem. Wiem tylko, że w życiu zdarzają się różne komplikacje...

- Tak jak w twoim życiu? - Dociekliwy, pytający wzrok Jill napotkał wzrok Jennie, lecz się nie cofnął.

Tym razem Jennie to wytrzymała.

- Tak. Tak jak w moim.

- Ale mnie nie opowiesz o tych komplikacjach.

- Nie. To są moje własne sprawy.

Jennie przestraszyła się krótkiej, chwilowej ciszy, która po-

tem zapadła - otworzyła więc usta, żeby ją przerwać. Jill jednak przemówiła pierwsza.

- On chce się z tobą zobaczyć.

- Kto? Peter? Chce się ze mną zobaczyć?

- Tak, mówił, że teraz, kiedy ja zrobiłam pierwszy krok, może to być dobre dla nas wszystkich. Ma przylecieć do Nowego Jorku w czasie przerwy semestralnej.

- O nie! O nie! Nie zrobicie mi czegoś takiego, ani ty, ani on.

- Nie wiem, w jaki sposób mogłabyś temu przeszkodzić. On chce tu przyjechać, mówił mi o tym.

- Nie dopuszczę do tego, słyszysz? - krzyknęła z wściekłością Jennie.

- Po prostu nie zgadzam się, to nieludzkie!

Więc wpadła w sieć i nie potrafi się wyswobodzić. Znowu Peter nagle zmartwychwstał. W drugim pokoju leżą ubrania przygotowane na podróż poślubną. Podróż poślubną oszustki... Jay... Och kochanie, kochanie, czy cię stracę? Tak strasznie się tego boję i wiem jednocześnie, że tak się stanie. To pewne, jak amen w pacierzu, nie mam żadnych wątpliwości.

- Co wy oboje chcecie mi zrobić?

Jill podniosła z podłogi torbę Vuittona i wstała. Oczy miała pełne łez, ale była opanowana.

- Jesteś zupełnie inna, niż się spodziewałam. Nigdy nie przypuszczałam, że taka będziesz.

- A myślałaś, że jaka będę? - Jennie też wstała.

- Nie wiem, ale nie taka.

Patrzyły teraz jedna na drugą, sztywne, spięte i drżące.

- A właściwie wiem - powiedziała Jill z goryczą. - Myślałam, że przynajmniej... przynajmniej mnie pocałujesz.

Jennie się rozplakała. Nic już nie było w stanie jej powstrzymać.

- Och - zaczęła mówić chaotycznie - przychodzisz tu tak nagle... że nawet trudno mi uwierzyć w to, co widzę... po dziewiętnastu latach. Otwieram drzwi. A teraz jeszcze i on... Nie mogę pozbierać myśli... Oczywiście, że cię pocałuję.

- Nie. Nie w ten sposób. - Jill się cofnęła. - Nie chcę, jeżeli muszę o to prosić.

Łzy spłynęły jej z oczu i potoczyły się po policzkach. Otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz.

- Czekaj! - zawołała Jennie. - Nie możesz tak odejść! Och, proszę...

Ale dziewczyny już nie było. Jej szybkie kroki zastukały na schodach; słychać było trzaśnięcie drzwi na dole i echo, które rozniosło się po całym budynku. Przez dłuższą chwilę Jennie wsłuchiwała się w ten odgłos, po czym wróciła do mieszkania i usiadła, chowając twarz w dłoniach.

Znów powróciło wrażenie nierealności. To przecież nie mogło się zdarzyć. A jednak na podłodze leżała szminka tej dziewczyny jako dowód rzeczowy. Musiała wypaść jej z torby, pewnie kiedy zaczęła płakać i sięgnęła po chusteczkę. Jennie podniosła ją. Marcella Borghese, Rimini Rose Frost. Położyła ją sobie na dłoni i trzymała tak długo, że czuła, jak się rozgrzewa; ona tymczasem wciąż miała przed oczami uśmiech Jill, jej piękne, rozgniewane oczy i jej łzy.

Przeczytała list, który był w pudełku z dziecinnymi ubrankami...

Dziecko szukające matki. Biedne dziecko.

Ale ona ma matkę, zawsze ją miała. Dlaczego szukała mnie?

Wiesz, dlaczego. Nie pytaj.

Tylko że oni oboje wszystko zniszczą; ona i Peter. Peter, który nagle zmartwychwstał.

Jak zdołam utrzymać w tajemnicy przed Jayem istnienie tych dwojga? Jak on śmie, jak oni oboje śmia mi to robić?

Po dłuższym czasie wstała, zgasiła lampę i z szafki z lekarstwami wyjęła valium. Tylko raz w życiu brała środek uspokajający, kiedy czekało ją kanałowe leczenie zęba. Dzisiaj jednak gotowa była połknąć wszystko, co złagodziłoby jej rozterkę i rozpacz.

Rano mogła już myśleć trochę jaśniej. Ważną rzeczą jest zawsze - mówiła głośno sama do siebie, siedząc w kuchni i pijąc kawę - żeby nie stracić głowy.

Ale Jill odeszła z płaczem i w ten sposób wracała po ciemku przez miasto. Z pewnością trzeba to jakoś naprawić! Nie pamiętam dokładnie, co mówiłam, myślała Jennie. Wiem tylko, że nie byłam wtedy sobą. A jednak coś trzeba z tym zrobić. Spokojnie, rozsądnie porozmawiać. Mogłybyśmy pójść gdzieś razem na

lunch i wytłumaczyłabym jej to lepiej. Może za drugim razem reagowałybyśmy mniej emocjonalnie.

Sięgała właśnie po słuchawkę, gdy zadzwonił telefon.

- Dzień dobry - powiedział Jay. Zdumiewający człowiek, jeden z tych nielicznych, którzy budzą się weseli i pełni energii. - Stał się cud! Choroba minęła, czuję się świetnie. Co byś powiedziała na mały niedzielny jogging po parku? Dzieci mają być dzisiaj przez cały dzień u dziadków.

Jennie szybko zebrała myśli.

- Ach, kochanie, myślałam, że jesteś chory, mam już inne plany.

- Jakie inne plany, u licha?

- Ja... przyjechała przyjaciółka mojej matki z Miami. Muszę trochę się nią zająć, zabrać ją do muzeum czy coś w tym rodzaju. Potem pewnie pójdziemy na lunch.

- Cóż, jakoś bym to może wytrzymał. Zaproszę was obie na lunch.

- To starsza pani, Jay, będzie cię denerwować.

- Dlaczego uważasz, że starsze panie mnie denerwują? Posłuchaj, ty też będziesz kiedyś starszą panią i wcale nie przypuszczam, byś mnie wtedy denerwowała.

- Naprawdę, to byłoby dla ciebie okropne. Jeśli idzie

o ścisłość, to jest ich dwie, na dodatek jedna z mężem. To bardzo mili ludzie, ale strasznie nudni.

- W swojej praktyce prawniczej często spotykam nudnych ludzi; jestem do nich przyzwyczajony.

- Tak, ale dlaczego miałbyś cierpieć jeszcze w niedzielę. Poza tym wczoraj miałeś gorączkę i przynajmniej przez jeden dzień powinieneś zostać w domu.

- A więc zostałem odrzucony - poskarżył się żartobliwie.

- Tak, na dzisiaj, tak. Odpocznij, poczytaj gazetę. Zadzwonię do ciebie później.

Odłożyła słuchawkę. A więc już musi kłamać i lawirować

1 sama się za to nienawidzi. Oto do czego prowadzą kłamstwa -do kolejnych kłamstw.

Mimo to nakręciła numer Barnard College. Czekając, aż Jill podejdzie do telefonu, przypominała sobie zapachy akademika - słodki zapach talku i ostrą woń pasty do podłogi; a także odgłosy - dźwięki rockowej muzyki, dzwonienie telefonów,

stuk wysokich obcasów. Wyobrażała sobie, jak Jill biegnie korytarzem, z rozwianymi włosami, spodziewając się telefonu od chłopca albo od rodziców.

- Jill - powiedziała - tu Jennie.

- Tak? - odparła chłodno JUL Powiedz to śmiało.

- Martwiłam się, czy dotarłaś do domu bez kłopotu wczoraj wieczorem.

- Dotarłam bez kłopotu.

- Przepraszam, że moje zakłopotanie okazało się dla ciebie takie przykre. Pomyślałam, że może mogłybyśmy się spotkać i trochę te sprawy wyjaśnić. Zgadzasz się?

- No... - Teraz w jej głosie wyczuwało się ostrożność. -A kiedy?

- Dzisiaj. Myślałam o lunchu. Około pierwszej. Zdecydowała szybko; najlepiej będzie, jeśli spotkają się

w centrum, na West Side, w jakimś miejscu, gdzie będzie szansa, że nie natkną się na nikogo ze znajomych Jaya, zażywających niedzielnego spaceru; większość z nich mieszkała bowiem na górnej East Side.

- W Hiltonie, na rogu Szóstej Alei i Pięćdziesiątej Trzeciej ulicy. Tam jest przyjemnie i spokojnie. Możemy się spotkać przy recepcji?

- Dobrze.

- I Jill... tym razem nam obu będzie łatwiej.

- Mam nadzieję. - Wahanie. - Cieszę się, że zadzwoniłaś, Jennie.

Omówimy wszystko spokojnie i jakoś dojdziemy do porozumienia, powiedziała sobie Jennie. Jest już duża i z pewnością dość mądra, aby zrozumieć, że ludzie miewają w życiu różne sytuacje i że muszą być zdolni do kompromisów.

Czekając w holu wielkiego hotelu, Jennie wciąż jeszcze była nastrojona optymistycznie. Zawsze chętnie obserwowała ludzi, a dzisiaj jej obserwacje dotyczące przechodzących koło niej osób były szczególnie trafne.

Oto przystojna, nerwowa kobieta ze swoim zmęczonym mężem, dalej mężczyzna w średnim wieku wiozący młodą dziewczynę na wózku; za nimi młode małżeństwo z rozpromieniony-

mi minami i nowymi, tanimi walizkami, kupionymi specjalnie na podróż poślubną; dwóch zajętych sprzeczką biznesmenów i zaaferowana matka, nie mogąca sobie poradzić z wierzgającym dzieckiem. Przyptyw, odpływ, przetrwanie.

Dostrzegła Jill, zanim tamta ją zobaczyła. Wczoraj wieczorem nie zwróciła uwagi, jaka Jill jest wysoka. Ten wzrost, tak jak włosy, odziedziczyła po nim. Miała dobrą postawę, szła swobodnym, długim krokiem, ubrana w plisowaną kraciastą spódnicę i żakiet z wielbłądziej sierści. Mężczyźni z dyplomatkami na moment przestali się kłócić, przystanęli i patrzyli, jak przechodziła.

Coś drgnęło w Jennie. Zaskoczona radością. Kto to napisał? Jestem zaskoczona radością. Ta osoba, która tu podchodzi, należy do mnie! Wyciągnęła ramiona i tym razem Jill padła jej w objęcia.

Stały tak, śmiejąc się trochę, a trochę płacząc, aż wreszcie Jennie przemówiła. Czując przyptyw energii i nadziei, chwyciła Jill za rękę.

- A mówiłam, że dzisiaj będzie lepiej? Wiedziałam, że będzie! Chodźmy, zjemy coś i porozmawiamy!

Ale w sali restauracyjnej nagle zamilkły.

- To śmieszne, nie wiem, jak zacząć - powiedziała Jill. - Ty też wczoraj coś takiego mówiłaś, prawda?

- Mów po prostu to, co ci przychodzi do głowy.

- Kiedy nic mi nie przychodzi.

- No dobrze, mam pomysł. Opowiedz mi o tym, jak pierwszy raz byłaś w Nowym Jorku.

- No więc, mieszkałyśmy w hotelu Plaża. Kiedy byłam dzieckiem, przeczytałam wszystkie książki Eloise, więc bardzo byłam ciekawa tego miejsca. Posiłki jadałyśmy w Sali Dębowej, gdzie Eloise z pewnością też czasami jadała obiady. Raz wybrałyśmy się do francuskiej restauracji - chyba to był Lutece - i jadłam wtedy kaczkę w pomarańczach i dwa desery.

Dziś sprawia wrażenie młodszej niż poprzedniego wieczoru, pomyślała Jennie. Nie mogę tak się w nią wpatrywać, przywołała się do porządku, i posmarowała bułkę masłem.

- Kocham wszystko, co francuskie. Oczywiście cieszę się, że jestem Amerykanką, ale gdybym nie mogła być Amery-

kanką, chciałabym być Francuzką. Moja babcia uczyła francuskiego, zanim przeszła na emeryturę.

- Ach tak? Moja matka mówi po francusku, chociaż nie najlepiej. Mieszkała we Francji, zanim wkroczyli tam Niemcy, ale bardzo dużo zapomniała. Wiesz, jak to jest, kiedy się czegoś nie używa...

- Chciałabym, żebyś mi więcej o niej opowiedziała.

- Dobrze, opowiem, ale to długa historia.

Mama byłaby tym wszystkim zdumiona; a potem by się rozpłakała.

- We Francji było nam tak dobrze, jak można sobie wyobrazić - powiedziała JUL - Naprawdę wspaniale. Babcia zawsze wiedziała, dokąd się wybrać.

- Wygląda na to, że świetnie się tam bawiłyście.

- W mojej rodzinie wszyscy zawsze dobrze się bawią. Chciałabys zobaczyć trochę zdjęć? Przyniosłam pełną kopertę. - Jill przechyliła się przez stół w jej stronę. - Na tym jesteśmy wszyscy razem, było robione w lecie zeszłego roku, w taty urodziny.

Osiem czy dziesięć osób stało albo siedziało na jakichś schodach, pod drzwiami, gdzie po obu stronach rosły kwitnące krzewy. Nieopodal widać było kociołek do gotowania na ognisku. Amerykańska scena rodzinna, Grant Wood we współczesnym wydaniu. Jennie ze zdumieniem odkryła, że czuje jakby lekkie ukłucie zazdrości, natychmiast je jednak stłumiła.

- Tyle tych dzieci... - zaczęła.

- No właśnie, czy to nie dziwne? Po tym, jak dostali mnie, mama bez żadnych kłopotów urodziła czworo dzieci. Ale słyszałam, że często się tak zdarza. Koło mnie stoi Jerry; jest młodszy o półtora roku. To jest Lucille, ma piętnaście lat; to Sharon, ma dwanaście; a tu Mark, ten malutki, on ma dopiero siedem lat.

- A to jest twoja matka?

- Nie, to ciotka Fay; mama jest tutaj, przed tatą.

A więc to byli oni, ten przeciętnie wyglądający mężczyzna i kobieta, oboje ubrani w podkoszulki i szorty, uśmiechający się do zdjęcia i mrużący oczy przed słońcem. To byli rodzice, którzy wychowali Jill, prowadzili ją za rękę - tę samą, która teraz, przy oglądaniu zdjęć, głaaskała dłoń Jennie.

Należało coś powiedzieć.

- Młodo wyglądają.

Jill zastanowiła się przez chwilę.

- Tak, wyglądają na młodszych, niż są w rzeczywistości. I zachowują się jak młodzi. Oni są szczęśliwi... Wiesz, żal mi ludzi, którzy mają jakieś kłopoty rodzinne! Połowa ludzi, z którymi się stykam, pochodzi z rodzin, gdzie chyba nikt się nie śmieje. Albo z takich, gdzie się wzajemnie nienawidzą wiesz?

- Wiem.

- Czy byłaś kiedyś zameźna, Jennie?

Ton i spojrzenie, z jakim zadała to pytanie, miały w sobie jakąś dzieciinną śmiałość; u kogoś starszego byłaby to już niegrzeczność.

- Nie - odpowiedziała Jennie, odczuwając skrępowanie, które starała się zamaskować sztucznym ożywieniem. - Masz jeszcze jakieś zdjęcia?

- Tak, popatrz, to na przykład. My dużo jeździmy na nartach. Od nas z domu to tylko godzina jazdy samochodem.

Na fotografii widać było grupkę ludzi na tle gór, przypominających zmięte, pogniecione gazety, które ktoś cisnął na ziemię. Miały kolor popiołu, wydawały się suche i ciemne w zestawieniu ze śniegiem.

- Kiedyś wyobrażałam sobie, że mieszkasz w Kalifornii - powiedziała Jennie. - Wciąż miałam przed oczami Pacyfik.

- Nowy Meksyk jest równie piękny, chociaż w inny sposób. Niebo jest tam takie wielkie i przez cały dzień błękitne, a zachody słońca purpurowe i tak jaskrawe, że aż parzą.

Jennie się uśmiechnęła.

- Mówisz, jak poetka.

- Piszę wiersze; na pewno są fatalne.

Ta dziewczyna, jak większość ludzi, miała różne oblicza; była splotem sprzeczności. Poprzedniego wieczora była na ogół chłodna i opanowana, dziś tak czarująco naiwna.

- Naprawdę powinnaś zobaczyć Nowy Meksyk. Czy jeździsz na nartach?

- To kosztowny sport. - Jennie potrząsnęła przecząco głową.

- Ach. A ty masz problemy finansowe? Jesteś biedna? To pytanie rozbawiło Jennie.

- Niektórzy pewnie mogliby uznać mnie za biedną. Miesz-

kam na najwyższym piętrze, w skromnym domu, mieszkanie mam urządzone bardzo prosto. Mnie wystarcza to, co mam, więc nie czuję się biedna.

- Pewnie praca przynosi ci satysfakcję.

- Tak. Bronię interesów kobiet, przeważnie kobiet biednych. A teraz zaczynam się interesować jeszcze czymś innym, dotąd nie sądziłam, że może to być dla mnie tak ważne. - Miała świadomość, że w jej tonie brzmi teraz duma, wynikająca z nagłego pragnienia, by pokazać, kim jest i co zdołała w życiu osiągnąć. - Właśnie teraz jestem w trakcie bardzo ostrej batalii.

- Opowiedz mi coś o tym - powiedziała Jill i odłożyła widelec. I Jennie, nie zdradzając nazwy ani położenia tego miejsca,

opowiedziała jej historię Zielonych Moczarów. Podczas tej opowieści cała historia nabierała życia. Pierwszy raz rozmawiała na ten temat z kimś postronnym i, mówiąc, czuła siłę własnych przekonań.

- U nas też zaczął się podobny ruch - powiedziała Jill, kiedy Jennie skończyła. - Chodzi o to, by uchronić Góry Jerez przed zabudową. Tata jest w to zaangażowany; należy do wszystkich możliwych komitetów ochrony przyrody. A więc każde z nas ma coś swojego. Moją sprawą są Indianie, ich struktura społeczna dawniej i teraz. - Spojrzała na Jennie nad brzeżkiem filiżanki z kawą. - Peter też zajmował się Indianami z południowego zachodu. To dziwny zbieg okoliczności, nie uważasz? A kiedy żadnego odzewu nie było, zapytała: - Czy przeszkadza ci, że ja w ogóle o nim wspominam?

Jennie odpowiedziała cicho.

- Jill, trochę mi to przeszkadza. Nie chcę o nim myśleć. Proszę, postaraj się to zrozumieć.

- Jeżeli tak go nienawidziłaś, to dlaczego nie przerwałaś wtedy ciąży?

- O Boże, co za pytania zadajesz! To nie była kwestia nienawiści. Nie nienawidziłam go wtedy i nie nienawidzę teraz. - Wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni dziewczyny. - Nigdy nawet nie rozważałam możliwości aborcji. - Mogła dodać: Oni tego chcieli, ale się powstrzymała. - Nigdy.

Jill patrzyła w głąb sali, ponad głową Jennie. Zaczynam poznawać jej zachowania, pomyślała Jennie. Kiedy zastanawia się

nad tym, co ma powiedzieć, patrzy gdzieś w dal, ponad tobą, albo w podłogę, tak jak wczoraj.

- Dziwię się, że nie wyszłaś za mąż. Czy nigdy nie chciałaś? - zapytała Jill

Oczekiwała od niej uczciwej odpowiedzi, ale Jennie nie mogła być w tej sprawie do końca uczciwa.

- Raz chciałam.

- Chciałaś wyjść za mojego ojca?

- Nie udało się.

- To musiało być dla ciebie okropne!

- Tak, przez pewien czas tak było.

- Tylko przez pewien czas? Nie kochałaś go?

- Wtedy wydawało mi się, że tak, jeżeli w ogóle można to nazwać miłością.

Jill nie odpowiedziała, teraz wbiła wzrok w podłogę. I Jennie obserwowała ją znowu, z ulgą, że choć przez moment nie muszą patrzeć sobie w oczy. Ile ta dziewczyna mogła już wiedzieć o miłości? Mężczyznom musiała wydawać się atrakcyjna. Nie była wprawdzie klasyczną piękną, ale przecież kryteria piękności ulegają zmianom. Wystarczyły same jej włosy, poza tym pewność siebie, inteligencja. Uroczą dziewczyną - powiedział pan Riley, a może były to słowa Emmy Dunn.

- Czy to była miłość, czy nie, jednak mnie urodziłaś.

- Tak, wyjechałam, zupełnie sama, i urodziłam cię - powiedziała powoli Jennie. - Byłam sama; moi rodzice nigdy się o tym nie dowiedzieli.

- Dlaczego?

- To by ich zanadto zraniło. Trudno to wytłumaczyć. Musiałabyś ich znać, żeby zrozumieć.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że ja mogłabym już mieć dziecko.

- Byłam wtedy młodsza niż ty teraz.

- Jaka musiałaś być przerażona. Nie, nie potrafię sobie tego wyobrazić - wymamrotała Jill współczującym tonem.

- Ja też nie potrafiłam.

Znów otoczyła Jennie ta chmura jak ciężki, szary koc. Na salę, w której życie tętniło i migotało bogactwem barw, nagle opadł gęsty smutek. Ci ludzie tak wesoło sobie rozmawiali,

było tu wiele rodzin, osoby w różnym wieku. Nastrój świąteczny, swoboda...

- Ależ byłaś dzielna! - wykrzyknęła Jill.

- Nie miałam innego wyjścia.

- Jak strasznie ciężko musiało ci być oddać dziecko!

- Gdybym cię zobaczyła, wzięła na ręce, byłoby to niemożliwe i miałam tego świadomość. Dlatego kiedy się urodziłaś, ani razu na ciebie nie spojrzałam.

- Czy myślałaś o mnie potem?

Skąd ja biorę siły, żeby znieść tę mękę? - pytała się w duchu Jennie.

- Staralam się nie myśleć; czasami jednak wyobrażałam sobie, gdzie mieszkasz i jak się nazywasz.

- Głupie mam imię, prawda? To kiepskie połączenie. Victoria jest na cześć mamy siostry, która nie żyje, ale mówią na mnie Jill.

Jill uśmiechnęła się, demonstrując tak równiutkie zęby, że niewątpliwie musiała mieć do czynienia z ortodontą. Tak, była zadbana pod każdym względem.

- Nie mogłam sobie pozwolić na myślenie o tobie. To było już za mną, zamknięta sprawa. Byłaś w dobrych rękach, a ja musiałam żyć dalej. Rozumiesz to chyba, prawda? - I Jennie w swoim pytaniu dosłyszała błagalny ton.

- Ale wzięłaś się w garść i poszłaś na studia prawnicze. Zrobiłaś coś ze swoim życiem, ja to widzę.

Była to prosta obserwacja, której Jennie nie potrafiła skomentować, więc milczała. Wyglądało na to, że ten wyrównany dialog - zdanie za zdanie - doszedł do jakiegoś krytycznego punktu.

Znowu przemówiła Jill.

- Ale nadal nie powiedziałaś mi jeszcze o sobie zbyt wiele, prawda?

- Nie wiem, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć. Podałam ci różne fakty, nie ma ich aż tak wiele.

Nagle twarz Jill przybrała inny wyraz: w jej oczach było zdziwienie, zaciśnięte usta stały się nieomal surowe. W sposób subtelny, lecz niewątpliwie, zapanowała pomiędzy nimi jakaś zupełnie inna atmosfera. To było zrozumiałe, prawda? Przy ta-

kiej powodzi uczuć, różnym bagażu doświadczeń, przy takiej różnicy wieku i warunków życia... no i w ogóle...

Aby rozproszyć tę atmosferę, Jennie wesoło zaproponowała deser. Kelner podszedł, zaczął zbierać talerze i doradził im, jaki deser wybrać.

- Ja właściwie wcale nie chciałam nic słodkiego - powiedziała Jill. - Wzięłam deser tylko dlatego, żeby ten lunch potrwał trochę dłużej.

Jennie wzruszyło to wyznanie.

- Znajdziemy sobie miejsce w którejś z mniejszych salek, żeby usiąść i jeszcze trochę pogadać. Nigdzie nam się nie śpieszy - oświadczyła beztrasko.

- Myślałam, że może nie masz czasu. Ale w takim razie może pójdziemy do ciebie?

Jennie zdrętwiała. Siedziały przy tym lunchu już od półtorej godziny, a ona dotąd nie dotknęła nawet sprawy, na której jej tak bardzo zależało. Jill musi zrozumieć, że nie będzie już żadnych wizyt u niej w domu. Musi to przyjąć do wiadomości. No, bo co by było, gdyby Jayowi przyszło do głowy, by wpaść do niej tego popołudnia? Albo jakiegokolwiek innego?

- Jill, przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale nie możemy iść do mnie.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, które nagle stały się czujne i patrzyły badawczo, tak jak poprzedniego wieczora.

- Dlaczego?

Jak można ufać komuś, kto latami ukrywa prawdę o sobie, a potem nagle postanawiają wyjawić? - myślała Jennie. Można się tylko zastanawiać, co ten ktoś jeszcze ukrywa...

Mimowolnie poruszyła dłońmi, jakby w geście protestu.

- To strasznie trudno wytłumaczyć. Są jednak pewne sprawy... natury głęboko osobistej... - Przerwała, czując się bezradna pod badawczym spojrzeniem Jill.

Jill jednak czekała w milczeniu, co zmusiło Jennie, by mówiła dalej.

- Widzisz... próbowałam powiedzieć ci to wczoraj, ale bardzo źle mi to wyszło, wiem. Nabrałaś przekonania, że mi na tobie nie zależy. Ale jeśli idzie o moje życie... są pewne przyczyny. - Teraz nerwowo splótła dłonie na podołku. - Usiłuję ci w ten sposób powiedzieć, że nie powinnaś sama szukać ze mną

kontakcie. Nie wolno ci przychodzić do mnie do domu ani nawet telefonować. Musisz mi to obiecać. To ja będę kontaktować się z tobą.

- Nie rozumiem - powiedziała Jill. Policzki jej płonęły.

Całe dotychczasowe ciepło, jakie się między nimi wytworzyło, kiedy uściskały się na powitanie, wspólny smutek, czułość, ożywienie, z jakim rozmawiały przy stoliku - wszystko to teraz prysło.

- Nie podoba mi się to, Jennie. Najpierw dajesz, a potem odbierasz. Dlaczego?

- Wiem, że trudno to zrozumieć. Gdybyś zdołała mi zaufać...

- Ale ty mnie nie ufasz!

- Jak możesz tak mówić? Ufam ci, oczywiście, że tak.

- Nie, coś przede mną ukrywasz.

Ależ była surowa! I wojownicza. Umiałyby walczyć o zasady i prawa, tak swoje, jak i cudze. W tym momencie Jennie uświadomiła sobie, kim naprawdę jest Jill.

Oczy Jill były teraz wilgotne i lśniące.

- Czy to chodzi o mnie? - Nie ustępowała. - Wstydzisz się mnie?

Słowa „wstydzisz się” były w części prawdziwe. Nie wstydziła się jej samej, lecz tego, że pojawiła się tak nagle, demaskując fakt, iż Jennie ukryła prawdę. Do tego ten atak, tak, wściekły atak ze strony kogoś, kogo Jennie nigdy nie skrzywdziła i dla kogo, Bóg jej świadkiem, zrobiła najwięcej, ile mogła. Poczwała, że znowu ogarnia ją gniew. I wiedziała, że zła jest sama na siebie za to, że sprawiła tej dziewczynie ból, wywołała jej łzy.

Musiała się jakoś bronić.

- Wstyd nie ma z tym nic wspólnego, wierz mi, Jill. Czy nie możesz spróbować przyjąć tego, co proponuję? Ja chcę zachować niezależność. - Zmuszana koniecznością mówiła szybko, gwałtownie. - Ty masz swoje życie, Peter ma swoje. Nigdy nic od niego nie chciałam. Czy jest w tym coś złego, że chcę zachować swoją niezależność?

Teraz Jill płakała już rzewnymi łzami i przez łzy mówiła z naganą.

- Niezależność! Czy ja ci ją odbiorę, przez to, że będę siedziała u ciebie w pokoju?

- Oczywiście, że nie masz takiego zamiaru, ale mimo wszystko, byłoby to...

- Ten lunch to oszustwo - przerwała jej Jitł. - Przyszłaś tu, żeby mi powiedzieć, najsympatyczniej jak potrafisz, żebym trzymała się od ciebie z daleka. Tylko po to tu przyszłaś. -1 odsunęła krzesło, jakby miała zamiar wstać.

- Siadaj, JiH. Siadaj. Zachowujmy się rozsądnie, błagam cię. Zjedz swój deser.

- Jennie... nie jestem małym dzieckiem, żebyś uspokajała mnie za pomocą słodyczy.

- To nie jest fair! Mówiłam, że będę do ciebie dzwonić, prawda? Kiedy tylko będę mogła. Powiedziałam jedynie, że ty nie powinnaś pierwsza...

- Nie martw się, nie będę do ciebie dzwonić. Z mojej strony nie musisz się niczego obawiać. Coś ci jednak powiem; nie wiem, jak zachowa się Peter. On był dosyć wstrząśnięty tym, co powiedziałaś tym ludziom z organizacji. Będzie jeszcze bardziej wstrząśnięty, kiedy w przyszłym tygodniu opowiem mu o naszym dzisiejszym spotkaniu.

Jill wstała, odepchnąwszy krzesło tak gwałtownie, że się przewróciło. Kelner podbiegł, żeby je postawić, zrobiło się małe zamieszanie; ludzie odwracali głowy, chcąc zobaczyć, co się stało, a Jennie chwyciła Jill za rękę.

- Nie odchodź w ten sposób - prosiła, starając się mówić cicho. - Nie uciekaj znowu. Poczekaj, aż zapłacę, usiądziemy gdzieś i porozmawiamy.

Jill wzięła torbę, szalik i rękawiczki.

- Nie ma już o czym rozmawiać, o ile nie powiesz, że możemy traktować się nawzajem normalnie; że mogę dzwonić do ciebie, jak wszyscy inni i... Możesz mi to powiedzieć?

Kelner stał przy nich z rachunkiem w ręku, a jakaś kobieta przy sąsiednim stoliku przyglądała im się, nie kryjąc ciekawości. Wstrząśnięta i przerażona Jennie starała się jeszcze znaleźć jakiś nowy sposób, inne słowa.

- No, możesz to powiedzieć? - powtórzyła Jill.

- Nie, niezupełnie. Ale poczekaj, wysłuchaj mnie...

- Już cię wysłuchałam i nie mam ochoty słuchać więcej. Dziękuję za lunch.

Jennie patrzyła, jak odchodzi. Nie miała siły jej gonić, wiedziała zresztą, że to nie ma sensu, siedziała więc, wpatrując się w talerz Jill, na którym deser lodowy zaczynał się właśnie rozpuszczać. Lody truskawkowe, z których tworzyła się różowa kałuża. A więc tak kończy się znajomość z moją córką. Pojawiła się i zniknęła, nim minął jeden dzień. Odeszła z wściekłością w oczach, zostały tylko te rozpuszczone lody.

Kelner zakasłał, przypominając o swej obecności.

Wzięła od niego rachunek, zapłaciła i wyszła na ulicę. Przed wejściem do hotelu przy krawężniku stał rząd taksówek, Jennie jednak nie miała jeszcze ochoty wracać domu; była zbyt oszołomiona i rozbita, aby siedzieć tam w samotności. Zamiast tego skierowała się na północ i poszła piechotą.

Szła przez park, pusty i ciemny o tej porze roku. Gołe, brunatne gałęzie drzew, mokre od deszczu, połyskiwały metalicznie. Po zimowym niebie przesuwały się chmury. Niedzielne popołudnie pozbawione było uroku, o ile nie spędzało się go z kochaną osobą; pogoda nie grała tu żadnej roli.

A jednak nie była teraz w stanie spotkać się z Jayem. Trudno jej było wytrzymać nawet z sobą samą. Dała więc za wygraną i nie mając gdzie pójść, pośpieszyła w stronę domu. Kiedy była już blisko, zaczęła biec; potem wbiegła po schodach na górę i wpadła do mieszkania; zaryglowała drzwi i usiadła, nie mogąc złapać tchu ze zmęczenia i wysiłku. Zdawało jej się, że słyszy głosy: JiH, pana Rileya, swoich rodziców, matki Jaya, a wszyscy oni podnoszą jakiś żalony lament, każde z innego powodu. Jennie, Jennie, co się z tobą dzieje?

Kiedy włączyła telewizor, głosy uspokoiły się, pojawiła się natomiast kobieta, zachłystująca się zachwytem nad nowym detergentem. Jennie wyłączyła telewizor i położyła się na sofie.

Jestem zmęczona, tak bardzo zmęczona; i całkiem przybita. Myślałam, że zdołamy jakoś sprawy wyprostować i że uda mi się znaleźć kompromis. Naprawdę w to wierzyłam, no i właśnie widać, co się stało! Ależ ta dziewczyna ma gwałtowne usposobienie! Właściwie nie dała mi szansy. A jednak, z jej punktu widzenia, moja skrytość wydaje się obraźliwa, jakbym zatrasnęła

jej drzwi przed nosem. Byłam jednak skłonna do pewnych ustępstw, prawda? Chciałam dzwonić do niej od czasu do czasu; naprawdę bym to robiła. Nie mogłabym żyć dalej, ot tak, jak gdybym wcale jej nie spotkała. Już bym chyba nie potrafiła?

Tylko że to, co miałam do zaproponowania, nie byłoby żadnym prawdziwym związkiem. Ona o tym wiedziała. A poza tym i tak by się to nie udało. Nie, po ślubie z Jayem, w jego domu i w otoczeniu jego dzieci, grałabym wtedy rolę zonglera, podrzucającego z tuzin piłeczek naraz. Wcześniej czy później upuściłabym którąś, a wtedy wszystkie by się posypały.

Wyczerpana, zapadła w drzemkę, z której wyrwał ją dopiero dźwięk telefonu, gdy w pokoju było już całkiem ciemno.

- Cześć - powiedział Jay. - Jak udał ci się dzień?

- Jak udał mi się dzień? - powtórzyła, po czym przypomniała sobie o znajomych swojej matki, o muzeum i o lunchu. - Och, nie najgorzej. Trochę długo to trwało, a teraz chwilę się zdrzemnęłam.

- No, a ja miałem beznadziejną niedzielę. Siedzieć samemu w tym mieszkaniu, to jakby się było samemu na stadionie. Echo aż dźwięczy; nie mogłem tego znieść. Zabrałem psa na taki długi spacer, że teraz ledwie zipię.

- Przepraszam, że tak cię zostawiłam, więcej tego nie zrobię.

- Nie zapomnij o jutrzejszym wieczorze.

Jeden z klientów Jaya był sponsorem pokazu tańców nowoczesnych, których Jennie, jako wielbicielka balem, raczej nie lubiła. Chciała jednak dodać sobie ducha, więc odpowiedziała z udawaną radością:

- Oczywiście, że nie zapomnę. Już się nie mogę doczekać.

Spała niespokojnie, budząc się kilkakrotnie: kiedy późną nocą ruch uliczny zamierał i gdy z powrotem ożywał o świcie, gdy się rozjaśniało i wreszcie, kiedy przez szczeliny w żaluzjach do pokoju wpadać zaczęło światło słoneczne.

Tego dnia makijaż niewiele jej pomógł. Zmartwienie zostawiło na jej twarzy wyraźny ślad, którego nie była w stanie zatuszować ani jej młodość, ani umiejętnie zastosowanie cienia do powiek, szminki i różu. Pozostało jej jeszcze zawiązać czerwono biały szalik, uśmiechnąć się i rażnym krokiem ruszyć do pracy. Nie na wiele jednak się to wszystko zdało, ślad pozostał.

Dinah, jej sekretarka, zapytała, czy Jennie dobrze się czuje. Pierwszy klient poradził jej, by na siebie uważała, bo panuje grypa. Nim nadeszło południe, Jennie zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście nie jest chora. Niewiążącym wzrokiem błędziła po dokumentach leżących na biurku, potem popatrzyła na zewnątrz, na dom po przeciwnej stronie ulicy, gdzie stopniowo, wraz z zapadaniem zmroku, zapalały się światła. Przez chwilę wydało jej się, że widzi Jill, nie mogła jednak zebrać myśli. Potem ogarnął ją żal i litość, wyparte jednak przez kolejny przypływ gniewu. Przecież nie zasłużyła, aby znaleźć się teraz „między młotem a kowadłem”, jak chętnie mawiała mama.

W drzwiach pojawiła się Dinah z wiadomością, że doktor Cromwell chce się z nią zobaczyć.

Cromwell. Czego on, u licha, może od niej chcieć? Myśl Jennie błędziła teraz o tysiące kilometrów od Zielonych Moczarów.

Starszy pan miał muszkę w groszki i szczery, znany jej już, wyraz twarzy. Ubrany schludnie i starannie, wyglądał dokładnie na tego, kim był - dżentelmena z prowincji, przybyłego na krótko do wielkiego miasta.

- Do licha - powiedział - spodziewałem się, że trafię do jakiegoś biura, gdzie są całe kilometry korytarzy, dywany i olejne obrazy na ścianach. Byłem kiedyś w takim miejscu i czułem się przytłoczony. W Nowym Jorku nawet u dentystów... - Uświadomiwszy sobie, że mimowolnie mógł ją urazić, poprawił się. - Ale tu jest bardzo przyjemnie. Z pewnością wygodnie się tu pracuje. No więc, jak się masz? Bardzo zajęta przygotowaniem do ślubu?

- Ach, to będzie cichy i skromny ślub.

- Mimo to bardzo mi przykro, że zjawiam się teraz z kolejną sprawą. Chodzi o rozmowę telefoniczną. - Jego dobrotliwa twarz przybrała wyraz lęku i zmartwienia. - Najpierw były te wszystkie anonimy, które dostaliśmy pocztą, ale o tym już wiesz.

Jennie kiwnęła głową.

- Anonimy, ale nie jest tajemnicą, że prawdopodobnie napisał je Bruce Fisher.

- Możliwe. Nie jest też tajemnicą, że to na wpół obłąkany facet.

Ostatnie przeżycia zepchnęły na dalszy plan w świadomości Jennie różne inne sprawy, które teraz odżyły z całą wyrazisto-

ścią. Przypomniała sobie to podłe zepchnięcie jej ze schodów i złośliwy uśmiech uciekającego mężczyzny.

- Ale co chciałem ci opowiedzieć, to... Och, nie wiem, czy on miał z tym cokolwiek wspólnego, może nie, ale nigdy nie wiadomo. A więc, pamiętam tamtą sprawę; to było pewnie ze dwanaście albo i piętnaście lat temu, chyba raczej piętnaście, kiedy on razem z całą bandą...

Jennie przerwała mu uprzejmie, skrywając zniecierpliwienie:

- Miałeś mi opowiedzieć o jakimś telefonie.

- Tak, oczywiście. Prawdę mówiąc, odebrałem dwa. Mogą nie mieć żadnego znaczenia, ale mogą też mieć. I Arthur Wolfe uznał, że muszę ci o tym powiedzieć. On się potrafi zamartwiać, ten Arthur. Lecz w tych okolicznościach...

- Kto do ciebie dzwonił? Czy myślisz, że to był Fisher?

- Z głosu zupełnie nie przypominał Fishera, rozpoznałbym go. Poza tym ten mężczyzna się przedstawił. Powiedział, że nazywa się John Jones.

- John Jones! - Jennie się skrzywiła.

- Brzmi to dość sztucznie, prawda? Ale był bardzo grzeczny, nawet przyjazny. Powiedział, że interesuje go oferta Barkera...

- Co to znaczy „interesuje”? Kim on jest? Jego partnerem?

- No, nie powiedział tego wyraźnie. Odniosłem wrażenie, że po prostu u nich pracuje czy coś w tym rodzaju.

- Co od ciebie chciał?

- Cóż, wiedział, że jestem w radzie miejskiej, doszedł do wniosku, że dobro miasta leży mi na sercu i wpadł na pomysł, że powinniśmy spotkać się i porozmawiać. Mówił, że może okazałoby się, iż nasze stanowiska nie są aż tak odległe.

- I co mu odpowiedziałeś?

- Powiedziałem, że nie sądzę, aby tak było i że jeśli ma cokolwiek nowego do powiedzenia w tej sprawie, to powinien przyjść na najbliższe spotkanie rady miejskiej.

- I to była właściwa odpowiedź, George - pochwaliła go Jennie.

- On jednak powiedział, że nie i że większość pomysłów wyłania się na bieżąco, w trakcie roboczych dyskusji. Dodał też, że słyszał już o mnie, ma dużo szacunku dla mojej mądrości

działalności w radzie miejskiej i chce mnie poznać. - Starszy pan się zarumienił.

- Tak? I co jeszcze o tobie wiedział? - zapytała, czując się, jakby brała dziecko w krzyżowy ogień pytań.

- Cóż, naprawdę zaskoczyło mnie, że wiedział tym, że Martha choruje na raka. No wiesz, Martha, moja żona. Przez ostatnie trzy lata trwała remisja, ale teraz lekarze twierdzą, że znów konieczna jest operacja. Jeśli idzie o ścisłość, Martha przyjechała tu razem ze mną. Jutro mamy zobaczyć się z kimś nowym w instytucie Sloana-Ketteringa.

Jennie poczuła serdeczną litość, patrząc na pomarszczoną starczą szyję nad starannie związaną muszką, na starczą szyję, na którą przedtem nie zwróciła uwagi.

- Zastanawiam się, skąd to wiedział, bo z pewnością nie macie wspólnych przyjaciół.

- Ach, nie. On jest z Nowego Jorku.

Mógł zasięgnąć języka w miasteczku, pomyślała Jennie i zapytała:

- A co dokładnie mówił na temat twojej żony?

- Tylko to, że słyszał o jej chorobie i że to pewnie dla mnie wielkie zmartwienie. No i że muszę mieć duże wydatki.

- Ach tak?

- To święta prawda. Naprawdę mam wielkie wydatki. Oczywiście dla Marthy nie żałowałbym nawet ostatniego grosza, ale jestem tylko dentystą w małym miasteczku... Powiedz, czy sądzisz, że może chodzić o łapówkę? No, jak myślisz? Bo Arthur Wolfe powiedział...

- A ty myślisz, że tak? - odpowiedziała pytaniem Jennie, myśląc przy tym: Biedny staruszek; zupełnie jak dziecko.

- No, zastanawiałem się nad tym. I Arthur Wolfe...

- Nie musisz się już zastanawiać. Oczywiście, że właśnie o to mu chodzi.

- O, mój Boże - zawołał George i zamyślił się przez moment. - Przypuszczam, że on wypróbował w ten sposób wszystkich członków rady po kolei.

- Nie, George, tak się tego nie robi. A już na pewno nie w tym przypadku. Powiem ci, dlaczego nie. W obecnym stanie rzeczy stosunek głosów w radzie miejskiej wynosi cztery do czterech. Po jednej stronie jest burmistrz i trzech starych pry-

ków. Burmistrz twierdzi, że jeszcze się nie zdecydował, ale wszyscy wiedzą, że to nieprawda. Po drugiej stronie są cztery osoby, które prawdopodobnie nie zmienią zdania; dwóm zależy bowiem na letnim wypoczynku i nie życzą sobie jakichkolwiek większych robót w tej okolicy; prócz nich jest prawnik Henry Pope, który ma bogatą żonę, i pastor prezbiteriański. Zostajesz ty. Krótko mówiąc, jesteś jedyną osobą, którą, jak sądzą, łatwo zdołają przekupić. I to do ciebie należy ten decydujący, dziewiąty głos.

- Wszystko już znakomicie przewidziałaś. - Cromwell wydał z siebie przeciągłe westchnienie.

- Przewidywanie jest częścią mojej pracy.

Przez chwilę trwała cisza, wreszcie Cromwell wykrzyknął:

- A więc muszę mu tylko powiedzieć, że się z nim nie spotkam! Więc o co się tu martwić? O nic!

- Tak bym tego nie ujęła. Powiedziałam, że są cztery osoby, które prawdopodobnie nie zmienią zdania. Prawdopodobnie. W porządku, pastor nie da się przekupić, ale co do pozostałych... choć ich o to nie podejrzewam, mogliby jednak... Weźmy na przykład pana Pope. Wiem od Wolfe'ów, że jego praktyka prawnicza nie jest zbyt rozległa. Kto wie, jak postąpi, jeśli zaproponują mu odpowiednio wysoką sumę?

Cromwell wyglądał na przerażonego.

- Ach, nie wierzę, żeby Henry mógł kiedykolwiek...

- Nie wierzysz, ale jednak nie możesz mieć pewności, prawda? - przerwała mu Jennie. - Więc jeśli temu jakiemuś Jonesowi nie uda się z tobą, może zwrócić się do Pope'a czy do kogoś innego, żeby tylko zdobyć ten piąty głos, prawda?

- Przypuszczam, że tak. Do czego zmierzasz?

- Zmierzam do tego, że nie możesz go do siebie zniechęcić. Musimy mieć niezbity dowód na to, że proponował ci łapówkę.

- Jak mamy go zdobyć?

- Nie jestem całkiem pewna. Chcę to jeszcze przemyśleć.

- Teraz?

- Poczekaj chwilę, muszę coś sprawdzić.

W gabinecie na półkach stały całe rzędy tomów w brązowych okładkach. Jennie znalazła to, czego szukała i z głośnym klapnięciem położyła księgę na biurku. Coś czytała, robiła notatki, po czym zawołała Dinah.

- Przynieś mi, proszę, akta sprawy Filipo, dobrze? Jednego z jej klientów uniewinniono w bardzo nieprzyjemnej sprawie związanej z handlem narkotykami, chociaż uprzednio skazany został na więzienie. Chociaż cała sprawa zakończyła się co najmniej cztery lata temu, Jennie przypomniła sobie, że ważnym dowodem w tym procesie była rozmowa nagrana na taśmie magnetofonowej, co z pewnością zapisano w aktach.

George obserwował, jak nerwowo przewracała kartki. Kiedy czasem na chwilę podnosiła wzrok znad papierów, widziała, jak jedną stopą nieustannie wystukiwał szybki rytm.

Wreszcie odsunęła papiery na bok.

- Czy zgodziłbyś się zabrać ze sobą ukryty magnetofon i mikrofon, George, pójść na lunch z Jonesem i nagrać waszą rozmowę?

- To... myślę, że to jest okropnie niebezpieczne, prawda? Gdyby się zorientował...

- Zawsze może się to zdarzyć, ale powiem ci coś - odparła Jennie z powagą. - Jest to zarazem bardzo mało prawdopodobne. Bardzo mało. Wiesz, takie rzeczy robi się bardzo często w czasie dochodzenia w sprawach kryminalnych.

- Jak to wygląda? - George wybijał teraz rytm nogą jeszcze mocniej.

- Nie potrafię dokładnie opisać ci samego urządzenia. Dowiemy się, kiedy będziemy rozmawiać z prokuratorem rejonowym.

Zapadła cisza, podczas której starszy pan wpatrywał się badawczo w twarz Jennie. Szczerze i otwarcie popatrzyła mu w oczy.

- W porządku, ufam ci, Jennie. Zrobię to, co mówisz. Gdybym ci nie ufał, nie podjąłbym się tego.

- Dziękuję ci za zaufanie, George. - Jennie była wzruszona.

- Chodzi o zasady - powiedział po chwili wahania. - O postawę dobrego obywatela. Przypuszczam, że w dzisiejszych czasach brzmi to dość staromodnie.

- Dla mnie nie.

No to powiedz mi teraz, co mam dalej robić?

- Nic wielkiego. Kiedy on znowu zadzwoni, a z pewnością zadzwoni, umów się z nim na spotkanie. Tymczasem ja skontaktuję się z prokuratorem okręgowym. Jeśli to zaaprobuje, zo-

staniesz wyposażony w odpowiednie urządzenie, i tyle. Nic poza tym nie musisz robić.

Zauważyła, że pomimo niepokoju George zaczyna puchnąć z dumy.

- Odpowiednie urządzenie - powtórzył. - To będzie tak jak na filmach.

- Jak na filmach i jak w życiu. Spojrzał na zegarek i wstał.

- O Boże, miałem przyjść po Marthę o czwartej, a to już za dziesięć minut.

Jennie też wstała i wyciągnęła do niego rękę.

- Jeśli tylko zdołasz, spróbuj zanadto się tym nie martwić - poradziła mu życzliwie.

- Postaram się. Po prostu mam zbyt wiele problemów naraz. Tak, powiedziała do siebie Jennie, kiedy starszy pan zamknął

za sobą drzwi. Bardzo dobrze to znam. Zbyt wiele problemów naraz.

- Mam poważne podejrzenie, że to nie kto inny, tylko nasz poczciwy burmistrz napuścił tego „Jonesa” na George'a Cromwella - powiedział Jay. - Oczywiście, ktoś nie bez powodu opowiedział mu o zmartwieniu George'a.

Po pokazie tańca wstąpili do barku przy sklepie delikatesowym na kawę i kanapki z wołowiną. Siedzieli w zacisznym kąciku, za wysokim przepierzeniem, co przyniosło Jennie pewną ulgę, bo sama impreza przyprawiła ją tylko o jeszcze większy ból głowy. Rozumiała, że dudniąca muzyka, nierówne ruchy tancerzy, przypominające pchnięcia tłoka, sterczące i kanciaste łokcie i kolana - wszystko to miało wyrażać rozdarcie współczesnego świata. Jennie jednak sama czuła się zbyt rozdarta, aby się tym przejmować.

- Tak - ciągnął Jay - im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem pewny, że musi za tym stać nasz burmistrz - Uczciwy Chuck.

- Czegoś tu nie mogę zrozumieć. Czy to ma aż takie znaczenie dla firmy takiej jak Barker? Jeśliby nawet stracili tę robotę, to i tak przecież gdzie indziej zarabiają i będą zarabiać miliony.

- Co za różnica? Na moje oko, około siedmiu czy ośmiu mi-

lionów. A tu, w dodatku, nie chodzi tylko o pieniądze, Jennie. To także sprawa ambicjonalna, oni nie chcą przegrać. Chodzi o to, kto okaże się silniejszy. Przecież nie mogą zostać pokonani przez garstkę zwariowanych miłośników przyrody, za jakich uważają nas i nam podobnych. Ci ludzie grają ostro.

- Przypuszczam, że dlatego zaszli tam, gdzie są, prawda?

- Ale i wielu łagodnych, porządnych ludzi jest tam, gdzie jest, ponieważ ich przodkowie umieli się ostro postawić.

Nagły smutek przeniknął Jennie jak dreszcz. Przez chwilę miała wrażenie, że widzi świat w postaci mapy, labiryntu przecinających się dróg, skomplikowanej gry planszowej, w której wszyscy gracze starają się nawzajem zniszczyć i gdzie niczego nie da się osiągnąć bez walki.

Jay w zamyśleniu mówił dalej.

- Moglibyśmy zastosować jeszcze inną strategię, działając poprzez Agencję Ochrony Środowiska. Połowa tych terenów to mokradła.

- To jest pewna możliwość - zgodziła się Jennie, przywołana z powrotem do rzeczywistości.

- Tylko że to wymaga czasu. Póki co, musimy ich powstrzymać. Czy, ściśle rzecz biorąc, będzie to musiał zrobić starszek George. Zdumiało mnie, że zgodził się na ten plan.

- Biedak jest śmiertelnie przerażony, czuje jednak, że jest to jego obowiązek. Powiedział, że tu chodzi o zasady. To taki wspaniały starszek.

- Kiedy masz się zobaczyć z prokuratorem okręgowym?

- Jutro zadzwonię i mam nadzieję, że po południu uda mi się z nim zobaczyć.

- Dobrze byłoby, gdyby mój tata poszedł z tobą nie uważasz?

- Oczywiście. George może iść tam później; ma jeszcze zostać w Nowym Jorku przez dzień czy dwa, aż Martha przejdzie w szpitalu badania.

- Nie jestem taki głodny, jak mi się wydawało. - Jay odsunął talerz.

- Jesteś zmęczony - powiedziała Jennie z czułością.

- Prawdę mówiąc, jestem. Jeden z naszych młodszych kolegów prawie się załamał dzisiaj w pracy. Wczoraj odeszła od niego żona i chyba musiał się komuś wyplakać, więc wybrał mnie.

- Dlaczego odeszła?

- Podobno powiedziała mu, że ma dość małżeństwa, chce być wolna, takie *nęciy*. Zresztą, kto wie? Mnie przy tym nie było. Powiem ci tylko, że jego łzy bardzo mnie poruszyły. - Jay wyciągnął ręce przez stół i uchwycił obie jej dłonie w swoje. - Och, Jennie, to naprawdę błogosławieństwo, kiedy można komuś wierzyć absolutnie i bezwzględnie i znać drugiego człowieka jak siebie samego! Tak strasznie chcę, żebyś była moją żoną, nie mogę się już doczekać.

Ileż dałaby Shirley, ona i wszystkie inne, aby tylko usłyszeć od mężczyzny coś takiego!

- Nic nie odpowiadasz. - Pomiedzy jego brwiami pojawiły się dwie małe zmarszczki.

- Czy muszę? Kochanie, moja odpowiedź nie powinna ci być potrzebna; przecież chyba sam wiesz.

- Wiem, wiem. Pójdziemy teraz do ciebie?

Poczuła, że ogarnia ją pragnienie, ale i smutek, ponieważ uczucie, że go pragnie, nie było już czyste. Zdawało jej się, że jego ręce, które tak dobrze знаła, zaokrąglone paznokcie, wgłębienie w brodzie i ten jeden ciemny kosmyk uparcie opadający na skroń - nie całkiem już należą do niej. Czasami nawet miała dziwne uczucie, że wszystko to może nagle zniknąć..

A jedyną przyczyną wszystkich tych dziwnych stanów była Jill. Wczoraj, kiedy zaczęła płakać, łzy toczyły jej się po policzkach i spływały za kołnierzyk. Czy dziś w nocy jej łzy będą mi się śniły? Czy jeszcze kiedyś ją zobaczę? Czy potrafię wytrzymać to, że już jej nie zobaczę? A ona chyba nie chce mnie już widzieć - w każdym razie nie na moich warunkach. A jej warunków ja nie mogę przyjąć. No bo jak?

Jay czekał na jej odpowiedź.

- Mówiłeś przecież, że jesteś taki zmęczony - odezwała się wreszcie.

- W takim razie trudno. Nie będziemy się dzisiaj kochać. Wyszli na ulicę. W świetle latarni Jay pochylił się nad Jennie, zaglądając jej w twarz.

- Jesteś taka słodka; mniejsza o ten dzisiejszy wieczór, mogę poczekać. Już za parę tygodni to czekanie skończy się raz na zawsze, prawda?

Tylko autorytet i nazwisko Arthura Wolfe'a sprawiły, że Martin, młody prokurator okręgowy, docenił wagę ich sprawy. Albowiem, co Jennie dopiero teraz sobie uświadomiła, nie padła dotąd żadna konkretna propozycja łapówki. I to właśnie zauważył Martin już na samym wstępie ich rozmowy.

- Jeszcze nie - powiedział mu Arthur. - Ale na pewno do tego dojdzie; nie ma żadnych wątpliwości. Wiem, co mówię; widziałem już naszego burmistrza i jego przyjaciół w akcji. Od wielu lat jestem zaangażowany w sprawę tego miasta, może mi pan wierzyć.

Młody człowiek kiwnął głową i dodał:

- I w sprawę hrabstwa, panie Wolfe. - Uśmiechnął się. - Pamiętam ten artykuł, jakiś czas temu, w którym nazwali pana „psem podwórzowym”.

- A teraz mamy już dwa psy - Arthur roześmiał się i wskazał na Jennie, która jednak dodała ponuro, że tak, jak się sprawy mają potrzebna będzie cała zgraja, aby rzecz zakończyć.

Martin zwrócił się teraz do niej. Wypytywał ją ostrożnie i z uwagą, nie spuszczać z niej oczu przez cały czas, gdy zadawał pytania i słuchał odpowiedzi.

- A więc naprawdę sądzi pani, że istnieje związek pomiędzy mężczyzną, który krzyczał na zebraniu i zepchnął panią ze schodów, a tym, który telefonował do Cromwella?

- Tak sądzę. Opinię ma jak najgorszą, zresztą wystarczy na niego spojrzeć, aby dostrzec, ile w tym człowieku agresji. Ale oczywiście muszą być też inni; jakaś osoba, albo osoby w przedsiębiorstwie Barkera, od nawiązywania kontaktów. Wiem, że to jeszcze wygląda mgliście, trudno powiedzieć, jak daleko te kontakty sięgają. Nie mam jednak wątpliwości, że istnieją.

Spojrzała przez okno; do połowy zasłonięte było spłowiałą, ciemnozieloną zasłoną, przez dolną szybę widziała jednak skomplikowaną płataninę czarnych konarów i gałązek. Sieć bez początku i bez końca. Gasnące światło zimowego dnia było posępne, i Jennie zrozumiała, co jest główną przyczyną jej przygnębienia.

Martin wstał i zapalił świetlówkę zamontowaną ponad ma-

sywnym biurkiem, tak że oświetlała poplamioną suszkę, obdrapane krzesła, sterty papierów, zielone metalowe kasetki na akta i pociemniałe ściany. Żadne światło nie mogło jednak rozweselić tego ponurego wnętrza. Niemniej Martin mówił z ożywieniem.

- I uważacie, że ten Cromwell da sobie z tym radę? Arthur wydawał się trochę niepewny.

- To mój stary przyjaciel, ale niewątpliwie bystrością nie grzeszy. Jest za to dzielny, chce spróbować, a my nie mamy wyboru.

- Naprawdę wam na tym zależy? - dopytywał się Martin dość łagodnie.

- Komuś musi zależeć - odpowiedziała Jennie.

Martin odchylił się na krzesło, potem złożył ręce i zamyślił się.

- Czy to on będzie mógł wybrać miejsce spotkania? Chodzi mi o to, że w jakimś przydrożnym wiejskim barze nie jest możliwe, aby mój człowiek pozostał niezauważony. Każdy nieznany samochód będzie zwracał uwagę. Czy Cromwell nie mógłby znaleźć jakiegoś bardziej uczęszczanego miejsca w centrum miasteczka?

Arthur potrząsnął głową.

- Miejsce już zostało ustalone. Gdyby George zechciał teraz to zmienić, wzbudziłby tylko podejrzenia.

- Cóż, w takim razie będzie musiał działać zupełnie sam, bez ochrony.

- Myśli pan, że może być potrzebna? - Arthur był wyraźnie zaniepokojony.

- To mało prawdopodobne. Zresztą, nawet gdybyśmy tam byli, to bardziej po to, by go wesprzeć moralnie, niż w jakikolwiek inny sposób. Musi więc radzić sobie sam.

- George da sobie radę - powiedziała Jennie.

W pamięci mignęło jej wspomnienie dumnej postawy starszego pana i jego pełne godności słowa: Tu chodzi o zasady, o postawę dobrego obywatela.

Martin wstał.

- Chcę, żebyście poznali Jerry'ego Briana. Po waszym telefonie jemu przekazałem tę sprawę.

Nacisnął guzik na biurku i w chwilę potem do pokoju wkroczył inny młody człowiek, nieomal sobowtór Martina. Martin dokonał prezentacji, po czym wyjaśnił:

- Jeny jest tym człowiekiem, który przygotowuje Cromwella do akcji.

Arthura zainteresowały szczegóły tej procedury.

- To proste - tłumaczył Brian. - Mikrofon umieszcza się pod koszulą, do tego małe magnetofon, parę przewodów niewiele grubszych niż włos i tyle. Bardzo proste.

- Jeny przygotowuje waszego przyjaciela wczesnym rankiem w dniu spotkania. Niech tu przyjdzie najpóźniej o dziewiątej -zarządził Martin.

- Powiedzcie mu, że nie ma się czym przejmować - dodał Brian. - Naprawdę.

Obaj reprezentują podobny typ, ich spokój udzielał się innym, pomyślała Jennie. Sprawia to ich wzrost, siła i opanowanie. W jakiś dziwny sposób przypominali jej Jaya, choć byli zupełnie inni niż on.

Kiedy znaleźli się na parkingu, Arthur odetchnął z ulgą.

- Cóż, pierwszy krok mamy za sobą. Obawiałem się, że pomyślą, iż robimy z igły widły.

- Nie, Martin zrozumiał. Chyba zrobiło na nim wrażenie, że zajmujemy się tym bez żadnej korzyści dla siebie.

- Jedynie z myślą o przyszłości tego kraju. Tylko taką możemy mieć z tego korzyść.

- Oczywiście, chodziło mi o to, że nie spodziewamy się żadnych korzyści materialnych.

Nad miasteczkiem majaczyły białe wzgórza. Powietrze przesycone było śnieżną wilgocią. Arthur przez chwilę milczał.

- Wsłuchaj się w tę ciszę. Kocham tę północną krainę; mam nadzieję, że i ty ją pokochasz.

Jennie się uśmiechnęła.

- Sądząc z tego, jak walczysz o jej zachowanie, myślę, że już zaczynasz ją kochać. - Wsiedli do samochodu. - Ale wyglądasz na zmęczoną, Jennie. Może za ciężko pracujesz?

- Praca ma to do siebie, że się gromadzi. Chyba mam jej trochę za dużo.

- Cóż, spróbuj to jakoś uładzić. Trzeba mieć czas, by odetchnąć pełną piersią.

Ten oklepany zwrot, wypowiedziany przez kogoś innego, pewnie by ją zirytował, jednak w ustach Arthura pełen był serdeczności. Brzmiał - w tej chwili przyszło jej to do głowy - po ojcowsku. I nagle przebiegł ją chłód, jakby ktoś oblał ją zimną wodą. Traktował ją jak ojciec, a ona kłamała.

- Przynajmniej z okazji Święta Dziękczynienia będziecie mieć trochę wolnego - mówił dalej starszy pan - nic do roboty, tylko jeść i spać. Enid gromadzi już takie zapasy jedzenia, jakby miała wykarmić całą armię.

Na szczęście do stacji, skąd pociągiem miała wrócić do miasta, było nie więcej niż piętnaście kilometrów. Przez całą drogę Arthur nie przestawał mówić, ona zaś musiała odpowiednio reagować na jego uwagi dotyczące firmy Barkera, burmistrza, George'a czy też Jaya i jego dzieci - choć w głębi, bezustannie wstrząsał nią płacz: Jill, co z JUL..? Tak się boję... tak się boję.

9

Było około piętnastu stopni poniżej zera, kiedy Jennie wraz Jayem i dziećmi przyjechali na wieś, na długi weekend przypadający w okolicy Święta Dziękczynienia. Powietrze było jednak suche, słońce lśniło oślepiająco w soplach, zwieszających się z okapów niczym stalaktyty, i nie czuło się, że jest aż tak zimno. Wewnątrz w domu panował miły tłok, przyjechał bowiem brat Jaya razem ze swoimi dużymi dziećmi, jak również rozmaici wujowie, ciotki i kuzyni. We wszystkich kominkach palił się ogień, każdy pokój zdobiły pięknie poukładane w wazonach złotobrazowe chryzantemy; na każdym stoliku stało naczynie pełne orzechów i winogron, popcornu, czekoladek, ciasteczek imbirowych. Jennie poczuła, że otacza ją ciepła, rodzinna atmosfera, zmieszana woń dymu, jedzenia i kwiatów. Było to właściwie jej pierwsze zetknięcie z rodziną Jaya w rozszerzonym składzie, rozumiała więc ich ciekawość, uważając to za rzecz całkiem naturalną. Zadała sobie wiele trudu, żeby dziś dobrze wyglądać, i czuła satysfakcję, widząc, że przypadła im do gustu jej nowa sukienka z białej dzianiny, na której tak efektownie lśniły perły od Enid.

Kiedy mama dowiedziała się o prezencie Enid, przysłała jej

z Florydy dwie bransoletki z pereł. Bawiąc się bransoletkami, które miała na ręku, pomyślała o mamie. Kobieta potrzebuje drugiej kobiety, której mogłaby się zwierzyć... W tej chwili mama prawdopodobnie chwaliła się trochę swoją córką wśród grona wdów zebranych na podwórku przed domem, w którym mieszkała. Przykurzone karłowate palmy, upał i pogaduszki... W tym samym czasie, w Chicago, Jill miała spotkać się z Peterem. Gdzie? Jak? Jennie zaczynało kręcić się w głowie.

- No więc dzięki Bogu, George'owi wczoraj dobrze poszło - mówił do jej prawego ucha Arthur Wolfe. - Wiesz już o tym, oczywiście.

- Tylko tyle, że była to niewątpliwa propozycja finansowa, czego się spodziewaliśmy. Nie odegrał mi przez telefon tego, co miał na taśmie, więc jeśli nie będziecie nam mieć za złe, wyskoczmy do niego z Jayem i posłuchamy.

- Biedak. Nie wiem, czy dałbym sobie tak dobrze radę, gdyby to trafiło na mnie. Trzeba odrobinę odwagi, żeby siedzieć, jakby nigdy nic przy stoliku, kiedy człowiek cały okręcony jest przewodami. Mnie by się wydawało, że zaraz odpadnie kabelek albo coś innego się nie uda.

- To wymagało więcej niż odrobinę odwagi - odparła Jennie i znowu przypomniał jej się Bruce Fisher, który mógł mieć albo i nie mieć z tym coś wspólnego. Bardziej prawdopodobne, że miał. Na samą tę myśl przeszedł ją dreszcz.

Biuro George'a Cromwella znajdowało się w jednej części zwykłego drewnianego domu, w uliczce, gdzie podobnych domów było więcej, niedaleko od centrum miasta. Dom, który domagał się pomalowania, zdecydowanie nie był siedzibą kogoś zamożnego. Po wejściu do środka można się było jeszcze w tym przekonaniu utwierdzić. W saloniku, do którego wprowadził ich George, ciemne dębowe meble były zaniedbane, obicia stare i wytarte. Dom wraz z umeblowaniem otrzymał George wraz z Marthą od jej babci i tak przetrwał dotąd w niezmienionym stanie, Martha zaś, chora, leżała na górze.

George umieścił na stole malutkie urządzenie, a taśmę uniósł do góry z miną dumną i zarazem nieco głupawą.

- Nie uwierzcie własnym uszom; wszystko tu jest.

- Jak on wygląda, ten John Jones? - zapytał Jay. George się uśmiechnął.

- Podał mi swoje prawdziwe nazwisko; powiedział, że przez telefon nigdy nie dość ostrożności. Nazywa się Harry Corin; facet około czterdziestu pięciu lat, ale właściwie trudno dokładnie powiedzieć. Miał olbrzymie, żółte, krzywe zęby i zły zgryz. Jako dentysta, przede wszystkim zwracam uwagę na zęby.

- Przypuszczam, że odnosił się do ciebie bardzo przyjaźnie? - Jennie dostrzegła błysk rozbawienia w oczach Jaya.

- Bardzo przyjaźnie, tak, tak. No to posłuchajcie, włączam taśmę. Dam wam tę drugą, gdzie on już przechodzi do rzeczy. Za pierwszym razem rozmawialiśmy o naszym miasteczku i o tym, co właściwie buduje firma Barkera; według niego powinienem zobaczyć coś z tych inwestycji i wtedy może zrozumiałbym, że oni przyjechali nie po to, by zaszkodzić miastu. Właśnie takie rzeczy mówił; zajęło to całą taśmę. To było nasze zapoznanie, można powiedzieć.

- Czy wypowiadałeś jakieś opinie? - chciała wiedzieć Jennie.

- Ach, tylko tyle, by myślał, że jestem zainteresowany jego propozycją. Nie chciałem go zniechęcić. - Taśma zaczęła cicho warczeć. - Aha, właśnie się zaczyna.

Wśród wielu zmieszanych dźwięków: gwaru rozmów, szurania krzesel, brzęku naczyń i zgrzytu kasy - dały się wyróżnić dwa głosy: starczy, drżący głos George'a i drugi, młody, który brzmiał przymilnie.

- Czy dzisiaj patrzysz już na sprawy trochę inaczej niż podczas naszej pierwszej rozmowy, George? Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, abym mówił ci „George”?

- Ależ nie, Harry.

- Czyli rozumiesz, o co mi chodzi? Że nie mamy zamiaru szkodzić waszemu miastu?

- Cóż, w pewnym sensie rozumiem, chociaż nie jestem zupełnie pewien. Będę musiał jeszcze się nad tym głęboko zastanowić.

- Jasne, jasne. Jesteś bardzo inteligentnym człowiekiem. I sprytnym. Żeby wypowiedzieć opinię, musisz być absolutnie przekonany.

Potem nastąpiła cisza. Można było sobie wyobrazić, że w tym czasie George dość ponuro kiwał głową, tamten mężczyzna nie spuszczał z niego wzroku, grzechotały naczynia, gdzieś na dworze zakasłał silnik.

Po czym znowu odezwał się Harry, ciszej tym razem i tonem współczucia.

- Tak czy inaczej, dużo masz teraz na głowie, wiem o tym. Chodzi mi o to, że twoja żona jest taka chora. To cię musi kosztować majątek.

- Taak. Rachunki są duże. Słysząc było, jak George wzdycha.

- Podobno sumy, jakie się teraz płaci lekarzom i za szpitale, są straszne. To może pochłonąć oszczędności całego życia.

- To prawda - przyznał George. - Szczera prawda.

- A może nawet i więcej. Niektórzy ludzie wpadają przez to w długi.

- Mam nadzieję, że u mnie do tego nie dojdzie. Chociaż i to się może zdarzyć, kto wie?

- Aż tak źle, George? To okropne. Człowiek w twoim wieku, który całe życie stoi przy bormaszynie i reperuje ludziom zęby, w końcu dochodzi do tego, że zmuszony jest pożyczać pieniądze, aby utrzymać się na powierzchni. - I znowu cisza. - Tak - powiedział Harry ponuro - Śmiać mi się chce, kiedy słyszę, jak ktoś mówi: „Pieniądze to nie wszystko”, bo ja wiem - i ty też już chyba musisz to wiedzieć, że to bujda - bez pieniędzy nie ma nic! O ileż byłbyś spokojniejszy, gdybyś miał odłożoną jakąś okrągłą sumkę. - Teraz ściszył głos tak, że Jay i Jennie musieli bardzo się wysilać, żeby to dosłyszeć. - Powiedzmy, że miałbyś w banku pięćdziesiąt tysięcy, złożone w gotówce w sejfie depozytowym, wtedy mógłbyś spać spokojnie. Prawda, George?

- No tak, pięćdziesiąt by mi się przydało. Ale, tak jak mówisz, rachunki są pokaźne.

- No, powiedzmy, siedemdziesiąt pięć. Gdybyś miał tyle, spałbyś pewnie jeszcze lepiej, prawda?

- Ha, tylko gdzie, u diaska, miałbym znaleźć takie pieniądze?

- Ejże, George! Są na to sposoby i ty o tym wiesz. A kiedy ma się przyjaciół, nie ma rzeczy niemożliwych. Posłuchaj, George, podobasz mi się. Jesteś mądry i dotrzymujesz słowa, widzę to. Ja też dotrzymuję słowa. W życiu chodzi głównie o to, żeby móc na sobie nawzajem polegać. Zgodzisz się chyba, George?

- Oczywiście, zawsze.

- Okay. A więc, jak mówią, ręka rękę myje. Wystarczy, że strzełę palcami i mogę mieć w ręku siedemdziesiąt pięć tysięcy, kiedy tylko będę chciał, ot tak. Kiedy tylko będę chciał.

- To znaczy?

- Kiedy tylko Barker otrzyma pozwolenie na budowę. Proste jak drut.

- Nie chcesz przez to powiedzieć...

- Chcę.

Zapadła cisza. Można było sobie wyobrazić, jak George udaje, że oswaja się z tą wiadomością. I powiedział:

- Och. A te siedemdziesiąt pięć tysięcy... byłoby tylko dla mnie?

- Potrafisz chyba obliczyć, że to ty jesteś właśnie tym, o kogo chodzi, prawda? Twój głos przesądzi sprawę.

Po raz kolejny zapadła cisza, którą dość niecierpliwie przerwał Harry.

- Istnieje nawet możliwość, ale nie chwytaj mnie za słowo, że ta suma mogłaby wzrosnąć nawet do setki.

- Do setki! Leżałbym na pieniądzach!

- A jakże. Zieloniutki, pięknie poukładane w bankowym sejfie. No i co ty na to, George? Podoba ci się taki pomysł?

- No, chłopie, chyba tak.

- Więcej nie ma się nad czy zastanawiać. Posłuchaj. Dziś wieczorem jadę do miasta, żeby ustalić sumę. W niedzielę będę tu z powrotem.

- W tym samym miejscu, o tej samej porze?

- Tak. I posłuchaj, jestem prawie pewien, że możesz liczyć na dwadzieścia pięć od razu, a resztę dostaniesz, kiedy sprawa będzie załatwiona. Jeśli nie przejdzie, oddasz zaliczkę. - Potem słychać było dźwięk odsuwanych i przysuwanych krzeseł i głos Harry'ego, przyjazny i pewny siebie. - Ale przejdzie. Prawda, George? To od ciebie zależy.

- Jasne, okay. To będzie dla mnie korzystne.

- Do zobaczenia.

George wyłączył magnetofon i wykrzyknął, jakby właśnie w tej chwili przyszło mu to do głowy:

- Ale czy on nie ryzykował, pokazując się razem ze mną?

- Nieszczerólnie - odpowiedziała Jennie. - Ani on, ani ty. Nikt w okolicy go nie zna.

- Ach, tak, rozumiem.
- Będziesz musiał wygospodarować sobie trochę czasu, żebyśmy mogli przekazać taśmę prokuratorowi okręgowemu.
- Czy ja muszę przy tym być?
- Bezwzględnie. Jesteś głównym świadkiem.
- No tak, rozumiem. Przypuszczam, że on jutro przywiezie te dwadzieścia pięć tysięcy. Co mam z tym zrobić?
- Nic, tylko je od niego wziąć.

George westchnął, a Jennie powiedziała łagodnie:

- Rozchmurz się, George. Wszystko idzie tak jak trzeba, nie masz się czego bać. Wyjeżdżamy jutro, koło czwartej po południu, więc może zadzwonisz do nas zaraz po tym spotkaniu?

Pocałowała staruszkę w policzek.

- Świetnie się spisałeś. Naprawdę świetnie.

Niedziela przebiegała spokojnie. Sople zaczynały topnieć w słońcu, lekki wietrzyk zawiewał śniegiem. Rano dzieci poszły na sanki, a potem Jay i Jennie zabrali je do sklepu w miasteczku, żeby kupić trochę słodyczy na drogę.

Jay wszedł do sklepu, Jennie zaś czekała w samochodzie, jak zwykle zmagając się z myślami, które ją męczyły. Nagle ogarnęło ją dziwne uczucie, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się i ujrzała twarz, której nie zdołałaby zapomnieć. O parę domów od miejsca, gdzie zaparkowali samochód, oparty o latarnię, stał Bruce Fisher. Ich oczy spotkały się tylko na moment, ale nawet, kiedy Jennie się odwróciła, wciąż miała wrażenie, że ten człowiek nie odrywa od niej wzroku. Powiedziała o tym Jayowi, kiedy tylko przyszedł z zakupami.

- Nie patrz lepiej na niego, tam stoi Fisher.
- Wiem, zauważyłem go, jak wchodziłem do sklepu.
- Zimno mi się robi, jak go widzę.
- To całkiem zrozumiałe. Nie możemy jednak dać się zwariować. W końcu ma przecież prawo stać na ulicy w swoim mieście.

A jednak później mieli się nad tym zastanawiać....

Dalsza część przedpołudnia minęła spokojnie, według ustalonego, niedzielnego porządku: czytali gazety, a potem długo grali w monopol, wszyscy oprócz Donny'ego, który wolał

oglądać filmy rysunkowe w telewizji. Po obiedzie Donny poszedł spać, a oni pakowali walizki.

Była już prawie czwarta. Jay właśnie mówił: „Jeśli George nie zadzwoni, złapiemy go jutro”, gdy zadzwonił telefon.

- Odbierz, Jennie, to twoja sprawa.

Donośny głos George'a dobiegał tak wyraźnie, że Jay i jego rodzice unieśli głowy w zdumieniu.

- George! Ty nie możesz złapać tchu!

- Och, to było coś strasznego! Coś strasznego! Nic dziwnego, że nie mogę tchu złapać. Nie uwierzysz mi, co się stało. Harry wszedł, gdy siedziałem przy stoliku i piłem kawę. Od razu jak wszedł, zauważyłem, że jest wściekły, ale tak wściekły, że sobie nie wyobrażasz. Był czarny na twarzy, jeszcze czegoś takiego nie widziałas. Założę się, że i krew miał czarną...

- Proszę powiedz mi tylko, co się stało - przerwała mu Jennie.

- No więc, mój dom jest obserwowany! Na pewno! On wiedział, że ty i Jay byliście u mnie wczoraj. Kto mógł mu o tym powiedzieć? Och, nie uwierzysz mi... Wyzywał mnie od najgorszych. Nie przeszkadza mi to, ale on był tak rozwścieczony! Powiedział, że go oszukałem i że się cholernie pomyliłem, sądząc, że mi to ujdzie na sucho. - George prawie łkał. - Nikogo tam nie było, nawet barman właśnie wyszedł do kuchni, wtedy on sięgnął nad stołem, złapał mnie za krawat i powiedział, że zaraz rozwali mi pysk. No i ja - aż strach mi to mówić - straciłem głowę i powiedziałem, że niech tylko spróbuje, tylko spróbuje, ja i tak mam to wszystko nagrane, więc będzie miał poważne kłopoty, żeby to wiedział.

- Niemożliwe! Nie mogłeś tego zrobić!

- A jednak zrobiłem - powiedział George żałośnie i ze skrucą.

Jennie zasłoniła dłonią słuchawkę.

- Kłócili się i George powiedział mu o taśmie. Arthur w oburzeniu wznosił ręce.

- Strasznie mi przykro - mówił George. - Naprawdę, strasznie mi przykro, ja wiem, że to moja niedbałość, ja wiem...

- Niedbałość! - wykrzyknęła Jennie. - Ty to nazywasz niedbałością?

- Och, tak mi przykro. Po prostu straciłem głowę, kiedy mnie złapał, po prostu straciłem głowę.

- No i co było potem? - Jennie westchnęła.

- Groził mi.

- Powiedz mi, w jaki sposób, szczegółowo.

- Szczegółowo nie mogę. Po prostu... po prostu mi groził, dokładnie nie pamiętam. Powiedział, że zapłacę za to, chyba że oddam taśmę. I tę poprzednią i tę, którą mam teraz przy sobie. Powiedziałem mu, że przy sobie nic nie mam, a że ta druga jest w bezpiecznych rękach i on jej nie dostanie. Oczywiście jest u mnie w domu, dobrze schowana.

- Oczywiście - powtórzyła Jennie.

W bezpiecznych rękach. Bez wielkiego wysiłku można się domyślić, kto może ją mieć, jeśli nie George.

- Mam nadzieję, że nie będziecie na mnie zbyt wściekli. Jennie znowu westchnęła.

- Nawet jeśli będziemy wściekli, to i tak nic nie pomoże. Gdzie teraz jesteś, w domu?

- Nie, w budce telefonicznej, przy szosie. Właśnie wyszedłem z baru.

- No, to wracaj teraz do domu i odpocznij. Miałeś ciężkie przejście.

- Tak, zaraz jadę. Zostawiłem Marthę samą.

- No i tak to wygląda. - Jennie odłożyła słuchawkę.

- Oczywiście, zawsze wiedziałem, że George jest, powiedzmy sobie, trochę ograniczony - powiedział Arthur. - Ale żeby był aż takim durniem!

Jay zastanawiał się nad sytuacją.

- Poczekajcie chwilkę. Może to nie jest jeszcze najgorszy z możliwych scenariuszy. Teraz, kiedy już wiedzą, że mamy to nagranie, najrozważniej z ich strony byłoby zniknąć ze sceny, wycofać ofertę i mieć tylko nadzieję, że te taśmy nie zostaną przekazane władzom. Albo - teraz Jay wyglądał bardzo poważnie - sprawa może przybrać inny obrót, w razie gdyby ktoś zdecydował się zdobyć tę taśmę i wtedy będzie to bardzo, naprawdę bardzo zły scenariusz.

Wszyscy w milczeniu rozważali oczywiste i dość okropne ewentualności. Po chwili Jay spojrzał na zegarek.

- No cóż, jest niedziela i na razie nic nie możemy zrobić, proponuję więc, żebyśmy zaczęli się zbierać.

Enid położyła dłoń na ramieniu syna.

- Bądźcie ostrożni. Przychodzi mi do głowy, że jacyś okropni ludzie mogą nachodzić w biurze ciebie albo Jennie. Co byście wtedy zrobili?

- Dalibyśmy sobie radę.

- Ty pewnie tak, ale jeśli będą sądzili, że to Jennie ma taśmy?

- Jennie jest twarda. - Jay się uśmiechnął. - Jeszcze jej nie znasz. Będzie się miała na baczności.

- Cóż, mam nadzieję. Uważajcie na siebie.

Zgodnie z milczącym porozumieniem podczas jazdy nic więcej już na ten temat nie mówili. Dzieci otworzyły torebki z cukierkami M&M i liczyły przejeżdżające czerwone samochody. Wyjeżdżając z miasteczka, mijali drogę prowadzącą od głównej szosy na Zielone Moczary. Rozpoznając to miejsce, Jennie poczuła przejmujące wzruszenie, przypominając sobie tamten poranek, niespełna sześć tygodni temu, kiedy stała tam z Jayem, a życie zdawało się tak radosne, łatwe i obiecujące. A już kilka godzin później zadzwonił telefon.

Wróciła myślą do Petera i Jill. Właśnie teraz Jill prawdopodobnie wracała samolotem do Nowego Jorku po spotkaniu z Peterem.

- Co się stało? - zapytał Jay.

- Nic. Dlaczego pytasz?

- Wydawało mi się, że kątem oka widzę, jak marszczysz brwi.

- Ejże! Powinieneś teraz patrzeć prosto na szosę. - Jennie starała się obrócić to w żart. - No tak, może rzeczywiście zmarszczyłam brwi, bo myślałam o George'u i tej całej sprawie. Robi się gorzej, niż mogliśmy przypuszczać.

- Porozmawiamy o tym jutro. Na razie posłuchajmy muzyki. Może być zakończenie symfonii?

- Świetnie.

Samochód zalały dźwięki *Eroiki*, a dłoń Jaya na chwilę przykryła leżącą na siedzeniu dłoń Jennie. Jego dotyk, gest posiadacza, ciepło jego ręki i ta podniosła muzyka - wszystko to chwyciło ją za serce.

- Ach, mój Boże, proszę cię. Proszę... - błagała Jennie bezgłośnie.

Zamknęła oczy, a Jay cofnął rękę, myśląc, że chce spać. Rzeczywiście, muzyka w połączeniu z szumem silnika pewnie wkrótce by ją uspiły, gdyby tylko sobie na to pozwoliła. Wiedziała, że należy do tych nielicznych osób, które na trudne sytuacje reagują wzmożoną sennością, nie zaś bezsennością, jak większość ludzi. To tylko forma ucieczki, pomyślała, przypominając sobie kurs z podstaw psychologii. Oparła głowę o pod-główek, wybrała ucieczkę.

W zimowe niedzielne popołudnie ruch był bardzo umiarkowany, więc do domu dotarli wcześniej, niż się spodziewali. Jennie weszła na górę, żeby pomóc ułożyć dzieci spać. Jay zajął się Donnym, a ona jak zwykle nadzorowała dziewczynki.

Podczas gdy Sue i Emily myły zęby, Jennie zaciągnęła zasłony, zdjęła z łóżek narzuty w niebieskie gałazki, powiesiła ich spodnie i kurtki i wyjęła ubranie do szkoły na rano: plisowane spódniczki w kratkę i czerwone sweterki. Całe rzędy ubrań wisiały w dwóch identycznych szafach: z jednej strony sukienki na co dzień, dalej sukienki wizytowe z aksamitnymi kołnierzami, żółte słomkowe kapelusze na wiosnę, ozdobione stokrotkami, zawiązywane pod brodą długimi wstążkami. Wiedziona nagłym impulsem, wzięła do ręki taki kapelusz. Wstążki spływały w dół; kojarzyły się jej z całą niewinnością szczęśliwego dzieciństwa, ze szczególnymi okazjami, kiedy stroiło się małe dziewczynki - na przykład, idąc do cyrku czy do krewnych z wizytą. I zastanawiała się, czy Ji 11 nosiła taki kapelusz z wstążkami, gdy miała osiem lat.

Z łazienki dobiegały ją wesole piski. Emily, która właśnie ostatnio odkryła to, co ona uważała za nieprzyzwoite dowcipy, z wyższością osoby o dwa lata starszej raczyła nimi teraz siostrę. Kiedy indziej Jennie byłaby tym rozbawiona, teraz jednak po głowie tłukły się jej tylko pytania: Czy Jill nosiła we włosach kokardę, kiedy miała osiem lat? Albo sześć? I czy nosiła plisowane szkockie spódniczki? Czy opowiadała brzydkie kawały i ściągała ze stołu cukierki, żeby je potem chować pod poduszką? Czy była dobra w grze w warcaby i w monopol?

Kiedy dziewczynki wróciły do pokoju, wciąż trzymała w ręku wstążkę od kapelusza. Sue wyglądała na zaskoczoną.

- Podziwiałam ten kapelusz - wyjaśniła Jennie.

I znowu poczucie winy przejęło ją chłodem. Było tak, jakby nawet jej myśli nie miały prawa się tu wdzierać. Tylko częściowo obecna duchem, dopełniła z dziewczynkami wieczornego rytuału: czesania włosów, bajeczki i pocałunków na dobranoc.

Zdażyła tylko zgasić światło i wyjść z pokoju, kiedy wezwał ją Jay.

- Słyszałaś telefon?

- Nie, a co się stało?

- Chodź tutaj. - Jennie weszła za nim do saloniku. - Usiądź i bądź przygotowana na wstrząs. - Jay chodził po pokoju, podniecony i poważny zarazem. - Dzwonił mój ojciec. Nie uwierzysz w to, co powiem. George Cromwell nie żyje.

- O Boże!

- Jego samochód dachował na bocznej drodze, kiedy wracał do domu.

- Zginął na miejscu? - Jennie się wzdrygnęła.

- Tak twierdzą. Nie cierpiał, dzięki Bogu. - Jay nie przestawał chodzić tam i z powrotem po pokoju. - Policja podejrzewa, że to brudna robota. Nie jechał za szybko, to byłoby do niego niepodobne. Tuż za nim widać było ślady innego samochodu, ale, niestety, nie udało się ich zidentyfikować. Tata mówił, że zaraz po naszym wyjeździe zaczęła się śnieżycyca i śnieg wszystko przysypał. Wygląda na to, że na ostrym zakręcie odcięli mu drogę i zepchnęli z szosy. W tamtym miejscu są wystające gołe skałki i o nie się rozbił. - Jay zacisnął pięści. - Zamordowali go albo spowodowali jego śmierć, to właściwie to samo.

- Czy przypuszczasz, że śledzili go, odkąd wyszedł z baru czy z budki telefonicznej po rozmowie ze mną?

- Jestem tego prawie pewien, Jennie. - Jay się zawahał. - To jest takie podłe, aż strach o tym mówić, ale ktokolwiek to zrobił... Kiedy go znaleziono, kieszenie miał wywrócone, ale niczego nie zabrali, nawet portfel był nietknięty.

- Czyli szukali taśmy.

- Tak, ale on tym razem nic przy sobie nie miał.

- To... To jest zupełnie nierealne. Jeszcze dwie godziny temu z nim rozmawiałam.

- Mój tata jest zupełnie załamany. George i on byli przyjaciółmi od prawie pięćdziesięciu lat.

- Biedny George... Tak mi przykro, że wplątaliśmy go w tę całą sprawę! To taka poczciwa dusza! I niewinna. On właściwie nigdy nie przestał być dzieckiem.

- Kochanie, on chciał brać w tym udział. I jak mogliśmy się spodziewać czegoś takiego?

- Myślę teraz o Marcie. Jak pójść do umierającej kobiety z taką wiadomością! Świat jest takim podłym miejscem, Jay, że czasami nie mogę go znieść.

Podszedł, usiadł koło niej i objął ją ramieniem.

- Nie przypuszczam, by kiedykolwiek miał się zmienić - powiedział. - Ja już prawie wierzę w to, że człowiek nosi w sobie wrodzone zło. Jakiś grzech pierworodny czy coś w tym rodzaju. Chciwość, która prowadzi do zabijania. Jeżeli to oni to zrobili - dodał po chwili. - Bo nie mamy przecież pewności.

- Przemawia przez ciebie prawnik. W gruncie rzeczy masz tę pewność, prawda? Przynajmniej tak mi się wydawało.

- Chyba tak. Tak. Masz rację.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, nie było już nic do dodania. W pokoju panowała taka cisza, że Jennie wyraźnie słyszała cykanie zegarka, który Jay miał na ręku. Nagle jej oczy napęłniły się łzami i zaczęła głośno płakać. Jay przytulił ją mocniej i wziął za rękę. Poczuli się mała, skurczona ze wstydu, bo on myślał z pewnością, że jest taka delikatna i pełna współczucia, że tak płacze nad George'em. I rzeczywiście, płakała nad George'em, ale nie tylko: także nad Jill i nad sobą i nad życiem, które można by przeżyć łatwo i po prostu, gdyby było się przyzwoitym i uczciwym człowiekiem, a którego się tak przeżyć nie dało.

Po jakimś czasie Jay powiedział:

- Nie muszę ci chyba mówić, że jutro z samego rana ty i tata będziecie musieli skontaktować się z prokuratorem okręgowym i powiedzieć mu wszystko, co wiecie o tamtym spotkaniu. Niestety, nie znamy prawie żadnych szczegółów, prócz jednego, że tamten człowiek miał duże zęby. Bardzo dużo osób ma duże zęby - zakończył ze złością.

- Wciąż jeszcze to do mnie nie dociera. - Jennie zamknęła oczy. - Tyle nienawiści z powodu kawałka ziemi. Jeszcze mam przed oczami te trzciny i pałki nad stawem. Czy dobrze pamiętam, że u stóp wzgórza rośnie olbrzymia wierzba płacząca?

- Tak, rośnie. To bardzo stare drzewo, co jest niezwykle. One rzadko dorastają tego wieku.

- I ci ludzie tak strasznie chcą tego wszystkiego.

- Oni chcą dolarów, Jennie.

Znowu umilkli oboje, pokój zaległa dźwięcząca cisza. To zaciszne miejsce, gdzie długie zasłony spływały na podłogi wyściełone perskimi dywanami, a kryształowe lampy spod abażurów rozaczały różowoperłowe światło, stanowiło bezpieczny kokon zawieszony na wysokości dziesięciu pięter nad Park Avenue, oddalony o tysiące kilometrów od pustej, bocznej drogi, gdzie człowiek roztrzaskał się na śmierć i nikt tego nie widział.

- Dobrze się zamknij, gdy już będziesz w domu - powiedział Jay poważnie.

- Kto w Nowym Jorku by o tym zapomniał? - odpowiedziała lekko, chcąc dodać mu otuchy. Zrozumiała jednak, że ją ostrzega.

- Jeżeli oni sądzą, że ty masz taśmę, to jest tak, jakbyś ją rzeczywiście miała.

- Tylko że tu, w mieście, raczej nie mogliby zepchnąć mnie z szosy.

- Masz rację, ale mimo to się martwię. Znasz mnie i wiesz, że mam do tego skłonności. Nie podoba mi się okolica, gdzie mieszkasz; tam nie jest bezpiecznie. Spokojny będę dopiero, kiedy zamieszkasz ze mną tutaj. Do sądu nie będziesz nosić pierścionka? Ani do pracy?

- Oczywiście, że nie.

Nie miał nawet pojęcia, jak niezręcznie czuła się w tym pierścionku, i to wcale nie z obawy, że mogą jej go ukraść. Podczas tego weekendu, kiedy oczywiście musiała go nosić i wyciągać dłoń, aby wszyscy widzieli i podziwiali, wciąż miała dziwne uczucie, że nosi coś, co do niej nie należy. Nie pokazała go dotąd nikomu z przyjaciół, leżał schowany w pudełku z płatkami, w kuchni na półce.

- No cóż - powiedział Jay - zadzwonię na dół do portiera, żeby wezwał dla ciebie taksówkę.

Rozstali się w posępnym nastroju. Śmierć starszego pana bardzo ich przytłoczyła.

Jennie miała teraz uczucie, jakby dwie ciężkie dłonie spoczywały na jej ramionach i przygniatały ją do ziemi; z tym że cięższa należała do JM, Gdyby tylko mogły dojść ze sobą do porozumienia! Te kilka chwil, kiedy się obejmowały, wzruszyły Jennie tak, że żadne słowa nie zdołałyby tego wyrazić. To zdrowe, prężne, młode ciało, te grube, pięknie pachnące włosy pochodziły od niej, od Jennie Rakowsky. A jednak ta dziewczyna miała gwałtowny charakter i była nierozsądna, pomyślała zaraz, czując się głęboko dotknięta. Mogła przecież przynajmniej spróbować, prawda? Nawet nie wysłuchała i nie starała się zrozumieć, że może mam jednak jakieś powody, by zachowywać się tak, a nie inaczej.

Czuła się bezradna. A tego ranka tyle miała jeszcze do roboty: zaległą korespondencję, rozmowy telefoniczne z klientami. I to, co należało załatwić natychmiast, telefon do prokuratora okręgowego.

- Rozmawiałem już z panem Wolfe - powiedział Martin. -był bardzo zmartwiony, co zupełnie zrozumiałe, więc niewiele udało mi się od niego dowiedzieć. W każdym razie jest pani osobą, która rozmawiała z Cromwellem ostatnia. Co może mi pani przekazać?

- Obawiam się, że nic, co mogłoby pomóc w śledztwie. George był strasznie roztrzęsiony. Prawdę mówiąc, ja też byłam wtedy bardzo zdenerwowana, więc...

- Oczywiście. Proszę się nie śpieszyć. Będzie pani zdumiona, ile rzeczy się pani przypomni.

Przemawia jak chirurg przed operacją, pomyślała Jennie, pociesza i uspokaja. Odetchnęła głęboko, usiłując przywołać i połączyć ze sobą urwane strzępy tamtej fatalnej rozmowy.

- Przypominam sobie imię i nazwisko tamtego człowieka, Harry Corrin. Oczywiście nie nazywał się John Jones. Podejrzewam, że w rzeczywistości nie nazywa się również Harry Corrin. George chyba mówił, że był około czterdziestki. Miał olbrzymie, żółte zęby, George zwracał uwagę na zęby. - Jennie zachichotała głupio, histerycznie. Szybko jednak przywołała się do porządku i mówiła dalej: - Doszło do awantury, George mówił, że tamten był wściekły. Zdaje się, że ktoś widział mnie i Jaya

syna Arthura Wolfe'a - jak wchodziliśmy do domu George'a. Wtedy on, ten Corrin, wykombinował sobie, że George go oszukuje i zagroził, jeśli się nie mylę, że „rozwali mu pysk”. A wtedy George stracił głowę i powiedział mu, że ma wszystko nagrane, a Corrin będzie miał poważne kłopoty.

- Wielki Boże! - zawołał Martin.

- Tak jest, to takie okropne! Jestem pewna, że to ten facet, a pan jak uważa?

- Dopóki nie jest się pewnym, niczego nie można być pewnym. A przy okazji, kto ma tę taśmę? Pani?

- Nie, nie. Musi być u George'a w domu.

- Okay, niech tam sobie leży, aż będzie po pogrzebie. Tam jest bezpieczna, a my nie powinniśmy dzisiaj niepokoić tym tej nieszczęsnej kobiety.

- Kiedy ma być pogrzeb?

- Pojutrze.

- O której godzinie? Już wiadomo?

- Po południu. Ma być tylko najbliższa rodzina, w razie gdyby się pani wybierała.

- Oczywiście, że się wybierałam.

- Ale mają być tylko najbliżsi, ze względu na chorobę pani Cromwell. Jeśli będzie zła pogoda, ona nie pójdzie nawet na cmentarz.

- Okropne.

Odczuła jednak ulgę na myśl, że nie musi tam jechać. Pogrzeby zawsze wywołują refleksje, a ten byłby dla niej męczarnią. W wyobraźni widziała już i czuła słodką, duszącą woń kwiatów, unoszącą się nad masywną trumną, i ośnieżoną ziemię wokół świeżego grobu.

- Ma pan mój numer telefonu, panie Martin, jeśli zdołam się na coś przydać.

- Świetnie. Będę panią informował na bieżąco, jeśli tylko śledztwo posunie się naprzód.

Odłożyła słuchawkę i przez parę minut siedziała ze wzrokiem wbitym w przestrzeń i dotkliwą świadomością, że czuje się słaba. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, jak inaczej widzieć ją będą klienci, z którymi miała się dzisiaj spotkać, i kontrast był uderzający. Dla nich panna R. była kimś, kto rozwiązuje ich problemy, osobą zdolną i inteligentną, świetnym fa-

chowcem. Szara spódnica nadawała jej wygląd poważny, jedwabna, morelowa bluzka i srebrne kolczyki dodawały kobiecości, a wielkie biurko zavalone książkami i papierami oraz komputer budziły należny respekt.

Przez cały ranek ludzie wchodzili i wychodzili, przynosząc ze sobą pytania, wątpliwości, skargi i łzy. Przez cały ranek słuchała ich, notowała, odpowiadała, lecz przez cały ten czas jednocześnie nie dawały jej spokoju własne, trudne pytania.

Myślała o weekendzie, który Jill spędziła w Chicago z Peterem. Czuła się wściekła na myśl o tym spotkaniu. Gdzie on był, kiedy Jill się urodziła? Nie miał prawa, do cholery, nie miał teraz żadnego prawa grać roli ojca! „Chce się ze mną zobaczyć -powiedziała z taką dumą Jill. - On nie jest taki, jak ty”. To był absurd, nie, jeszcze gorzej - to była nieprzyzwoitość.

Peter nie miał z tą dziewczyną nic wspólnego, nic prócz paru minut seksualnej rozkoszy, tamtego wiosennego wieczoru w ogrodzie. Jennie tymczasem wyhodowała ją w swoim wnętrzu, karmiła, przeszła mękę porodu i ból rozstania. On wtedy nawet nie zapytał o dziecko! A teraz przyjął ją z otwartymi ramionami. Teraz się do niej przyznał!

Tak, ale kiedy Jill szła obok niego, teraz w Chicago, każdy bez namysłu musiał dostrzec, że to ojciec z córką! Już sam wzrost i włosy były tego niezbitym dowodem. To musiał być dla niego wstrząs, gdy zobaczył taką wspaniałą dziewczynę! I Jennie aż się cała trzęsła w poczuciu własnej krzywdy i wyrządzonej jej niesprawiedliwości.

A jednocześnie, w całym tym zamięciu, część jej myśli wciąż krążyła wokół wczorajszej tragedii. Jay, poprzez swojego ojca, będzie na bieżąco śledził bieg wydarzeń. Spojrzała na stojący na biurku zegar. Spodziewała się telefonu od Jaya, który zawsze dzwonił do niej po południu, pod koniec pracy. Kiedy więc odezwał się telefon, bez namysłu podniosła słuchawkę, nie czekając, aż zrobi to Dinah.

- Halo, Jennie? Tu Peter.

O mało nie wypuściła słuchawki z ręki. Chętnie wyrwałaby wtyczkę z gniazdka. Przeklęty telefon, nienawidzę go! To tak, jak z wężem, który niespodziewanie wynurza się z trawy, gdy spokojnie schodzimy sobie z pagórka.

- Czy to ty, Jennie? - mówił teraz głośniej, tonem wesołym i młodzieńczym.

- Tak, tu Jennie.

- Oczywiście jesteś wstrząśnięta, że się odezwałem.

- Nie tak bardzo. Jill mówiła, że groziłeś, iż zadzwonisz.

- Och! Jill chyba nie mogła powiedzieć, że „groziłem”, prawda? - To pytanie zabarwione było lekką nutką humoru.

- Dla mnie zabrzmiało to jak groźba. Peter zignorował tę uwagę i mówił dalej:

- Jennie, ona jest taka śliczna. Po prostu śliczna. Ten weekend, cała ta historia - nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- A jednak naprawdę, aż do przesady. - Słyszała oschły ton swego głosu i brzmiającą w nim niechęć. Dziwne, ale ogarnął ją jakiś chłodny spokój.

Dlaczego w ogóle słucham tego człowieka? Powinnam odłożyć słuchawkę. Ależ jestem cholernie dobrze wychowana.

- Dużo wody upłynęło.

- Dziewiętnaście lat. Czego się spodziewasz?

- Cóż, niewątpliwie nie oczekiwałem tego, co się wydarzyło.

- Ja też nie, zapewniam cię.

- Mówisz, jakbyś była rozgniewana, Jennie.

- Czy powinnam skakać z radości?

- Chyba powinno być w tym wszystkim trochę radości.

- No to: hip, hip hurra na twoją cześć, jeśli udało ci się ją odnaleźć.

- Chciałbym ci pomóc, żebyś i ty ją odnalazła. Dlatego tu przyjechałem.

- Przyjechałeś dokąd?

- Do Nowego Jorku. Przyleciałem wczoraj wieczorem, razem z Jill. Ona musiała wracać na zajęcia, ale ja jestem raczej wolnym strzelcem, więc postanowiłem zrobić sobie małą przerwę w pracy i spróbować pogodzić was obie.

- Taki z ciebie altruista?

- Jennie, możesz mnie nienawidzić, proszę bardzo, masz do tego prawo. Ale nie przenoś tego na nią. Ona tak strasznie się martwi, że nie chcesz jej znać.

- To nieprawda! - Chłodna, martwa skorupa zaczynała pę-

kać. - Nigdy tego nie mówiłam. Usiłowałam jej coś wytłumaczyć, ale ona nie dała mi właściwie szansy, po prostu wstała i z gniewem wybiegła.

- Wyobrażam to sobie. Ma gwałtowne usposobienie, a może to po prostu młodość. Pamiętasz, jaka ty byłaś?

- Aż za dobrze!

Na moment zapadła cisza, po czym znowu odezwał się Peter:

- Jill mówiła, że wspaniale wyglądasz.

- To miłe. Z pewnością powinno mnie to uszczęśliwić, prawda?

- Jennie, proszę cię. Daj jej szansę.

- Wydawało mi się, że już jej dałam.

- No tak, ale wtedy się nie udało. Trudno. Spróbujesz jeszcze raz? Naprawdę powinnaś.

Ten człowiek, ten dawno przez nią pogrzebany koszmar, który nagle zmartwychwstał, ośmiela się jej mówić, co ma robić, myślała z gniewem.

- Zatrzymałem się w Waldorfie.

W Waldorfie. No tak, jak hotel, to oczywiście najlepszy. Może przyjechał tu razem z żoną? Bóg to raczej wiedzieć.

- ...kolację dziś wieczorem. - mówił. - Tylko my, we troje. Chciałbym was ze sobą pogodzić.

Mimo wszystko nie byłaby sobą, gdyby odepchnęła ten gest dobrej woli. Odpowiedziała więc cicho:

- Myślałam o tym. Właściwie przez ostatnie parę tygodni myślałam prawie wyłącznie o tym. Byłoby lepiej, gdyby nas wcale nie odnalazła. W każdym razie mnie; cc'do ciebie, to nie wiem.

- Jeśli idzie o mnie, to się z tego cieszę. Nigdy nie śniłem nawet, że coś takiego może się zdarzyć. Przez całe lata żyłem pełen wstydu, Jennie. Chyba nie ma takich słów, które zdołałyby wyrazić mój żal po tym, co zrobiłem.

Wbrew własnej woli poczuła się wzruszona. Zwrot: „przez całe lata” stanowił jakąś opadającą frazę, budził echo odległe, smutne, tęskne i stracone. Zobaczyła go, jak stał na lotnisku, przy wyjściu dla pasażerów, z ręką uniesioną w geście pożegnania; przerażony, zagubiony, niespokojny i bezużyteczny chłopiec.

- No więc, zgodzisz się? - prosił. - Dziś, o siódmej wiecz-

rem? To nie chodzi o mnie. Ja nie mam prawa niczego od ciebie oczekiwać. Chodzi o nią. Z takim trudem starała się nas odnaleźć i tak długo szukała.

- Nie chcę - odpowiedziała bardzo cicho, myśląc przy tym, że jednak chce.

- Nie usłyszałem, co mówiłaś.

- Nie chcę - powtórzyła i nagle wykrzyknęła głośno. - To sprawia zbyt wiele bólu! Zbyt wiele bólu!

- Wiem.

- Nie wiesz. Ty jej nie urodziłeś.

- Mój ból jest innego rodzaju, dotyczy ciebie; tego, co tobie zrobiłem bądź czego nie zrobiłem.

- Peter, ta rozmowa nie ma sensu. Rozdzierasz ranę, która już dawno zdążyła się zagoić. Proszę cię, nie rób tego.

- W porządku, nie będę. Ale przyjdiesz dziś wieczorem, bez względu na to, ile cię to będzie kosztować? Dobrze?

Jak mogła odmówić? Odpowiedziała więc:

- Przypuszczam, że będę musiała.

- Będę czekał na ciebie w holu, od strony Park Avenue. Czy zdołam cię rozpoznać? To znaczy, czy nie ufarbowałaś włosów albo coś w tym rodzaju? - Nie zmieniałam się.

- W takim razie, o siódmej.

- O siódmej.

Podniosła wzrok i zobaczyła strugi deszczu spływające po brudnych szybach. Kłębiły się w niej i mieszały rozmaite niejasne odczucia: niechęci i lęku, a także nie znanego jej dotąd fatalizmu. Będąc osobą praktyczną i myślącą racjonalnie, z pogardą odrzuciła myśl o tym, że cokolwiek mogło być „przeznaczeniem”. A jednak wydawało się, że dzisiejsze wydarzenie było nieuniknione, a wszystko, co działo się dawniej, w sposób tajemniczy i podstępny właśnie do tego zmierzało.

Teraz, choć trudno jej było to przyznać, z pewną ciekawością zastanawiała się, czy i jak Peter zmienił się w ciągu tych dziewiętnastu lat. I było coś jeszcze: naprawdę chciała, żeby zobaczył, jak dobrze dała sobie radę, jakie miała sukcesy i jak bardzo wciąż była godna pożądanego. Wstyd jej było, że ma takie głupie pragnienie, ale tak właśnie było.

Dziś wieczorem miała iść z Jayem na kolację. No i jak ma się

teraz wymówić? Przygryzła wargi i zmarszczyła brwi, starając się coś wymyślić. Potem zastanowiła się nad tym głębiej. Żadna wymówka by go nie zadowoliła, to pewne. Mama zawsze mówiła, że Jennie nie umie kłamać i że bardzo łatwo ją przejrzeć. Musiała jednak wymyślić coś wiarygodnego i do przyjęcia. Wreszcie wpadła na pomysł: spotkanie z klientką; tak, to jest wiarygodne. Jakaś biedna kobieta, która pracuje do późna i może się z nią spotkać tylko wieczorem. To jest coś, co on zrozumie i przyjmie do wiadomości.

Podniosła słuchawkę. Kłamstwo na kłamstwie, gmach fałszu wznosił się coraz wyżej.

11

Zdecydowanym krokiem szedł od strony wind, przez wyścielony dywanami hol pełen przepychu i złocień. Stały tu grupki turystów z aparatami fotograficznymi, przechodziły kobiety w eleganckich, lśniących sukniach, wybierające się gdzieś na wieczór. Jednak wysoki mężczyzna, z czupryną rudych włosów, zdecydowanie wyróżniał się w całym tym różnorodnym tłumie. Zatrzymał się na moment, starając się zorientować w sytuacji i odnalazłszy Jennie, podszedł do niej szybko, z wyciągniętymi ramionami.

- Cześć, Jennie.

- Cześć, Peter.

Dziwnie oficjalnym gestem podali sobie ręce. Jennie nie wiedziała właściwie, jakiego powitania oczekiwała po Peterze i po sobie.

- Do licha, Jennie, masz rację - powiedział. - Rzeczywiście wcale się nie zmieniłaś.

- Ty też.

Błyszczące, opalizujące oczy nadal się uśmiechały, głos był wciąż tak samo dźwięczny, co każdej, najzwyczajszej uwadze mogło nadać ton entuzjastyczny.

Wtem jednocześnie przypomnieli sobie o Jill, która stała nieco z tyłu za Peterem i przyglądała się im obojgu z wyraźną ciekawością. Peter objął Jill ramieniem i przytulił do siebie.

- To jest historyczna chwila, warta, aby uczcić ją szampa-

nem. Nie wiem, od jakiego wieku wolno młodzieży w Nowym Jorku pić alkohol, ale tak czy owak, dziś wieczorem dostaniesz szampana, Jill.

Jill nie odpowiedziała. Może nie chciała witać się z Jennie, a może czekała, aż Jennie odezwie się pierwsza.

- Cześć, Jill - powiedziała Jennie. - A więc widzisz, znowu się spotykamy - mówiła prosząco, tonem pojednawczym.

- Cześć - odpowiedziała dziewczyna obojętnie.

- No - powiedział Peter, najwyraźniej chcąc rozładować kłopotliwą sytuację - robi się późno, a tam czeka na nas zamówiony stolik.

Jennie specjalnie została z tyłu i szła za nimi. Oni razem aż przyciągają wzrok, myślała. Mieli ten sam sposób chodzenia, szli długimi, sprężystymi krokami, prawie podskakując. Jill należała do Mendesów, nawet o tym nie wiedząc. Jennie poczuła się nagle przy nich malutka, pogardzała sobą za to uczucie i nie rozumiała go. W Pawiej Alei skręcili w lewo i weszli do restauracji. Kelner poprowadził ich do stolika, na którym w wazonie stały pięknie ułożone różowe róże. Peter wszystko przygotował. Różowe róże leżały także przy nakryciu Jennie i Jill. Obok talerza każdej z nich znajdowało się małe, niebieskie pudełeczko od Tiffany'ego, przewiązane białą wstążką.

- Otwórzcie je - zarządził Peter. Rozpromienił się na widok dwóch identycznych srebrnych bransoletek, które wynurzyły się z bibułkowych gniazdek. - Zrobili mi specjalną przysługę, jeśli idzie o grawerowanie, robota ekspresowa.

Bransoletka Jennie miała wypisany staroświeckim pismem ozdobny, zakreślony napis: „Od Jill dla Jennie z wyrazami miłości” i datę. U Jill, z pewnością było to samo, tylko na odwrót. Co za dziecinny gest, mimo iż towarzyszyła mu serdeczność i dobre intencje! Tak jakby spotkanie tych trzech ludzkich istot, z których każda w tej chwili na swój sposób cierpiała, było świętem!

- Chcę, żebyście zapamiętały ten dzień - powiedział im Peter. Tak jakby można go było zapomnieć.

Jill odezwała się pierwsza.

- Jest śliczna, pasuje do mojego naszyjnika.

Zdjęła z siebie kurtkę z bobrów, pokazując srebrny łańcuszek, który miała na szyi, zdobiący szarą, wełnianą sukienkę.

- Tak, śliczna. Dziękuję, Peter - zawtórowała Jennie.

- No, to może coś zamówimy? Potem porozmawiamy. A mamy o czym rozmawiać. - Nie przestawał się uśmiechać; bardzo się starał, żeby je jakoś rozkręcić. - Może krewetki na przekąskę? Albo jakąś zupę? W zimne wieczory to zawsze dobrze robi. Ja przyzwyczailem się do gorących zup, mieszkając w Chicago. Minęło trochę czasu, nim przyzwyczailem się do zimnych wiatrów znad jeziora Michigan, po tym, jak większość życia spędziłem w Georgii, możecie mi wierzyć. Co do mnie, to chyba spróbuję zupy z homara, ale wy spokojnie wybierajcie, nie ma pośpiechu. - Przejrzał menu. - Cielecina, coś z ryb. Zaraz, zaraz, filet mignon brzmi interesująco, prawda? Nie mogę się zdecydować.

Nie wysilaj się tak, dobrze? - prosiła go w duchu Jennie. To zupełna głupota, tak się teraz zachowywać. Gdyby wszyscy ci elegancy ludzie, którzy tu siedzą, wiedzieli, kim jesteśmy, mieliby ciekawy temat do rozmowy. To fantastyczne, mówiliby... Dlaczego ja tu przyszedłam? Och, doskonale wiem, dlaczego...

Tyle tylko że Jill najwyraźniej postanowiła ją ignorować. Prawdopodobnie i ona została tu zwabiona wbrew swojej woli. Niemniej jadła z dużym zapałem, rozmawiając jednocześnie z Peterem. Wyglądało prawie, jakby byli w zмовie przeciw Jennie. Nie, to absurd; Peter nie był człowiekiem, który mógłby być w zмовie z kimkolwiek przeciw komukolwiek. Tyle jeszcze pamiętała. On po prostu nie zdawał sobie sprawy, że atmosfera jest napięta, a ona czuje się obco.

Kelner nalał szampana i Peter wznosił toast:

- Za szczęście, spokój i zdrowie dla nas wszystkich. Jennie wypła łyk, lecz burczało jej w brzuchu i poczuła się niedobrze. Peter spojrzał na nią zaniepokojony, kiedy odstawiła kieliszek.

- Nie smakuje ci? To Dom Perignon.

- Jest wspaniały, aleja piję zwykle Perriera.

- Pamiętam cię jako kobietę pijącą tylko piwo imbirowe.

Mogła go poprawić: nie jako kobietę, lecz dziewczynę; była wtedy dzieckiem, które przedwcześnie zmieniło się w kobietę. Taka uwaga byłaby jednak zbyt brutalna, a i tak nic by z niej nie wynikło.

Pochyliwszy głowę, usiłowała jeść, a oni przerzucali się słowami, jakby grali w siatkówkę.

- Takiego pejzażu gdzie indziej się nie spotka - mówiła Jill. - Kilometry żółtej ziemi, gdzie rosną tylko cedry i sosny. I to słodkie powietrze, którego też nie ma nigdzie więcej.

- A wzdłuż rzeki drżące osiki - dodał Peter, po czym zwrócił się do Jennie - Jill mówi, że rozmawiałyście już ze sobą o Nowym Meksyku. Ona masę wie o dawnych mieszkańcach tamtych terenów, Anasazi; pewnie wie nawet więcej niż ja. Ja spędziłem tam tylko dwa tygodnie dwa lata temu, badając głównie kiva. To miejsca spotkań religijnych, siedziby rady plemienia, znajdujące się pod ziemią. Bardzo ciekawe. Ale ty pewnie wiesz o tym, Jennie.

- Nie, nic a nic - odparła Jennie, odmawiając mu pomocy. Przez chwilę popatrzył na nią prosząco, widać było, że czuje się zraniony, po czy raz jeszcze przybrał lekki, pogodny ton, wracając do rozmowy o krainie krzewów mesquite i kaktusów.

Co do mnie, to o nic już prosić nie będę, pomyślała Jennie. Nie czuję się już nawet na siłach, by pochwycić spojrzenie Jill, chociaż wiem, że obserwuje mnie ukradkiem, kiedy myśli, że tego nie widzę. Może ona usiłuje wyobrazić sobie scenę swego poczęcia - przecież każdy od czasu do czasu o tym myśli, prawda? Tak słyszałam. Wtedy był cichy, ciepły wieczór, kurz unosił się nad ścieżką, a my musieliśmy się śpieszyć, zanim wrócą domownicy. Tak to się odbyło. I sprawiło, że teraz, Jill, siedzisz sobie w hotelu Waldorf Astoria, z dużą godnością, w pięknej sukience i jestem pewna, że serce bije ci bardzo mocno.

- Ja czuję coś, jakby żal, jeśli zmarnuję dzień - mówiła Jill - bo nie da się go już odzyskać. W życiu ma się wtedy o jeden dzień mniej. To nie chodzi o to, że chcę coś wielkiego osiągnąć. Ważniejsze jest to, że chcę naprawdę żyć i czuć, że żyję.

- Bardzo dobrze rozumiem, o co ci chodzi - Peter gorliwie podtrzymywał rozmowę. - Ja też taki jestem. Przypuszczam, że będziemy odkrywać w sobie nawzajem coraz więcej podobieństw.

Jennie odłożyła widelec na talerz. Jedzenie po prostu nie przechodziło jej przez gardło. Ta Sytuacja - wiele lat temu zaczęła nazywać ją w duchu dużą literą i tak też myślała o niej teraz - była nie do przyjęcia. Jej gniew przypominał ośmiornicę,

która właśnie wyciągała macki w stronę tych dwojga po drugiej stronie stołu, zaraz jednak cofnęła je ze wstrętem. Jak szybko sama się zmieniła! W ciągu krótkich kilku tygodni zniknęła cała jej troskliwe hołubiona pewność siebie. A oni, ci dwoje, przez cały czas rozmawiali. Ich gładkie słowa płynęły potoczyście, nie zakłócone żadną wewnętrzną walką, jaką mogli przecież przeżywać. Mieli się jednak na baczności.

Sięgnęła do torebki po szminkę, która wcale nie była jej teraz potrzebna. W lusterku zobaczyła, że jej zgnębione oczy otoczone są ciemnymi kręgami.

- Jennie, nie odezwałaś się nawet słowem. Porozmawiaj z nami - zachęcał ją Peter.

Tak jakby upominał obrażone czy rozkapryszone dziecko. Co on sobie myśli? Na pewno widzi, że Jill z nią nie rozmawia

- To chyba oczywiste, dlaczego nic nie mówię - odpowiedziała.

- W porządku, w porządku. - Peter odłożył widelec. - Widzę, że już czas przejść do sedna sprawy. Wy dwie musicie się pogodzić, wiecie o tym. Musicie dojść do jakiegoś porozumienia.

- Nikt tu nic nie musi - powiedziała Jennie. - Przede wszystkim sytuacja jest z gruntu fałszywa.

- Nie widzę nic fałszywego w tym, że dziewczyna chce znać swoich rodziców.

- Może. Byłoby cudownie, gdyby wszyscy przyjęli to gładko i bez trudu. Tak się jednak nie stało i nic tu nie wymusisz, Peter. Ja też nie.

- Jestem jednak pewien, Jennie, że ty możesz to zmienić. Dlaczego nie chcesz przyjąć naszej córki całkowicie, nie stawiając jej żadnych warunków? Przed czym starasz się uciec?

Słowa „naszej córki” i „uciec”, wprawiły ją we wściekłość.

- Nie masz prawa zadawać mi takich pytań! - wykrzyknęła. - Po prostu nie masz prawa, rozumiesz? Myślisz, że kim ty jesteś, żeby mnie o to pytać? Właśnie ty!

- Cóż, jeśli masz być nastawiona tak wrogo... - Peter był dotknięty, w jego głosie brzmiał wyrzut, lecz w tym momencie przerwała mu Jill.

- Po raz pierwszy widzę was oboje razem... po raz pierwszy, i musicie wiedzieć, że tak o tym marzyłam... wy zaczynacie się

kłócić! To nie do wiary! Robicie po prostu awanturę! A ja wyobrażałam sobie... - przerwała. - Aż mnie dławi w gardle. Och, dlaczego nie pobraliście się i sami mnie nie wychowaliście? Dlaczego nie wychowaliście własnego dziecka? Dlaczego? Sama już nie wiem, co mówię, ale spójrzcie tylko, coście narobili! Sami spójrzcie!

Jennie odwróciła się w stronę Petera. Rumieniec musiał go chyba parzyć. Oczy połyskiwały spod opuszczonych powiek. Zauważyła, że jest wstrząśnięty, i w jednym przeblysku pojęła jego wspomnienia. Pewnie znowu widział wycieraczki poruszające się na szybie samochodu, na ciemnej uliczce, w deszczu, i słyszał własne słowa: Jennie, Jennie, nie martw się, możesz mi zaufać. I w tym momencie litość dla niego, dla nich wszystkich, wyparła z niej gniew.

Jill płakała i czując się tym upokorzona jako kobieta, odsunęła się z krzesłem na bok. Jennie widziała tylko jej profil. Kwiaty, którymi udekorowany był ich stolik, wydawały się teraz żalosne, a ciszę, jaka zaległa przy ich stoliku, potęgował jeszcze czyjś głośny śmiech, wybijający się ponad ogólny gwar zmieszanych rozmów. Cierpienie Jill przeraziło ich oboje tak bardzo, że nie byli w stanie spojrzeć sobie w oczy.

Wreszcie Jill otarła łzy i wypła łyk wody. Jennie czekała zrezygnowana. Peter nadal się czerwienił, ale zaczął mówić, ostrożnie, jakby przemawiał do powietrza.

- To zbyt wiele dla nas wszystkich; powinienem był wiedzieć, że tak będzie. Głupotą z mojej strony było oczekiwać, że wszystko pójdzie gładko.

Żadna z nich nie zaprzeczyła. Nerwowo przebierał palcami po stole, jakby się nad czymś zastanawiał. Potem zwrócił się już nie do powietrza, lecz do Jennie:

- Restauracja to nie jest miejsce na szczere rozmowy i zwierzenia. Wiem, że wy dwie przerwałyście lunch dlatego, że Jill chciała, byście poszły do ciebie, a ty odmówiłaś. Uznałem, że to dosyć dziwny powód! Może pomogłoby nam, gdybyś to wyjaśniła.

Odpowiedziała Jill, i tym razem, gdy mówiła, nie zignorowała Jennie, lecz posłała jej przenikliwe, niemal wyzywające spojrzenie.

- To niezupełnie tak. Nie chodziło o to, że ja koniecznie

chciałam tam być, chciałam tylko wiedzieć, dlaczego nie wolno mi pójść. Dlaczego nigdy nie mogę odezwać się do ciebie pierwsza, lecz mam czekać, aż ty zadzwonisz. Wzniosłaś między nami mur. Czułam się, jakby... jakby to był... mur berliński.

Tak, pomyślała Jennie. A ja, jak berlińczyk, jestem za nim uwięziona, schwytana, zamknięta. I po raz kolejny, spokojnie, z cierpliwym uporem, usiłowała przekonać ich, że jest osobą, która ma pewne prawa.

- Czasami zaczynam myśleć, że prawo do prywatności jest przywilejem, który zanika. Dlaczego nie wystarczy, kiedy powiem, że mam swoje powody?

- W tych okolicznościach to nie może wystarczyć - powiedziała surowo Jill. - Nie powiesz chyba, że to, czym mnie uraczyłaś, to było serdeczne powitanie, prawda? Ci ludzie z organizacji - pan Riley i Emma Dunn - uprzedzali mnie, że to nie będzie łatwe. Mówili, że powinnam być cierpliwa - i wydaje mi się, że byłam, ale nigdy nie oczekiwałam czegoś podobnego.

Jennie na moment ukryła twarz w dłoniach; były chłodne i przyniosły ukojenie jej bolącym oczom.

- Ach, ty tego nie zrozumiesz... Czy nie możesz przyjąć mnie taką, jaka jestem?

- Jennie, pozwól, że cię zapytam wprost - odezwał się bardzo łagodnie Peter. - Może jesteś zamężna? Masz dzieci? Czy o to chodzi?

- Nie. Nie i jeszcze raz nie.

- W takim razie jesteś wolna, tak jak ja.

W sali było gorąco i mimo że nie było tłoku, Jennie wciąż miała poczucie, że zebrało się tu zbyt wiele osób. Kręciło jej się w głowie; może sprawiło to pół kieliszka wina, które wypila; w jej obecnym stanie mogło to zupełnie wystarczyć.

- A więc jesteś całkiem wolna? - powtórzył Peter, tym razem akcentując to jako pytanie.

Czuła, że jest jej niedobrze. Musiało być to po niej widać, bo Peter przerwał i zaczął się w nią wpatrywać. Pomyślała, że więcej już tego nie zniesie. To nie są ludzie, którym mogłaby zaufać; nigdy nie powiedziałyby im prawdy. Tak długo by ją nekali i niepokoili, aż Jay wszystkiego by się dowiedział.

Zrobią to i tak.

Była pokonana; teraz musiała od nich uciec, wydostać się

stąd, zamknąć za sobą drzwi. Wstała z krzesła i złapała wiszący na oparciu żakiet.

- Nie mogę tu dłużej zostać - powiedziała szorstko. - Nie mogę. Nie widzicie, że źle się czuję? - I powtarzając: - Przepraszam, przepraszam, nie mogę dłużej zostać - wyszła, a właściwie wybiegła. Uciekała pomiędzy zdumionymi gośćmi hotelowymi, przechadzającymi się po rozległym holu, tak jak niedawno jej córka uciekała od niej.

Na Park Avenue śnieg był w powietrzu. Światła wielkiego miasta nadawały rdzawy odcień chmurom, które zawisły nisko nad strzelistymi budynkami. Chciałabym wsiąść do samolotu i wzbić się gdzieś ponad chmury, szepnęła do siebie. Polecieć hen, hen, byle dalej. Zamiast tego wsiadła do pierwszej taksówki, która podjechała do krawężnika, otworzyła okna, żeby oddychać ostrym powietrzem, a gdy przyjechali na miejsce, podała kierowcy banknot i nie czekając, aż wyda jej resztę, popędziła po schodach do swojej kryjówki.

W sypialni panował bałagan. Przed wyjściem, nie chcąc się spóźnić, ubierała się w takim pośpiechu, że nie zdążyła schować swoich codziennych ubrań i poniewierały się teraz tam, gdzie je rzuciła: spódnica na krzesło, bluzka na drugim krzesło, buty na środku pokoju razem z rozsypaną zawartością teczki, która spadła na podłogę. Papiery walały się na łóżku i na podłodze. Przeszła, nie zbierając ich, zdjęła z łóżka narzutę, zrzuciła z siebie wierzchnie ubranie i w samym staniku i w halce padła na łóżko.

Ten pokój był więzieniem, ale poza nim nie miała gdzie się schronić. Przewracała się na materacu w nieskończoność. Czarne uskrzydłone demony rzucały się na nią i szarpały pazurami; poczciwy, stary człowiek leżał martwy pośród ciemnych drzew, na zamarznętej drodze; Peter i Jill gnębili ją, dręczyli pytaniami i nie pozwalali odejść; Enid Wolfe przyglądała jej się beznamietnym, analitycznym, szacującym wzrokiem... Demony łopotały swymi błoniastymi skrzydłami, a ich dłonie to były krokodyle łapy.

Wyskoczyła z łóżka. Jeśli nic nie jest w stanie ich przepędzić, może zdoła to zrobić whisky. Osobie, która dotąd pijała tylko piwo imbirowe, chyba nie trzeba dużo. Jeszcze nigdy w życiu nie była pijana.

Napełniła szklanekę od soku, jakby panował letni upał, a ona była spragniona. Był to Chivas Regal, który przechowywała na półce dla Jaya; wypila i wzdrygnęła się. Co za okropne świństwo! Piekąca guma! Alkohol sparzył jej usta, uderzył do głowy, przeniknął ogniem aż do stóp. Tak jakby raził ją piorun lub potrąciła ciężarówka.

Idąc z trudem, przytrzymując się ścian, dobrnęła do sypialni, gdzie zdołała tylko wyłączyć telefon i zgasić lampę, po czym znowu padła w poprzek na łóżko.

Coś dzwoniło. Wydawało się, że dźwięk dochodzi z daleka, jakby jacyś utrapienicy na ulicy zabawiali się dzwonkiem.

- Och, Boże Wszechmogący, może byście przestali? - wymamrotała. Wargi miała jakby obrzmiałe, w ustach sucho, z trudem je otworzyła.

Nagle dotarło do niej, że dzwonek słychać gdzieś blisko, u niej w mieszkaniu, że to jej własny dzwonek do drzwi.

- Chce mi się od tego rzygać - powiedziała na głos.

Pokój zakołysał się i zawirował, kiedy zataczając się, szła w stronę przedsionka, gdzie paliło się światło.

- Kto tam? Czego, u licha, chcesz? - zawołała i szarpnęła drzwi tak mocno, że trzasnęły o ścianę.

- Peter. To Peter.

Zamrugnęła oczami, nie będąc pewna, czy dobrze zrozumiała.

- Co... co ty tutaj robisz? Peter? To ty? Wszedł do środka i zamknął drzwi.

- Strasznie mnie przeraziłaś! Nie wiedziałem, co się z tobą dzieje, ale musiałem zapłacić rachunek, zanim za tobą pobiegłem. - Nie mógł złapać tchu. - A ty po prostu znikłaś! Wsadziłem więc Jill do taksówki, potem musiałem zapolować na taksówkę dla siebie, no i - właśnie jestem. Co z tobą? Jak się czujesz?

- No to... widzisz co ze mną. Świetnie... po prostu świetnie. Właśnie tak.

Podszedł bliżej i wpatrywał się w nią ze zdumieniem.

- Jennie, na litość boską, jesteś pijana!

- Nie wiem. Możliwe. - Zaczęła się śmiać. - Nie mogę stać, chyba będę musiała usiąść na podłodze.

- Nie, nie. - Pochwycił ją w chwili, kiedy nogi zaczynały się

pod nią uginać; jej kości zdawały się topnieć. - Chodź, położysz się do łóżka.

- Właśnie byłam w łóżku. Niech cię diabli wezmą za to, żeś mnie ściągnął! Teraz znowu będę musiała płakać.

- Co piłaś? - Peter pokręcił głową.

- Nie wiem. Lemoniadę, płyn do ust. - Zachichotała i rozplakała się. - Och, jest mi tak smutno, strasznie smutno. Nie wyobrażasz sobie, jaka jestem smutna; nikt tego nie wie.

Podtrzymał ją teraz, żeby stała prosto.

- Przepraszam Jennie, ale zaprowadzę cię do łóżka. Nie jesteś przyzwyczajona do picia, prawda? Nadal pijesz tylko piwo imbirowe, prawda?

Na wpół niosąc, na wpół popychając, prowadził ją w kierunku łóżka.

- Tylko piwo imbirowe, oczywiście. Taka już jestem; cały czas.

- Co za zwariowane legowisko... papiery, książki i buty, wszystko tutaj jest... Jak ty możesz leżeć w czymś takim?

- To nie twój interes. Pilnuj własnego nosa. Odwal się od moich książek.

- Od twoich książek nic nie chcę. Popatrz, kładę to wszystko na krzesło, spójrz.

Oparta o podglówek, patrzyła teraz prosto w lustro nad toaletką. Ujrzała tam jakiś rozlany kształt, gapiała się na nadęte policzki, po których rozmazywał się tusz do rzęs; na przezroczystą pół-halkę i na jedną okrągłą pierś, wymykającą się z koronkowego stanika.

- Jestem całkiem rozmemłana. O Boże, Boże, jaka ja jestem rozmemłana.

- Rano, jak się wyśpisz, od razu będziesz inaczej wyglądać. - Naciągnął koc, zakrywając jej nagą pierś. -1, Jennie, muszę ci to powiedzieć: nie powinnaś otwierać drzwi, kiedy nie wiesz, kto za nimi stoi. Nie wiesz o tym? Nie zdajesz sobie sprawy, co mogłoby się stać?

- Nie obchodzi mnie to. Nie obchodzi, nie obchodzi, nie obchodzi, nie...

- W porządku, wystarczy. No, pozwól, że ci poprawię poduszki. A teraz połóż się i śpij. Ja wyciągnę się tam na sofie.

- Nie, w żadnym wypadku! Nie możesz tu zostać. Wynoś się!

- Nie mam najmniejszego zamiaru zostawić cię w tym stanie. Rano poczujesz się o niebo lepiej i nie uwierzysz mi, kiedy ci o tym opowiem; będziesz się nawet z siebie śmiała. Później trochę porozmawiamy i dopiero potem wyjdę.

- Nie chcę z tobą o niczym rozmawiać. Chcę tylko, żebyś mnie zostawił w spokoju, rozumiesz? Wynoś się. Trzymaj się ode mnie z daleka.

- Na razie wychodzę, ale tylko do drugiego pokoju. Okay, gaszę światło.

- Zostaw! Muszę wstać i iść do biura. Jestem kobietą pracującą.

- Jennie, jest poniedziałek wieczorem, za piętnaście dziesiąta, masz przed sobą całą noc do przespania.

Znowu zapadła ciemność. To była ciepła ciemność ciepła jak tropikalne powietrze. Jennie, ty przecież nic nie wiesz o powietrzu w tropikach. Nic nie wiesz i nic nie chcesz wiedzieć. Peter jest tu z tobą, czy to nie śmieszne? Takie to śmieszne, że pękam ze śmiechu. I płaczę. Och, dajcie mi spać, wy wszyscy. Wynoście się z mojego życia.

Obudziła się. Znowu nie miała pojęcia, jak długo spała; tym razem jednak odzyskała pewną jasność myślenia, mimo że w głowie waliło jej jak młotem. Wiedziała co się stało przedtem, a co dzieje się teraz. Peter spał na kanapie w sąsiednim pokoju, gdy tymczasem ktoś dzwonił i dobijał się do drzwi.

Usiadła. W dużym pokoju zapaliło się światło. Nie miała butów i w samych pończochach ślizgała się po gołej podłodze, lecz starała się iść ostrożnie, żeby żadna deska nie zaskrzypiała pod nią, kiedy zbliżała się do drzwi. Towarzyszyło jej uczucie pewnej ulgi, że nie jest w domu sama. Ci ludzie... w poszukiwaniu taśm... Bzdura... nie, nie bzdura.

- O co chodzi? - wykrzyknął Peter.

- Zdejmij łańcuch z drzwi i wpuść mnie do środka albo zaraz wezwę policję - krzyczał Jay

Jennie zmartwiała.

- Kim pan jest, u licha? Ja też mogę zaraz wezwać policję.

- Co zrobiłeś Jennie? Niech cię cholera weźmie, zdejmij ten łańcuch, powiedziałem!

- Ciebie niech weźmie cholera! Nic nie zrobiłem Jennie, śpi w swoim łóżku.

A Jennie rozpaczliwie szeptała w ciemność: weź się w garść. Ta chwila nadeszła, ale nie tak, jak się obawiałaś, tylko gorzej, o wiele gorzej. Zapaliła lampę. Stanik rozpiął jej się i spadł; pognieciona halka obsunęła jej się na uda. W oszalałym pośpiechu rozglądała się za szlafrokiem, lecz nie mogła go znaleźć. Narzuciwszy na ramiona żakiet od kostiumu i trzymając przed sobą spódnicę, wbiegła do dużego pokoju.

Peter, w podkoszulku i w spodniach z rozpiętym paskiem, wciąż stał przy drzwiach wejściowych; drzwi były uchylone, lecz zabezpieczone łańcuchem, a w szczelinie ukazała się rozwścieczona twarz Jaya.

- W porządku, Peter - powiedziała łamiącym się głosem Jennie. - Otwórz drzwi.

Jay wszedł do środka. Najpierw wpatrywał się w Jennie, która trzymała przed sobą spódnicę jak parawan, potem przeniósł wzrok na rozczochranego i niezupełnie ubranego mężczyznę i znów popatrzył na Jennie.

- Kto to jest? Chryste, co tu się dzieje? Czy on zrobił ci krzywdę?

- Nie, nie. Wszystko w porządku. To przyjaciel.

- Tak, to znaczy, nie spodziewałam się go, po prostu przyszedł. Nie wiedziałam, że się do mnie wybiera i dlatego...

Zakręciło jej się w głowie i straciła równowagę; nogi jej się uginały, więc musiała oprzeć się o ścianę. Jay ją podtrzymał. Trzymając ją za ramiona, uważnie jej się przyglądał.

- Piłaś albo ktoś ci coś dał. Co tu się dzieje? - Odwrócił się do Petera.

- Kim pan, do diabła jest? Co jej pan zrobił?

Oszołomiony Peter jak zwykle zarumienił się i nieudolnie próbował tłumaczyć.

- Nazywam się Peter Mendes. I to prawda, jestem przyjacielem Jennie, przyjechałem z Chicago.

Jennie była tak bezradna, że poddała się hysterii. Peter wyglądał tak śmiesznie, cały rozczochrany i bez butów, podczas gdy Jay miał na sobie ciemny garnitur i białą koszulę z fularem. Wydała dźwięk zbliżony do chichotu, w którym było przerażenie i łzy.

- Jennie, na miłość boską powiedz coś do mnie! Przez cały

wieczór szalałem z niepokoju. Telefon nie odpowiadał. Dzwoniłem do ciebie do biura i jakaś kobieta z sąsiedniego pokoju powiedziała, że wyszłaś o wpół do szóstej. Przy tych wszystkich napadach na ulicy i po tym, co stało się z George'em... -przerwał, wyglądając na zdumionego. - Mieliśmy dzisiaj porozmawiać, lecz ty odwołałaś spotkanie. Już drugi raz coś takiego się stało... - przerwał znowu. - Myślę i myślę, już w głowie mi się od tego mąci. Nie wierzę własnym oczom. Ty jesteś naga!

Przez otwarte drzwi widać było łóżko, przypominające suł-tańskie łożo rozkoszy. Kołdra była skotłowana, obie poduszki wygniecione - w całym tym bałaganie to przede wszystkim zwracało uwagę. Trzy pary oczu, jak na rozkaz, jednocześnie zwróciły się w stronę łóżka.

Jay pobladł równie mocno jak drugi mężczyzna poczerwieniał.

- Czy to ty, Jennie? - zapytał z niedowierzaniem. - Czy ja widzę ciebie, czy kogoś innego?

- Proszę, pozwól mi tylko wytłumaczyć...

- Tak, wytłumacz mi, dlaczego skłamałaś, że masz spotkanie z klientką. Wytłumacz mi, co się tu dzieje w środku nocy. -Mówił zachrypniętym głosem, był bliski łez; drżał i z trudem łapał powietrze.

- A z drugiej strony, może nie warto zawracać sobie głowy wyjaśnieniami.

Podbiegła do niego, błagalnie wznosząc ręce, lecz zapomniała przy tym o spódnicy, która opadła na podłogę. Kiedy pochyliła się, żeby ją podnieść, nagie piersi wymknęły jej się spod nie zapiętego żakietu. Jay odepchnął ją i odwrócił się w drugą stronę.

Nawet najbardziej tragiczna sytuacja może mieć również akcenty humorystyczne. Czy to nie dziwne? A jeszcze dziwniejsze, że będąc w najgorszej rozpacz, człowiek jest w stanie obserwować siebie jakby z zewnątrz, jaki jest pokonany i śmieszny.

- Jay, posłuchaj mnie. - Słowa jej się plątały i zaczęła płakać. Podniosła ręce do oczu i znowu upuściła spódnicę, pozostając tylko w przezroczystej halce do pasa.

- Czy to ty? - powtórzył Jay nieswoim głosem, jak ogłuszony.

- Musi jej pan wybaczyć - powiedział Peter. - Ona nigdy

przedtem nie piła; miała zmartwienie. Nie jest teraz sobą, to nie jest prawdziwa Jennie.

- A pan naturalnie wie, jaka jest prawdziwa Jennie? - Jay spojrzał na niego.

- Znałem ją dawno temu. Mieliśmy parę spraw do omówienia.

- Ach, tak. Tak to było, rozumiem. Całkiem sporo musieliście mieć do omówienia.

Jay stał wyprężony, z opuszczonymi rękami, jak żołnierz w postawie na baczność; poruszał tylko dłońmi, które na przemian zaciskał w pięści i otwierał.

- Gdyby mi ktoś powiedział, że mój ojciec podpalił dom, a matka obrabowała bank, czy byłbym w stanie w to uwierzyć? - Mówił do siebie, jakby był sam. - O, mój Boże. Białe jest czarne, czarne jest białe, wtedy wszystko może się zdarzyć. Naprawdę wszystko.

- Jay... - Jennie chciała coś powiedzieć, ale strach chwycił ją za gardło i nie wydała z siebie ani słowa. Miała świadomość, że nie funkcjonuje tak, jak powinna, a jednocześnie jej umysł zdawał się pracować normalnie. Stanowiło to dziwną sprzeczność.

Jay podszedł do drzwi, które były wciąż otwarte na główny korytarz, odwrócił się i popatrzył na pokój. Jennie przeszło nagle przez myśl, że sprawia on wrażenie kogoś, kto opuszcza swój dom na zawsze i chce, by ten obraz wrył mu się w pamięć, albo - czy to możliwe? - kogoś, kto z pogardą porzuca miejsce, które kiedyś było mu bliskie. Przez chwilę nikt nic nie mówił; chwila ta trwała akurat tyle, aby zegar stojący na biurku zdążył wybić pół godziny i aby dźwięk ten przebrzmiał w powietrzu. Przez ten moment błysnął w głowie Jennie pewien obraz, nie była to nawet myśl, lecz jakiś jej strzęp, fragment: karetka zaprzężona w białe konie, złoty pantofelek; potem wszystko znikło.

- Już nigdy w nikogo ani w nic nie uwierzę - powiedział Jay. I odszedł, a drzwi zatrzasnęły się za nim.

Jennie stała, plecami i dłońmi opierając się o ścianę. Peter podszedł do szafy w sypialni, wrócił ze szlafrokiem i okrył nim ją. Tylko mnie o nic nie pytaj, błagała go Jennie w duchu. Proszę, żadnych pytań.

I on nie pytał. Tak jakby rozumiał, ujął jedną z jej dłoni między swoje, żeby ją rozgrzać, powtarzając jedynie:

- Jest ci zimno.

- Nie mogę - zaczęła Jennie, co miało oznaczać: Nie mogę mówić. To także zrozumiał.

- Nie musisz mówić. Nie będę cię o nic pytał, ale musisz się położyć, a ja przez ten czas przygotuję herbatę.

Herbata była gorąca, z dużą ilością mleka. Peter poił Jennie z filiżanki i otarł jej drżące wargi, kiedy się trochę oblała.

- Gorące mleko sprawi, że uśniesz - wyszeptał.

Wypiła i opadła na poduszkę. Lampa stojąca w kącie pokoju rzucała na sufit krąg światła. Peter głaskał jej czoło; jego mocne palce poruszały się rytmicznie. Zaczęła się zapadać, zapadać, jakby umierała...

Kiedy obudziła się rano, Peter siedział na krześle przy jej łóżku. Przeszło jej przez myśl, że może przesiedział tak całą noc.

- Zrobiłem śniadanie - powiedział. - Ale najpierw weź prysznic i uczesz się.

Teraz jednak Jennie odzyskała już całkowitą jasność myślenia i to, co poprzedniego wieczora pojmowała mgliście, dziś przemawiało do niej tak dobitnie jak nagłówki w „Timesie”. Twarz Jaya była zamazana, i to podwójnie, przez jego i jej cierpienie. A jednak wyraźnie widziała jego oczy; musiały zapisać się w jej podświadomości. Teraz wpatrzone były w nią z wyrazem niewypowiedzianego bólu. Kiedyś, kiedy była całkiem młodą dziewczyną i mieszkała w skromnym domu w Baltimore, widziała raz jak na podwórku, na końcu ulicy, jakiś mężczyzna bił psa - do tej pory nie zapomniała oczu nieszczęsnego zwierzęcia...

Wtuliła twarz w poduszkę i wybuchnęła płaczem, a bolesne łkanie wstrząsało całym jej ciałem. Ludzie płaczą w ten sposób, kiedy ktoś im umrze. Pamiętała, co działo się z mamą po śmierci ojca. Wtedy myślała, że ten płacz zabije i matkę.

Kiedy jej łkanie ucichło, do pokoju wszedł Peter. Czekał bez słowa, kiwając tylko lekko głową i uśmiechając się łagodnie,

jak ktoś, kto pociesza i ze współczuciem upomina dziecko: No, nie płacz już, nie płacz...

- Nic między nami nie było - powiedziała Jennie. - Nic nie robiliśmy.

- Nie, ale niewątpliwie wyglądało, jakbyśmy coś robili.

- Mieliśmy się pobrać.

- Kto to jest?

- Prawnik.

- Nie ufasz mi?

- Nie.

Uśmiechnął się znowu i wzruszył ramionami.

- Czy jesteś zły, że nie chcę powiedzieć ci, jak on się nazywa?

- To nie ma znaczenia.

- Jesteś dla mnie bardzo miły, Peter.

- Oczywiście. Czy ty na moim miejscu nie zachowałabyś się tak samo?

- Pewnie tak.

- Na pewno tak, nie mam co do tego wątpliwości. - Usiadł na krześle w rogu pokoju i patrzył na nią żałośnie. - Czuję się strasznie winny. Nie znam całej historii, ale nie trudno jej się domyślić - przynajmniej w części, i rozumiem, że moja obecność tutaj znowu przysporzyła ci strasznych kłopotów. - Kiedy nie odpowiadała, zmarszczył czoło i powiedział: - Już po raz drugi wkroczyłem w twoje życie. Co mogę powiedzieć? Czy mogę coś tu naprawić?

- Nic. Co tu jest do naprawienia? - Mówienie kosztowało ją wiele wysiłku, ale Peter wyglądał tak żałośnie, że musiała coś jeszcze powiedzieć. - Nie zrobiłeś tego specjalnie. Zostałeś tutaj, bo chciałeś mi pomóc.

- Śmiertelnie mnie przeraziłaś, kiedy tak uciekłaś od stolika. Jill też była przerażona. Wyglądałaś jak... szalona. Tak, szalona. Dlatego *tu* przyszedłem.

- Już od jakiegoś czasu tak się czuję.

- Z jego powodu? Nie chciałaś, żeby dowiedział się o Jill?

- To było... to było nie do pomyślenia. - Łkanie uwięzło jej w gardle.

Już więcej nie pytał i przez minutę czy dwie żadne z nich się nie odzywało. Jennie czuła się brudna, zaniedbana i nieszczęśli-

wa. Z wielkim wysiłkiem zmusiła się, żeby usiąść i poprosiła, aby wyszedł z pokoju. Wstydliwie otuliwszy się tureckim szlafrokiem, poszła wziąć prysznic.

Namydlała się mechanicznymi ruchami, a strumienie ciepłej wody działały na nią uspokajająco. Popadła jakby w letarg i stała długo, marnując wodę, bo to łagodne ciepło stało się dla niej schronieniem. Potem wyszła spod prysznica, umyła zęby, wypłukała usta i uczesała włosy; znów układały się w ciemne fale, jak zwykle. Jednak twarz, którą zobaczyła w lustrze, wyglądała strasznie: zaczerwienione oczy, o połowę mniejsze niż normalnie, spoglądały spod opuchniętych powiek. Obrzydliwość. To zresztą nie miało znaczenia; nic nie miało znaczenia. Człowiek czesze się i myje zęby. I co z tego? Co za różnica, skoro te zęby i tak zgniją?

- Lepiej teraz wyglądasz - powiedział Peter.

- Wyglądam koszmarnie, tylko mi się przyjrzyj. - Z całą przewrotnością chciała, żeby widział, jaką jest ruiną.

- To co - zagadnął, zmieniając temat - masz ochotę wypić kawę w łóżku?

- W łóżku? Peter, ja muszę iść do pracy. Jest ósma rano.

- Dzisiaj nie jesteś w stanie iść do pracy i dobrze o tym wiesz, Jennie. Na razie wracaj do łóżka; możesz wstać później.

Zrobił jej tosta i ugotował jajko, ale niczego nie tknęła. Tak czy inaczej, od dawna już nie miała apetytu. Patrzył przez chwilę, jak piła kawę, ściskając oburącz filiżankę, potem powiedział:

- Zadzwoń do ciebie do biura i powiem, że jesteś chora; chyba że chcesz to załatwić sama.

- Możesz zadzwonić. Po prostu poproś Dinah. - Cała jej energia i ambicja gdzieś się ulotniły. - Powiedz, że jutro będę na pewno.

- Nie jestem pewien, czy będziesz. Masz prawo do paru dni wolnych.

- Nie mam prawa do niczego.

- Dlaczego jesteś dla siebie taka bezwzględna? Przeżyłaś głęboki wstrząs. Był to taki wstrząs, jak gdyby ktoś umarł.

Było to dość dziwne podejście do sprawy, a jednak rzeczywiście, miała poczucie, jakby to była śmierć. Nie jestem pewna, czy wiem, co mam robić dalej, pomyślała. To bez sensu,

żeby wszystko skończyło się w ten sposób. Dwie, trzy minuty i koniec.

- On coś powiedział, kiedy stał w drzwiach - zaczęła. - Chyba nie potrafię przypomnieć sobie dokładnie, co to było. Pamiętasz może?

Peter wyglądał na zdumionego, lecz ona podpowiedziała:

- Wczoraj, kiedy odchodził. Będę o nim mówić Joe, bo on tak się naprawdę nie nazywa. Próbuję sobie przypomnieć; czy nie chodziło o to, że nie można nikomu wierzyć?

- Ach. Naprawdę chcesz to wiedzieć? Musisz sobie to przypominać?

- Tak, chcę wiedzieć.

- Powiedział: „Już nigdy w nikogo ani w nic nie uwierzę”. Te słowa, nawet w ustach kogoś drugiego, miały wydźwięk

elegijny, niosły w sobie jakąś straszną nieodwołalność. Przez chwilę wsłuchiwała się w nie w myśli, potem zapytała Petera, czy według niego „Joe” rzeczywiście miał na myśli to, co powiedział.

- „Nigdy” to długi czas, Jennie.

- Masz rację, to było głupie pytanie.

A więc za jakiś czas pojawi się inna kobieta. I zamknąwszy oczy, zaczęła wyobrażać sobie w najdrobniejszych szczegółach, jak będzie wyglądać kobieta, na którą on patrzyłby w łóżku, do której wyciągałby ramiona. Jakich słów będzie używał? Czy tych samych słów miłości, którymi porozumiewał się z nią?

Och, można zapisać tysiące stron książek psychologicznych, dowodząc, że zazdrość jest uczuciem niedojrzałym i poniżającym, a prawda pozostanie taka, że zazdrość jest torturą, przyczyną, dla której ludzie gotowi są zabić lub popełnić samobójstwo. To jest strata, strata ostateczna lub jeszcze coś gorszego.

Więc teraz wiesz, Jennie, tak jakbyś była w skórze Jaya, jak on się czuł, kiedy cię tu wczoraj wieczorem zobaczył.

Dzwonek do drzwi odezwał się tak gwałtownie, że Peter drgnął.

- To Shirley, moja sąsiadka z przeciwka. Dzwoni przeważnie, żeby zapytać, czy chcę iść z nią razem do pracy.

- Okay. Powiem jej, że masz gripę. Kiedy wrócił, wyglądał na rozbawionego.

- Żebyś widziała to zdumienie na jej twarzy! Oczy o mało nie wyskoczyły jej z orbit.

- Wyobrażam sobie - powiedziała Jennie z goryczą. -Zupełnie nie przypominasz tego mężczyzny, którego zdarzało jej się tu czasem rano widywać.

- Chciała wejść do środka, ale powiedziałem jej, że się tobą opiekuję, że jestem twoim starym przyjacielem, a zarazem lekarzem.

- Dziękuję. Nie chciałam, żeby widziała mnie w takim stanie. - Dziwne, ale to, że Peter widzi ją w tym stanie, wcale jej nie zawstydzalo. - Shirley to poczciwa dziewczyna, tylko za dużo mówi. Wie wszystko o wszystkich.

- Na pewno masz też inne przyjaciółki; wydaje mi się, że powinnaś porozmawiać dziś z jakąś przyjaciółką.

- Nikogo mi nie potrzeba.

- Potrzebujesz wsparcia, dopóki nie zdołasz wyjaśnić tych wszystkich spraw.

- One mogą się nigdy nie wyjaśnić, nie rozumiesz? Prawdopodobnie będę musiała radzić sobie sama, więc dlaczego nie miałabym zacząć już od dzisiaj?

To były słowa odważne i rozsądne, a jednak Jennie wierzyła w nie tylko w połowie. Jay z pewnością wróci i zażąda wyjaśnień... Potem przypomniła sobie: Nawet gdyby, to i tak nadal pozostanie kwestia Jill, czyli powróciłaby jedynie do punktu, w którym była poprzednio.

- Przepraszam, czy mógłbym cię zapytać, dlaczego mówisz „nigdy”?

- To długa historia.

- Może mogłabyś ją skrócić.

- No więc, okłamałam go; a on mnie nie okłamał nigdy. Och, ty tego nie rozumiesz! Musiałbyś go znać i wiedzieć wszystko, co działo się wcześniej.

Peter patrzył z powątpiewaniem, lecz więcej już nie pytał. Jennie zaś, przez moment przyglądając się sobie z zewnątrz, jak to miała w zwyczaju, zauważyła, że siedzi w łóżku na przeciw człowieka, który przez wiele lat był jej obcy, a teraz niepostrzeżenie znów stawał się kimś bliskim. Przez noc policzki pokryły mu się rudym zarostem; pamiętała, jak kiedyś rozmawiali o tym, czy nie powinien zapuścić brody. Pamiętała...

I dokonała porównania: nie był dużo młodszy od Jaya, chociaż wyglądał znacznie młodziej, bardziej bez troski, jakby życie obeszło się z nim łagodniej. Może rzeczywiście tak było. Uświadomiła sobie, że nie wie o nim nic, prócz tego, że jest profesorem. Przez chwilę wyobraziła go sobie siedzącego na biurku i machającego nogą; tak mógł wyglądać w pracy. Ma na sobie pięknie wyglansowane buty i sweter z kaszmiru we wzory. Nie była pewna, czy pali fajkę, ale uznała, że raczej nie - to zbyt stereotypowe. Dziewczeta trochę się z nim drocą; chłopcy mają respekt dla jego wzrostu i potężnego wyglądu. Tak naprawdę jednak nic o nim nie wiedziała.

- Czy jesteś żonaty? - zapytała.

- Ja? Dlaczego pytasz?

- Nie wiem; tak się tylko zastanawiałam.

- Nie jestem żonaty.

- Raz coś o tobie czytałam. To była notatka w spisie amerykańskich uczonych. Ucieszyłam się wtedy, że osiągnąłeś sukces; że zdobyłeś to, co chciałeś.

- Ucieszyłaś się? - Był zdumiony. - Po tym wszystkim, co między nami zaszło, mogłaś jeszcze cieszyć się z mojego powodzenia?

- Jedno nie ma z drugim nic wspólnego.

- Co sprawia, że jesteś taka miła? - Peter potrząsnął głową. - A resztą, zawsze taka byłaś.

Uśmiechnęła się lekko. Rzeczywiście, dawniej była dla niego miła. Odezwała się:

- To nie tylko to; podziwiam wybitny umysł, któremu udało się nie zatracić.

- Cóż, z pewnością nie jestem Schliemannem na ruinach Troi, ale pisałem o różnych ciekawych odkryciach na pustyniach południowego zachodu, poza tym lubię uczyć, więc, z grubsza biorąc, jestem zadowolony ze swego życia. Ale opowiedz mi o sobie, o twojej praktyce prawniczej.

Mówił tonem nieomal żartobliwym i Jennie rozumiała, że próbuje w ten sposób odwrócić jej uwagę i poprawić nastrój. Nagle jednak wszystko stało się znowu obce i ponure. Zimowe światło, przejrzyste i niebieskawe jak odciągane mleko, było nieżyczliwe dla tego pokoju, który wieczorem wydawał się tak

przytulny; komoda była obdrapana, białe firanki pożółkłe i obwisłe. Zagościła tu kląska.

Ponieważ nie odpowiadała, Peter odezwał się znowu, tym razem poważniej:

- Nie chcę zostawiać cię samej w tym stanie. Żałuję, że muszę iść.

- Wracasz do Chicago?

- Nie, planowałem zostać tutaj przez tydzień. Mam spotkać się z paroma osobami na wydziale archeologii Uniwersytetu Columbia. Dziś po południu jest tam konferencja, a potem kolacja. A w przyszłym tygodniu muszę polecieć do Atlanty.

Pozostawiła to bez komentarza.

- Moi rodzice będą obchodzić czterdziestą rocznicę ślubu. To kamień milowy.

Jennie nadal milczała.

- Wiem, że nie chcesz słyszeć niczego na ich temat. Mogła na to zareplikować pytaniem: Skoro wiesz, to po co o nich mówisz? To jednak byłoby nie w jej stylu, odpowiedziała więc tylko:

- Wiesz, to mnie naprawdę nic a nic nie obchodzi. Zaczerwienił się.

- Chciałem tylko powiedzieć, że muszę lecieć do Atlanty. Gdyby nie to, zostałbym i pomógłbym ci jakoś to rozwiązać. Pomógłbym tobie i Jill... Och, Jennie wiesz przecież, co usiłuję powiedzieć. Przede wszystkim chciałbym pomóc tobie, tylko nie wiem jak.

- Ja też nie wiem. A więc równie dobrze możesz pojechać na uroczystość do Atlanty - odpowiedziała raczej chłodno.

Wyglądało na to, że Peter chce dalej rozwijać ten temat.

- To będzie bardzo skromna uroczystość. Rodzina się zmniejszyła. Wielu krewnych zmarło, od czasu kiedy ty... To znaczy, nie będzie nas teraz dużo. Sally June nie ma dzieci...

Oczywiście wyobraźni widziała ich teraz zgromadzonych przy lśniącym, oświetlonym świecami stole, każdy przy swym nakryciu, ustawionym na białej, płóciennej serwetce. Teraz, zimą, widok przez wysokie okna będzie dość stonowany: ciemne, wiecznie zielone krzewy i wyschnięte trawniki. Jego siostra nie ma dzieci, a więc nie ma wnuków. To pewnie bolesne, szczegól-

nie dla nich, tak dumnych ze swego dziedzictwa i ciągłości pokoleń.

Nie mogła powstrzymać się przed pytaniem:

- Czy nigdy nie pytali, nie wspominali...?

- Nie.

Zobaczyła, że Peter nie jest w stanie spojrzeć jej w oczy. Dodał jednak:

- Często się zastanawiam, czy zdarza im się o tym myśleć, czy kiedykolwiek rozmawiają o tym między sobą.

- Czy teraz, kiedy już wiesz, powiesz im o Jill?

- Nie jestem pewien. Nie potrafię zdecydować, co będzie najlepsze. A ty potrafisz?

- Ja? Ja w ogóle nie jestem teraz w stanie myśleć - odparła z goryczą.

Milczeli oboje, w końcu Peter powiedział:

- To okropne, że muszę cię tu zostawić samą z takim zmartwieniem, ale powinienem już iść.

- Oczywiście, że tak. Idź spokojnie; nie spóźnij się z mojego powodu.

- Zatelefonuję do ciebie, a może jeszcze wpadnę.

- Nie musisz.

- Wiem, że nie muszę, ale chcę. Na stoliku masz dzbanek z wodą. Zamknij dobrze drzwi, kiedy wyjdę.

Kiedy wyszedł, ogarnęła ją nowa fala rozpaczy. Było tak, jakby cały blask życia, nadzieja, światło słońca, cała dzika, słodka radość zostały jej odebrane. I nigdy jeszcze nie czuła się tak zmęczona.

Modliła się o sen, który długo nie nadchodził. Jednak po pewnym czasie hałas klaksonów i silników zlał się w jeden monotony, oceaniczny pomruk i stopniowo zaczął ogarniać ją sen. Chociaż wiedziała, że jest to tylko krótkotrwała ucieczka, było to dla niej błogosławieństwo.

Budząc się od czasu do czasu, przespała cały dzień i całą noc. Następnego dnia rano odzyskała siły fizyczne na tyle, by szybko wstać, ubrać się, zjeść cokolwiek i zastanowić się nad sytuacją. Zdecydowała, że nie będzie to katastrofą, jeżeli jeszcze przez jeden dzień nie pójdzie do biura. Popychała ją do tego jakaś nadzieja, choć wiedziała, że nie powinna jej ulegać. Może

rozsądnie będzie poczekać w domu. Może przyjdzie Jay... Zadzwoń do biura, dowie się, że jest chora i wtedy...

Właśnie się nad tym zastanawiała, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Poszła otworzyć.

Shirley obrzuciła Jennie spojrzeniem.

- Jak tam z tobą? Lepiej?

- O wiele. To chyba takie jednodobowe choróbsko albo początki grypy, czy coś w tym rodzaju.

- Dobrze, całe szczęście, że był tu ten twój przyjaciel. Mówił, że o mało nie zemdliałaś.

- Rzeczywiście, mocno mnie wzięło.

- Cholerstwo. No, ja biorę sobie dziś wolne popołudnie. Pewnie wcześniej przyjdę do domu, więc jeślibyś czegoś potrzebowała, to wiesz, gdzie mnie szukać.

- Wielkie dzięki, Shirley, ale ja już się dobrze czuję, naprawdę.

Kiedy Shirley wyszła, Jennie naląła sobie jeszcze jedną filiżankę kawy i usiadła. Rozmaite przedmioty kuchenne powkładane były nie tam, gdzie trzeba. Taca z czarnej laki stała teraz na górnej półce, zamiast na dolnej. Tam, obok czarnego pojemnika na chińską herbatę, wyglądała znacznie lepiej. Peter tak to ustawił, on dostrzegał takie rzeczy. Był skrupulatny, doskonałość zawsze się dla niego liczyła. No, przecież pochodził z domu z wysokimi, białymi kolumnami; z domu, gdzie Jennie była niepożądana. I to ona właśnie urodziła im wnuczkę! Ukryła twarz w dłoniach i chociaż parę minut temu drżała, teraz poczuła, że krew w niej tętni i oblewa ją gorąco.

A jednak Peter był dla niej ostatnio taki dobry! Shirley też. Oboje chcieli jej pomóc, powinna być im wdzięczna. I była. Lecz jedyną osobą, która mogła jej pomóc naprawdę, był Jay.

Tak minął poranek.

Wczesnym popołudniem uświadomiła sobie ze zdumieniem, że zatopiona w swoich sprawach, nie pomyślała nawet o George'u Cromwellu. Dobry i prawy staruszek spoczywał teraz w swym świeżym grobie, pod warstwą zamarznętej ziemi. Poczucie winy zabarwiło jej policzki rumieńcem. Musi przynajmniej posłać kwiaty wdowie i niedługo ją odwiedzić. Prawie zapomniała o tamtej kobiecie, pogrążona we własnej rozpacz, i aż zmarszczyła brwi, porównując cierpienie jej i swoje. Były

to jednak zbyt różne sprawy, aby je porównywać, znajdowały się na dwóch przeciwnych krańcach życia.

Wyjdę teraz załatwić te kwiaty, pomyślała. To zajmie tylko parę minut, więc jeżeli Jay przyjdzie i zobaczy, że mnie nie ma, to poczeka.

Ale on nie przyjdzie.

Kiedy otworzyła drzwi na ulicę, zauważyła z przerażeniem, że do jej domu zbliża się Peter. Tego było dla niej za wiele! Nie potrzebowała ani jego obecności, ani szczerych rozmów

O nich dwojgu czy o Jill

- A więc wychodzisz! - wykrzyknął. - No, w każdym razie wyglądasz lepiej niż wczoraj. Jak się czujesz?

- Świetnie, jak widzisz. Spojrzał na nią uważnie.

- Nie wiem, czy świetnie - powiedział. - Jednak z pewnością lepiej. Wychodzisz gdzieś dalej?

- Tylko do kwaciarni na sąsiedniej ulicy.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym poszedł z tobą?

- Nie. - I dodała: - Wiem, mówiłam, że czuję się świetnie, ale jestem bardzo zmęczona, więc wybacz mi, proszę, że nie będę zbyt rozmowna.

Nic na to nie powiedział. W to brzydkie popołudnie na ulicy było mało ludzi, więc szybki, nerwowy stukot obcasów Jennie rozlegał się głośno, a milczenie Petera zdawało się tym bardziej ciężkie i żałobne. Jennie poczuła, że popada w stan jakiegoś oderwania, tak jakby długo jej tu nie było. Zatrzymała się przy drugistorze, tuż przed kwaciarnią, jakby chciała zebrać myśli; stała przez chwilę, przyglądając się wystawie, na której chłopak ustawiał piramidę z flakoników perfum o dźwięcznych nazwach: Nuit de Noel, Caleche, Shalimar. Shalimar miały słodki zapach róż, były jak cukier i wanilia. Słodki cukierek, mówił zawsze Jay, całując ją w szyję. Kiedy odwracała się od wystawy, nic prawie nie widziała przez łzy i byłaby wpadła na jakiegoś przechodnia, gdyby Peter w porę nie złapał jej za rękę.

W kwaciarni zamówiła kwiaty, poleciła przesłać je Marcie Cromwell i wyszła na ulicę. Dzień wydał jej się teraz ponury i bezlitosny.

Milczenie przerwał Peter.

- Czy mogę zapytać cię o jedną rzecz? Nie będę cię męczył, Jennie, ale czy rozmawiałaś z nim?

- Nie.

- O Boże, to moja wina.

- W tych okolicznościach i tak by się to skończyło.

- Chodzi ci o Jill. Chcesz powiedzieć, że skończyłoby się przez nią.

- Och, Peter, nic nie chcę powiedzieć. Na litość boską, nie zmuszaj mnie, żebym znowu o tym myślała! Chcę już na zawsze zostać pusta w środku.

- Zabawne, ale to samo powiedziała wczoraj Jill o sobie.

- Widziałeś się z nią znowu?

- Tak. Mówiłem ci, że musiałem być na Columbi, więc zjedliśmy razem lunch. Opowiedziałem jej wszystko o tobie. Czy masz mi to za złe?

- Nawet jeśli mam, nic to już nie zmieni, prawda? Ale chyba mi to nie przeszkadza.

- Jennie, ona płakała. Uważa, że potraktowała cię zbyt surowo. Nie nalegałaby tak, gdyby wiedziała, jak naprawdę wyglądają twoje sprawy.

- Przecież nie chciała mnie skrzywdzić. Powiedz jej, że to rozumiem. Nie chcę, żeby czuła się winna z mojego powodu.

- Lepiej byłoby, gdybyś sama jej to wszystko powiedziała, Jennie.

Jennie zaprotestowała:

- Nie rozumiesz, że kręciłybyśmy się w kółko i do niczego by to nie doprowadziło?

- Tego nie możesz być pewna. Czy nie warto spróbować? Przeprosiny, tłumaczenia i pewnie znowu łzy, pomyślała, i powtórzyła:

- Do niczego by to nie doprowadziło.

- Nie usiłuję cię do niczego zmuszać, ale ona jest taka młoda. Dopiero co wyszła z dzieciństwa. Proszę cię, pomyśl o tym.

- W porządku. - Jennie westchnęła. - Zastanowiłam się i to jest właśnie to, co myślę.

- Pomyśl jeszcze, bardzo cię proszę.

Jego głos brzmiał kojąco. Uspokajał ją, była tego świadoma. I prawdopodobnie miał rację. Nie, z pewnością ją miał. Dzieciństwo Jill... co mogła o nim wiedzieć? Ale to boli, gdy się jest

nie rozumianym. Jak ona przez Jaya, tak Jill przez nią. Wszystko jest ze sobą związane, splecione w węzeł.

Ale ja nie potrafię tego teraz rozplątać, nie umiem.

I kuląc się przed wiatrem, szła szybko w stronę domu. W połowie drogi przystanęła i wyciągnęła rękę.

- Peter, chciałabym się tutaj z tobą pożegnać.

- Nie chcesz, żebym wrócił z tobą do domu? W porządku, Jennie, to zrozumiałe, ale czy możesz mi obiecać jedną rzecz? Czy pomyślisz jeszcze nad rozmową z Jill?

- Zrobię, co się da, Peter.

Przekreślała właśnie klucz w zamku, kiedy otworzyły się drzwi mieszkania Shirley.

- Hej, gdzie ty właściwie byłaś? Myślałam, że już nigdy nie wrócisz.

- O co ci chodzi? Nie było mnie najwyżej pół godziny. No, może trzy kwadranse.

- Jay tu był.

Serce Jennie zamarło.

- No i? Rozmawiałaś z nim?

- Ty nie otwierałaś, więc zadzwonił do mnie. Powiedziałam mu, że właśnie widziałam, jak szłaś ulicą - akurat wtedy wracałam do domu - z tym swoim przyjacielem, lekarzem z Chicago.

- Tak mu powiedziałaś?

- Oczywiście? A miałam nie mówić?

To zdumiewające, że kiedy serce w człowieku omdlewa, głos pozostaje spokojny!

- A on co powiedział?

- Nic. Podziękował mi i poszedł. To prawdziwy dżentelmen! Ach, powiedziałam mu jeszcze, że dziś rano czułaś się lepiej i że na pewno twój przyjaciel lekarz pozwolił ci na chwilę wyjść.

Jennie obrzuciła przyjaciółkę beznadziejnym wzrokiem. Dorosłość może być czymś powierzchownym, podobnie jak upodobanie do strojów czy pewien zasób światowych manier; pod tym wszystkim Shirley była tylko dobroduszny, bezmyślny, gadatliwym dzieckiem. Jej głupiotka gadanina ostatecznie przypieczętowała teraz los Jennie, chociaż Shirley zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Po tym drugim wydarzeniu, kolej-

nej wizycie jej „przyjaciela z Chicago”, nie było sposobu, aby odzyskała zaufanie Jaya.

- Chyba pójde się znowu położyć - powiedziała słabo.

- Nie powinnaś była wychodzić w taką pogodę. Jesteś biała jak ściana. Nie obchodzi mnie, co kto mówi, uważam, że nie ma sensu ryzykować zapalenie płuc...

Jennie jednak już odeszła i zamknęła za sobą drzwi.

Teraz była jak martwa. Opadła na krzesło w holu i wpatrywała się w podłogę. Dywanik na podłodze miał wzór w kwadraty, po cztery wszerek i po siedem wzdłuż. Siedem razy cztery czyli dwadzieścia osiem... Czas mijał, jej rozproszone myśli zaczęły wirować, Peter, ten młody i ten obecny zaczął stapiać się z Jayem, jasne zlewało się z ciemnym, aż w końcu wszystko pokrył strach. Co miała teraz zrobić ze swoim życiem? Co mogła zrobić? I nagle, jakby w zimny poranek wyskoczyła z ciepłego łóżka - rzuciła się do telefonu i nakręciła numer Jaya w pracy. Znajomy głos sekretarki brzmiał jakoś niepewnie, chłodno, czy może było to zakłopotanie. Cokolwiek to było, Jennie pojęła natychmiast, że odpowiedź nie będzie prawdziwa. Nie, pan Wolfe nie przyszedł i jeśli idzie o ścisłość, bardzo możliwe, że dzisiaj już wcale nie przyjdzie. Nie, naprawdę nie wie, kiedy pan Wolfe wróci ani gdzie jest. Usłyszeć coś takiego z ust sympatycznej, siwej pani, która zawsze zamieniała z Jennie kilka miłych słów i której obiecywali zaproszenie na ślub! Była trzecia po południu. Przypomniało jej to, że dzieci wróciły już ze szkoły. Pomyślała, że to właśnie musi zrobić. Emily i Sue powiedzą jej, czy tata jest w domu. Ale jej ręka zawisła nad telefonem. Jeśli go zastanie, to co mu powie? Jak ma zacząć? Och, mój kochany, najdroższy, posłuchaj mnie. Czego ma słuchać? A jednak nakręciła numer.

- Czy to ty, Sue?

- Nie, to Emily.

- Jak się masz, kochanie? Tu Jennie.

- Wiem - odpowiedziało dziecko.

- Powiedz mi, czy tatuś jest w domu?

- Nie wiem.

- Kochanie, co to znaczy „nie wiem”? Dziewczynka wymamrotała coś niezrozumiale.

- Nie słyszę, Emily. Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że niania nie pozwala mi teraz rozmawiać przez telefon.

- Czy niania wie, że rozmawiasz ze mną?

- Tak, chyba wie.

Jennie wiedziała już, co się stało. Jay nigdy, ale to nigdy nie powiedziałby dzieciom o niej nic złego; z pewnością nie namawiałby ich, żeby były dla niej niegrzeczne. Musiał po prostu powiedzieć niani, że nie chce z nią rozmawiać, a ona napomknęła o tym dzieciom.

Wyobraziła sobie Jaya siedzącego w bibliotece, gdzie najczęściej rozmawiał przez telefon. Aparat stał na biurku, obok statuetki siedzącego Lincolna. Fotel Jaya pokryty był zieloną skórą, przybitą ozdobnymi, mosiężnymi gwoździami. Możliwe, że Jay siedział tam właśnie teraz, sam na sam ze swymi zawiedzionymi nadziejami.

Wyobraziła sobie Emily, odbierającą telefon w holu. Emily zawsze pierwsza pędziła do telefonu, co gniewało nianię. Ta kobieta była bardzo surowa i Jennie już wcześniej myślała, że po ślubie jak najdelikatniej będzie się starała przekonać Jaya, iż dobrze byłoby poszukać kogoś innego.

- Stęskniłam się za tobą, kochanie - powiedziała teraz.

- Ja też się za tobą stęskniłam, ale niania mówi, że nie wolno mi już dłużej rozmawiać.

- Do widzenia, Emily - odparła cicho Jennie i odłożyła słuchawkę.

Nagle usłyszała swój własny lament; był to straszliwy płacz, krzyk cierpienia i rozpacz. Tak rozpacza się po stracie dziecka. Przycisnęła dłoń do ust, żeby stłumić łkanie, które wstrząsało całym jej ciałem, aż kuliła się z bólu.

Po długiej chwili jej łkania przeszły w głębokie westchnienie. Była całkiem wyczerpana. Wstała. Sięgnęła do kredensu i z pudełka z płatkami wyjęła małe pudełeczko od Cartiera, zawierające pierścionek. Potem poszła do sypialni, gdzie spod stosu swetrów wydobyła aksamitne pudełeczko z perłami. Pierścionek nigdy nie wyglądał dobrze na jej ręce. Jego zimne, diamentowe oczko połyskiwało obco. Perły, gładkie jak jedwab, prześlizgiwały się między palcami; niech wracają, skąd przyszły, na szlachetną szyję, do jakiej przywykły. W kuchni zapakowała oba pudełka do niewielkiego kartonu, owiązała grubym

sznurkiem i okleiła mocną taśmą. Przez cały czas miała zaciśnięte zęby, co uświadomiła sobie, kiedy musiała zadzwonić na pocztę i dowiedzieć się o numer kodowy.

Ręka jej drżała przy pisaniu nazwiska J. Wolfe i pomyślała, że to może ostatni raz, kiedy je pisze.

Na poczcie wszystkie pieniądze, jakie miała przy sobie, wydała, by ubezpieczyć przesyłkę. Kiedy podawała ją mężczyźnie za ladą, zdawało jej się, że podobnie musi czuć się pacjent po operacji, odczuwając ból, lecz i ulgę, że już jest po wszystkim.

Teraz trzeba patrzeć w przyszłość, pomyślała stanowczo. Zaraz jednak pojawiła się wątpliwość, pytanie: Kiedy ja już coś takiego mówiłam? I zaraz sobie odpowiedziała: Powiedziałaś to po urodzeniu swej córki. Nie pamiętasz?

Może powinnam się przeprowadzić, myślała po drodze do domu. Zanadto wszystko mi się tu z nim kojarzy, mimo że on tu nie mieszka. Ten sklep, gdzie oglądaliśmy kocięta angory i o mało jednego nie kupiliśmy, nasze kolacje we włoskiej knajpce, sklep z płytami - czy mam sobie to przypominać za każdym razem, kiedy tędy przechodzę?

Zaczynało się ściemniać i zaciął wiatr. Porozrzucane papiery fruwały po brudnych chodnikach tego szarego jak żelazo miasta. Muszę wziąć się w garść, powiedziała sobie w duchu. Nie wolno dopuścić, żeby taki nastrój trwał zbyt długo; łatwo można osunąć się z niego w depresję. Pamiętała te ponure tygodnie przed urodzeniem Jill, kiedy siadywała przy oknie ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, w popołudnia takie jak teraz, wietrzne, zimne i brudne.

Wchodząc do domu, minęła w drzwiach wejściowych mężczyznę, który zbiegał po schodach. Pomyślała, że spojrzenie, którym ją obrzucił, trwało o parę chwil za długo, jakby jej się przyglądał. Przyszło jej do głowy, że może go zna, a potem uświadomiła sobie, że to ten sam mężczyzna, na którego niedawno omal nie wpadła przed drugstorem. Tak, to na pewno był on. Bzdura. W swym obecnym stanie ducha skłonna była wyobrazić sobie najróżniejsze rzeczy. Ale może to był on. Przypomniała sobie o taśmie; nie, to na pewno nie to!

Po wejściu na górę stwierdziła, że zostawiła otwarte drzwi. To nerwy, powiedziała surowo na głos. Nigdy dotąd ci się to nie zdarzało; po prostu nie myślisz. Zaczęła dygotać. Widocznie

temperatura bardzo spadła. Nie, to nie to, to znowu nerwy. I zaraz skarciła samą siebie. Od śniadania nie miałaś nic w ustach. Zrób sobie gorącą herbatę i zjedz coś.

Siedziała, patrząc przez okno na mroźne niebo i grzała ręce od filiżanki. Mizerne chmury przesuwwały się po niebie na tle bladego, zachodzącego słońca. Głośne cykanie kuchennego zegara podkreślało tylko ciszę i pustkę. Wypiła herbatę, wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem po dużym pokoju. Jej myśli krążyły wokół wydarzeń minionego dnia. Było coś - czy rzeczywiście? - o czym miała jeszcze pomyśleć.

Tak, miała pomyśleć jeszcze o Jill „Jest taka młoda - powiedział Peter. - Dopiero wyszła z dzieciństwa”.

To prawda; a teraz martwi się z mojego powodu. Dlaczego w tak młodym wieku już musi się martwić? Będzie miała na to jeszcze dużo czasu. Będzie miała na to masę czasu. Teraz nie ma już żadnego powodu, by nie mogła tutaj przychodzić.

W sposób zaledwie wyczuwalny Jennie zaczęła dostrzegać, że w jej życiu dokonuje się pewna zamiana: traci kochanka, męża, lecz zyskuje córkę. Dotknął ją jakiś gigantyczny palec opatrności i sprawił, że jej własna wola w ogóle się nie liczy. No bo przecież się nie liczy, prawda, Jennie? Wszystkie nadzieje zmarnowane, cała energia zużyta na darmo! Człowiek tworzy sobie obraz innej osoby, jak ja stworzyłam sobie obraz Jaya, lecz do jakiego stopnia jest on prawdziwy? I do jakiego stopnia prawdziwe jest wyobrażenie, jakie ma się na własny temat? Po chwili decyzja zrodziła się sama. Jennie podeszła do telefonu i nakręciła numer Petera w hotelu.

- Zastanawiałam się, tak jak mnie o to prosiłeś - powiedziała mu. - Powiedz Jill, żeby się tak nie martwiła i żeby przyszła jutro na kolację, czy jak wy mówicie, na obiad.

- Och! - powiedział Peter. - Ale nie u ciebie?

- Owszem, u mnie, nie w restauracji. Będziemy sami, we tróje; przyjdźcie o szóstej.

- Jennie, więc z nim wszystko skończone?

- Tak, i nie chcę na ten temat rozmawiać - odpowiedziała cicho, lecz stanowczo.

- Współczuję ci, Jennie. Naprawdę ci współczuję, wierz mi, ale muszę przyznać, że odczuwam też pewną radość. Z powodu

Jill Ona będzie taka szczęśliwa, kiedy jej powiem. - Był szczerze wdzięczny, niemal do łez. Wyobraziła sobie jego uśmiech, rozjaśniający całą twarz. - Niech cię Bóg błogosławi, Jennie. Miałem przeczucie, że koniec końców nie sprawisz nam zawodu.

Odłożyła słuchawkę na biurko, gdzie piętrzyła się cała sterta jej zaniedbanych dokumentów biurowych.

Może byś do nich zajrzała, powiedziała sobie. Weź się do roboty. Przyzwyczaj się do obecnego stanu rzeczy; nie masz innego wyjścia.

Ból jednak tkwił w niej i ciążył jak kamień.

12

Skromna kolacja zaczęła się dość drętwo, lecz dzięki wysiłkom Petera atmosfera pod koniec trochę się ożywiła. Do prostego menu Jennie, składającego się z sałatki, kurczaka i owoców, Peter dołożył butelkę wina. Przyniósł też bukiet kwiatów, ozdobiony papierową koronką. Ten wylewny gest, tak dla niego typowy, trochę ją rozdrażnił. Peter zawsze zachowywał się tak, jakby kwiaty stanowiły lekarstwo na każdy nastrój i stan ducha, jakby były kojącym balsamem i od razu przynosiły pocieszenie. Ale jednak dodały jej skromnemu stołowi uroku.

Jill przyniosła czekoladowe ciasto z orzechami, jedno z tych droższych, jakie kupowało się w europejskich piekarniach przy Upper East Side. W odróżnienie od jowialnie zachowującego się Petera była powściągliwa i miała w oczach wyraz pewnej obawy, jak ktoś, kto przyszedł z drobnym prezentem do domu żałoby i wręcza go, mamrocząc coś, na wpół przeproszającym tonem. Peter musiał odmalować jej obraz zupełnej klęski i załamania Jennie.

To on na początku nadawał ton rozmowie, ostrożnie sterując nią tak, by nie dotykała spraw osobistych. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że bezpiecznym tematem jest jedzenie, zaczął więc zabawiać je opowiastkami o biesiadach w Maine, o mięsie ślimaków w Hongkongu i o torcie Sachera w Hotelu Sacher w Wiedniu. Co do tego ostatniego, to jego sława była mocno przesadzona.

- Moim zdaniem był o wiele za suchy - orzekł.

Jill odzywała się bardzo mało, tak mało, że Jennie skłonna była sądzić, iż wbrew temu, co mówił Peter, wciąż jeszcze jest obrażona. A może był to lęk? Nagle jednak Jill powiedziała:

- Mój wcale nie jest suchy, mam lepszy przepis na ten tort. A poza tym, zawsze wyjmuję ciasto z pieca o pięć minut wcześniej, niż się powinno.

Ta modnie ubrana młoda osoba, w krótkiej czarnej spódnicy i wysokich butach, o długich, jaskrawo polakierowanych paznokciach, nie pasowała do obrazu kogoś, kto często wyjmuje ciasto z pieca.

- To ty potrafisz gotować? - zapytała Jennie z ciekawością. Tym razem Jill spojrzała wprost na nią.

- Jestem całkiem dobrą kucharką; brałyśmy razem z mamą lekcje gotowania.

- Ależ to wspaniałe. Chętnie bym też się poduczyła, że mnie nie ma w kuchni wielkiego pożytku - powiedziała Jennie, myśląc przy tym: ona się otwiera. To tak, jakby przewracało się kolejne kartki w książce, w wielu książkach.

Odpowiedź była uprzejma i konwencjonalna, jak w rozmowie między gościem a gospodynią.

- Przecież nie możesz być na sali sądowej i w kuchni jednocześnie.

Jennie zrozumiała jednak, że miał to być komplement i przyjęła go jako gest pojednania.

- Nie mam wymówki. - Uśmiechnęła się. - Gdybym się postarała, pewnie znalazłabym czas.

Peter, czując, że rozmowa nabiera rumieńców i chcąc koniecznie, żeby się ożywiła, dodał skwapliwie:

- Widzę tyle papierów u ciebie na biurku. Nic mi dotąd nie mówiłaś o swojej praktyce. Czy to prawo ogólne, czy w czymś się specjalizujesz?

- Jennie broni praw kobiet, nie wiedziałeś o tym? Kobiet biednych, maltretowanych, pracujących - powiedziała szybko Jill.

Jennie miała wrażenie, że w głosie Jill wyczuwa podziw i to ją poruszyło, a przypomniawszy sobie, co mówiła Jill o ochronie środowiska w Nowym Meksyku podczas ich fatalnego wspólnego lunchu, odpowiedziała równie szybko:

- Jest to niewątpliwie podstawowa część mojej pracy, ale zajmuję się też sprawami środowiska. Jeśli idzie o ścisłość, teraz jestem właśnie w samym środku ostrej walki.

W tym momencie poczuła przyływ strachu i odezwał się w niej dzwonek alarmowy: jeśli jest w samym środku walki, to powinna się tym interesować. Od śmierci George'a minęły cztery dni. Martin z pewnością zdążył już zabezpieczyć taśmę, a może nawet był już na tropie mordercy. Dlaczego nie miała od niego żadnych wiadomości? Pomyślała z przerażeniem, że powinna porozmawiać z Arthurem Wolfe albo z kimś, kto zajął miejsce George'a, ale w tej sytuacji jak miała to zrobić?

I słabym głosem, jakby słowa wymknęły jej się spod kontroli, powiedziała: - Wczoraj był pogrzeb George'a.

Peter, zdziwiony, zapytał, kim był George.

- Nie, nie martw się, jestem przy zdrowych zmysłach - odparła. - Po prostu myślałam na głos.

Teraz naturalną rzeczą było, że musiała im wytłumaczyć, kim był George. I tak to, nie wymieniając żadnych nazw ani nazwisk, Jennie zaczęła opowiadać o Zielonych Moczarach.

Oboje byli zafascynowani. Jennie też się zdawało, że słyszy w swoich słowach coraz większy zapal, tak jakby referowała lub broniła w sądzie jakiegoś dziecka czy kobiety, traktowanych niesprawiedliwie i obojętnie. Jill i Peter bez słowa skończyli jeść, pomogli sprzątnąć ze stołu i z kawą przeszli do pokoju, podczas gdy Jennie ani przez chwilę nie przestawała mówić.

- Bardzo głęboko mnie to porusza. Uważam tę pracę, dotyczącą ochrony przyrody, za równie ważną jak moja działalność w obronie praw kobiet. Jeśli nie przestaniemy niszczyć naszych jezior i wzgórz dla zysku, to nie będzie już żadnych praw dla kobiet - ani dla mężczyzn, prawda? Och, gdybym była bogata, po prostu kupowałabym ziemię i przekazywała ją pod ochronę państwa! Tamto miejsce jest tak piękne, że serce boli, kiedy się pomyśli, co oni chcą z nim zrobić.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziała Jill z oburzeniem. - U nas gazety są ciągle pełne tego rodzaju wiadomości, wściekłych sporów na temat stref objętych ochroną czy przepisów regulujących sprawę wody. A co sądzisz o wycinaniu se-

kwoi w Kalifornii? Wycinają drzewa, które mają po tysiąc lat! Na myśl o tym krew się we mnie gotuje.

Peter uczynił gest, jakby nagle wpadł na jakiś odkrywczy pomysł.

- Siedzę tutaj i tak sobie myślę, czy nie byłoby wspaniale, gdybyśmy któregoś lata spotkali się gdzieś na Zachodzie, w krainie sekwoi w Kalifornii, czy może nawet w Santa Fe, wynajęli dżipa i trochę pojeździli? - Spojrzał na nie obie. - Ale jest to niemożliwe... Nie wiem. Myślałem tylko... - zakończył jakoś żałośnie.

Jennie uznała, że on robi zbyt szybkie ruchy. To było typowe dla Petera, miał jednak intencje godne pochwały i cudownie, że mogli teraz naprawdę ze sobą rozmawiać, zamiast na siebie krzyżeć.

To nie była już powierzchowna rozmowa, miała istotną treść. Jennie poczuła, jak spływa z niej napięcie. Mięśnie ramion rozluźniły się, oparła się teraz wygodnie na kanapie. Dłoń Jill znajdowała się tuż przy jej dłoni; ładne, długie palce o jaskrawych paznokciach.

- A czy uwierzysz, że ktoś chce zbudować centrum handlowe na polu bitwy z wojnie secesyjnej? Niszczą pustynię w Arizonie, niedługo nic z niej nie zostanie... Słuchaj, Jennie, nie możesz zaprzestać tej walki. Musisz w niej wytrwać. - Jill wpatrywała się w nią błyszczącymi oczyma.

Coś poruszyło się w Jennie, wzrastała jej duma i poczucie własnej wartości. Wydarzenia ostatnich paru dni, jej zachowanie i klęska - to wszystko było poniżające. Cierpiała, nie mogąc sprostać sytuacji, czuła się nic niewarta i odrzucona - w przeciwieństwie do tych dwojga. Teraz ona przemawiała jako autorytet, a oni słuchali.

- Oczywiście, że chcę wytrwać w tej walce - odpowiedziała, lecz musiała dodać: - Chociaż w tej konkretnej sprawie jest to niemożliwe, ale będą inne.

- Dlaczego z tej miałabyś zrezygnować?

- Są po temu przyczyny na tyle skomplikowane, aby ich teraz nie rozważać.

- To odpowiedz mi tylko na pytanie: Czy gdybyś nadal zajmowała się tą sprawą, narażona byłabyś na niebezpieczeństwo?

- Nie, nie sędzę.

- To straszne, co spotkało tego człowieka w samochodzie. Bądź ostrożna - ostrzegła ją Jill

Ta dziewczyna naprawdę mnie lubi, pomyślała Jennie, czuję w jej głosie szczerłość, ona naprawdę myśli to, co mówi.

- Będę ostrożna. - Uśmiechnęła się do Jill myśląc przy tym: Jeszcze parę dni temu chciałam umrzeć, a teraz już nie chcę. Mama w czasach Hitlera straciła wszystkich, a jednak żyła dalej, prawda?

Jill odwzajemniła uśmiech. Peter miał spokojny, zadowolony wyraz twarzy. Przez moment Jennie pomyślała, że we troje wyglądają razem jak rodzina, która po dobrym obiedzie spokojnie spędza wieczór w domu.

Takie dziwne zawirowania i zwroty! Dopiero co czuła się słusznie oburzona, a teraz myślała o tym, jaki dobry jest Peter i jaka serdeczna Jill.

Jill spojrzała na zegarek.

- Jutro jest test z historii, a ja mam już spore zaległości w czytaniu. Powinna się dzisiaj trochę pouczyć.

Jennie natychmiast podniosła się z miejsca.

- Oczywiście. Peter, zamówisz jej taksówkę, dobrze?

- Zrobię coś więcej. Odwiozę ją. - Położył dłonie na ramionach Jennie i obrócił ją do siebie. - Chcę ci powiedzieć, że to był wspaniały wieczór, naprawdę wspaniały. - Drżał lekko z przejęcia. - Żadne z nas nigdy go nie zapomni.

- To prawda - powiedziała JUL Zawahała się przez chwilę, po czym cicho dodała: - Przykro mi, że miałaś przez mnie tyle kłopotów. I wiem, że to przez mnie.

Było to żalosne wyznanie. Dumna, młoda twarz zdawała się powracać do stanu, jaki musiała mieć w dzieciństwie, kiedy Jennie jej nie znała; odmalował się na niej smutek, wokół oczu miała ciemne kręgi, a drżące usta mogły w jednej wyrażać gniew czy smutek, a już w następnej radość i śmiech. Który z przodków mógł obdarzyć ją taką zmienną naturą?

- Och - odpowiedziała Jennie, świadomie wyrażając się dość niejasno.

- Przyczyny sięgają daleko w przeszłość. Nie ma nigdy jednej przyczyny.

- Ale przeze mnie wszystko ci się zaważyło. Wiem, że przeze mnie. Mówiłam już to Peterowi.

- Ja też odegrałem rolę w tym dziele zniszczenia - dodał Peter ponuro. Na to nie było już odpowiedzi, można było tylko potwierdzić, lecz nic by nie zyskała, obarczając go winą. Wszyscy byli tu winni, każde z nich na swój własny sposób. Jennie wykonała więc gest rezygnacji, a ponieważ musiała coś powiedzieć, rzekła tylko:

- Starajmy się patrzeć w przyszłość, a nie wstecz.
- Szkoda, że muszę już iść, tyle jeszcze mamy sobie do powiedzenia.
- Przecież wy dwie możecie się znowu spotkać któregoś popołudnia - odezwał się Peter.

- Ja mogłabym już jutro - odpowiedziała pośpiesznie Jill. - Ostatnie zajęcia mam o pierwszej. - Wyraźnie jej na tym zależało. Chciała jak najszybciej scementować ten nowy związek. - Mogłybyśmy gdzieś pójść, na przykład do Muzeum Metropolitan, a potem na herbatę.

Jennie miała w planie, że wróci do pracy. Już dość długo chowała się w domu i lizła rany. Dinah dzwoniła do niej, przekazując wiadomości. Poza tym powinna skontaktować się z prokuratorem okręgowym. Zdumiewało ją że nie miała żadnych wiadomości dotyczących sprawy.

Jednak wobec prośby Jill jeden dzień zwłoki nie stanowił różnicy.

- W porządku. Spotkamy się przed wejściem, na schodach, a jeśli będzie zła pogoda, w przedsionku.

Słyszała, jak schodzili na dół i wiedzioną nagłym impulsem podbiegła do okna, żeby zobaczyć, jak wychodzą z budynku i idą w stronę alei. I znowu odniosła to samo dziwne wrażenie: Jesteśmy ze sobą związani, połączeni, należymy do siebie. Uczucie to przenikało ją, wierciło jej dziurę w głowie, wreszcie odeszło. Ona jednak wciąż patrzyła, wyciągała szyję, dopóki nie znikli jej z pola widzenia.

Ponad miastem wisiało granatowe niebo. Chmury gnane wiatrem kotłowały się, kłębiły, zasłaniając gwiazdy. Powinniśmy częściej spoglądać w górę, pomyślała, patrząc w niebo jak zahipnotyzowana. To uspokaja i pomaga widzieć sprawy we właściwych proporcjach, Przynajmniej przez jakiś czas, dopowiedziała w duchu z goryczą i miała właśnie zaciągnąć zasłony,

kiedy coś przykuło jej uwagę. W świetle latarni widać było jakiegoś mężczyznę, który patrzył w górę na jej okna. Czy to nie absurd wyobrażać sobie, że obserwował właśnie jej okno? Oczywiście, że absurd. Na pewno zatrzymał się, aby poprawić sobie kołnierz płaszcza. Po chwili odszedł, kierując się w stronę rzeki.

Boże, to znowu te nerwy. Mam zszarpane nerwy, nawet jeśli nie chcę się do tego przyznać, pomyślała.

Chciała być zajęta wyłącznie Jill, ale nie była w stanie skupić myśli. Patrzyły na egipską statuetkę, która miała cztery tysiące lat; obok nich stał jakiś mężczyzna z żoną, obejmował ją ramieniem. Ponadczasowa, nieskończona ludzka miłość! I Jennie poczuła straszne oburzenie; policzki jej płonęły, w skroniach zaczęło dudnić, musiała się zmuszać, żeby mówić normalnie.

- To co, dość już naoglądałyśmy? Chętnie bym teraz usiadła i wypić herbatę.

- Jesteś zmęczona? Może za dużo chodziłyśmy? - Dziewczyna była zaniepokojona, szczerze zaniepokojona, tak jak tego pierwszego wieczoru, kiedy martwiła się, że Jennie może zemdleć.

- Nie, nie, oczywiście, że nie. Nie jestem kaleką. - I zaraz potem, jakby nie chciała wydać się niecierpliwa, szybko dodała: - Jesteś taką miłą i serdeczną osobą, Jill.

- Ty też.

- Staram się taka być - powiedziała Jennie poważnie.

- No i jesteś. Wiem o tym, teraz, kiedy już więcej rozumiem. Naprawdę wiem i chcę, żebyś o tym pamiętała - odpowiedziała równie poważnie.

Jennie zamówiła herbatę i siedziała przez chwilę, przyglądając się sąsiednim stolikom i głowom, które się nad nimi pochylały. Gdyby tu było okno, Jill pewnie by przez nie wyglądała, pomyślała Jennie. Naprawdę zaczynam ją poznawać; lubi długie korale, którymi może się bawić; dziś ma na sobie dwa sznurki rudobrazowych lakierowanych koralików, pewnie hinduskich albo birmańskich; są gładkie, można nimi grzechotać i przesuwając je w palcach.

W pewnej chwili Jill zaskoczyła Jennie, mówiąc:

- Cieszę się, że znowu polubiłaś Petera.

- Dlaczego tak uważasz?
 - Już nie jesteś na niego zła, bo za pierwszym razem, kiedy zadzwonił, byłaś strasznie zła.
 - Jest wielka różnica pomiędzy tym, że nie czuje się złości, a rzeczywistą sympatią.
 - Ale ty go lubisz, widziałam to wyraźnie wczoraj wieczorem.
 - To tylko dlatego, że wczoraj było tak miło.
 - Więcej niż miło. Było cudownie. Nie sądzisz, że było cudownie?
- Jennie obawiała się trochę zapachu JUL Powoli mieszała łyżeczką herbatę i zastanawiała się nad jakąś rozsądną odpowiedzią.

Wreszcie się odezwała:

- Dobrze, że do tego doszło.
- Ale czy to nie zdumiewające? No tylko pomyśl! Byliśmy jak rodzina. Nie, my byliśmy rodziną.

Kiedy wczoraj wieczorem taka sama myśl przebiegła jej przez głowę, odpędziła ją, uważając, że to przesada. Dzisiaj myśl ta wzbudziła w niej lęk.

- Ty już masz rodzinę, Jill - powiedziała stanowczo, aby zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

- Wiem, że mam dużo szczęścia. Miałam wspaniałe dzieciństwo, wciąż czuję jego ciepło. Nie musiałam, tak jak ty, z dnia na dzień stać się dorosłą i jestem za to bardzo, bardzo wdzięczna.

- A ja jestem bardzo wdzięczna twoim rodzicom, że zapewnili ci takie wspaniałe dzieciństwo.

Potem zawahała się, wybierając pomiędzy wrodzonym instynktem, by wyrazić własne myśli i uczucia, pozwolić im płynąć jak woda, a wyuczoną samokontrolą, chroniącą jej prywatność, tamującą swobodny przepływ uczuć.

I rzekła z pewnym wysiłkiem, marszcząc lekko brwi:

- Chcę powiedzieć ci parę rzeczy, o których na siłę starałam się zapomnieć. Tak się martwiłam! Nie wiedziałam, czy jeszcze żyjesz. Przecież zdarzają się różne dziecięce choroby... czy wypadki? Myślałam też, co by się stało z tobą, gdyby oni umarli? Mogło tak przecież być. Twoje urodziny były dla mnie okrop-

nym dniem. Kiedy nadchodził listopad, nigdy nie patrzyłam na kalendarz.

Spojrzała na Jill, która odwróciła oczy, jak ktoś, kto nie może znieść widoku cierpienia.

- Jennie, przestań. Nigdy nic takiego się nie stało.

- Mówią, że po oddaniu dziecka zapomina się o nim - wymamrotała Jennie. - To nieprawda, wcale się nie zapomina.

- To samo powiedział Peter. Nie zapomina się.

Peter. Co on miał do zapomnienia, na litość boską? No oczywiście, że miał, i to dużo, a że jest tym, kim jest, musiał też przeżyć smutne i ciężkie czasy. Jestem dziś w takim dziwnym nastroju, pomyślała Jennie. Mam poczucie, jakbym litowała się nad całym światem, nawet nad tymi rozgadanyimi obcymi ludźmi, którzy siedzą tu obok nas i jedzą lunch. Skąd można wiedzieć, ile każde z nich zniosło czy będzie musiało znieść? Tak. Peter.

- Tak sobie myślałam... - zaczęła Jill i przerwała. - Nie będziesz zła, jeśli ci coś powiem?

- Nie będę zła. - Jennie nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- No to, w porządku. Myślałam sobie, że może jest szansa, żebyście kiedyś... to znaczy, wczoraj tacy byliście dla siebie dobrzy i tak szczęśliwie razem wyglądaliście. Oczywiście, nie od razu, ale może kiedyś?

- Jill, przestań fantazjować, proszę cię.

- Och, czy to musi być fantazjowanie? Wcale tak nie sądzę! Mam wrażenie, że Peter...

- Co? Co on ci powiedział? - przerwała jej Jennie.

- Nie powiedział nic konkretnego, to tylko moje odczucie. - Jill roześmiała się, rozkładając ręce i połyskując czerwonymi paznokciami. - Wtedy byłoby pełne koło. Byłoby tak, jak należy, porządnie! Ja bardzo lubię porządek, prawie do przesady.

- Ja nie - odparła sucho Jennie, spoglądając w dół na swoje nie polakierowane paznokcie.

Przez chwilę panowała cisza, wreszcie odezwała się Jill, rumieniąc się tak mocno, jak potrafiłby Peter.

- Och, powiedziałałam coś niewłaściwego! Miałam tylko na myśli, że teraz, skoro ten mężczyzna, za którego miałaś wyjść... -przerwała. - Och, brnę coraz bardziej! Popełniłam straszną

gafę, prawda? Wszyscy mi mówią, że zanim otworzę usta, powinnam najpierw pomyśleć. Strasznie mi przykro, Jennie.

Przez chwilę wyglądała tak strasznie młodo i była tak skruszona, że Jennie mogła tylko powiedzieć:

- Wszystko w porządku, naprawdę. Nic się nie stało.

- Dziadek zawsze powtarza: Trzeba wiedzieć, co w trawie piszczy - odpowiedziała Jill, już weselej.

- Tak, moja mama też tak mówi.

- Czy będę mogła kiedyś poznać twoją matkę?

Och, mama zawsze tak chciała mieć wnuka! Gdyby go miała, nigdy nie wyprowadziłaby się na Florydę.

- Nie wiem, Jill. Nie wiem, czy byłoby to dla niej najlepsze, gdyby teraz dowiedziała się o twoim istnieniu. Będę musiała głęboko się nad tym zastanowić.

Jill skinęła głową.

- Rozumiem. Wiesz, teraz rozumiem wszystko znacznie lepiej niż w zeszłym tygodniu.

Jennie dotknęła jej dłoni.

- Powiedziałaś mi i bardzo ci jestem wdzięczna. Nie miałabyś ochoty na kawałek ciasta do herbaty?

- Moja linia, muszę na nią uważać.

- No, zjedz kawałek. Nie robisz tego codziennie. Poza tym, jesteś chuda.

- Mężczyźni lubią chude dziewczyny.

- Wcale nie wszyscy.

- Moi chłopcy tak.

- Użyłaś liczby pojedynczej czy mnogiej? Nie dosłyszałam.

- Mnogiej. Przez cały zeszły rok miałam jednego chłopaka, ale zdecydowałam, że to głupota być przywiązaną do jednej osoby, szczególnie że nie byłam w nim zakochana. Był bardzo przystojny, elegancki, dobry z fizyki, ale to jeszcze nie były dostateczne powody, żebym miała mu poświęcać cały swój czas. Zgodzisz się ze mną?

- Bezwzględnie.

- Kiedyś chciałabym kochać kogoś tak bardzo - wyznała z całą szczerością Jill - żeby nie wyobrażać sobie życia bez niego. I chcę być przez niego kochana równie mocno. Jak myślisz, czy to zbyt romantyczne i w latach osiemdziesiątych już nierealne?

- Nie - odparła Jennie cicho. - Powiedziałabym, że jest to jedyna możliwość.

- Dlatego na razie jestem wybredna. Teraz akurat jest trzech, którym się bardzo podobam. Jeden jest muzykiem i potrafi zdobyć bilety na wszystko, nawet jeżeli są wyprzedane. W soboty po południu chodzimy razem do opery. Polubiłam ją w Santa Fe. Jestem pewna, że słyszałaś o tamtejszej operze.

Jedząc ciasto i pijąc herbatę, Jill trąkotała dalej o mężczyznach, koleżankach, stopniach i książkach.

- No i jest taka grupa, z którą się trzymam. Jest nas ośmioro i jesteśmy na wszystko otwarci, na muzykę rockową, taniec - ja uwielbiam tańczyć - a teraz kilkoro z nas zмага się z Proustem w oryginale, na seminarium. Mówię ci, to jest naprawdę wyzwanie.

Jennie wiedziała, że ta żywiołowa gadanina przeznaczona jest częściowo dla niej, żeby stworzyć przyjemną, wesołą atmosferę, ale wynika również z tego, że Jill czuje się z nią swobodnie. I słuchając nie tyle słów, ile ich tonu i nastroju, jeszcze raz powiedziała sobie w duchu: Jaka ona jest młoda! Jaka mądra i niewinna, ufna i ostrożna, jaka bardzo kochana! Nie ma jeszcze żadnych prawdziwych ran, prócz tej jednej, którą ja jej zadałam i która chyba już się goi. Pomagam jej teraz, aby ta rana się zagoiła, dzięki Peterowi, który mnie do tego zmusił. Może uda jej się przejść przez życie bez dalszych ran. Mam nadzieję, że tak będzie. Niektórym ludziom się to udaje.

Rozstając się, pocałowały się na pożegnanie.

- Życzę ci - wymamrotała Jill - tego wszystkiego, czego sama byś sobie życzyła.

Czego sama bym sobie życzyła, myślała Jennie po odejściu Jill. Po tym wszystkim, co się stało, sama już nie wiem. Los mnie unosi.

- Leżysz już w łóżku? - zapytał Peter, kiedy podniosła słuchawkę

- Tak, chcę rano wstać wcześniej i iść do biura.

- Jesteś pewna, że czujesz się na siłach, by podjąć znowu ten wyścig szczurów?

- Tak bardzo na siłach, jak tylko można sobie wyobrazić.

- Nie miałaś żadnych wiadomości? Nie gniewasz się, że o to pytam?
- Jakich wiadomości? - specjalnie udała, że nie rozumie.
- No wiesz. Od... niego.
- To już skończone, Peter - odpowiedziała dość ostro. - Już ci to mówiłam.
- Boże, co za wstyd! Nie rozumiem niektórych ludzi.
- Peter, ja nie chcę o tym rozmawiać.
- Okay, okay. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że masz mnie. Jennie nie odpowiedziała.
- Nie jesteś sama na świecie... Jennie? Słyszysz mnie?
- Słyszę.
- Coś zaskrzypiało w telefonie.
- Coś nam przeszkadza, jakiś hałas. Myślałem już, że odłożyłaś słuchawkę.
- Wiesz, że bym tego nie zrobiła.
- Tak sobie myślałem. Pamiętasz, że wspominałem coś o przyszłych wakacjach. Czy sądzisz, że miałabyś na to ochotę? Jakiś tydzień czy więcej, na przykład w rezerwacie Indian, ze mną i z Jill?
- Wbrew sobie poczuła się wzruszona i odpowiedziała cicho:
- Peter, nie potrafię planować z takim wyprzedzeniem..
- W porządku. Porozmawiamy o tym innym razem. Właściwie zadzwoniłem tylko po to, żeby się dowiedzieć, jak wam dzisiaj poszło.
- Ach, było bardzo dobrze! Widziałyśmy różne wspaniałe rzeczy. Jill chciała obejrzeć osiemnastowieczne portrety, było jej to potrzebne do zajęć z historii sztuki, a potem poszliśmy do działu egipskiego. Ona jest bardzo odczytana i inteligentna.
- Jennie, to skarb. Ty i ja stworzyliśmy skarb. Czasami aż się śmieję, kiedy o niej myślę, taka jest do ciebie podobna.
- Podobna do mnie? Co ty mówisz, ona jest twoją wierną kopią.
- Z wyglądu tak, ale ja myślę o jej postawie, o tym jak buntuje się przeciwko niesprawiedliwości. No i to usposobienie. Co za temperament!
- Uważasz, że ja mam temperament?
- Jeszcze pytasz? Masz, a jakże! A twój upór! Kiedy już coś postanowisz... kiedy postanowiłaś się mnie pozbyć, przed uro-

dzeniem Jill. - Zamilkł, a potem dodał smutno: - Od tamtej pory noszę włosiennicę. Wierz mi, Jennie.

- Nie, nie mów tak - wyszeptała. - Nie czas teraz o tym mówić.

- Pewnie masz rację. Postaraj się zaledwie nie przejmować, dobrze? I nie przemęcz się jutro w pracy.

Odłożyła słuchawkę i odsunęła na bok dokument, który przeglądała. Z jakiegoś innego mieszkania dobiegł ją dźwięk muzyki, ktoś zbyt głośno nastawił gramofon. Z przyjemnością słuchała jednak tęsknego i melodyjnego koncertu fortepianowego. Ta muzyka przywodziła jej na myśl wino i róże; odrzuciła w tył głowę i zamknęła oczy. Łóżko było miękkie, a kołdra tak cudownie ciepła, że tym razem nie powinna mieć kłopotu z zaśnięciem...

Peter, w białym letnim garniturze tańczył pod papierowymi lampionami. Martwiło ją, że tak mało o nim wie. Właściwie rozmawiali tylko o Jill. Potem przyszedł Jay, stał w obramowaniu drzwi, twarz miał ciemną i żalobną. Po nim pojawił się ktoś, kto nie był ani Peterem, ani Jayem, lecz obydwoma jednocześnie i stał nad nią w oślepiającym świetle. A jej było tak strasznie smutno, bo nie wiedziała, kim on jest.

Obudziła się i stwierdziła, że lampa świeci jej prosto w oczy. Kiedy ją zgasiła, senność od niej odeszła. Przez długi czas leżała, wpatrując się w ciemność.

13

Założyła szeleszczącą jedwabną bluzkę w kolorze brzoskwiniowym, na jej ręce podzwaniały złote bransoletki matki, stopy wsunęła w czarne pantofelki z jaszczurczej skóry, które zawsze oszczędzała „na później”. Skoro jednak nie miało być żadnego później, równie dobrze mogła założyć je teraz, pokazać, jakie ma piękne nogi. W środku jednak trzęsła się jak galareta.

W drodze do autobusu zastanawiała się nad sobą. Bała się powrotu do dawnego życia, tak barwnego i podniecającego wtedy, kiedy rzeczywiście brała w nim udział. Teraz jednak bała się powrotu, wiedziała już bowiem, że jest to tylko bezwartościowa

sieczka, wszystkie te ważne rozmowy, przedstawienia, wystawy, błyskotliwi młodzi mężczyźni. Autobus zarzucał. Z każdym mijanym przystankiem unosił ją dalej w kierunku centrum i coraz bardziej cofał w czasie. Patrzyła wprost przed siebie. Żal przyprawiał ją o dreszcze, aż musiała ciaśniej owinąć się płaszczem.

Jakaś kobieta usiadła obok niej. Przesuwając się, żeby zrobić jej miejsce, Jennie doznała wstrząsu. Kobieta miała twardą i kanciastą, wrogą twarz, która wyglądała, jakby została wycięta otwieraczem do puszek. Jennie przysunęła się bliżej do okna i jeszcze ciaśniej otuliła się płaszczem.

Nagle kobieta się odezwała.

- Przepraszam, podziwiam pani buty. Chciałabym też nosić podobne pantofle, ale mam takie problemy z nogami.

Uśmiechnęła się i oczy, które wydawały się tak chłodne, teraz uśmiechały się łagodnie.

- Dziękuję - rzekła Jennie i uważając, że należy powiedzieć coś miłego, dodała - są bardzo wygodne. - Poczowała nagle przypływ wdzięczności dla tej nieznajomej kobiety równie intensywny jak przedtem niechęć. I pomyśleć tylko, że można znaleźć pocieszenie i zwykłe ludzkie ciepło w uwadze tak banalnej, jak ta dotycząca jej butów! W biurze pojawiła się dziwnie spokojna i wyciszona.

- Ta grypa rzeczywiście dała ci w kość, prawda? - zauważyła Dinah. - Schudłaś.

- Może trochę. Nie przypuszczałam, że cię tu zastanę w sobotę.

- Przyszłam tylko na pół dnia. Wszystkie spotkania, z wyjątkiem tych najważniejszych, przełożyłam na później, żebyś zdążyła odzyskać siły.

- Poszła za Jennie do gabinetu. - Tylko na nie spojrzij; przynieśli je parę minut temu.

Na biurku, w wąskim, wysokim wazonie stał bukiet purpurowych róż, roztaczając w dusznym pokoju słodki zapach. Przeszło jej przez myśl, że róże mogą pochodzić od Jaya. Co za głupota! Dotknęła aksamitnego, wygiętego płątka. Nie potrzebowała czytać bileciku, przeczytała go jednak, zdumiona, że wciąż pamięta ten niezwykle charakter pisma, trochę pochyły, a trochę drukowany.

Napis brzmiał: Powodzenia w pierwszym dniu po powrocie. Ucałowania, Peter. A pod spodem, wciśnięty był dopisek: I Jill.

Peter i jego kwiaty! Gładziła je w zamyśleniu.

- Tuzin, policzyłam. Prawda, że wspaniałe? - Dinah była zaintrygowana i pełna podziwu. A gdy Jennie nie odpowiedziała od razu, dodała: - Jest cały stos poczty. Posortowałam ją i to, co najważniejsze, odłożyłam na biurko. Był jeden ekspres polecony, który otworzyłam. Sądziłam, że powinnam to zrobić.

- Oczywiście. Co to jest?

- Pismo od tych ludzi na północy; ta sprawa z ziemią. Była to krótka wiadomość, pisana na maszynie, na papierze

listowym Arthura Wolfe'a. Z listu wynikało, że był on nowym przewodniczącym komitetu ochrony środowiska. Informował ją, że przedsięwzięto „inne kroki” w sprawie doradztwa prawniczego i że prosi o przysłanie rachunku za jej dotychczasowe usługi. To wszystko.

Stała jak posąg, trzymając w ręku to, co w istocie stanowiło definitywne odrzucenie jej. Wstyd oblał ją jak wrzątek, czuła, że cała płonie. Została z czegoś odarta. Jak mogli jej to zrobić? Cała jej praca, tak starannie przygotowywana, poszła na marne. A jednak, wziąwszy pod uwagę okoliczności, czy mogli postąpić inaczej? Poza tym czy ona sama chciałaby nadal pracować z Arthurem Wolfe? Nie, to byłoby niemożliwe i Arthur Wolfe to rozumiał.

Serce jej jednak pękało.

- Pisz odpowiedź, Dinah - zarządziła. - Napisz, że potwierdzam odbiór listu i że odmawiam przesłania rachunku za moje usługi. To, co zrobiłam, zrobiłam, bo wierzyłam w słuszność sprawy i nigdy nie oczekiwałam za to zapłaty. Napisz to. I proszę, zrób to od razu. Chcę, żeby to poszło jeszcze tego popołudnia.

Wciąż stała z listem Arthura w ręku. I nagle przyszło jej do głowy coś, o czym powinna była pomyśleć znacznie wcześniej. Miała pełne prawo do informacji o wydarzeniach, które sama zapoczątkowała! Miała pełne prawo wiedzieć przynajmniej, co dzieje się z Martha Cromwell. A jeśli ten człowiek czy ci ludzie wdarli się do jej domu w poszukiwaniu taśmy? Byłoby całkiem logiczne, gdyby szukali właśnie tam, w domu starej, chorej kobiety, która w dodatku była teraz sama, prawda? Strach zmroził

jej krew w żyłach, gdy wyobraziła sobie ten obrazek: Drewniany dom na końcu ulicy, skryty wśród ponurych świerków, drzwi wejściowe przysłonięte winoroślą porastającą ganek. Można się tam wślizgnąć i wyslizgnąć i nikt by nic nie zauważył ani nie usłyszał... Musiała się dowiedzieć. Niewiele myśląc, podeszła do telefonu i nakręciła numer.

- Tu Jennie Rakowsy. Jestem znajomą Marthy i dzwonię, żeby zapytać, jak ona się miewa - powiedziała.

Telefon odebrała jakaś młoda kobieta, lecz w tle słychać było gwar rozmów.

- Och, ja wiem, kim pani jest! Pani jest tą prawniczką, która tak pięknie przemawiała wtedy na spotkaniu.

Te słowa dodały Jennie otuchy, której tak bardzo teraz potrzebowała, podziękowała więc kobiecie.

- Jak się czuje Martha? Słyszę tam wiele głosów, więc cieszę się, że nie jest sama w domu.

- Sama? Mój Boże, nie. Sąsiedzi mają przy niej dyżury. Nigdy nie jest nas tu mniej niż dwoje, w dzień i w nocy. Teraz akurat jest tu tłum i chcemy zostać dłużej.

- Ach, to cudownie! Tak się martwiłam.

- Może pani sama z nią porozmawiać. Oczywiście, leży w łóżku biedaczka, ale ma na górze telefon.

- Czuję się świetnie - słabym głosem powiedziała Martha do Jennie. - Trzymam się lepiej, niż się spodziewałam.

- Jesteś taka jak George. Nie dasz się złamać. Powiedz mi, Martho, czy nikt nie szukał u ciebie taśmy? Czy jest bezpiecznie schowana, dopóki nie będzie potrzebna?

Martha westchnęła, zaczęła mówić i znowu westchnęła.

- Jennie, nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. Ta sprawa była przegrana już od początku.

- Co to znaczy?

- No cóż, w dniu pogrzebu przyszła tu moja siostrzenica, żeby posprzątać. Goerge wsadził tę taśmę do zwykłej torby papierowej, żeby nikt się nie domyślił i wepchnął pod łóżko. Ja oczywiście zapomniałam o tym - tego dnia w ogóle nie bardzo byłam w stanie myśleć - a ona wyrzuciła tę torbę do śmieci. Jest już spalona, Jennie. Przepadło. Jennie poczuła, że zaraz wybuchnie jakimś wariackim śmie-

chem. W torbie papierowej pod łóżkiem! To typowe dla George'a!

- Tak mi przykro, Jennie. Główny dowód przepadł, prawda?

- Obawiam się, że tak. Cóż, komitet ochrony środowiska wrócił do punktu wyjścia, i tyle.

- Podobno nie będziesz już występować w tej sprawie. Co się stało?

- To długa historia; za długa na telefon.

- Bez ciebie przegrają.

- Och, zbyt wysoko mnie cenisz. Nie mam wpływu na komisję. Będą głosować tak, jak będą chcieli.

- Nie, jest kilka osób niezdecydowanych, które mogą się opowiedzieć albo po jednej, albo po drugiej stronie. A ty jesteś czarodziejką, Jennie.

- Dziękuję ci za miłe słowa, ale już nie biorę w tym udziału. Trzymaj się, Martho. Będziemy w kontakcie.

Nie mam już na to wpływu, pomyślała. A więc firma Barkera wygra, zniszczy okolicę, a Martha, ja i cała reszta będziemy bezpieczni. I tyle zostanie po wszystkich tych wysiłkach, zachodach i awanturach. Co za ironia!

Przez ten tydzień nazbierało jej się masę roboty. Papiery i spotkania zajęły cały ranek. Jak zwykle prawie każda kobieta pojawiająca się w jej biurze albo miała ze sobą dziecko, albo zostawiła je pod opieką sąsiadki, albo też była w zaawansowanej ciąży. Tak wiele z tych kobiet nie miało oparcia w mężczyźnie, bo albo zostały porzucone, albo też nigdy go nie miały. Było to twarde życie, a jednak Jennie nie mogła się powstrzymać, by nie myśleć z goryczą, że mają one też swego rodzaju wolność; to jak żyły, nie było żadną tajemnicą, nie musiały nic wyjaśniać.

Przychodziły i wychodziły przez całe popołudnie. Lunch zjadła u siebie w gabinecie - niedobrą kanapkę, głównie z majonezem i jakiś napój, bo nie było czasu, żeby wyjść i kupić coś lepszego. Zadzwoił telefon. Przynieśli pocztę i na biurku pojawił się nowy stosik papierów. O pierwszej, kiedy Dinah wychodziła, Jennie wciąż pracowała jak szalona.

- Musisz być okropnie zmęczona - powiedziała Dinah z troską. - Może byś już poszła do domu?

- Wszystko w porządku. Pobędę tu jeszcze najwyżej z godzinę.

Chciała się zmęczyć. Chciała wrócić do domu wykończona, żeby zjeść tylko jakiś prosty posiłek, ser i owoce, a potem iść spać i nie myśleć o Arthurze Wolfe - i o nikim.

Ktoś zapukał do głównych drzwi. Jej pierwszym odruchem było nie zwracać na to uwagi i poczekać, aż ten ktoś sobie pójdzie. Pukanie stawało się natarczywe. Przyszło jej do głowy, że to może być zastraszona dziewczyna, która była już tu parę dni temu, całą szyję i ramiona pokryte miała granatowozielonymi sińcami. Mogło się zdarzyć, że jej kochanek wrócił już w innym humorze. Wstała i poszła otworzyć drzwi.

Przed nią stał dobrze ubrany mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie szary płaszcz.

- Nazywam się Robinson. Wiem, że jest późno, ale zobaczyłem, że jeszcze się *ta* świeci. Czy mogę wejść?

Był już w środku, wszedł za Jennie do jej pokoju, gdzie ślady całego dnia pracy, papiery załatwione i niezałatwione, pokrywały każdą wolną przestrzeń.

Swoją teczkę, dyplomatkę o mosiężnych klamrach, postawił na podłodze obok krzesła; zdjął z siedzenia kupkę leżących tam papierów i podał je Jennie.

- Nie ma panic przeciwko temu, abym usiadł?

Wzięła od niego papiery, myśląc przy tym: Chłodny i pewny siebie. Kto to jest?

- Ładnie tu u pani. - powiedział, rozglądając się po zabałaganionym pokoju. - I te kwiaty. Ja sam hoduję róże; takie mam hobby.

- Czym mogę panu służyć? - zapytała, teraz już ostrożna.

- Temu, kto je przysłał, bardzo musi na pani zależeć. Takie długie róże są drogie, kosztują majątek.

Kto to może być? Włoski na rękach Jennie zjeżyły się ze strachu. Zwierzę zaskoczony w swej norze wyczuwa niebezpieczeństwo. Ale gdzie jest bezpiecznie? Gdzie się ukryć?

- Pytałam pana - powiedziała, starając się panować nad głosem - czym mogę służyć. Jaką ma pan do mnie sprawę?

- Cóż, takie tam to i owo. - Uśmiechając się, odsłonił gruzłowate białe i śliskie dziąsła oraz nienaturalnie wielkie, żółte zęby.

„Duże zęby - powiedział George. - Największe zęby, jakie kiedykolwiek widziałem”.

Była jednak pewna, że nie nazywał się Robinson, chociaż teraz, w przypiływie paniki, gdy z sąsiednich pokoi wszyscy już powychodzili i na korytarzu panowała cisza, nie potrafiła przypomnieć sobie tamtego nazwiska. Zresztą nie miało to większego znaczenia. Usiłowała uspokoić własne myśli.

- Tak, właśnie to i owo - powiedział mężczyzna. Jego wy-manikiurowane palce bawiły się ręcznie szytym mankietem na drugiej ręce.

- „To i owo” nic mi nie mówi. Czy ma pan jakiś problem prawny? Ja jestem prawnikiem.

- No, o tym to wiem, prawda? Wiem też i to, że ma pani pewne doświadczenie w dziedzinie prawa o adopcji.

Jennie w zdumieniu patrzyła w wąskie, czarne oczy, przypominające oczy ukrytego w kącie gryzonia.

- O adopcji? - powtórzyła. - Raczej nie.

- Nie? A ja słyszałem, że tak.

- Zupełnie nie.

- Oj, niech pani przestanie, ja wiem lepiej. Pani jest zaskoczona. - Uśmiechnął się znowu, zęby mu błysnęły. - Ludzie słyszą różne rzeczy, wszystko się ze sobą splata. Są sposoby, żeby się dowiedzieć.

Brzęk w telefonie, mężczyzna na schodach i w świetle latarni. Ten dzień, kiedy zapomniała zamknąć drzwi...

Zaczęło rozjaśniać jej się w głowie. Poszukiwania taśmy utknęły w martwym punkcie. Do domu George'a nie mogli wejść z powodu tłumu sąsiadów; poza tym George i tak dał im do zrozumienia, że ma ją „ktoś inny”. Logicznie rzecz biorąc, powinien mieć ją Arthur Wolfe, Jay albo ona. Wszystko to przemknęło jej przez głowę w ciągu paru sekund, pod badawczym spojrzeniem zimnych, bazylijszkowych oczu.

Krótki, dotkliwy ból przeszył jej pierś. Może mieć atak serca; zdarzało się to nawet w jej wieku. A jednak się nie odezwała.

- Tak, tak. Są pewni ludzie, pewna osoba, którą zainteresowałoby z pewnością to, co pani wie o adopcji. Nawet o tym przypadku, który miał miejsce dawno temu.

Jakie to dziwne, pomyślała Jennie. Kręte ścieżki łączą się ze sobą. Peter, Jill i Zielone Moczary spotykają się i splatają u stóp

Jaya. To znaczy, byłoby tak, gdyby Jay stał nadal tam, gdzie przedtem.

- Jestem pewien, że bardzo by pani zależało, aby on się nie dowiedział. Skończyłoby się to piękne życie i przejażdżki po okolicy w jego wystrzałowym, dwuosobowym mercedesie.

A więc to ten człowiek. Samochód należał do państwa Wolfe, trzymali go u siebie na wsi. Jay woził ją nim po okolicy.

- Czego pan chce? - zapytała, zmuszając się, aby z nim rozmawiać.

- Pani wie, czego chcę.

- Gdybym wiedziała, tobym nie pytała - odpaliła zdumiona, że nie tylko jest w stanie mówić, ale nawet potrafi zdobyć się na zaczepny ton.

- Niech pani słucha, mamy na siebie nawzajem haka, więc niech pani będzie mądra i przestanie się ze mną bawić. Chcę taśmę. - A kiedy nie odpowiedziała, wychylił się z krzesła, jakby miał zamiar skoczyć do przodu. - I proszę nie pytać: „Jaką taśmę?”, teraz nie czas strugać wariata. - Przez cały czas mówił głosem przyciszonym i opanowanym.

- Nie mam żadnej taśmy. - Czowała, że dłonie pocą jej się z przerażenia. Czarne oczy patrzyły na nią teraz bez wyrazu. -Mówię prawdę, nigdy nie miałam żadnej taśmy.

Odwrócił się razem z krzesłem i popatrzył w stronę okna. W biurówcu po drugiej stronie ulicy było prawie całkiem ciemno, tylko gdzieś tam zapalały się światła, kiedy wkraczały tam ekipy sprzątające. Usiłowała przypomnieć sobie, o której godzinie zaczynają sprzątać tu, na jej piętrze, ale nie pamiętała, była tak przerażona, że nie potrafiła myśleć o niczym. Powinna być na tyle rozsądna, żeby nie zostawać sama w opustoszałym budynku.

- Szkoda tego starego, prawda? - odezwał się mężczyzna, nadal obrócony do niej tyłem.

- Jakiego starego? - odpowiedziała, udając, że nie rozumie. Odwrócił się gwałtownie, skoczył na równe nogi i stanął nad

nią, tak że cofnęła się, instynktownie chroniąc twarz przed uderzeniem.

- Jennie, Jennie, marnujesz mój czas. - Śmiał się z jej przerażenia. - W jednej chwili mogę wybić ci zęby. Jesteś mądrą dziewczynką, prawniczką, więc chyba nie muszę ci tego tłuma-

czyć. No więc, proszę, to jest moja ostateczna propozycja: oddaj mi taśmy, a ja będę milczał na temat dzieciaka i tego drugiego faceta. Czy może być coś lepszego?

- Co do dzieciaka, to może pan opowiedzieć całemu światu, nic mnie to nie obchodzi - odpowiedziała Jennie. - A co do taśm, już mówiłam, że nic o nich nie wiem. Nie mam już nic wspólnego z całą tą sprawą.

- Co to ma, do diabła, znaczyć?

- To, co powiedziałam; już nie zajmuję się tą sprawą. Zostałam zwolniona.

- Nie wierzę.

- Jeśli pozwoli mi pan wstać z krzesła, znajdę ten list. Znowu zaczynała myśleć. Zwierzę w pułapce walczy o życie.

- Nie przeszkadzam - odparł, demonstrując swój dziki uśmiech.

- Stoi pan zbyt blisko mnie, wolę uważać na swoje zęby. Zaśmiał się cicho i cofnął.

- Ma pani tupet. Lubię to u kobiety.

Drżącymi rękami przekopala stosy piętrzących się na biurku papierów, podczas gdy on stał koło niej i czekał; był tak blisko, że słyszała jego oddech. W rozpaczliwym pośpiechu rozgarniała i przewracała stosy papierów.

- Coś mi się zdaje, że pani tego nie ma. Domyślam się, że ktoś mi tu wciska kit.

- Ie się pan domyśla. To gdzieś tu jest, musi być. - Chyba że to wyrzuciłam. Czy to możliwe? Jeśli tak, to Boże miej mnie w swojej opiece.

„Myślałem, że mi zęby powybijają” - powiedział George. Ale tamten zrobił coś dużo gorszego.

- Nie będę tu czekał przez całą noc, szanowna pani.

- Wiem. Niech pan poczeka jeszcze minutę.

Cisza panująca w korytarzu na zewnątrz aż kłuła w uszy. Mówi się, że cisza dźwięczy, przypomina szum, który słyhać, kiedy przyłoży się do ucha muszlę. Albo jak krew tętniąca w żyłach.

Schyliła się. Kosz na śmieci nie został jeszcze opróżniony. Tam to powinno być. Och, tam musi być!

Chwycił ją za ramię, jego silne palce boleśnie wpiły jej się w ciało.

- Ejże! Co pani sobie wyobraża?

Jennie popchnęła kosz, aż cała jego zawartość wysypała się na podłogę. Uklękła i gorączkowo przeglądała jakieś strzępy, pogniecione ogłoszenia, podarte koperty, gazety. Proszę, proszę, niech ten list się znajdzie...

- No i jest! - List był naddarty u góry, ale całkowicie czytelny. Podała go mężczyźnie.

- Widzi pan, mówiłam. Zostałam zwolniona.

Przeczytał list uważnie, potem przyjrzał się Jennie, która usiadła, bo kolana się pod nią uginały.

- A więc nic już panią ta sprawa nie obchodzi, co? Ma to pani gdzieś? - zapytał.

Teraz pójdzie do Wolfe'ów, pomyślała. Ale ja nic na to nie mogę poradzić, będą musieli dać sobie radę, tak jak ja dałam sobie radę sama.

- Nic a nic - odpowiedziała. - Ma pan rację.

- I to, czy on się dowie o dzieciaku, też ma już pani gdzieś. Stał teraz przy niej tak blisko, że niemal dotykali się kolanami.

- A więc znowu jest pani góram?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Oczywiście, że pani wie. O ojcu dziecka. - Wyglądał na rozbawionego. - Życie rodzinne kwitnie, co?

Zęby zaczęły jej dzwonić. Znała to z książek, ale jej samej nigdy się to dotąd nie zdarzyło. To dziwne, jak szczękały i nie chciały przestać.

Mężczyzna wyciągnął rękę i dotknął jej piersi.

- Ładna z pani kobietka. Zasłoniła piersi rękami. Oderwał je.

Spojrzała na niego, usiłując zachować stanowczość i rozsądek.

- Dlaczego chce pan to zrobić? To nie jest warte tego całego zamieszania.

- Może pani zgadywać sześć razy dlaczego. Co, myślała pani, że mnie pani przechytry? Dając temu staremu głupcowi mikromagnetofon? - Trzymał ją mocno za ręce. - Ciekawe, jak by pani wyglądała ze złamanym nosem. A może z paroma cięciami na tej ślicznej buzi?

- Będę krzyczeć...

- Proszę bardzo, można krzyczeć. Kto tu panią usłyszy?

Jego zaciśnięta, twarda jak skała pięść, na której pobłyskiwał złoty sygnet, zbliżyła się do jej twarzy. Szybko wyrwała mu się i upadła, uderzając przy tym twarzą o kant biurka. Ból przeszył jej żołądek, poczuła, że zaraz zwymiotuje. Pochylił się, złapał ją za bluzkę i podniósł. Rozległ się trzask rozrywanego jedwabiu. Wściekłość wykrzywiła mu twarz, znowu widać było wielkie, śliskie zęby, przesycony zapachem tytoniu oddech był gorący, pięść znowu wzniosła się w górę...

Wtem z drugiego końca korytarza dobiegł hałas zamykanych drzwi windy, gwar głosów, stukanie ciężkich butów i brzęk wiader.

- To ci, co sprzątają! Już tu idą! - wykrzyknęła przez łyzy. W jednej chwili mężczyzna zerwał się na nogi.

- Gówno!

Złapał teczkę i płaszcz i nim Jennie wstała z podłogi, już go nie było. Była tak słaba, że musiała przytrzymać się oparcia krzesła. Wciąż stała w miejscu, poprawiając na sobie poszarpaną bluzkę, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył chłopak z wózkiem wyładowanym przyborami do sprzątania: szczotkami, miotłami, szmatami i wiadrami. Stanął i zaczął się w nią wpatrywać.

- Tamten człowiek! - wydusiła. - Zobacz tam w holu! Czy już uciekł? Chłopak potrząsnął głową. Nie rozumiał po angielsku.

Miała ochotę dziękować mu bez końca, paść przed nim na kolana. Pomyślałby, że zwariowała. Zresztą pewnie tak właśnie pomyślał.

Drżąc ciągle, z nadzieją, że zdoła utrzymać się na nogach, założyła zakiet; zebrała płaszcz, torbę i rękawiczki, i bojąc się zejść na dół, usiadła z powrotem. A jeśli on czekał na nią przed budynkiem? Ale nie, powinna myśleć logicznie; na pewno nie zacząłby się na nią na ulicy, gdzie mogła wołać o pomoc. Czy był w stanie napaść ją w domu?

Telefon miała pod ręką, ale trzęsła się tak bardzo, że nie mogła utrzymać słuchawki. Muszę pomyśleć, powiedziała na głos. Wezwać policję? Żeby wszędzie szukali mężczyzny w ciemnym płaszczu, wśród tysięcy innych mężczyzn w ciemnych płaszczach, chodzących po ulicach Nowego Jorku? To absurd! Zadzwoń do Martina? Twarz ją bolała, czuła się słaba,

potrzebowała kogoś, kto by jej powiedział, co ma robić. Jaka samotna czuła się bez Jaya! Nagle poraził ją strach. A co będzie, jeśli... jeśli ta kreatura pójdzie do mieszkania Jaya? Ta głupia i snobistyczna opiekunka może go wpuścić do środka tylko dlatego, że ma na sobie drogi płaszcz i wygląda na dżentelmena. Może być wtedy sama z dziećmi. Albo nawet, gdyby Jay tam był, a ta kanalia miała przy sobie nóż...

Tym razem drżące ręce Jennie usłuchały jej, kiedy wykręcała numer. Dzwoniła tylko, żeby ich ostrzec, po nic innego, żadnych próśb i nalegań tam, gdzie już jej nie chcieli. Dzwoni z ostrzeżeniem, postawi sprawę jasno.

W mieszkaniu nikt nie odpowiadał. Kiedy próbowała zadzwonić do biura, automatyczna sekretarka poinformowała ją, że do poniedziałku rano biuro jest nieczynne. Czy chce zostawić wiadomość? Nie. Trudno zostawić wiadomość z ostrzeżeniem przed mężczyzną o wystających, żółtych zębach.

Z kolei próbowała dodzwonić się do Martina; udało jej się złapać go w domu i wykrzyzczyć swoją historię.

- Jestem pewna, że to był ten człowiek od George'a. George miał rację, jego zęby są znakiem rozpoznawczym.

- Jeśli nie on jest mordercą, to na pewno wie, kto nim jest.

- Cóż, właściwie to powiedział. Zastanawiam się, czy to nie Fisher wykonał brudną robotę.

- Nie wiem. Obserwujemy go bardzo uważnie. W okolicy miasteczka zaszły jeszcze inne wydarzenia, o których nie mogę mówić przez telefon. A przy okazji, proszę uważać na swój telefon, dopóki nie usuniemy podsłuchu. W poniedziałek dopilnuję, żeby ktoś się tym zajął. - Na chwilę zamilkł. - Pani, jak rozumiem, nie bierze już udziału w sprawie. - Tak, to prawda. Zostałam zwolniona. - Poczwała jakby przyływ dumy - Ale nie z przyczyn zawodowych; przyczyna jest całkowicie osobistej natury.

- Tak też myślałem. Bardzo żałuję. Pani przynosi chlubę swej profesji. Jennie podziękowała; ta pochwała wywołała u niej kolejny przyływ łez.

- No, dobrze, że nic się pani nie stało. To najważniejsze. Ale miała pani ciężkie przejście i radziłbym iść do domu, wypić kieliszek szkockiej i odpocząć.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, strach z powrotem nappełnił pokój. Potrzebuję kogoś, kogokolwiek, pomyślała Jennie. Nie przyjaciół, którzy nic o tych wszystkich kłopotach nie wiedzą. Nie Jill. Nie można opierać się na takiej młodej dziewczynie ani śmiertelnie jej wystraszyć.

Ale był przecież Peter... I zadzwoniła do hotelu Waldorf-Astoria.

Sprawiał wrażenie mile zaskoczonego.

- Złapałaś mnie w ostatniej chwili. Właśnie wychodziłem na kolację z ludźmi, którzy przylecieli tu wczoraj z Chicago.

- Och. - Te słowa jakoś ją dobiły. - Och - powtórzyła z westchnieniem.

- O co chodzi? Ty płaczesz?

- Nie. Tak. - I wyłkała swoją opowieść.

- Mój Boże! Czy wezwałaś policję?

- Nie. On właściwie nic mi nie zrobił. Co ja mogę udowodnić?

- To śmieszne. Po co jest policja? Zadzwoń natychmiast.

- Ty nie rozumiesz! Ja mam z takimi sprawami do czynienia codziennie! W tym mieście oni mają mieć tysiące takich zgłoszeń na minutę. Nie będą sobie zawracać głowy czymś, co

o mało, ale jednak się nie zdarzyło. A ten człowiek... i tak znikł. - Głos jej zadrżał. - Poza tym jestem wykończona.

- Już przyjeżdżam - powiedział krótko. - Zamknij dobrze drzwi biura, dopóki nie przyjadę. Zatrzymam taksówkę na dole

i odwiozę cię do domu.

- Przecież jesteś umówiony na kolację.

- Do diabła z kolacją! Czeka tam na mnie.

- Mój telefon był na podsłuchu, wyobrażasz sobie? On wiedział o liii.

- Jennie zdjęła z siebie nie tylko podartą bluzkę, ale również spódnicę i żakiet, wszystko, co miała na sobie, jakby to było brudne. Już nigdy tego nie założy. Teraz siedziała wciśnięta w fotel, skulona i drżąca, zmarznięta nawet w swoim grubym, pikowanym szlafroku.

- Boże, gdybym nie znalazła tamtego listu! On był tak wściekły, to była zawzięta, cicha wściekłość. Ani razu nie podniósł głosu. To było niesamowite. Chwała Bogu, że go znalazłam i chwała Bogu, że on w to uwierzył. - Odkąd Peter przywiózł ją

do domu, nie przystawała mówić. Słowa lały się z niej jak woda, wypowiedane wysokim, nerwowym głosem. - Nie mieści mi się to w głowie. Ta ziemia jest taka niewinna, Peter, leżała w spokoju od niepamiętnych czasów, po prostu rosły na niej drzewa, żyły różne drobne dzikie zwierzęta, dzikie gęsi przyfruwały z Kanady. Taka niewinna! - wołała. - I nagle przychodzą dwunożne bestie i zaczynają o nią walczyć, gotowe są zabijać. Tak, bestie! Wiesz, ja już wiele widziałam. W mojej pracy niekoniecznie ma się do czynienia z tym, co miłe i słodkie, lecz dopóki samemu się tego nie przeżyje, nie wie się, do czego człowiek jest zdolny dla pieniędzy. Przemoc, o której się czyta, jest niczym, dopóki samemu nie zostanie się jej ofiarą. Och, wciąż czuję jego zapach; Peter, czy ty to rozumiesz? To była woda kolońska czy krem do golenia, od razu bym rozpoznała; to miało słodkawy zapach - prawie jak cynamon. Gdyby nie przyszli ci ludzie do sprzątnięcia... och Boże, czy myślisz... czy myślisz, że on by mnie potem zabił? A może tylko zmasakrowałby mi twarz? Coś mówił, że mi ją potnie. Był taki przypadek, pamiętasz? Och, nie mogę uwierzyć, że to mnie się zdarzyło! O takich rzeczach czyta się tylko w gazetach. - Kołysała się, otoczywszy kolana ramionami; w fotelu wydawała się teraz malutka. Deszcz zagrzechotał o okna i tak ich oboje zdumiał, że aż rozejrzeli się wokoło.

- To nic - powiedział Peter. - To tylko, paskudna zimowa noc, okna są od północy - Wydawał się potężny i spokojny. - Nikt tu nie wejdzie, Jennie. Drzwi są zamknięte, również na zasuwę.

Musiała się uśmiechnąć.

- Dziękuję ci za to, że czytasz w moich myślach. - Kiedy był przy niej, czuła się bezpieczna. To już po raz drugi. - Jesteś dla mnie bardzo dobry - dodała.

Peter ze smutkiem zmarszczył brwi.

- Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję chwili, kiedy mi powiesz, że jestem dla ciebie dobry.

- Nie chodziło mi o wtedy. Mówię o tym, co teraz. O ostatnich kilku dniach i o tej chwili. Teraz pomagasz mi to przetrwać.

- Zostanę na noc; nie mam zamiaru zostawić cię samej. Podniosła wzrok i napotkała jego zboląłą i zakłopotaną minę.

Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, potem zamknął usta, odwrócił oczy i dopiero po chwili zaczął mówić.

- Jeszcze nie powiedziałem ci wszystkiego na temat winy, którą odczuwam.

- Owszem, powiedziałaś. Przestań już bić się w piersi, nie trzeba.

On jednak nie dał sobie przerwać.

- Powinienem być z tobą po jej urodzeniu, czy tego chciałaś, czy nie.

Powstrzymał ją, kiedy uniosła rękę, żeby zaprotestować.

- Nie przerywaj mi. Tak, powinienem. Chcę, żebyś o tym wiedziała. I myślałem też o dziecku, ale ty jasno postawiłaś sprawę, że nie chcesz mieć już ze mną nic wspólnego...

Przerwała mu, nie chcąc już słyszeć ani słowa więcej.

- To prawda. Tak było. Więc teraz, od nowa...

- Bo chcę się uwolnić. O to chodzi. Może to samolubne z mojej strony, nie wiem, ale nosiłem to w sobie przez tyle lat, odpychałem od siebie, usiłując zapomnieć, zanegować i teraz chcę, muszę, Jennie, muszę to wszystko powiedzieć.

Sprawy zmagazynowane w sobie, odepchnięte, spychane w zapomnienie. I Jennie powiedziała bardzo cicho:

- Przypuszczam, że i ja cię zraniłam.

Zrobił dłonią gest wyrażający smutną rezygnację.

- To jest jak drobne zadrapanie w porównaniu z uderzeniem potężnym młotem. Kiedyś próbowałem sam się przed sobą tłumaczyć, że byłem wtedy bardzo młody, ale to nie jest dostateczna wymówka. To nie wystarczy.

Światło lampy padało na jego pochyloną głowę i splecione ręce, podkreślając smutek i skruchę. Było coś znajomego w tej jego postawie. Musiała przez parę minut szukać w pamięci, zanim sobie przypomniała, kiedy go takim widziała. W pewnej chwili, spośród niewyraźnych, umykających obrazów, jeden powrócił z nagłą, zaskakującą jasnością: ostatniego wieczoru, przed jej odlotem do Nebraski, siedział dokładnie w tej samej pozycji, na brzegu łóżka w obskurnym motelu i oglądał telewizję.

- Jennie? Nie wydaje się wcale, że to już dziewiętnaście lat, prawda? To znaczy, że ja wcale nie czuję między nami żadnej obcości, chociaż się tego spodziewałem. A ty?

- Chyba też nie - odpowiedziała, patrząc w inną stronę, jakby chciała uciec przed dociekliwym pytaniem.

- Dobrze nam było ze sobą, dopóki to trwało, prawda? -W jego głosie pobrzmiwała jakaś nadzieja, pragnienie potwierdzenia.

- To prawda.

Poczuła przyływ smutku na myśl o stracie, jakiej doznali. Czy tym właśnie było życie, ciągłym godzeniem się ze stratami? Tkwiąca w niej optymistka odpędziła tę myśl: życie musi być czymś więcej, jest czymś więcej. Lecz smutek jej nie opuścił.

- Chcesz tabletkę nasenną? - zapytał Peter.

- Nigdy ich nie biorę. - Zabrzmiało to dzielnie.

- Sądziłem, że po dzisiejszym dniu możesz czegoś takiego potrzebować.

- Nie, ale chyba chcę się już położyć. Czy na pewno chcesz tu zostać?

- Na pewno.

Jego zdecydowanie sprawiło jej przyjemność. Pozornie mogła wydawać się dzielna, a jednak dobrze było nie być samą. To nienaturalne, kiedy ktoś śpi sam; nawet pies chce mieć kogoś w pobliżu, czuć w nocy czyjąś obecność.

- Przyniosę koce. Przepraszam, ale jest tylko sofa.

- Znakomicie.

Kiedy skulił się na boku, żeby zademonstrować jej, jak się mieści, kolana miał prawie pod brodą.

- Konus - powiedziała Jennie, patrząc na niego z góry i chichocząc. - Tata pytał mnie, dlaczego nazywają cię Konus, a ja mu powiedziałam, że dlatego, bo masz prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Wymęczysz się tylko na tej sofie. Wracaj lepiej do hotelu.

- Nie mam zamiaru. Nie po tym, co ci się zdarzyło dwie godziny temu.

Przez chwilę się nad czymś zastanowiła. Jej łóżko, niegdyś z zapasowej sypialni w domu jej rodziców w Baltimore, było olbrzymie. Troje obcych ludzi mogło na nim spać, nawet się nawzajem nie dotykając. Powiedziała więc z pewnym wahaniem:

- Jeśli chcesz, możesz spać na moim łóżku, z drugiej strony.

To byłoby śmieszne, gdybyś musiał się kulić na sofie. I tak byś nie zasnął.

- Jeśli naprawdę mi to proponujesz, zgadzam się. - Usiadł, udając, że się krzywi. - Tu rzeczywiście jest dosyć ciasno.

- No to ustalone. Ja zgaszę światło, a ty po prostu wejdź do łóżka, kiedy będziesz gotowy.

- W porządku.

Przez długi czas nie mogła usnąć, zmagając się z natrętnym wspomnieniem pogardliwego spojrzenia i brutalnych rąk tamtej kreatury, usiłując wymazać z pamięci ohydny obraz tego, co się zdarzyło, co się prawie zdarzyło, co zdarzyłoby się, gdyby... gdyby...

Poprzez żaluzje sączył się do pokoju poblask nocy, tak że Jennie widziała zarys pleców Petera, leżącego nieruchomo na boku. Jay posądził mnie, że z nim śpię, kiedy tak nie było, a teraz naprawdę z nim śpię, pomyślała ze smutkiem. Ostatni raz spaliśmy ze sobą w motelu, tyle lat temu. Wtedy też leżeliśmy daleko od siebie, ale z innego powodu. On bał się mnie dotknąć, chyba dlatego, że byłam w ciąży, a może czuł wstręt do tego, co miałam w brzuchu. Ile gorczy kryła w sobie tamta noc!

Był jednak czas, kiedy pragnęliśmy się nawzajem i liczyliśmy godziny od weekendu do weekendu. Od jednej piątkowej nocy do następnej dzieliło nas sto sześćdziesiąt osiem godzin. Kiedy w ciągu tygodnia spotykaliśmy się w przelocie, nasze oczy mówiły o tym, co pamiętały i czego oczekiwały.

Jakie piękne były ich wspólne początki! Przez cały rok grzało ich uczucie świeże jak wiosna i przepojone wiosennym światłem. A jak żywiołowo i młodzieńczo potrafili się śmiać. Teraz Jennie zastanawiała się, czy gdyby ich małżeństwo nie zostało udaremnione, trwałoby do dzisiaj? Czy umieliby zachować tę czułość i wesołość.

Ale wtedy w jej życiu nie byłoby Jaya. Dziwna myśl. Nie poznałaby wcale jego czułości, jego łagodnej mądrości, jego szczególnego wdzięku. Ani by go nie знаła, ani by go nie straciła. Dziwne.

Zaszeleściły prześcieradła i Peter się odwrócił.

- Wyciągnij rękę.

Łóżko było tak szerokie, że kiedy oboje wyciągnęli ręce, ledwie dotykali się palcami.

- Chciałem tylko powiedzieć ci dobranoc. Miłych snów, Jennie. Postaraj się nie myśleć o dzisiejszym dniu, jeśli możesz.

Jego głos i lekkie dotknięcie stanowiły dla niej pocieszenie. To, że słyszała jego oddech, działało na nią kojąco. Jesteś bezpieczna, przekonywała samą siebie; nie jesteś sama. Odgłos ruchu ulicznego dobiegał do niej teraz jako jednostajny szmer. Czuła, że odpływa...

I zaczęła śnić. Ktoś ją obejmował, otaczały ją kochające, czułe ramiona; mówiła przy tym: tak, masz teraz taki piękny sen, więc nie będziesz myśleć, jak przerażającą bronią może być seks. Więc śnij dalej, nie budź się, to jest wspaniałe, cudowne.

Była na wpół obudzona. Ktoś ją całował, a ona odwzajemniała jego pocałunki.

- Kochanie - mówił Jay

Usłyszała jeszcze: „Tak, tak, nie powstrzymuj mnie”, i w tym momencie oprzytomniała zupełnie.

- Na miłość boską, Peter, co ty robisz? - wykrzyknęła przestraszona i usiadła, chcąc wysunąć się z łóżka.

- Obejmuję cię już od dziesięciu minut. Sama tego chciałaś - powiedział po prostu.

- Ty nie rozumiesz, mnie się to śniło - odpowiedziała, chowając twarz w dłoniach.

- Wiem. Mnie też się śniło. Śniło mi się, że chcesz, żeby cię kochać.

- To był głupi pomysł. - Wargi jej drżały. - To ja powinnam była spać na sofie, świetnie bym się tam zmieściła.

Zapaliła nocną lampkę. Oczy Petera, wielkie i opalizujące, o lawendowym odcieniu, wyrażały teraz strach i wstyd.

- Czy to był sen, czy nie, chciałaś być kochana.

- Tak - odpowiedziała żałośnie.

- Ale nie przeze mnie.

Nie potrafiła zdobyć się na odpowiedź, ale Peter nie ustępował:

- Nadal przez niego?

- Zadajesz za dużo pytań. Nie umiem odpowiedzieć; nie wiem.

A jednak wiedziała. We śnie leżała u boku Jaya, to jego twarz widziała i jego wypowiadała imię. I nagle z całą ostrością zro-

zumiała, że nie jest gotowa kochać kogokolwiek innego. Czy kiedykolwiek będzie do tego zdolna?

Światło lampki padało na dywan, na zmiętoszony koc i na zmieszana, rozgrzaną twarz Petera.

- Jeszcze tylko jedno pytanie - poprosił. - Czy jesteś na mnie wściekła?

Była boleśnie zmieszana. Nie miał prawa myśleć, że ona... a jednak śpiąc, czy też na wpół śpiąc, leżała w jego ramionach jak w ciepłej, zacisznej grocie. Zrozumiała, że Peter ma poczucie, iż wzgardziła jego męskością i było jej przykro.

- Nadal jesteś jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek znałam - powiedziała delikatnie.

- Dziękuję, ale nie musisz tego mówić. Mówisz tak dlatego, bo uważasz, że mnie zraniłaś.

- Nie zmienia to faktu, że naprawdę tak jest. Wciąż jesteś jednym z najprzystojniejszych mężczyzn.

Nagle ze łzami w oczach uświadomiła sobie całą absurdalność tej sytuacji, rozgrywającej się tu sceny, obrazka, który razem tworzyli; było to przejmujące wrażenie.

Peter powiedział:

- Idę na sofę, a ty wracaj do łóżka.

- Jestem zupełnie obudzona, już nie usnę.

Poszła za nim do drugiego pokoju. Zdążyło się tam zrobić chłodno, bo ogrzewanie przykręciła na noc. Wiatr nadal bił w szyby. Usiedli naprzeciw siebie; on owinięty w koc, ona otulona pikowanym szlafrokiem. Po minucie Peter przerwał milczenie.

- To on zaangażował cię do tej sprawy o ziemię, prawda?

- On?

- Jeśli chcesz, możemy nazywać go Tom; tak samo dobre imię jak każde inne. I dlatego zostałaś teraz zwolniona.

- Tak. Po co do tego wracać?

- Byłem tylko ciekawy. W każdym razie to nawet lepiej, że już nie bierzesz w tym udziału. Sprawa zrobiła się brzydka i niebezpieczna.

- Aleja chciałam ją wygrać. Włożyłam w nią dużo serca.

- Będą inne sprawy. I inni ludzie - dodał po chwili przerwy.

- Nie wiem.

- Ale zdarzało się to przez te lata.

- Inne sprawy czy inni ludzie?
- Miałem na myśli innych ludzi, mężczyzn.
- Tak, ale tym razem było inaczej.
- Czy nie zawsze tak się wydaje? Jennie uśmiechnęła się lekko.
- Czasami jest to prawda. Ktoś umiera albo... odchodzi i ten drugi już nigdy nie będzie taki sam.

Peter spojrział na nią poważnie, a ona odwzajemniła spojrzenie. Powiedział powoli:

- Tak, jeśli jakaś kobieta potrafi tak kochać, to właśnie ty. - I westchnął.

Wyczuła, że są sprawy, o których powinni porozmawiać. Może on naprawdę miał nadzieję, że uda im się zatoczyć pełne koło; czy Jill nie powiedziała, że to byłoby tak „porządnie”? I że ma takie „odczucie”?

Znowu odezwał się Peter:

- Mogę ci teraz powiedzieć, że w ciągu ostatnich dni przychodziły mi do głowy różne zaskakujące myśli. Powinienem był wiedzieć, że to mrzonki. Czy chcesz usłyszeć, co to były za myśli?

- Oczywiście.

- No więc dobrze. Naturalnie nie oczekiwałem natychmiast żadnego cudu, myślałem jednak, że może tak chce los i coś sprawi, że za jakiś długi czas znów będziemy razem. Na pewno wiesz, że nie jestem przesądny, ale naprawdę widziałem pewną prawidłowość w tym, że tak ułożyły się sprawy z Jill i że my oboje zdołaliśmy spotkać się bez gniewu. Tylko że ty nie chcesz. - Wydał westchnienie żalu.

- Peter... ja wewnątrz jestem jakby martwa, czy ty tego nie rozumiesz?

- Nie, to nieprawda. Jesteś żywa i bardzo cierpisz. I nie zasłużyłaś na to.

Nie odpowiedziała. Czekał przez chwilę, potem zapytał cicho, prawie szeptem:

- Nie chcesz o nim mówić?
- Nie. Nauczyłam się czegoś. Co jest skończone, to jest skończone.
- Uderzyło mnie tylko... jakie to dziwne, że za jednym i za

drugim razem w twoim życiu to Jill stała się przyczyną zerwania! Wtedy ze mną, a teraz z nim.

- W bardzo różny sposób, Peter.

- To prawda. Ale ty powinnaś wyjść za mąż - rzucił gwałtownie. - Już czas.

Rozbawiła ją jego porywczność. Uśmiechnęła się.

- Tak myślisz? A co z tobą?

- Ja byłem żonaty. Trzy razy. - Odwrócił się, jakby chciał ukryć zakłopotanie. - To cię dziwi prawda?

- Trochę.

- Mój bilans nie jest imponujący Nie ma powodów do dumy ani nic, o czym łatwo byłoby mówić.

- W taki razie nie mów - odpowiedziała, czując dla niego litość po tym wyznaniu.

- Nigdy o tym nie opowiadam, ale z jakiegoś powodu chciałbym, żebyś ty wiedziała. - Odetchnął głęboko. - Pierwsza była przyjaciółka mojej siostry, ta, która przyjechała z wizytą tamtego weekendu.

Ta smarkuła siedząca na łóżku, kiedy ja przymierzałam tę idiotyczną sukienkę, przypomniała sobie Jennie.

- Pobraliśmy się w dzień po moim dyplomie. Ona miała lat siedemnaście i pół. Nigdy nie mieliśmy o czym ze sobą rozmawiać. Nudziłem ją, bo zacząłem dalsze studia.

- Co, u licha, sprawiło, że się z nią ożeniłeś?

- Wyrosła na piękność. No i rodziny... Sam nie wiem. Zawsze jakoś tak się składało, że byliśmy razem.

- Rozumiem. - Rodzinne zabiegi, poszturchiwanie łokciami, uśmiechy, aluzje, kolacyjki i po mistrzowsku zaaranżowane pikniki. - Rozumiem. - Nie wytrzymałyśmy ze sobą nawet dwóch lat.

- Nie mieliście dzieci?

- Wielki Boże, nie. Potem była bardzo zdolna dziewczyna z Alabamy; pochodziła ze wsi, miała stypendium na uniwersytecie Emory. Moja matka i ona nie mogły się ze sobą dogadać. Nienawidziła mojej rodziny i nie starała się tego ukryć. I muszę przyznać, że moja matka też nie darzyła jej sympatią.

Wyobrażam sobie, pomyślała Jennie. Przeszedł ją dreszcz, jakby znowu siedziała w tym wielkim pokoju, pod dostojnymi portretami wiszącymi na ścianach.

- W rezultacie trudno było to wytrzymać.

To też mogła sobie wyobrazić: Peter wzięty w dwa ognie przez dwie kobiety, podczas gdy tak naprawdę ten szczerzy chłopak pragnął tylko jednego - spokoju.

- To nie miało szans. Wiesz, ja wciąż mam silne poczucie lojalności wobec rodziny, chociaż nie zawsze się z nimi zgadzam.

Jennie wiedziała. Po co zajmować stanowisko wobec Wietnamu? Lepiej, jak posłuchasz i udasz, że się z nimi zgadzasz. Tak jest porządnie, w ten sposób będzie milej.

- Ona nie chciała po studiach mieszkać w Atlancie, a ja tak. I tak się skończyło. Zabawna rzecz, że ja i tak parę miesięcy potem wyjechałem do Chicago. Więc to był numer dwa. - Przerwał. - Jesteś wstrząśnięta? Czujesz do mnie wstręt?

- Ani jedno, ani drugie.

Poruszyło ją to przyznanie się do klęski i jego otwartość. Nie zatracił dotąd swej szczerzej prostoduszności. Dla kontrastu, przez jedną ulotną chwilę, przywiodło jej to na myśl Jaya i jego rozważny sposób bycia; Jay zawsze zachowywał się powściągliwie, bez względu na to, jak mocno coś przeżywał.

- A co się stało z żoną numer trzy?

Jak wicher, który jednym nagłym porywem zatrzaskuje szeroko otwarte drzwi, tak twarz Petera nagle pociemniała. Chwilę trwało, zanim odpowiedział.

- To była Alice - rzekł. - Umarła. - I wtedy, jakby drzwi znów otworzyły się na oścież, zaczął prawie krzyczeć. - Ona była cudowna, Jennie, naprawdę cudowna. Urodziła mi synka. Tyle frajdy mieliśmy razem, we trójkę. Jej rodzice wzięli go do siebie po tym... po tym, jak ona odeszła. Tęsknię za nim, tęsknię za nią... Cóż, trzeba jakoś żyć, prawda? W każdym razie należy się starać.

Wykrztusiła:

- Peter, tak mi przykro. - Nic więcej nie była w stanie powiedzieć.

Rzucił jej dziwne, zagadkowe spojrzenie, smutne, bolesne, a jednak zabarwione pewną domieszką humoru.

- Coś ci powiem; ona była bardzo podobna do ciebie. Pełna ideałów i energii. Nawet z wyglądu trochę cię przypominała.

Jennie z trudem znajdowała słowa; powiedziała tylko:

- Dziękuję, Peter.

Była niezwykle poruszona hołdem, jaki jej składał, i zasmucona jego opowieścią. Może Alice byłaby tą, która by z nim wytrzymała? A jednak, z drugiej strony, po dwóch nieudanych próbach, skoro on wciąż był synkiem swojej mamusi, ten związek także mógł się nie udać. Związki między ludźmi są tak skomplikowane i tak zawiłe są mechanizmy ich powstawania. Nie miała dostatecznej wiedzy, aby móc się w tym rozeznaczyć. Jednak co do dwóch rzeczy nie miała teraz wątpliwości: że Peter jest dobrym człowiekiem i że nie jest on dla niej, bez względu na to, co myśli Jill czy on sam.

- Wyglądasz na zmartwioną - zauważył z niepokojem. - Nie powinienem być zrzucać na ciebie własnych problemów.

- Przestań! - zaprotestowała. - Po tym wszystkim, co w ostatnim tygodniu zważyło się na ciebie? Myślę i mam nadzieję, że zdarzy ci się coś bardzo dobrego.

- Och, masę dobrych rzeczy już mi się zdarzyło! Nie wolno ci myśleć, że ja przez cały czas uzalam się nad własnym życiem. Lubię miejsce, w którym mieszkam, mam wielu przyjaciół i zajmuję się czymś, co zawsze chciałem robić. Poza tym, chociaż przypuszczam, że to zabrzmiało zbyt zarozumiale, muszę przyznać, że zdobyłem już sobie dość głośne nazwisko.

- Wiem. Jill mówiła mi, że jesteś sławny. Jej ojciec jest archeologiem amatorem i od czasu, kiedy mu o tobie powiedziała, wyszukuje rozmaite informacje na twój temat.

- Wydaje się, że to bardzo porządni ludzie.

- Bo tak jest. Wystarczy spojrzeć na Jill, aby się o tym przekonać.

- A czy ty i ja nie stanowimy też dla niej pewnej gwarancji? Nie bądźmy tacy skromni. - Peter się roześmiał.

- No tak, oczywiście.

Jennie poczuła się nagle bardzo zmęczona. Ten niesamowity dzień, który zaczął się gorzkim rozczarowaniem, potem poraził ją przemocą, a zakończył się nieporozumieniem w kwestii marzeń i snów - przytłoczył ją.

- Jest późno. - Wstała. - Tym razem ty kładź się do łóżka, a ja będę spać tutaj; dla mnie sofa jest w sam raz.

- Boisz się spróbować jeszcze raz? Nie ufasz mi?

- To nie o to chodzi. Po prostu uważam, że tak będzie lepiej. Dobranoc. - Pocałowała go w policzek.

Obudziła się dość późno; Petera już nie było, spostrzegła, że łóżko jest zasłane. Zostawił jej karteczkę z napisem: „Od tej pory bądź w biurze bardzo ostrożna”. W domu też dobrze zamykaj drzwi. Zadzwonię jeszcze do ciebie przed odlotem do Chicago.

Po chwili, aby się rozruszać, zajęła się różnymi porannymi czynnościami, posprzątała w kuchni, umyła włosy. Miała też akta do przeczytania, roboty na cały dzień.

Tuż przed południem Shirley zawołała do niej przez drzwi.

- Hej! Jesteś tam?

Jennie zauważyła, że Shirley ma w uszach duże ozdobne koła i najwyraźniej gdzieś się wybiera. Pochwyciła też szybkie, badawcze spojrzenie Shirley, którym ta obrzuciła jej mieszkanie.

- Masz ochotę na lunch i kino po południu? Umówiłam się z dziewczynami.

- Dzięki, ale nie mogę. Mam całą furę zaległej roboty. Shirley przysiadła na krawędzi krzesła i poskarżyła się:

- Tak tajemniczo się ostatnio zachowujesz. Prawdę mówiąc, martwię się o ciebie.

- Wcale nie chcę zachowywać się tajemniczo.

Jennie przekładała papiery na biurku, pragnąc w duchu, żeby Shirley już sobie poszła.

- Wielki Boże, co ci się stało z twarzą? Siniec na jej policzku zaczął być widoczny.

- W nocy musiałam wstać i wpadłam na drzwi do łazienki. Przyjaciółka uniosła brwi z niedowierzaniem i odczekała chwilę, jakby się zastanawiała, czy warto się wtrącać.

- Jennie... Co zaszło między tobą a Jayem? Czuję, że wsadzam nos w nie swoje sprawy, ale w końcu znamy się już ładnych parę lat i nic nie poradzę, że mnie to obchodzi.

Pomimo wszelkich postanowień, żeby się nie rozklejać, z oczu Jennie trysnęły łzy. Pochyliła się nad papierami i nie odpowiadała.

- Och, tak mi przykro - zaczęła Shirley. - Nie chciałam...

- Po prostu nie bądź taka uprzejma i nie lituj się nade mną. To tylko pogarsza sprawę.

Shirley momentalnie zerwała się na nogi.

- Wiem. Już nie będę. Pamiętaj tylko, że jeśli kiedykolwiek będziesz chciała o tym porozmawiać, gdyby się tak zdarzyło, to masz mnie.

- Kiedyś ci opowiem, ale na razie muszę się nauczyć z tym żyć.

Dłuższy czas po tym, jak drzwi się zamknęły, Jennie siedziała z głową opartą o biurko. Jak poradzić sobie z takim bólem? Trzeba go wytrzymać, nie ma innego wyjścia. Więc z zaciśniętymi zębami i z dłońmi zwiniętymi w pięści pokonała go, przynajmniej na chwilę, i wróciła do swych papierów. Spokojnie studiowała jeden dokument za drugim, robiła notatki; przerwała tylko po to, żeby zrobić sobie kolację; tosta i jajka. Potem znów wróciła do pracy, którą przerwał tuż przed dziewiątą telefon od Jill.

- Jak się masz? - zapytała Jill. Jennie poczuła radość.

- Świetnie. A ty? Co się stało, że dzwonisz do mnie w sobotę wieczorem? Powinnaś gdzieś wyjść, rozerwać się.

- Ojciec mojego chłopaka został zabrany do szpitala dziś po południu, więc jestem teraz w akademiku. - Jill ściszyła głos. - Peter dzwonił i powiedział mi, co ci się wczoraj przydarzyło. Jakie to straszne i podłe! Takich ludzi powinno się zabijać.

- Niestety, prawo nie działa w ten sposób. Ale nic mi się nie stało; miałam szczęście.

- Czy czujesz się dość dobrze, żeby o czymś porozmawiać?

- Oczywiście. A o czym?

- No więc, udało mi się dostać jutrzejszą gazetę i jest w niej artykuł na temat terenu zwanego Zielonymi Moczarami, na północy stanu. To ta twoja sprawa, prawda?

Nie było już powodu do konspiracji, więc Jennie odparła wprost:

- Chcesz powiedzieć, że to była moja sprawa. Zostałam zwolniona.

- Peter mówił mi o tym. Musisz czuć się bardzo dotknięta, włożyłaś w to tyle pracy.

- Najbardziej bolesne jest to, że, jak się obawiam, firma budowlana postawi na swoim.

- Czy nic już nie możesz zrobić?

- Nic. Nie jestem mieszkańcem, nie płacę w tym miasteczku podatków.

- Nie zgadzam się. Jesteś obywatelką amerykańską prawda? Tego rodzaju protesty słycać w całym kraju. Możesz iść, gdzie chcesz, i przemawiać. Nie ma powodu, żebyś nie pojechała na to spotkanie i powiedziała, co myślisz.

Jill przemawiała z tak olbrzymim przejęciem, że Jennie bez trudu mogła wyobrazić sobie zamaszysty gest, jakim odrzucała do tyłu włosy, widziała pionowe zmarszczki skupienia na czole, błysk w oczach. To wszystko kontrastowało z jej własnym znużeniem.

- Straciłam energię - odpowiedziała.

- Boisz się po tym, co zdarzyło się wczoraj? Przecież na publicznym zebraniu będziesz bezpieczna.

Podejrzenie, że mogłaby się bać, uraziło jej dumę lub jak sądziła, jej fałszywą dumę, więc odpowiedziała krótko:

- To nie jest przyczyna; po prostu straciłam już do tego serce.

- Nie wolno ci tracić serca, zaszłaś tak daleko - upierała się Jill. - Czy chcesz teraz przegrać?

- To już nie jest moja walka.

- To jest twoja walka, mówiłam ci! Ta walka dotyczy nas wszystkich. Moi rodzice jeżdżą po całym południowym zachodzie, chodzą na wszystkie spotkania, piszą do swoich senatorów, nigdy się nie poddają.

Jennie przypomniała sobie, co powiedziała Martha Cromwell: Ty jesteś czarodziejką, Jennie.

Jej apel, który jako prawniczka już przygotowała, wywołałby wrażenie. Trafiałby prosto do serc i sumień tych wszystkich, którzy serca i sumienia mieli.

- Jeśli zgodzisz się to zrobić, pojedę z tobą - zaproponowała Jill.

Ta zaskakująca propozycja nie od razu do niej dotarła.

- Pojedziesz ze mną?

- Oczywiście, że chcę z tobą pojechać. Mogę sobie pozwolić na to, żeby się urwać z paru zajęć.

Jesteś czarodziejką, Jennie.

To był szalony pomysł. A z drugiej strony, może nie był aż tak szalony. Jako osoba prywatna mogła wypowiedzieć się znacznie pełniej, niż mogłaby to zrobić jako prawnik. Zaczęła

odczuwać narastające podniecenie. Było w tym przedsięwzięciu coś teatralnego.

- Jennie? Zastanawiasz się nad tym?

- To może być interesujące — przyznała powoli.

- Będzie z pewnością! Więc zrobisz to?

W tej chwili przyszła jej do głowy inna przyjemna myśl: to jest okazja, by zademonstrować córce, co potrafi. Po raz pierwszy to słowo pojawiło się w jej myśli naturalnie, w sposób niczym nieskrępowany: córka.

- Cóż, warto się nad tym zastanowić. Niech pomyślę. Mogłabym wynająć samochód. Musiałybyśmy wyjechać najpóźniej o trzeciej. Będziesz mogła?

- Jeśli będzie trzeba, to i wcześniej.

- O trzeciej wystarczy.

Nagle wstąpił w nią duch przygody. Częścią umysłu, obserwując się jakby z zewnątrz, pojmowała, że tego właśnie potrzebuje. To popchnie ją naprzód, do krainy żywych.

Podjęcie tego wyzwania roznieciło w niej jakiś ogień: Słuchaj, było życie przed Jayem, będzie i po nim. Musi być. Niech idzie do diabła.

- W porządku. Czekaj na mnie przy głównym wejściu, na Broadwayu.

14

W niedzielę wygładziła i doszlifowała swoje krótkie notatki. Występując już tylko jako obywatel, nie zaś jako prawnik, musiała mówić szybko, póki ktoś jej nie przerwie. Musi przedstawiać swe argumenty jasno, bez zbytecznej elokwencji. Była zatopiona w pracy, kiedy zadzwonił Peter, by się z nią pożegnać.

- Ucieszyłem się na wiadomość o twojej planowanej wyprawie z Jill.

- To był jej pomysł, ona mnie namówiła.

- Coś mi się zdaje, że zaczynacie się ze sobą całkiem dobrze dogadywać.

- Mam nadzieję. Też mi się tak wydaje.

- A więc jednak coś dobrego z tego wyszło, prawda? Mam

nadzieję, że to chociaż trochę zrekompensuje wszystko inne, Jennie. - A kiedy milczała, nie wiedząc, co odpowiedzieć, dodał bardziej radośnie: - Ja tu jeszcze przyjadę. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

- Nie staram się ciebie pozbyć - odpowiedziała i tak było rzeczywiście.

Przeszły korytarzem, gdzie unosiła się woń płynu do mycia; mijaly drzwi oznaczone napisami: Wydział Zdrowia, Pozwolenia na Hodowlę Psów, Wydział Policji, Przestępstwa Drogowe, Poborca Podatkowy. Wkroczyły do sali sądowej, gdzie na podwyższeniu, obok stojaka z flagą amerykańską, siedziała rada miejska.

Mężczyzna stojący pod tylną ścianą dotknął ręki Jennie i rozpoznała w nim Jerry'ego Briana, tego, który zainstalował u George'a mikromagnetofon. Był w cywilnym ubraniu.

- Wciąż jest pani zainteresowana sprawą? - zapytał.

- Dlatego ta jestem.

- Tak myślałem, że może pani przyjedzie. - I odciągając ją na bok, wyszeptał: - Nie uwierzy pani, ale już zaczynamy mieć przewagę.

- Tak szybko?

- Szef pracował w dzień i w nocy. To przedsiębiorstwo ma kiepską opinię. Różne ciemne powiązania.

- Chodzi o firmę Barkera?

- Tak. Ich prowodyr budował w Kalifornii pod innym nazwiskiem, wpadł w tarapaty, jakoś się wykaraskał, potem przyjechał na wschód i zaczął udawać przyzwoitego człowieka.

Jennie wydała słaby, cichy gwizd.

- Co to były za tarapaty?

- Bomba w czyimś samochodzie. Było to związane z tym, że chcieli kupić jakiś teren, a właściciel nie chciał sprzedać. Martin twierdzi, że nie dało się tego udowodnić, ale i tak wszyscy wiedzieli.

- A czy teraz można im coś udowodnić? W sprawie George'a?

- Martin sądzi, że tak. Ale niech pani pamięta, że ja wszystkiego nie wiem. Dziś wieczorem jestem tu po to, żeby uważać, co w trawie piszczy, kto przyszedł. Co nie oznacza, że spodziewamy się tu pana Zębatego we własnej osobie. - Nawet

w tym ciemnym kącie Jennie zauważyła, że młody człowiek się uśmiechnął. - Słyszałem, że szczęśliwie udało się pani wywinąć mu z rąk.

- Tak było. A ten drań Fisher? Macie coś na niego?

- Nie. Wiadomo tylko, że to drań. Drobną rybką; zdarzyło się, że ma kawałek ziemi, którą chce sprzedać, dlatego wszelkie sprzeciwy doprowadzają go do szału.

- Mogłabym przysiąc, że maczał w tym palce. Ale może, mimo wszystko, nie jestem dość sprytna.

- Jest pani zupełnie wystarczająco sprytna. Proszę popatrzeć, sala się zapełnia. Lepiej niech pani zajmie miejsce.

Potężny tłum zdążył już zająć większość krzeseł. Jennie wypatrywała z tyłu, czy nie dojrzy gdzieś dwóch wolnych miejsc obok siebie. Przebiegając wzrokiem zebranych, dostrzegła na podium kilka znajomych twarzy, a rozglądając się po obu stronach sali, zauważyła siwe głowy Enid i Arthura Wolfe. Byli sami, czego należało się spodziewać, bo Jay raczej nie poświęciłby dnia pracy w biurze czy na sali sądu federalnego, aby przyjechać tu dziś wieczorem. Ich głowy odwróciły się tylko na mgnienie oka, lecz Jennie była pewna, że ją widzieli. Z Jill u boku przededefilowała aż do trzeciego rzędu, gdzie były dwa wolne miejsca. Jeśli chcą się do mnie odezwać, myślała Jennie wojowniczo, to teraz mają okazję. A gdyby się zastanawiali, kim jest ta piękna młoda dama, która jest ze mną mogę im to po prostu powiedzieć. Właśnie przed minutą tak postanowiłam. Jednak państwo Wolfe nie uczynili żadnego ruchu. Co też Jay musiał im naopowiadać! Wyobrażała sobie ich rozszerzone w zdumieniu oczy, ich przerażenie. I zobaczyła ich w kuchni -zasłony w niebiesko-białą kratkę, fiołki afrykańskie w czerwonych porcelanowych doniczkach, pies u stóp - jak siedzą razem przy wieczornej herbacie i cieście. Pewnie trzęśli głowami, współczując sobie nawzajem i nie mogąc się nadziwić: Była przecież taka uczciwa, taka szczerą i otwarta!

Jej pewność siebie znikła równie szybko, jak się pojawiła. Nie trzeba było tu przyjeżdżać i rozdrapywać ran. Najrozsądniej byłoby odwrócić się na pięcie i natychmiast wracać do domu. Niech kto inny walczy o Zielone Moczary, niech zwycięży albo przegra. Ale to byłoby dla niej upokorzenie wobec Jill. Czy nie przyjechała tu po części po to, aby się przed nią popisać?

Czekając na swoją kolej, Jennie musiała wytrzymać całe rutynowe postępowanie: deklaracja lojalności, odczytanie protokołu z poprzedniego zebrania, wszystkie techniczne sprawozdania. Znowy wynikł spór pomiędzy prawnikami. Młody człowiek, reprezentujący Barkera, powtórzył argumenty, które przedstawiał poprzednio, starając się przekonać słuchaczy o korzyściach, jakie firma Barkera zapewni miasteczku. Zastanawiała się, czy ten ujmujący, szacownie wyglądający dżentelmen o szczerym, bezpośrednim sposobie bycia może pozostawać w jakichś relacjach z Robinsonem, znanym też jako Harry Cor-rin, i uznała, że prawdopodobnie nie, gdyż w przedsiębiorstwach takich jak firma Barkera wskazane jest raczej, aby nie wiedziała prawica, co czyni lewica.

Zmęczony prawnik w średnim wieku, który zastąpił Jennie, był słabym przeciwnikiem dla tamtego. Monotonnie przytaczając dane statystyczne, zaczynał tracić uwagę członków rady; burmistrz ostentacyjnie ziewał.

Wreszcie dopuszczono do dyskusji publiczność. Jennie odczekała, aż kilku obywateli miasta wyrazi swoje opinie. Były one dość równo podzielone. Wyglądało na to, że także rada jest nadal w miarę równo podzielona, tak jak to było parę miesięcy temu. Mógł przeważać jeden głos. Jennie podniosła rękę, udzielono jej głosu, wstała i zaczęła przemawiać.

- Nazywam się Jennie Rakowsky - przedstawiła się. - Niektórzy z państwa pamiętają może moje poprzednie wystąpienie tutaj. Tym razem występuję jedynie jako obywatel. Chcę powiedzieć państwu parę słów na temat firmy Barker. Jak wszyscy przedsiębiorcy, oni też przybyli tutaj z pięknymi słowami, łudząc was obietnicami pracy, ulg podatkowych i wszystkich tych wspaniałych zmian, jakie zamierzają wprowadzić w waszym mieście. Nie wiercie ani jednemu ich słowu - zawołała, wznosząc palec. - Przybyli tu, żeby zarobić pieniądze, tylko i wyłącznie po to. Nie dbają o nic poza własnym zyskiem. Zresztą to, co robią, to nic nowego. Byli już tacy w roku 1890, usiłowali wyciąć pół Parku Narodowego Yosemite. Gdyby wtedy nie przeciwstawili im się dobrzy obywatele, dziś nie mielibyśmy Parku Yosemite, Wielkiego Kanionu ani innych ostoj przyrody.

Ktoś zaczął klaskać, ale natychmiast go uciszono. Jennie

miała wrażenie, że Wolfe'owie wpatrują się gdzieś w podium, a może w sufit ponad jej głową; słyszała jednak czyjś aplauz. To podziało na nią jak ostroga; nabrała rozpędu.

- Możemy cofnąć się jeszcze dalej, do czasów Izajasza, ponad dwa tysiące lat temu albo do starożytnych Greków. Już Platon wiedział, że wycinanie lasów, zatrzymujących wodę deszczową, prowadzi do wymywania gleby. - Miała w ręku notatki, ale nie potrzebowała z nich korzystać. - A u was część ziemi to mokradła, gąbka chłonna wodę. To ostoja przyrody i jej piękna, miejsce wypoczynku. Jest to ekosystem, który tworzył się przez tysiące lat. Jeśli się go zniszczy, nigdy już nie da się go odtworzyć. Państwo o tym wiecie i wiedzą o tym także ci ludzie, tylko że ich to nic nie obchodzi. Taka jest różnica.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Jennie. W sali nie słychać było najłżejszego szmeru.

- Mówi się, że zawsze można chronić przyrodę „gdzie indziej”. Tylko co się stanie, kiedy nie będzie już żadnego „gdzie indziej”? Ta planeta nie jest z gumy A na razie jest to jedyna planeta, jaką mamy.

Mówiła dalej. Jej wystąpienie trwało już sześć minut i oczekiwała, że w każdej chwili mogą jej przerwać, ale nikt z prezydium nie przerywał. Zdawała sobie sprawę, że uwaga wszystkich zwrócona jest na nią, że Jill słucha z przejęciem.

- Nie jest to kwestia budowy mieszkań dla bezdomnych. Nie istnieje żadna konkretna konieczność podjęcia tej budowy, osiedli wspólnotowych i pól golfowych. To tylko bezmyślność... i chciwość. - Przerwała na chwilę. - Wszyscy potrafimy poznać chciwość, kiedy mamy z nią do czynienia. Świat jest jej pełen. Ludzie nawet zabijają z jej powodu, prawda?

To do ciebie, Robinson, pomyślała, i w tej samej chwili zauważyła Fishera. Siedział na ukos od niej, po drugiej stronie przejścia, w następnym rzędzie. Przedtem go nie dostrzegła, ale był tu, z tym samym szyderycznym uśmiechem na twarzy, ubrany w tę samą czarną, skórzaną kurtkę. Cóż, przyszło jej do głowy, nabrałeś mnie. Niewątpliwie. To nie ty zabiłeś George'a. Ty jesteś tylko zwykłym chuliganem. Nie jesteś dość sprytny, żeby brać udział w takiej aferze. A jednak wolałabym nie spotykać się z tobą w ciemnej ulicy!

Odzyskała wątek; przemawiała dobrze i teraz należało za-

kończyć. Zwracając się do rzędów głów na podwyższeniu, podsumowała:

- Musimy wykształcić w sobie nowy sposób widzenia świata. Myślę, że państwo zaczynacie to rozumieć i zgodzicie się ze mną, że tę ofertę należy odrzucić.

Serce wciąż jeszcze mocno jej waliło, kiedy usiadła.

- Byłaś wspaniała, mówiłaś pięknie - szepnęła Jill. Oczy jej błyszczały z podziwu.

Jennie poczuła, że ogarnia ją radość. Chętnie poznałaby reakcję Wolfe'ów na jej wystąpienie.

Burmistrz zapytał, czy są jeszcze jakieś głosy z sali, a ponieważ nie było, dyskusję zamknęto.

Teraz już do rady należało rozważenie sprawy i głosowanie. Dyskusja była krótka i nie przyniosła żadnych niespodzianek. Tak jak podczas poprzedniego zebrania słyhać było gniewne uwagi na temat tych dobroczyńców, którzy więcej dbają o łasice i skunksy niż o ludzi, co wywołało śmiech ze strony części publiczności i aplauz pozostałych. Fisher wstał, żeby go było lepiej widać i demonstracyjnie bił brawo. Bibliotekarz opowiedział się za ochroną przyrody. Poparł go chudy mężczyzna, którym był Jack Fuller, hodowca krów. Masz fantastyczną pamięć do nazwisk - powiedział jej kiedyś Jay.

Potem odbyło się głosowanie. Jeden za. Jeden przeciwko. Dwa przeciwko. Trzy za. Jennie aż wychyliła się z krzesła.

Wstał tęgi mężczyzna w okularach z grubymi szklami.

- Muszę powiedzieć, że na początku tego spotkania wciąż nie byłem zdecydowany. Były argumenty przemawiające tak za jedną, jak za drugą racją. Dopiero po wysłuchaniu tej młodej osoby, która mówiła ostatnia, podjąłem decyzję. Tak, mamy zobowiązania wobec przyszłych pokoleń. Ona niewątpliwie ma rację. Dlatego głosuję przeciwko projektowi zabudowy. Zostawcie w spokoju Zielone Moczary. - Cztery na cztery - wymamrotała Jennie.

Jill ścisnęła jej dłoń. Burmistrz był czerwony i wściekły, kiedy zwrócił się do mężczyzny siedzącego przy końcu stołu.

- A pan, panie Garrison?

To ten, który ma kłopoty finansowe. Przyzwoity człowiek, przypomniała sobie Jennie. Ale podobno można go przekabacić. Teraz odchrząknął, jakby chciał wygłosić mowę, i przybrał

uroczysty wyraz twarzy. Najwyraźniej czuł, że jest teraz kimś ważnym.

- Ja także nie byłem zdecydowany - zaczął. - Zawsze jest coś, co przemawia za ochroną przyrody, lecz ważne jest również tworzenie miejsc pracy i ewentualne ulgi podatkowe, z których moglibyśmy skorzystać.

Jennie zaśmiała się bezgłośnie.

- Chodzi o to by wyważyć wszystkie za i przeciw. Z jednej strony...

Na litość boską, krzyczała w duchu, przejdiesz wreszcie do rzeczy?

- A z drugiej strony...

Po dwóch minutach rozważań, co z jednej, a co z drugiej strony, wreszcie przeszedł do rzeczy:

- Głosuję więc za odrzuceniem propozycji. Niech państwo przejmie ten teren jako chronioną ostoję przyrody.

Jennie roześmiała się. Jej oczy wypełniły się łzami. Jill pocałowała ją w policzek.

- To twoja zasługa! Twoja!

Thum powoli wypływał na zewnątrz, posuwał się w kierunku słabo oświetlonego parkingu. Z różnych stron dobiegały Jennie komentarze.

- Moim zdaniem, gdyby nie ta młoda prawniczka, głosowałiby inaczej.

- Może i tak. Ona pomogła, to pewne.

- Ona ich przekonała. Obserwowałem ich twarze.

- Prawie się czuło, jak Garrison podejmuje decyzję.

- Tylko że bez gniewu się tu nie obejdziesz. Trudno się nie wściec, kiedy tyle pieniędzy wyślizguje ci się z rąk.

- Chyba czujesz się teraz wspaniale - powtarzała Jill, kiedy odjeżdżały. - Ty to wszystko sprawiłaś.

- Nie, nie ja. Ja tylko trochę pomogłam i bardzo się z tego cieszę - odpowiedziała Jennie.

Jay pochwaliby jej przemówienie. Było zwięzłe, było diabelnie udane. Włożyłam w nie całą swoją dumę i całe serce, pomyślała.

Przejechały przez miasteczko i wkrótce wyjechały na autostradę. Jennie spojrzała na zegar na tablicy rozdzielczej.

- Wpół do dziesiątej i wcale nie ma ruchu. Przed północą będziemy w Nowym Jorku.

Pola przecięte ciemną nicią szosy stanowiły czarno-biały patchwork, śnieg gdzieś stopniał i zlodowaciał. Niebo było spokojne i białe.

- Nigdy nie przypuszczałam, że na wschodzie jest tyle pustych przestrzeni. - Jill była zdziwniona.

- Cóż, byłaś tylko w Nowym Jorku. Spójrz w tamtą stronę. Tam jest boczna droga, która prowadzi na Zielone Moczary. Jezioro jest niespełna kilometr stąd. Jest to jedno z najładniejszych miejsc, jakie możesz sobie wymarzyć.

- Świetnie, chcę je zobaczyć.

- Teraz? W nocy?

- A czemu nie? Widzisz, jak jest jasno? Przecież mówiłaś, że to niecały kilometr stąd.

Jej zapal wzruszył Jennie.

- Okay. Po prostu będziemy w domu piętnaście minut później.

Mały samochód ślizgał się i podskakiwał na wybojach. Zatrzymał się, kiedy dróżka stała się zbyt wąska. Przeszły kawałek po skrzypiącym śniegu i znalazły się na szczycie wzgórza nad jeziorem. Ten widok także przypominał czarno-biały patchwork. W miejscach, gdzie lód popękał, woda połyskiwała jak czarny marmur. Głęboki spokój okrył wzgórza porośnięte świerkami i wyniosłe brzozy, nieporuszone w tę bezwietrzną noc.

Trafiła tu kiedyś w jasny słoneczny dzień i stała z Jayem, może nawet w tym samym miejscu; on obejmował ją ramieniem, a przed sobą mieli całe życie, równie ciepłe i złociste jak tamten dzień.

- Och, zobacz, Jennie, sowa!

Siedziała na niskiej gałęzi, rozglądała się dookoła okrągłymi, bursztynowymi oczami; potem rozpostarła wielkie skrzydła i poszybowała nad ich głowami, przefrunęła nad jeziorem i znikła w cieniu pomiędzy drzewami.

- Jak tu pięknie! Wiem już, o co ci chodzi i dlaczego o to miejsce walczyłaś - wyszeptała Jill.

I Jennie zrozumiała, że dziewczyna chce uszanować ciszę. Poczwała nastrój tego miejsca; złożyła ręce i stojąc nieruchomo,

przyglądała się uśmiechającej się przyrodzie, podczas gdy Jennie po prostu patrzyła na nią.

Potem wsiadły do samochodu i ruszyły w drogę powrotną. Przez jakiś czas jechały w milczeniu, słychać było tylko chrzęst opon i warkot silnika. Jill przemówiła pierwsza.

- Powiedziałam wszystko mamie i tacie.

- Wszystko?

- Tak, o tym, dlaczego nie chciałaś mnie widzieć. Mama powiedziała, że nie powinnam była nalegać.

- No więc teraz powiedz mamie, że wszystko ułożyło się dobrze.

- Naprawdę?

Gdyby tylko istniała taka prosta, wyraźna granica między czarnym a białym!

- Tak. Naprawdę!

- Chcę ci tylko powiedzieć jedną rzecz. Twoja tajemnica - o mnie - byłaby bezpieczna. Nigdy bym nie wygadała. Jennie poczuła, że kula rośnie jej w gardle i rzekła z trudem:

- Nie potrafiłabym żyć w kłamstwie. Wstawać codziennie i patrzeć mu w oczy, ze świadomością że coś ukrywam.

- Tak ludzie robią.

- Ale nie ja.

Już po raz drugi tego wieczoru Jill położyła dłoń na dłoni Jennie; obie dłonie spoczywały teraz lekko na kierownicy.

Co czujesz? - pytała samą siebie Jennie. Przyptyw miłości, wdzięczność pomieszana z żalem. Potem zganiała się w duchu. Och, jesteśmy wszyscy ostatnio zanadto skupieni na sobie! Dość już tego analizowania! Trzeba przyjmować życie takim, jakie jest. Dość już tych rozważań, co się czuje i dlaczego; nic dobrego z tego nie wynika.

I powiedziała rzeczowo:

- Na pewno umierasz z głodu, ledwie co zjadłaś w pośpiechu. Zatrzymajmy się, żeby coś przegryźć.

- Wolałabym nie. Nie zdawałam sobie sprawy, że tyle czasu zajmie nam powrót.

- No tak, jest dosyć późno. Za późno, żebyś wracała do akademika. Lepiej zostań dzisiaj u mnie na noc. Może teraz po prostu oprzesz głowę i zaśniesz? Miałaś męczący dzień.

Patrząc na Jill, pomyślała, że to zabrzmiało bardzo po macierzyńsku.

- Mówisz jak mama -powiedziała Jill.

- Tak? To miło.

Dziewczyna zasnęła. W drodze do miasta samochód mijał miejsca, których Jennie wolałaby nie widzieć: most, stoisko przy szosie, gdzie Jay zawsze kupował jabłka. A teraz jadę tędy, myślała, ze swoim dzieckiem, które odzyskałam dziwnym zrzędzeniem losu, chociaż się go nie spodziewałam i nie chciałam. Piękne włosy otaczają jej jasną, uśpioną twarz. I tak sobie jedziemy razem przez noc.

Była już prawie pierwsza, kiedy Jennie zatrzymała samochód przed domem. Na ulicy było ciemno, ale w jej mieszkaniu paliło się światło.

Co się dzieje? Co będzie tym razem? Poczwała nagłą ochotę, żeby uciec, wsiąść do samochodu i jechać przed siebie.

- Co się stało? - zapytała Jill.

- U mnie w mieszkaniu się świeci. Chyba nie powinniśmy tam wchodzić.

- Dlaczego?

- Jeszcze pytasz? Po tym, co stało się u mnie w biurze?

- Daj mi klucz od drzwi wejściowych. Wejdziemy na górę i jeśli coś będzie się działo, zaczniemy krzyczeć, obudzimy cały dom, i tyle.

- Zaczynam czuć się przy tobie jak tchórz. W porządku, ja pójdę, ale ty zostań na dole.

- Będę szła parę kroków za tobą.

- Żadne parę kroków! Zostań na dole, powiedziałam.

- Znowu mówisz jak mama.

Jennie zaczęła wchodzić po schodach. Na trzecim podeście zatrzymała się i nasłuchiwała. W całym domu panowała cisza. Widzisz, mówiła sobie, to po prostu kolejne włamanie. Dostali się do środka, zabrali stereo, telewizor i jakieś ubrania, bo nic innego do zabrania nie było. To jeszcze nie jest najgorsze, co może się zdarzyć. W tym mieście takie rzeczy są na porządku dziennym.

Drzwi były uchylone i Jennie zawahała się, zbierając w sobie odwagę. Jill wysunęła się przed nią i otworzyła szeroko drzwi.

- Wejdz do środka, Jennie. No, wejdz.

W głębi dużego pokoju dwóch mężczyzn wstało z miejsca. Peter śmiał się głośno, a Jay z wyciągniętymi ramionami biegł w stronę Jennie.

- Och, Jennie - wykrzyknął.

Nie będąc w stanie pojąć rzeczywistości, z którą się nagle zetknęła, Jennie wyjąkała:

- Cc-co się dzieje? Co ty tu robisz?

- Och, Jennie - wykrzyknął znowu Jay. Otoczył ją ramionami. - Powinnaś mnie uderzyć! Zbić mnie! Zrzucić ze schodów! Co ja ci zrobiłem! Co ja zrobiłem!

- Co ty tu robisz? Nic nie rozumiem - powtarzała, już teraz przez łzy.

- Dziś po południu Peter przyszedł do mnie do biura i wszystko mi opowiedział. Dlaczego... och, na miłość boską, dlaczego sama mi tego nie powiedziałaś?

Wtuliła twarz w jego ramię.

- Przecież mogłaś mi powiedzieć.

- Nie, nie mogła - powiedział Peter.

Jay uniósł głowę Jennie, tak że musiała na niego patrzeć.

- Dlaczego nie powiedziałaś? - powtórzył.

Ona jednak wciąż nie była w stanie odpowiedzieć, przyłożyła tylko dłoń do serca, jakby chciała uspokoić jego szalone bicie.

I Peter, który przestał się już śmiać i w oczach miał powagę, powiedział teraz:

- Wy tłumaczyłem to tak, jak ja tę sytuację rozumiem, jak ona wygląda... Jennie zanadto się bała.

- Bała się mnie? - Jay był oszołomiony. - Chyba nie mnie? Nie mogę w to uwierzyć.

- Proszę cię - wyszeptała.

- Jennie, kochanie, powinnaś była powiedzieć mi od razu na samym początku, jak tylko się dowiedziałas.

Jakimś sposobem to Peter najlepiej panował nad sytuacją.

- Ja odpowiem za nią. Bała się, że cię straci. I mówiłem ci już - głos jakby mu zachrypł - że to sięga jeszcze moich czasów. Wiąże się ze mną i z moją rodziną. W ostatnich dniach wiele myślałem... Myśmy ją naznaczyli. Potem zawsze już uważała, że nie jest dość dobra. Sytuacja się powtórzyła, Jennie przeniosła swe doświadczenia z przeszłości.

- Czy tak to właśnie odczuwałaś. Jennie? - zapytał Jay ze smutkiem.
- Przypuszczam, że tak. Coś w tym rodzaju - szepnęła.
- Stracilibyśmy wszystko, gdyby Peter do mnie nie przyszedł. Tak to wyglądało, że sądziłem... musiałem sądzić... myślałem, że oszaleję. Czuję się tak, jakbym się nagle dowiedział, że moja matka szpieguje na rzecz wroga... - Przerwał. - A to jest twoja córka?

Jill czekała z boku, z ciekawością i czułością obserwując całą scenę. Nareszcie Jennie odzyskała mowę.

- Tak, to jest Jill. Victoria Jill - powiedziała z dumą.

- A więc to ty jesteś przyczyną tego wszystkiego! - Jay uściskał Jill i ucałował ją w oba policzki. Popatrzył na nią, potem na Jennie i znowu na nią. - Jeśli to ty jesteś jej autorką Jennie, to powinnaś mieć z tuzin dzieci.

Jennie poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie, kolana się pod nią ugięły i musiała usiąść.

- Co za tydzień - wymamrotała, ocierając oczy.

- Najgorszy - powiedział Jay. - Najgorszy. Ale o czym ja mówię? Właśnie się dowiedziałem, co zdarzyło ci się w biurze. Rozwścieczyło mnie to, kiedy Peter mi o tym opowiadał.

Jennie zamknęła oczy, mając nadzieję, że w ten sposób przestanie jej się kręcić w głowie, Jay usiadł przy niej, położył jej głowę na swoim ramieniu i głaskał ją po włosach.

- Czuję się, jakbym w ciągu kilku ostatnich godzin przeżył całe życie - zaczął powoli. - Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy Peter wszedł do mojego gabinetu.

Peter się zaśmiał.

- Poznał mnie po włosach. Bardzo trudno zniknąć w tłumie, kiedy ma się taki kolor włosów.

- Wszedł i zaczął wygłaszać mi kazanie. Naskoczył na mnie, że nie mam prawa traktować cię w ten sposób, że jestem brutalny i że...

- Musiałem wydawać się dużo odważniej szy, niż się naprawdę czułem. Oczekiwałem raczej, że zostanę wyrzucony za drzwi. Musiałem jednak to zrobić. Nie mogłem wsiąść do samolotu i odlecieć do Chicago, zostawiając Jennie w takiej sytuacji, kiedy to była moja wina.

- To wcale nie była twoja wina - sprostowała Jennie.
- Zależy, jak na to spojrzeć. W każdym razie przypomniałem sobie twoją sąsiadkę, Shirley. Mówiłaś, że ona wie wszystko o wszystkich, przyszedłem więc tutaj i zadałem jej parę pytań, oczywiście jako twój przyjaciel lekarz. W ten sposób dowiedziałem się nazwiska Jaya. To było łatwe. - Peter był z siebie zadowolony.
- To nie sztuka skłonić Shirley do mówienia, niech jej Bóg błogosławi. - Teraz roześmiał się Jay. - Sztuką jest powstrzymać jej rozmowność.
- Ja przez cały czas wiedziałam, co Peter chce zrobić -oznajmiła Jill. - Więc kiedy tu przyjechałyśmy i zobaczyłam, że w oknach się świeci, od razu wiedziałam, że plan się powiódł. Przez cały dzień siedziałam jak na szpilkach, myśląc o tym.
- Nic dziwnego, że tak ci było spieszno z powrotem i nie chciałaś, żebyśmy wstąpiły coś zjeść - powiedziała Jennie.
- Och! - wykrzyknął Jay. - Zupełnie zapomniałem o tym, co miało być dzisiaj. Byłem w takim stanie, że nic mnie już nie obchodziły Zielone Moczary czy cokolwiek innego. Ale Jennie nie zapomniała. Jennie, ty byłaś...
- Jill mnie do tego zmusiła.
- Tak, i powiedzcie, czy nie cieszyacie się z tego? Jennie wygrała - powiedziała mężczyznom Jill. - Wygłosiła cudowne przemówienie i to zdecydowało o wyniku głosowania. Walczyła i wygrała.
- Tak, moja Jennie umie walczyć.
- W słusznych sprawach, tak. Za innych ludzi - wtrącił się Peter. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Potem Jay zapytał dość niepewnie, czy jego rodzice byli na zebraniu.
- Byli, ale nie rozmawialiśmy ze sobą. - Musiała o to zapytać. - Co ty im o mnie powiedziałaś?
- Tylko to, że jak mi się wydaje, znalazłaś sobie kogoś innego. Mówiłem bardzo oględnie, a oni nie pytali.
- To tacy dobrzy ludzie - wymamrotała Jennie.
- Cóż, bardzo cię lubili. Ale kiedy dowiedzieli się, że skrzywdziłaś ich syna, chyba rozumiesz, dlaczego tata zaangażował innego prawnika. Prosiłem go, żeby tego nie robił, ale on mnie nie słuchał, osobiście czuł się dotknięty.

- Przepraszę ich za to, Jay.

- Nikogo nie musisz za nic przeproszać! I posłuchaj, jutro pierwszą rzeczą, która załatwimy, będzie nasz ślub. Dajmy już sobie spokój z tymi wszystkimi przygotowaniem i ceremoniami. Nie chcę czekać dłużej niż trzy dni. - Wyciągnął rękę i dotknął ręki Jill. - Chcę, żebyś ty też była na naszym ślubie. Jesteś córką Jennie, więc będziesz i moją. - I cicho, tak cicho, że Jennie ledwie go słyszała, dokończył: - Tak bardzo kocham twoją matkę, Jill, i o mało jej nie straciłem. Z mojej własnej winy.

- Jeśli się nad tym dokładnie zastanowić, to zaczęło się ode mnie. To moja wina - powiedziała Jill. - Nie mogę znieść myśli, że to ja o mało wszystkiego nie zniszczyłam.

- Chyba już czas przestać mówić o żalu i o winie - zauważył Peter. - Patrzmy lepiej w przyszłość. - Ziewnął i przeciągnął się. - Jest późno, a ja mam rano samolot, więc już się pożegnaj. - Wziął płaszcz. - Czy przyjedziesz do mnie do Chicago, Jill?

- Jasne. Kiedy będę lecieć na Święta do domu, mogę przesiąść się w Chicago i zjeść z tobą lunch. Chociaż już nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę mamę, tatę i dzieciaki.

Jay przyglądał jej się uważnie.

- Wyglądasz na zdumionego. - Jill się uśmiechnęła.

- Niezupełnie. Chodzi o to, że nic o tobie nie wiem, a chciałbym.

- No to się dowiesz. Będę was odwiedzać, kiedy tylko mnie zaprosicie. Z wielką radością.

- Tylko „odwiedzać”?

- Ach, ty myślałeś, że wprowadzę się do ciebie razem z Jennie? Nigdy o tym nie myślałam! Mam własną wspaniałą rodzinę! Chciałam tylko - Jill mówiła żarliwie, z błyskiem w oczach, który Jennie wydawał się już znajomy - chciałam się tylko dowiedzieć, kim jestem. A skoro już wiem, kim jestem i cieszę się z tego - dodała, dotykając ręki Jennie - czuję się spokojna. Tak, jestem bardzo spokojna.

- No cóż, możesz mieć dwie rodziny - powiedział Jay.

- Trzy. Ja jestem rodziną jednoosobową - poprawił go Peter.

- Czy nie mógłbyś zostać na ślub? - zapytał Jay, kiedy Peter zakładał płaszcz. - To tylko trzy dni dłużej.

Peter potrząsnął głową przecząco.

- Dziękuję, ale wyjeżdżam. Jestem wędrownym ptakiem, i tyle.
Uściskał Jayowi rękę, ucałował Jill i chciał podać rękę Jennie, ale ona wstała i pocałowała go.

- Nie masz nic przeciwko temu, Jay? - Roześmiała się.

- Nie, sam chętnie bym go pocałował.

- Lepiej nie - rzekł Peter, wszyscy się roześmieli, napięcie prysło.

Kiedy wyszedł, wszyscy troje, jakby się umówili, podeszli do okna. Widzieli w świetle latarni, jak przechodził przez ulicę i podrygującym, chłopięcym krokiem zmierzał w kierunku głównej alei.

- Polubiłem go - powiedział nagle Jay.

- Mnie się wydawało, że go nienawidzę - mruknęła Jennie.

- Ale teraz już tak nie jest - odezwała się Jill.

- Skądże znowu? To on zwrócił mi was oboje. - Ujęła dłoń Jill, a drugą ręką trzymała ciepłą i mocną dłoń Jaya. - Mamy za sobą długą drogę - dodała.

Ogarnęła ją czułość i spokój, nareszcie mogła odpocząć, jak ktoś, kto po długiej podróży trafia do domu. W jej zwykłym, małym pokoju mieścił się świat - cały, barwny, nowy świat.

Wtem coś jej przyszło do głowy.

- Hej, Jill! Czy to nie ty mówiłaś, że zawsze dotrzymujesz tajemnicy i nigdy się nie wygadasz?

- No to kłamałam - oświadczyła beztrąsko Jill.